

Lindsey Johanna

Burza uczuć

*Rok 1874,
Rezerwat San Carlos, Arizona*

Kot był ogromny, miał ponad dwieście funtów i niemal dziewięć stóp długości. Leżał na głazie, wysoko w górach, ze wzrokiem utkwionym w punkcie znajdującym się trzydzieści stóp poniżej, gdzie zbocze tworzyło szeroką półkę skalną. Tam właśnie, pomiędzy wysokimi sosnami, znajdowało się niewielkie stado puszczonech luzem dzikich koni. Nerwowo udeptywały ziemię, wyczuwając obecność kota nawet pomimo braku powiewu, który mógłby przynieść jego zapach.

Nagle kot poczuł niebezpieczeństwo. A potem zobaczył dwóch mężczyzn, którzy wspinali się po zboczu, prowadząc siedem koni, jedno zwierzę za drugim, aby je dołączyć do oczekującego stada. Mężczyźni byli dość młodzi i wyglądali prawie identycznie. Obaj mieli smagłe twarze i długie, czarne włosy, puszczone luźno na ramiona, obaj też mieli na nogach mokasyny do kolan i długie bryczesy, opinające muskularne uda. Ale jeden był wysoki, ubrany jedynie w krótką, czarną kamizelkę. Drugi, znacznie niższy, miał na sobie białą, bawełnianą koszulę z długimi rękawami, przepasaną nisko na biodrach pasem z nabojami.

Kiedy prowadzone konie dołączyły do stada, puma podniosła się ze swojego punktu obserwacyjnego i zeskoczyła z głazu, ostrożnie przybliżając się do dwójki młodych ludzi. Jeden z nich był półkrwi Apaczem, drugi zaś, wyższy, na pewno Indianinem nie był.

Obaj mężczyźni zamarli, patrząc na wielkie zwierzę. Czemu go nie zauważyli? Wszystko, poza tupotem koni, ucichło.

Wyższy mężczyzna wyciągnął rękę i wtedy puma pokonała dystans dzielący ją od ludzi z głośnym pomrukiem. Kot otarł przyjaźnie łeb o wyciągniętą dłoń i okręcił się wokół gołych nóg człowieka. Po chwili przesunął się pod ręką mężczyzny całą długością swego brunatnego ciała, a potem powoli odszedł i opadł na miękką ziemię dwa kroki dalej.

Billy Wolf bardzo powoli wypuścił wstrzymany oddech, starając się, by drugi mężczyzna tego nie usłyszał. Ręce prawie mu się trzęsły, świadcząc o tym, że na chwilę opuściła go odwaga.

- Sukinsyn - powiedział Billy w języku, którego tak wyśmienicie nauczył go przyjaciel, a potem, gdy wyższy mężczyzna nie zareagował, powtórzył głośniejszym głosem. - Sukinsyn! Słyszysz, co on wyprawi z tymi kłaczami, Slade?

Wyższy mężczyzna obrócił głowę i obdarował Billego jednym ze swoich rzadkich uśmiechów. - Wyprawia, Billy, wyprawia. Pamiętaj o tym a.

- Do diabła, nie opowiadaj mi teraz o gramatyce! - ale uwaga została przyjęta i Billy już o niej nie zapomniał.

- Nie denerwowałeś się trochę nim ją rozpoznałeś?

- Trochę. - Tylko tyle odpowiedział Slade Holt, nim odszedł, by uspokoić konie.

Billy Wolf szybko podążył za nim. - Gdy tak sobie leży, sprawia wrażenie, jakby czuła, że ucieszyłeś się na jej widok, tak, jakby nigdy cię nie opuściła.

- Bo wie, że jest witana z radością - beznamyślnie odrzekł Slade.

Billy przyjrzał się pumie i potrząsnął głową. - Nie widziałeś jej od ośmiu miesięcy, a opuściła cię jeszcze o rok wcześniej. Jak cię zapamiętała? I po czym poznałeś ją teraz, kiedy wygląda jak każdy inny górski kot?

- Nie rozpoznałem jej - przyznał Slade, zaczynając się uśmiechać. - Po prostu wiedziałem, że nie jest groźna, podobnie jak ty wiedziałeś, że nie stanowię zagrożenia, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Billy rozważał tę uwagę przez chwilę i przyjął, że jest słuszna. Jak to miał w swym zwyczaju, gwałtownie zmienił temat.

- Naprawdę zdecydowałeś, że wyjeżdżasz jutro, Slade? A kiedy jego towarzysz bez słowa skinął głową i usiadł obok wielkiego kota, Billy zmarszczył brwi. - Ale czy na pewno jesteś już gotowy?

Slade omiótł wzrokiem zagłębienie, wykopane w zboczu góry. W jamie znajdował się koc, komplet ubrań, buty, które za konia wymienił dla niego Billy, torba z puszkami kupionymi przez Billego oraz pistolet i olstro, które sam ukradł dwa lata temu, gdy Cactus Reed nauczył go, jak używać broni. To właśnie o broni teraz myślał. Umiejętność sprawnego posługiwania się nią była dotychczas jedyną luką w jego wyszkoleniu. Potrzebował dwóch lat codziennych ćwiczeń, by wreszcie móc przyznać, że jest dobry - a przynajmniej lepszy niż człowiek, którego zamierzał zabić.

- Gotowy? - Zielone oczy Slade'a spoczęły na pumie, a wyciągniętą ręką zaczął drapać kocisko między uszami. - Dla mnie największym problemem było czekanie przez tyle lat. Gdy byłem dzieckiem, koniecznie chciałem być dorosły, bo tylko jako dorosły człowiek mogłem coś zrobić z krzywdą, którą mi wyrządzono. Kiedy miałem dwanaście lat, zdobyłeś się wreszcie na odwagę, by się do mnie zbliżyć.

- Odwagę! - przerwał urażony Billy.

- Sam przyznaj, Billy - powiedział Slade z rozbawieniem w głosie. - Twoi ludzie uważali, że jestem szalony, i to nie tylko dlatego, że mieszkałem sam w górach. Byłeś tylko o rok ode mnie starszy. Nawet wojownicy z twojego plemienia omijali

szerokim łukiem zwariowanego białego chłopca.

- A co mieliśmy myśleć o tym brudnym, półnagim dzieciaku, od którego śmierdziało na odległość? Strzelałeś z wymagowanej strzelby do każdego, znajdującego się w odległości strzału. Jeśli to nie było wariactwo...

Slade wybuchnął śmiechem. - Ciebie też zastrzeliłem, gdy tylko się napatoczyłeś.

- Strzelając z palca - mruknął Billy, ale się uśmiechnął. Slade Holt tak rzadko śmiał się z radością, bez gorzkiego cynizmu.

- Mówiłem ci już, dlaczego wtedy tak śmierdziałem. Dopiero po pół roku zapach tego skunksa wywietrzył.

- Na pewno by pomogło, gdybyś skorzystał ze strumienia.

- Po co? W tamtym okresie to, że nie musiałem się kapać, było chyba jedyną rzeczą, jaką lubiłem w swej swobodzie.

Billy złapał się za nos. - A teraz zmieniłeś zdanie. Cieszę się.

Slade wzruszył ramionami. - Niektóre rzeczy zmieniają się z upływem czasu. Nie strzelam też już dziś na niby ze strzelby. To była zabawa, w którą bawiłem się z moim bratem bliźniakiem.

Twarz Slade'a spochmurniała. Nagły ból przeszył mu głowę, jak zawsze, gdy myślał o bracie. Mocno potarł skronie. Puma wyczuła, że coś jest nie w porządku. Postawiła uszy i przestała mruzczyć.

Billy wiedział, że Slade cierpi na bóle głowy, bo nie może sobie dobrze przypomnieć, co się stało osiem lat temu, po ucieczce z bratem z Tucson, gdy ich ojciec został zabity przez rewolwerowca Ferala Sloana. Slade był świadkiem pojedynku, widział jak Sloan prowokuje walkę z Jakem Holtem, ojcem Slade'a.

Jake, jeden z tysięcy poszukiwaczy złota, wyruszył na zachód, by zdobyć bogactwo. On i jego przyjaciel, Tom Wynhoff, mieli szczęście. Znaleźli złoto dwadzieścia kilometrów na zachód od Tucson, bogate złoża. Ale ich szczęście nie trwało długo, bowiem inni też mieli ochotę na złoto. Slade niewiele o tym wiedział. Ojciec powiedział mu jedynie, że jakiś człowiek próbował kupić od niego wyrobisko. Ojciec Slade'a odmówił.

Niedługo potem w zaułku znaleziono martwego Toma Wynhoffa, z ołowianą kulą w piersiach. Tego samego dnia, całkiem bez powodu, Feral Sloan wywołał walkę z Jakem i zastrzelił go na ulicy. Slade stał wtedy dziesięć stóp dalej. Po chwili Sloan minął Slade'a, przechwalając się koledze, że nigdy łatwiej nie zarobił stu dolarów.

Umysł dziesięcioletniego Slade'a był w stanie pojąć, że rewolwerowiec został opłacony, by zabić ojca. A ogrom niebezpieczeństwa dotarł do niego, gdy stojący za nim starszy mężczyzna ścisnął go za ramię i ostrzegł: - Pierwszy był stary Tom, potem Jake. Teraz, Slade Holt, to przekłete złoża należy do ciebie i do twojego brata, ale gotów jestem się założyć, że nie doczekacie zysków. Setki razy już widziałem, jak źli, leniwi dranie mordują, by zabrać to, co inni zdobyli ciężką pracą. Wy, dzieciaki, będziecie następni. Zabieraj szybko swojego brata i zmykajcie stąd.

Chciwi ludzie nie cofną się przed zamordowaniem dzieci.

Slade odszukał brata i obaj ruszyli na północny wschód, byle dalej od kopalni, od Tucson, kierując się ku górą, rozciągającym się na północy. Byli ścigani. Slade'owi mignął tylko Feral Sloan, jadący szybko za nimi, a potem kula musnęła mu skroń i stoczył się z konia do skalnej rozpadliny. Pamiętał jeszcze krzyk przed utratą przytomności i już nic więcej.

Obudził go deszcz. Był sam, nigdzie nie było śladu brata i konia, żadnych śladów, za którymi można by było podążyć. Potem doszedł do wniosku, że powinien wówczas pozostać na miejscu, na wypadek, gdyby brat odwiódł od niego Sloana i udał się po pomoc. Ale wtedy nie rozumował logicznie i wyruszył na poszukiwanie swego bliźniaka. Zrezygnował dopiero po wielu miesiącach. Zresztą i tak poszukiwania te nie były wiele warte, unikał bowiem miast w obawie, że znajdzie go wynajęty rewolwerowiec lub dowie się o nim bezimienny człowiek, pragnący jego śmierci.

Nauczył się, jak samotnie przetrwać, jak być dzielny i nigdy więcej nie pozostać bezbronnym. Pokonał rozpacz, ucząc się metodą prób i błędów, przemierzając obszary od Gila River aż po wznoszącą się niby twierdza górę Apaczów na południu. To dziwne, ale nigdy nie bał się Indian. Szanowali go za to i pozwalali korzystać ze swych terenów. Slade czuł obawę i skrzętnie omijał wszelkie ślady białego człowieka. Gdy po dwóch latach, pozbawionych wszelkich kontaktów słownych z ludźmi, spotkał Billego Wolfa, był gotów do przyjaźni. Zdarzyło się to sześć lat temu.

Na początku nie mogli ze sobą rozmawiać, ale stopniowo poznali swoje języki. Billy żył wtedy z plemieniem matki, prowadzącym wędrowny tryb życia, toteż długie przerwy dzieliły ich spotkania.

Billy był jedynym człowiekiem, do którego zbliżył się Slade, poza Cactus Reedem. Slade znalazł Reeda w Galiuro Mountains nieco ponad dwa lata wcześniej. Mężczyzna ledwo żył, miał w ciele dwie kule i utrzymywał, że troszkę się poróżnił ze swoim towarzyszem podróży, no i przegrał utarczkę w wielkim stylu. Slade połatał jakoś Cactusa. W rewanżu Cactus nauczył Slade'a wszystkiego, co sam potrafił. A umiał wiele. Był niegdyś łowcą nagród, z tych, co żyją ze swej broni i odwagi, wyzywając zabójców.

Okazało się, że Cactus jest również złodziejaszkiem, gdyż pewnego dnia, gdy Slade był na polowaniu, odjechał, zabierając ze sobą tuzin dzikich koni ze Slade'owego stada. Albo nie był typem człowieka, odczuwającego wdzięczność dla kogokolwiek, nawet dla kogoś, kto uratował mu życie, albo też uważał, że są kwita ze Sladem, którego tyle nauczył.

Slade nie wyruszył za nim. Dzikie mustangi nie były trudne do zdobycia, a służyły mu jedynie do wymiany za rzeczy, których potrzebował, pozostałe zaś pozwalał Billemu zabierać z gór i sprzedawać za gotówkę. Przez te wszystkie lata zgromadził niemały grosz ze sprzedaży koni, ale nie korzystał z tych pieniędzy - aż do tej chwili.

Billemu Wolfowi było smutno. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdy Slade rozpocznie swoje poszukiwania, prawdopodobnie już więcej go nie zobaczy. Zawsze wiedział, że taki dzień wreszcie nadejdzie. Właściwie oczekiwał tego w ubiegłym roku, kiedy Slade przestał rosnąć, osiągając imponujące sześć stóp i trzy cale. Był szczupły i muskularny, dzięki aktywnemu trybowi życia, a gorące słońce Arizony sprawiło, że skóra mu ściemniała jak u Indianina. Po powrocie do cywilizacji, Billy był tego pewny, podejrzliwe mieszczuchy będą go uważać za mieszańca, takiego samego jak on. Slade miał jednak pewien atut - opanowanie. Nawet jego spokojne zachowanie onieśmiało, chociaż miał dopiero osiemnaście lat. A przenikliwe, błyszczące spojrzenie i pięknie rzeźbione rysy twarzy zapewniały mu zainteresowanie ze strony kobiet.

Billy wyszczerzył zęby w uśmiechu: - Czy najpierw obetniesz włosy, czy też zdobędziesz pierwszą kobietę?

Slade podniósł wzrok, z wyrazem twarzy, który nic nie zdradzał. - Obawiam się, że włosy muszą pójść na pierwszy ogień, jeśli chcę znaleźć kobietę, która na mój widok nie ucieknie z wrzaskiem.

- Jeśli się ostrzyżesz i nie będą cię brać za półkrwi Indianina, to kobiety zaczną o ciebie walczyć. Może więc lepiej pozostaw długie włosy, by tego uniknąć. I tak będziesz miał sporo kłopotów. Wiesz, co się robi z kobietami, prawda?

- Chyba dam sobie jakoś radę - wycedził Slade.

- Sądząc po tym, co mi zademonstrowałeś, gdy ty i Little...

- Nie! - krzyknął Billy, czując gorąco na szyi. Nasz obóz był o mile stamtąd, gdy ja... chcesz powiedzieć, że mnie śledziłeś?

Byłem tuż za tobą - gładko odpowiedział Slade.

- Wszedłem prosto do twojego szałasu i nawet nie zauważyłeś mej obecności. Ale ona zauważyła. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Nigdy ci nie powiedziała?

- Nie, do diabła!

Slade zmarszczył brwi. - Naprawdę wprowadziłem cię w zakłopotanie? Zły jesteś na mnie?

- To była bardzo osobista sprawa.

- Masz rację - przyznał Slade. - Ale i tak, mój przyjacielu nie żałuję tego. - Nauczyłem się więcej, niż oczekiwałem - umilkł, zamyślony. Zobaczyłem, że mężczyzna traci prawie wszystkie naturalne instynkty, gdy kocha się z kobietą. Staje się słaby. A kobieta nie angażuje się tak całkowicie, toteż staje się silniejszą stroną.

- Ha! - Billy był zadowolony, że zyskał czas, by dojść do siebie. - Nie zawsze tak jest, Slade. Widziałeś mnie z moją pierwszą kobietą, zachowywałem się wówczas niezdarnie i zbyt gorączkowo. Od tamtego czasu nauczyłem się, jak sprawić, by kobieta zapamiętała się w namiętności. Teraz ona traci kontrolę nad sobą, a nie ja. Ale by się tego nauczyć, potrzeba specjalnej techniki i czasu.

Slade zaczął rozważać słowa Billego, zastanawiając się, ile w nich było chęci

zachowania twarzy, a ile prawdy. Doszedł do wniosku, że trochę jednego i drugiego, ale uznał, że wątpliwości przemawiają na korzyść przyjaciela.

- I opanowałeś tę technikę? Teraz masz władzę nad każdą kobietą, którą posiadasz?

- Tak, opanowałem. - Billy pochwalił się z zadufaniem, a potem szybko zauważył: -

Ale, do diabła, jest sporo kobiet, które nie znoszą tego, choćbyś nie wiem co robił. -

Billy nie wyjaśnił, że mówi na podstawie swych nielicznych doświadczeń z białymi prostytutkami, z którymi zadawał się w miastach.

- W twoim przypadku może być jednak inaczej - kontynuował Billy. - Białe kobiety są w stanie tak samo polubić mieszańca, jak Apacza czystej krwi- czyli wcale.

- Ale jak mogę poznać twoją technikę?

- Do diabła, jeśli wydaje ci się, że cię nauczę... Znajdź sobie kobietę, która ci pokaże, co sprawia jej przyjemność, tak jak ja zrobiłem.

Typową reakcją Slade'a na jakikolwiek temat, wprawiający go w zakłopotanie, była ucieczka od niego. Zrobił to i teraz, podnosząc się, by odejść do koni, wołając ulubioną szarą klacz i odwracając się do Billego plecami.

Billy nie mógł się powstrzymać przed ostatnim docinkiem. - Boisz się przed swoim pierwszym razem?

- Tylko tego, że ona będzie wiedziała.

Billy musiał wyteńczyć słuch, by usłyszeć słowa. Zrozumiał. Żywo pamiętał, jak się czuł w czasie swoich pierwszych doświadczeń.

- Psiakość, zawsze możesz poczekać jeszcze parę lat. W końcu nie wiesz jeszcze, co tracisz - zaproponował Billy. - Albo, jeszcze lepiej, upij damulkę, to nic nie będzie później pamiętała.

Slade odwrócił się, by spojrzeć Billemu w oczy i ten poczuł się nieswojo. Czasem Slade bywał lepszy nawet niż Apacze w panowaniu nad wyrazem swej twarzy. Każdego to mogło niepokoić. Teraz jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale Billy wiedział z doświadczenia, że Slade umiał ukryć i morderczą wściekłość, i całkowite znudzenie. Nie istniała metoda, umożliwiająca odgadnięcie, o jakie uczucie chodzi. I chociaż byli przyjaciółmi, gdy Slade rzucił mu to specjalne spojrzenie, włosy zjeżyły się Billemu na grzbiecie.

- No, do licha, nie wiem nawet, skąd się nam wziął taki temat do rozmowy - szorstko powiedział Billy i odwrócił się od tych pałających zielonych oczu. - Wydaje mi się, że powinniśmy omówić, co zamierzasz zrobić z tymi końmi. Jeśli wyjeżdżasz rano, to...

Slade omiół spojrzeniem trzydzieści parę klaczy. Większość z nich złapał w ciągu ostatnich trzech lat, w powolnym procesie, na który składało się wytropienie stada, życie z nim dzień po dniu, wtopienie się w otoczenie i stanie się niemal niewidocznym, aby wreszcie odłączyć jedną klacz i podkraść się do niej. Wiele lat temu nauczył się, że nie należy nawet próbować tego z ogierem, musiał więc czekać, aż samiec będzie czymś zajęty, by zbliżyć się do samicy. Ale zajęcie było przyjemne,

choć wymagało cierpliwości, której pomógł mu się nauczyć Billy i która po trzech latach stała się dla niego naturalna.

- Są teraz twoje, Billy - powiedział Slade.

Billy wytrzeszczył oczy. - Niech to diabli! Cholera! Wiedziałem, że wyruszyłeś na swój wypad w ostatnim tygodniu, by mi sprawić przyjemność. Wiedziałem!

- Bzdura - z kpina odrzekł Slade. - Rozkoszowałem się ryzykiem, związanym ze sprzątnięciem stadka prosto sprzed nosa farmera. Ma tyle wszystkiego, że nie odczuje ich utraty. A ja już od wielu lat nie zapuszczałem się tak daleko na wschód. Miałem okazję zobaczyć, ile wyrasta nowych miast. No i przeżyłem przygodę, którą będę mógł wspominać, gdy się... ucywilizuję.

- Ale wszystkie, Slade? - zaprotestował Billy. - Możesz wykorzystać pieniądze, których są warte.

- Mam wystarczającą ilość pieniędzy, by zrobić to, co muszę.

Billy wyraził swą wdzięczność skinieniem głowy. - Gdzie rozpoczniesz swe poszukiwania?

- Tam, gdzie się wszystko zaczęło.

- Naprawdę sądzisz, że Sloan nadal przebywa w Tucson? Do diabła, to stolica terytorium. Typom takim jak Sloan niełatwo dziś żyć w dużych miastach.

- To nie ma znaczenia - bez namysłu odpowiedział Slade. - Tam czy gdzie indziej, jeśli tylko żyje, odnajdę go.

- A gdy go zabijesz?

- Dowiem się, jak nazywa się człowiek, który go wynajął. - Zimna nuta pojawiła się w głosie Slade'a.

- A kiedy i tego zabijesz?

Slade odwrócił się, nim udzielił odpowiedzi. - Wówczas będę mógł swobodnie odnaleźć brata.

Billy szybko zmienił temat. - A co ze złotem twojego ojca?

- Jak to co?

- Nadal tam jest, prawda?. Mówiłeś, że twój ojciec ze współnikami tak zamaskowali złóżę, że inni mogli znaleźć tylko bezwartościowe wyrobisko, gdy tymczasem prawdziwa kopalnia była dobrze ukryta w zboczach góry.

Na przystojnym obliczu Slade'a zagościł rzadko widziany wyraz złości. - To złoto zabiło mego ojca, rozdzieliło mnie z bratem i zmusiło do życia jak dzikie zwierzę. Nie chcę nawet jego części. - Potem dodał: - I co daje bogactwo? Ziemia oferuje wszystko, co potrzebne jest człowiekowi.

Billy chrząknął, postanowiwszy nie zwracać uwagi na to, że Slade rozumie jak Indianin. Zresztą, czy to dobrze, czy źle?

Billy Wolf twardo popatrzył na mężczyznę, którego kochał jak brata. - Dobrze więc, jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać.

- Uśmiechnął się, próbując złagodzić ciężar chwili.

- Będę bogatym zwiadowcą z piękną żoną - znalezienie mnie nie powinno cię zbyt wiele kosztować. Mam tylko nadzieję, że nie będę się stale nadziewał na twoją ogromną pumę, gdy ciebie nie będzie w pobliżu. Slade roześmiał się.

* * *

Wczesnym wieczorem tłoczno było w Whiskers Saloon. Nie różnił się on od innych barów, do których zaglądał Slade w ciągu ostatniego roku. Teraz był już uodporniony na wrażenie, jakie wywierał swym wyglądem. Zawsze wszystko ulegało wyciszeniu, dopóki nie zamówił pierwszego kieliszka. Czasem mężczyźni odsuwali się od niego. Niegdyś ostrożność ludzi spowodowana była jego opanowanym sposobem bycia. Teraz sprawiał to jego wygląd.

Slade nigdy nie zaspokajał niczyjej ciekawości i nie przedstawiał się bez powodu. Jego imię stało się przekleństwem, wywołując obawę większą niż strach przed uzbrojonym nieznajomym, sprawiającym wrażenie, że umie się swą bronią posługiwać. To jego imię zaczęło mu ciążyć zaledwie w miesiąc po rozpoczęciu poszukiwań, a wszystko przez głupiego kowboja, który wyzwiał go na pojedynek w pewnym małym górniczym osiedlu. Wielu świadków widziało, jak rewolwer Slade'a opuścił kaburę szybciej, nim drugi mężczyzna zdołał dotknąć broni. To wystarczyło. W następnym mieście, do którego się udał, słyszeli już o nim. Za późno dowiedział się, czym jest plotka. Człowiekowi, który nigdy nie wyciągnął swej broni, mogła przypisać od dziesięciu do piętnastu karbów na rewolwerze. A tego, kto pozwolił obserwować swoją szybkość w posługiwaniu się bronią, nakazywała zaliczać do ciemnych typów.

Slade jeszcze nikogo nie zabił, a już został znanym zabójcą! Powrócił do cywilizowanego świata białego człowieka zaledwie przed rokiem, ale wieść gminna niosła, że przybył z Teksasu przed pięcioma laty, zabijwszy tam pierwszego człowieka.

Wszystkie jego zabójstwa miały być proste i uczciwe, co odpowiadało założeniu, że sprawny rewolwerowiec nie musi walczyć podstępnie. Mimo to szeryfowie szybko wypraszali go ze swoich miast, a Slade przekonał się, że nie jest w stanie uzyskać informacji od kogokolwiek, kto pozna już jego imię.

Zmienił swój wygląd. Zapuścił znów włosy, a zamiast kowbojskich butów zaczął nosić mokasyny do kolan. To znacznie pomogło. Nie musiał kłamać, że jest mieszane-cem, wystarczyło, że sprawiał takie wrażenie i ludzie brali go za półkrwi Indianina. Tak więc, po rocznych poszukiwaniach, znalazł wreszcie Ferala Sloana.

Odnalazł go w Newcomb, miasteczku zamieszkałym przez niespełna dwieście osób, łącznie z mieszkającymi i pracującymi dorywczo na okolicznych ranczach. Gorzkie przekleństwo wyrwało się Slade'owi, gdy dowiedział się, że Sloan osiadł w miasteczku siedem lat temu, wkrótce po jego założeniu. Najbardziej rozzłościł go fakt, że Sloan pracował jako zarządca na farmie sąsiadującej z ranczem, na które kiedyś urządzili swą ostatnią wyprawę z Billym Wolfem. Był wtedy tak blisko

zabójcy ojca i nawet o tym nie wiedział. Ale dziś znajdował się jeszcze bliżej, bowiem Feral Sloan był w saloonie, siedział przy stole do kart z dwoma mężczyznami, plecami obrócony do ściany.

Slade dostrzegł go od razu. Obraz Sloana nigdy nie wyleciał mu z pamięci. Rewolwerowiec mógł mieć teraz około trzydziestu lat, miał gładko zaczesane do tyłu włosy i agresywnie sterczącą do przodu brodę. Natomiast jego długie i chude ciało nabrało miękkich linii, a włosy przerzedziły się. Na twarzy widniały ślady rozwiązłego życia. Lecz choć mijające lata nie obesły się łaskawie z wyglądem Sloana, to jednak niewątpliwie przyniosły mu zyski. Ubrany był ostentacyjnie w fantastyczny strój z całą kolekcją srebrnych ozdób i diamentowej biżuterii.

Slade doszedł do wniosku, iż Feral Sloan jest jednym z lepszych strzelców w mieście, albo wręcz jedynym. To drugie było całkiem prawdopodobne. W pomieszczeniu znajdowało się wielu kowbojów z okolicznych gospodarstw, zwłaszcza że był to sobotni wieczór. Slade nauczył się oceniać ludzi na podstawie pierwszego spojrzenia, jakie mu rzucano. Mógł pominąć wszystkich mężczyzn na sali, z wyjątkiem Sloana.

Teraz to była już tylko kwestia czasu, a Slade stał się mistrzem w czekaniu. Wiedział, że Sloan podejdzie do niego, musi to zrobić ze względu na swoją reputację. Wybadanie groźnego obcego przybysza w mieście zawsze przypadło dobremu rewolwerowcowi. Ludzie spodziewali się tego po nim, chcieli, by zadawał obcemu pytania, zaspakajające ich ciekawość. Gdy miejscy twardziele nie otrzymywali odpowiedzi na swoje pytania, wtedy zaczęli zachowywać się po przyjacielsku lub oddalali się, głośno przy tym wyrzekając i modląc się, by nieznajomy nie poczuł się urażony i nie rozpoczął walki.

Slade czekał dwadzieścia minut, by Feral Sloan przyłączył się do niego przy barze. Wszyscy ci, którzy wcześniej odsunęli się na krańce kontuaru, żeby zrobić Slade'owi więcej miejsca, teraz ruszyli w kierunku stołów. Stoły zapewniały ochronę w przypadku, gdyby miało dojść do strzelaniny.

- Dokąd pan jedzie?

Aż za dobrze pamiętał ten głos. Najłatwiej zarobione sto dolarów. Wspomnienie wywołało ból głowy, ale nic nie zmąciło wyrazu jego twarzy, gdy stanął na wprost znienawidzonego człowieka.

- Do mnie mówisz, Sloan?

Feral był zdziwiony i podejrzliwy. - Znasz mnie?

- Pewnie. Słyszałem o tobie już dawno. Wiele lat temu. Myślałem, że już nie żyjesz. Slade doskonale grał ze swym przeciwnikiem. Ludzie pokroju Sloana cenili swą reputację, więc Sloan szybko musiał wyjaśnić swe zniknięcie ze sceny publicznej.

- Wszystko tak pięknie funkcjonowało w tym mieście, że nie mogłem się powstrzymać, by tu nie osiaść. - Feral zaczął się chełpić. - Ale wiesz, jak to jest. Czasami człowiek zyskuje tak wielką sławę, że ludzie nie zostawiają go w spokoju.

- Tak, wiem. - Slade przytaknął z powagą. - Słyszałem, że zarządzasz teraz największym obszarem w okolicy. Musi to być niezła praca.

Feral zachichotał. Oto był człowiek, który mógł docenić jego spryt. - Świetna - zważywszy, że pracuję tylko wówczas, gdy mam na to ochotę.

Slade uniósł ciemne brwi, udając zainteresowanie. - Jak to? Chcesz powiedzieć, że dostajesz pieniądze za nic?

- Pracuję dla Samuela Newcomba i założmy, że wiem o nim coś, czego by nie chciał ujawnić publicznie.

Slade cicho gwizdnał. - A więc Newcomb jest bogaty?

- Powiedzmy, że połowa miasta jest jego własnością, a jego bank jest wierzycielem drugiej połowy.

- Domyślam się, że woli cię mieć na swej liście płac, niż...

- ..zapłacić komuś, by się mnie pozbyć? - dokończył Feral, rozbawiony przypuszczeniem. - To byłoby nawet w jego stylu, ale nie zdobędzie się na to. Widzisz, zostawiłem przyjacielowi list z wyjaśnieniami. Gdyby cokolwiek mi się przytrafiło..., rozumiesz mnie, prawda?

Slade spojrzał na swój kieliszek. - Tak bogaty człowiek musi mieć wielu wrogów.

- Och, tu w okolicy jest lubiany, ale nie może ryzykować, ze względu na swoją przeszłość. Postarał się o małą armię ludzi, którzy go pilnują. I strzegą go. - Feral znów zachichotał i nachylił się do przodu, jakby powierzał jakąś tajemnicę. - Dołączył nawet do swojego testamentu specjalny warunek, że w przypadku zabójstwa z premedytacją sto tysięcy dostanie człowiek, który schwyta jego zabójcę. Wszyscy o tym wiedzą. Sprytnie, naprawdę sprytnie. Człowiek, który go zabije, nie pożyje nawet jednego dnia dłużej, to pewne. Do diabła, jedyną metodą zrobienia krzywdy temu draniowi byłoby doprowadzenie go do ruiny finansowej. Ale do tego potrzeba niezwykle bogatego i przebiegłego człowieka.

- Nie sprawiasz wrażenia, żebyś lubił swego dobroczyńcę.

Feral wzruszył ramionami. - To dlatego, że znam go zbyt dobrze i zbyt długo. Ostatnio działamy sobie na nerwy.

- Od dawna jesteś związany z Samuelem Newcombem, prawda? Czy przypadkiem nie dla niego pracowałeś w Tucson w 66?

Wyraz twarzy Ferala uległ gwałtownej zmianie. - Jak się dowiedziałeś? Tutaj nikt o tym nie wie. Kim jesteś, kolego?

- Czy dla niego pracowałeś, Sloan? - nalegał spokojnym głosem Slade.

Feral zaczął się pocić. Miałby ochotę znaleźć się teraz gdziekolwiek, byle nie tu, tak bardzo zaskoczył go ten wysoki dzieciak. Nie potrafił jednak oprzeć się chęci pochwalenia się. - Wykonałem w Tucson kilka prac dla Sama, zabiłem parę osób, które chciał usunąć. Nic wielkiego, po prostu kilku nieznanymi poszukiwaczy. - Ze skromnością wzruszył ramionami. - Ale powiedz mi teraz, skąd o tym wiesz.

- Tak się złożyło, że byłem tam wtedy - odparł Slade cichym głosem. - Sam

widziałem, jak działaś.

- Naprawdę? - ożywił się Feral. - Ale, do diabła, musiałeś być wówczas jeszcze dzieckiem.

- To prawda, ale nigdy nie zapomnę tego, czego byłem świadkiem.

Feral opacznie pojął słowa Slade'a. - Widziałeś, jak dostałem Hoggsa? Tak, niewiele brakowało. Drań otrzymał to, na co sobie zasłużył wyzywając mnie na pojedynek.

- Nie - odrzekł Slade powoli i złowroźnie. - Widziałem, jak zastrzeleś nieznanego poszukiwacza, za którego zabicie zapłacił ci Newcomb. - Sumienie Slade'a potrzebowało tego potwierdzenia.

Feral ponownie stał się ostrożny. - Tego pojedynku nie ma co wspominać. Nie było w nim żadnego ryzyka.

- Wiem.

Feral przełknął ślinę. - Nigdy nie powiedziałaś, kim jesteś.

- Nazywam się Holt, Slade Holt.

Gdy to mówił, jego słowa dotarły do pobliskiego stolika. W ciągu paru sekund wiadomość rozprzestrzeniła się, a jego imię powtarzała cała sala.

- Żartujesz ze mnie. - Feral wykrzesał z siebie na tyle odwagi, by jego głos zabrzmiał nieomal wojowniczo. - Slade Holt nigdy nie był mieszańcem.

- To prawda.

Oczy, które dotychczas wydawały się jasnozielone, teraz zaświeciły żółtym ogniem. Feralowi spocły się dłonie, a to nie było dobre. Nie można pewnie trzymać broni w spoconych rękach.

- Nie miałem zamiaru w żaden sposób pana urazić, panie Holt.

- Nie uraziłeś mnie. - Tylko drganie pojedynczego mięśnia na gładko wygolonej szczęce Slade'a świadczyło o burzy, która nim targała. - Przystępstwo popełnił pan dziewięć lat temu, zabijając nieznanego poszukiwacza. A pana błąd polegał na tym, że nie zabił pan mnie, gdy miał po temu sposobność.

Oczy Ferala rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu, ale przyszło ono zbyt późno. Poczł zbliżającą się śmierć, własną śmierć. Machinalnie sięgnął po rewolwer, ale kula uderzyła w jego pierś właśnie gdy wyciągał broń z kabury. Odrzuciło go do tyłu, aż wylądował na plecach kilka stóp dalej. Miękkie mokasyny nie wydały j żadnego dźwięku, gdy Slade podszedł i zatrzymał się przy głowie Sloana.

Sloan przyglądał się twarzy, na której nie malowały się żadne emocje, nawet triumf. Umierał, a jego zabójca przechodził nad tym do porządku dziennego.

- Ty parszywy draniu - udało się wyszeptać Feralowi. - Mam nadzieję, że teraz zapolujesz na niego. - Wypowiedane słowa nie brzmiały tak wyraźnie, jak słyszał je w swej głowie. - A wtedy będziesz trupem. Przeklęty dzieciak. Martwy, jak powinienes być... jak było w planie...

Oczy Ferala Sloana zasnuły się mgłą. Slade przez chwilę wpatrywał się w zabitego. Zakotłowało mu się w żołądku, mimo iż pragnął go zabić i nie żałował tego. Żółć

podeszła mu do gardła. Ale zachował obojętny wyraz twarzy i widzowie odnieśli wrażenie, że jest człowiekiem mordującym z zimną krwią, nieczułym na śmierć. Tu, w saloonie, legenda Slade'a Holta znalazła swoje potwierdzenie.

Slade nie myślał o tym. Przypominał sobie dwóch dziesięciolatków, rozpaczliwie uciekających jak najdalej od Tucson, z mordercą deptającym im po piętach. Widział to jeszcze raz i tym razem nie odczuł bólu. Feral Sloan postrzelił go i był przekonany, iż Slade nie żyje. Nie zadał sobie trudu, by zejść w dół skalistego wąwozu i się upewnić. Teraz wreszcie Slade przypomniał sobie wszystko. Wiedział już, jak rozpocząć poszukiwania brata.

Opuścił Newcomb, nie obejrzawszy się za siebie.

1.

Rok 1882, Nowy Jork

Nieco na północ od tętniącej życiem dzielnicy handlowej Fifth Avenue przekształcała się w spokojną dzielnicę mieszkaniową. Na trawnikach, między ładnymi lampami ulicznymi, rosły drzewa. Eleganckie rezydencje obrzeżały Fifth Avenue. Budowle z czerwono-brązowego piaskowca można było napotkać obok rezydencji o mansardowych dachach, w stylu Drugiego Cesarstwa. Neogotycki dwór sąsiadował z siedzibą w stylu włoskim, z frontonem nad oknami i balustradą zwieńczającą gzyms.

Fasada Hammond House wykończona była mieszaniną czerwonego piaskowca i białego marmuru, dom miał wysoki portyk na parterze i piął się na trzy piętra w górę. Mieszkał w nim Marcus Hammond ze swoimi dwiema córkami. Ten człowiek, który sam się dorobił i doszedł do bogactwa na długo przed narodzinami swej pierwszej córki, nie poddawał się żadnym przeciwnościom. A ponieważ niewielu odważyło się mu przeciwstawić, więc na codzień był dobroduszny i szczodry, zwłaszcza wobec córek.

Właśnie jedna z nich, starsza, szykowała się na wycieczkę z narzeczoną, którego wybrał dla niej ojciec. Sharisse Hammond nie miała nic przeciwko temu wyborowi. W dniu, kiedy Marcus Hammond zakomunikował jej, że latem wyjdzie za mąż za Joela Parringtona, tylko kiwnęła głową. Być może rok wcześniej zakwestionowałaby tę decyzję, może nawet by zaprotestowała, ale nie po powrocie z wycieczki po Europie i fatalnej przygodzie miłosnej, tak upokarzającej, że teraz z ulgą przyjęła wizję bezpiecznego małżeństwa bez miłości.

Nie miała się na co uskarżać. Z Joelem Parringtonem przyjaźniła się od dzieciństwa. Łączyły ich wspólne zainteresowania, a ponadto uważała go za niezwykle przystojnego. Ich małżeństwo powinno być udane, a jeśli będą mieli szczęście, może pokochają się później. Jednakże mówienie o tym dziś byłoby hipokryzją ze strony każdego z nich, gdyż także Joel przestrzegał nakazów swojego ojca. Ale wystarczająco lubili się nawzajem by, jak wiedziała Sharisse, zazdrościły jej przyjaciółki. To wystarczało, aby czuła się nawet jeśli nie nastawiona

entuzjastycznie, to zadowolona. Zazdrość tłumu kobiet, wiecznie próbujących nawzajem się prześcignąć, nigdy nie szkodziła. Przy jej bogactwie porównywalnym z ich fortunami i z rzadka komentowanej urodzie, narzeczony był jedyną rzeczą, której Sharisse zazdrozczono.

Jednakże myśli Sharisse nie krążyły wokół Joela. Zastanawiała się, w którym z licznych pokoi w domu znajdzie Charleya. Postanowiła, że zabierze go ze sobą wychodząc. Dotrzyma jej towarzystwa, gdy Joel popadnie w stan roztargnienia, co mu się ostatnio zdarzało.

Zostawiła swoją służącą, Jenny, aby pochowała ubrania, które przymierzała, zanim zdecydowała się na założenie żakietu z baskinką i zdobionej aksamitem spódnicy we francuskim stylu, z gładkiej, zielonej satyny łączonej z satyną o innym odcieniu zieleni w szerokie prążki. Niosła w ręku rękawiczki i kapelusz z piórami o wystającym do przodu rondzie, aby je założyć tuż przed wyjściem z domu.

Na początku zatrzymała się koło znajdującego się w końcu korytarza pokoju siostry, chcąc sprawdzić, czy nie ma tam Charleya.

Sharisse zapukała raz i nie czekając na zaproszenie otworzyła drzwi. Zaskoczyła swoją młodszą siostrę, Stephanie, która podskoczyła i szybko wepchnęła jakieś papiery do szuflady biurka. Spojrzała oskarżycielskim wzrokiem na siostrę.

- Mogłaś zapukać - ostro zwróciła uwagę.

- Pukałam - odpowiedziała spokojnie Sharisse, z błyskiem w swych ametystowych oczach. - Pisałaś listy miłosne, Stephanie? Wiesz przecież, że nie musisz ich przede mną chować.

Piękna, jasna cera Stephanie nabrała rumieńców. -Nie pisałam - powiedziała obronnym tonem. - Zresztą to nie twój interes.

Sharisse była zaskoczona. Zupełnie nie rozumiała, co się działo z młodszą siostrą. Gdy na początku tego roku Stephanie ukończyła siedemnaście lat, zmieniło się jej usposobienie. Wyglądało to tak, jakby nagle zaczęła odczuwać niczym nieuzasadnioną niechęć do wszystkich. Szczególnie Sharisse odczuwała ciężar nieprzewidzianych napadów złości, kończących się potokami łez, po których nie następowały żadne wyjaśnienia. Zrezygnowała już z prób wykrycia, co dręczy siostrę.

Zachowanie Stephanie było tym dziwniejsze, że w ciągu ostatniego roku dziewczyna dorosła, przekształcając się w zachwycającą piękność, otoczoną tłumem adoratorów gotowych na każde jej skinienie. Jej pełne piersi i szczupła talia, a do tego prześliczne jasne włosy i niebieskie oczy złożyły się na najmodniejszy typ urody. Zazdrościła jej każda kobieta, której brakowało choćby jednego z tych atrybutów łącznie z Sharisse, nie posiadającą żadnego z nich. Sharisse nic nie mogła poradzić na to, że chciała być podobna do siostry. Dobrze udawało się jej kryć rozczarowanie, chowała je pod maską pewności siebie, która wprowadzała w błąd nawet najbardziej spostrzegawczych. Niektórzy sądzą nawet, że jest wyniosła.

Kapryśnego zachowania Stephanie nawet święty by nie zniósł. Jediną osobą, której nie zaczepiała, był ojciec. Obie dziewczyny wiedziały bowiem, że w jego obecności nie mogą sobie pozwolić na wybuchy złości. Tylko ich matka, zmarła dwa lata po urodzeniu Stephanie, śmiała się przeciwstawiać Marcusowi Hammon-dowi. Zawzięcie dążyła, by dopiąć swego, toteż kłócili się często i gorąco. Kiedy ze sobą nie walczyli, kochali się z równym zapamiętaniem.

Żadna z dziewcząt nie zdawała się być podobna do rodziców. Ich ojciec sądził, że są potulne i łagodne. Obie doskonale to udawały.

- Co chcesz? - opryskliwie spytała Stephanie.

- Szukałam Charleya.

- Nie widziałam go przez cały dzień.

Sharisse już wychodziła, gdy obudziła się w niej ciekawość. - Co robiłaś, kiedy weszłam, Steph? Nigdy nie miałyśmy przed sobą sekretów!

Stephanie wyglądała, jakby się zaczynała wahać i przez moment Sharisse miała wrażenie, że siostra mięknie. Ale po chwili, patrząc w dół na swe ręce, powiedziała dziecinnym głosem: - Może pisałam list miłosny. Może mam specjalnego wielbiciela. - Podniosła wzrok i dodała wyzywającym tonem -I może wkrótce też wyjdę za mąż.

Sharisse puściła to mimo uszu, traktując jak nonsensowny przejaw złego humoru. - Chciałabym, żebyś mi powiedziała, co cię trapi, Steph. Naprawdę chciałabym ci pomóc.

Ale Stephanie zignorowała ją. - Widzę, że jesteś ubrana do wyjścia.

Sharisse westchnęła i poddała się. - Joel zaproponował mi przejażdżkę po Central Parku, jeśli dopisze pogoda.

- Och. - Wyraz bólu zabłysnął w oczach Stephanie, ale tylko na sekundę. Potem rzekła lekkim tonem: - Nie pozwól mi więc cię zatrzymywać.

- A może chciałabyś pojechać z nami? - w nagłym impulsie spytała Sharisse.

- Nie! To znaczy, nie śmiałabym przeszkadzać. A ponadto mam jeszcze list do skończenia.

- To rób co chcesz. A ja chcę znaleźć Charleya przed wyjściem z domu. Zobaczymy się wieczorem.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, twarz Stephanie wydłużyła się, a oczy wypełniły się łzami. To niesprawiedliwe, to wcale nie było sprawiedliwe. Sharisse zawsze miała wszystko. Jej życie było usłane różami. To ona odziedziczyła po matce wspaniałe miedziane włosy i jej niezwykle oczy, mogące przybierać odcień głębokiego, ciemnego fioletu lub miękkiego, zmysłowego ametystu. To ona zachowywała się ze swobodą i pewnością siebie, zawsze też była faworyzowana przez ojca. Ich guwernantki, nauczyciele, ba, nawet służący oczekiwali od niej aprobaty. Ich ciotka Sophie wołała Sharisse, gdyż ta przypominała jej drogą, utraconą siostrę. Sharisse nie była osobą modną, przy swoich pięciu stopach i siedmiu calach wzrostu oraz żywej

kolorystyce, ale to ona, modna czy nie, wyróżniała się z tłumu i robiła to po królewsku, jakby miała pełne prawo znajdować się w centrum zainteresowania.

Stephanie nigdy nie była zawistna o powodzenie Sharisse. Bardzo ją kochała. Ale teraz Sharisse miała otrzymać coś, czego Stephanie pragnęła najbardziej na świecie - Joela Parringtona. Pragnęła go do bólu. Cierpiała wiedząc, że nie może go mieć. Będzie go miała Sharisse, której, i to bolało jeszcze bardziej, zdawało się wcale na nim nie zależeć.

Musiała znosić tę gorzką świadomość. Siostra nie kochała Joela. A i on nigdy nie spojrział na Sharisse tak, jak patrzył na Stephanie, z zachwytem, który nie zawsze udawało mu się ukryć. Stephanie nie miała wątpliwości, kogo by wybrał, gdyby pozwolono mu decydować. Ale nigdy nie dano mu prawa wyboru. Także Sharisse. Gdyby tylko ich ojciec nie kontrolował wszystkich taką twardą ręką.

Gdyby Sharisse wyszła za mąż wcześniej! Gdyby nie miała niemal dwudziestu lat i pozostawiono jej więcej czasu na wybór męża. Gdyby się zakochała w kimś innym. Sharisse umiała walczyć o swoje sprawy, gdy była do tego zmuszona. Umiałaby stawić czoła ojcu i spierać się o swoje szczęście. Czyż nie walczyła by Charley mógł zostać?

Ale jaki sens miało czekanie na cud, jeśli ślub miał się odbyć za dwa miesiące? Miała złamane serce i nie było na to lekarstwa. A jeśli cierpiała tak strasznie dziś, zanim ślub stał się faktem, jak będzie się czuła potem? Po ślubie mieli się przenieść do domu przy tej samej ulicy. Jak zniesie częste spotkania z nimi, wiedząc, że oni... Nie będzie w stanie tego wytrzymać.

Stephanie wyciągnęła szufladę swojego biurka i wyjęła papiery, które wcześniej tam wepchnęła. Wyrwała kawałek z gazety New York Times, z ogłoszeniami dotyczącymi narzeczonych na zamówienie pocztowe. Skoro nie mogła mieć Joela, wyjdzie za mąż za kogoś mieszkającego daleko, gdzie już nigdy nie będzie musiała Joela oglądać. Napisała trzy listy, dwa do mężczyzn, którzy sami zamieścili swoje oferty, a jeden do agencji, zajmującej się takim pośrednictwem.

Teraz Stephanie przejrzała listy. Reklamowały jej osobę, upiększając zalety i osiągnięcia. Dlaczego kłamała? Przecież nie była taka zła. Byłaby wspaniałą żoną dla jakiegoś mężczyzny. Czemu w końcu nie wysłała choć jednego z tych listów? Pozostanie w Nowym Jorku równa się przecież zgodzie na życie ze złamanym sercem.

Stephanie znów wzięła do ręki wycinek z gazety. Było tam też ogłoszenie farmera z Arizony. Usiłowała sobie przypomnieć, czego się uczyła. Tak, Arizona leżała bardzo daleko. I farmer pasował. Może to jeden z tych bogatych właścicieli bydła, o których słyszała.

Przeczytała całą notatkę. Miała o rok mniej, niż wymagany wiek, ale mogła troszeczkę minąć się z prawdą i podać, że ma osiemnaście lat. „Musi być silna i zdrowa”. Była zdrowa, ale nigdy nie miała powodu, by sprawdzać, czy jest silna.

„Musi umieć ciężko pracować”. Tak, potrafiła, jeśli musiała, ale powinna domagać się służby, przynajmniej sześciu osób. „Proszę przysłać zdjęcie”. Acha! A więc mężczyzna chciał zobaczyć, co mu się trafia i liczył na coś lepszego niż prosta dziewczyna.

Stephanie uśmiechnęła się sama do siebie. Wyjęła czystą kartkę papieru i zaczęła pisać swój list do Lucasa Holta.

* * *

Na dole, Sharisse wkroczyła do gabinetu ojca. Ogromny portret jej matki zdobił ścianę nad biurkiem. Wiedziała, że często obracał się na swym nadmiernie wypchanym skórzanym krześle, by popatrzeć na portret. Trudno było znaleźć człowieka pograżonego w żałobie bardziej, niż Marcus Hammond, który odmawiał powtórnego ożenku utrzymując, że żadna inna kobieta nie może się równać ze zmarłą żoną. Przyjaciele już dawno zrezygnowali z wyswatania go, pozwalając mu hołubić wspomnienia.

Siedział za biurkiem, przeglądając papiery. Sharisse niewiele wiedziała o jego interesach, jedynie to, że były różnorakie: wytwórnia gumy, browar, spółka meblowa, firma importowa, dziesiątki sklepów i budynków biurowych.

Ojciec nie miał zamiaru przekazania jej steru. Nie przygotowano jej do tego. To stanowiło główny powód, dla którego sam musiał wybrać męża dla Sharisse. Pewnego dnia ten człowiek przejmie kontrolę nad wszystkim, co zbudował Marcus Hammond.

Marcus spojrzał w górę i Sharisse uśmiechnęła się. - Nie chciałam ci przeszkadzać, tato. Szukam Charleya. Nie widziałeś go przypadkiem gdzieś tutaj?

Jasne, niebieskie oczy rozbłyły pod ciemnozłotymi brwiami. - Tutaj? Wiesz, że nie jest tu mile widziany. I on też o tym wie.

- Pytałam tylko, czy go nie widziałeś, tato.

- Nie, nie widziałem. I mam nadzieję, że go więcej nie spotkam - odparł szorstko. - Trzymaj go z dala ode mnie, Rissy.

- Tak, tato. - Sharisse westchnęła. Wyszła z pokoju i skierowała się do kuchni.

Ojciec nazwał Charleya bezwartościowym naciągaczem. Podejrzanym typem z ciemnego zaułka. Ale dziś Charley znaczył dla Sharisse więcej, niż mogła przypuszczać, gdy znalazła go potłuczonego i poranionego, i a potem pielęgnowała aż do powrotu do zdrowia. Sharisse wybrała zły moment, by wkroczyć do królestwa służby. Usłyszała cichy płacz, a potem głośne zawodzenie. Gdy otworzyła drzwi do kuchni, kucharka odwróciła się do garnków. Jenny, która zeszła na dół na filiżankę herbaty, przełknęła ostatni łyk i przemknęła obok Sharisse, by pobiec z powrotem na górę. Pomocnica kucharki zaczęła obierać ziemniaki w szalonym tempie.

Dwie osoby stały przy stole, pani Etherton, gospodyni u Hammondów, i nowa posługaczka, którą Sharisse widziała wcześniej tylko raz. To właśnie ta mała istota tak głośno płakała. U jej stóp leżała potłuczona filiżanka z błękitnej kolekcji,

przywiezionej przez matkę Sharisse z jej domu we Francji. Ona i jej siostra, Sophie, tam się wychowywały. Filizanka była jedną z ośmiu, jakie Sharisse poleciła spakować, by je zabrać do swego nowego domu i móc kiedyś przekazać ten bezcenny skarb swoim dzieciom. Sharisse kochała ten komplet z zawitym niebieskim wzorem i delikatnymi złotymi zdobieniami.

Z żalem w sercu Sharisse schyliła się, by pozbierać potłuczone kawałki. Pozostałe siedem filizanek stało na blacie obok pudła do pakowania. Westchnęła. Gdyby nie postanowiła zabrać ich do swojego nowego domu, nadal znajdowałyby się w szafce w jadalni, bezpieczne i całe.

Widząc jej wyraz twarzy, nieszczęsna służąca znów zaczęła łkać. - Ja nie chciałam, panienko. To był wypadek. Przysięgam. Niech panienka nie pozwoli jej mnie wyrzucić.

Sharisse spojrzała na surową twarz pani Etherton. - Zwolniłam ją, miss Hammond - powiedziała pani Etherton. - Powinam była uczynić to wcześniej. Jeśli ta dziewczyna nie tłucze rzeczy, to myśli o niebieskich migdałach, zamiast pracować. - Jeśli ma talent do tłuczenia rzeczy, nie powinno się jej kazać pakować filizanek mojej matki - ostro rzekła Sharisse.

Twarz pani Etherton pokryła się jasną czerwiecią, a młoda służąca zaczęła szybko mówić. - Och, Molly miała pakować, panienko, ale od trzech dni źle się czuje i poprosiła mnie o pomoc, by nie mieć zbyt dużych zaległości w obowiązkach.

- Sama więc zabrałaś się za...? Proszę mi wybaczyć, pani Etherton - powiedziała Sharisse.

Gospodyni odzyskała swoje dostojeństwo i skinęła głową Sharisse.

Dziewczyna obróciła swą nieszczęśliwą twarz w kierunku gospodyni, a następnie ku Sharisse. - Proszę mi dać jeszcze jedną szansę, panienko. Przysięgam, że będę lepiej pracować. Nie mogę wrócić do Five Points. Proszę nie pozwolić jej mnie odesłać!

- Five Points? - pani Etherton nagle poczuła się znieważona. - Mówiłaś mi, że pochodzisz z farm w głębi stanu. Kłamałaś więc, prawda?

- Nie przyjęłaby mnie pani wiedząc, że pochodzę z Five Points.

Sharisse słuchała z niechęcią. Nie mogła winić biednej dziewczyny za jej wzburzenie. Nigdy nie przebywała w pobliżu Five Points, ale słyszała o tej części Manhattanu, w której znajdowały się najgorsze slumsy w mieście, z osławionym „starym Browarem”, gdzie ludzie mieszkali poupychani w rozpadających się ze starości, paskudnych budynkach. Roczny rejestr morderstw, napadów rabunkowych i innych zbrodni był zatrważający. Nikt obcy nie był bezpieczny na tych ulicach. Pomyśleć, że to biedne dziecko, nie mające więcej niż piętnaście lat, tam wyrosło i rozpaczliwie próbowało się stamtąd wyrwać.

- Niech jej pani da jeszcze jedną szansę, pani Etherton - impulsywnie powiedziała Sharisse.

Na twarzy gospodyni pojawiły się cętki. - Ale, miss...

- Każdy zasługuje na więcej, niż jedną szansę - twardym głosem odparła Sharisse. - Uważaj tylko, by na przyszłość być bardziej ostrożną.
- Och, dziękuję, panienko!
- A teraz, czy ktoś widział Charleya? - spytała Sharisse.
- W składziku, panienko - podsunęła kucharka.
- W składziku, no pewnie - rzekła Sharisse. Oczywiście, leżał tam na chłodnych kafelkach, koło zwędzonego kawałka kurczaka. Sharisse opuściła kuchnię z Charleyem, nie odezwawszy się już słowem do służby. Długowłosey kocur spoczywał bezpiecznie wtulony w ramiona swej pani.

2.

Stephanie odłożyła list, który właśnie skończyła czytać na głos. Wyzywająco spojrziała na swoją najlepszą przyjaciółkę, Trudi Baker. - Teraz już wiesz, że nie fantazjowałam mówiąc, że wychodzę za męża. Nim upłynie miesiąc, będę panią Holt. Ukryły się w sypialni Stephanie, pokoju bardzo kobiecym dzięki białym draperiom zdobiącym dwa okna, tapecie w kolorze lawendy oraz baldachimowi nad łóżkiem i nakryciom na stole w różowe i białe wzory. Kozetka, na której siedziała Trudi, obita była różowym brokatem o odcieniu niemal identycznym, jak kolor jej popołudniowej sukienki.

Obie dziewczęta były podobnego wzrostu i o zbliżonej kolorystyce, tylko Trudi miała zielone oczy. Była o pół roku starsza, co w jej mniemaniu stanowiło ogromną różnicę wieku. Miała też bardziej agresywny charakter. Obie dziewczyny uznawały, że to właśnie ona jest śmielsza i dlatego teraz miała takie kłopoty z pojęciem tego wszystkiego.

Gdyby nie zobaczyła na własne oczy biletów na dyliżans i pociąg, sądziłaby nadal, że jej najlepsza przyjaciółka stroi sobie z niej żarty.

- No i co? - spytała Stephanie.

Trudi spróbowała poruszyć temat, który wydawał jej się najważniejszy. - Nie będzie przystojny, zdajesz sobie z tego sprawę. Prawdopodobnie jest tak brzydki, że nie chciała go tam żadna kobieta. I dlatego musiał szukać żony z ogłoszenia.

- Nonsens, Trudi. Mogło być dokładnie na odwrót. Nie mógł znaleźć wystarczająco ładnej dziewczyny dla siebie i tyle.

- To pobożne życzenia, Steph! Wysłałaś mu swoje zdjęcie, czemu więc nie poprosiłaś go o fotografię?

Stephanie przygryzła wargę. - Poprosiłam - przyznała. - Ale on nic nie przysłał ani nie napisał na ten temat.

- Widzisz! Jest stary i paskudny i wie, że nie miałby u ciebie żadnych szans, gdybyś zobaczyła, jak wygląda.

- Pewnie po prostu nie ma swojego zdjęcia.

- Steph, czemu nie przyznasz wprost, że naprawdę tego nie przemyślałaś?

Stephanie przybrała jeszcze bardziej upartą minę, toteż Trudi pędziła dalej. -

Dlaczego on? Na miejscu jest z tuzin mężczyzn, którzy by się rzucili na możliwość poślubienia cię, mężczyzn, których znasz, którzy nie są obcy. I nie musisz jechać tylko dlatego, że Lucas Holt przysłał bilety i oczekuje cię. Odeślij bilety. Co może wtedy zrobić?

Stephanie spojrzała żałośnie. - Nie rozumiesz, Trudi. Jedynego mężczyznę, jakiego pragnę, żeni się z moją siostrą. Muszę to zrobić. Ślub Sharisse odbędzie się w przyszłym tygodniu. Nie zamierzam tu być i tego oglądać.

- Czyli uciekasz?

Stephanie wbiła wzrok w podłogę. - Jeśli chcesz tak to ująć, dobrze, uciekam.

Trudi zmarszczyła brwi. - A czy nie ma znaczenia, że możesz być nieszczęśliwa do końca życia?

- Pogodziłam się z tym - westchnęła Stephanie.

- Czy zrobiłaś cokolwiek, by zmienić sytuację? Rozmawiałaś z ojcem? Mówiłaś siostrze? Czy ktoś poza mną o tym wie?

- Nie, nie i nie. Co by mi to dało, poza upokorzeniem? Mój ojciec nie traktuje mnie poważnie. Nadal myśli, że jestem dzieckiem. A nie zniosłabym, gdyby Sharisse się dowiedziała. Nie chcę, żeby się nade mną użalała.

- Ona jest twoją siostrą, a nie wrogiem. Kocha cię. Mogłaby ci pomóc.

- Nic nie może poradzić.

- Skąd wiesz? Ty możesz się bać powiedzieć ojcu, ale może ona nie?

- Nie ośmieliłaby się - sapnęła Stephanie. Trudi nie wiedziała, jaki naprawdę jest Marcus Hammond.

- Jest osobą obytą i nie pozwala, by rzeczy przydarzały się jej tak, jak tobie.

- Tylko udaje, że nie pozwala - Stephanie wiedziała swoje.

Trudi spróbowała innego podejścia.

- Co będzie, jeśli Sharisse odmówi poślubienia Joela? Nie wydaje się być w nim zakochana.

Stephanie kwaśno się uśmiechnęła. - Nikt nie śmie przeciwstawić się mojemu ojcu, a już na pewno ani Rissy, ani ja.

- Szczerze mówiąc, Stephanie Hammond, jesteś zdecydowana, by nawet nie próbować, prawda? - ze złością zauważyła Trudi. - Nie przyłapiasz mnie na tym, że się poddam bez walki. Zrobię wszystko, co tylko możliwe, by osiągnąć to, co chcę.

Stephanie jedynie wzruszyła ramionami.

- Wszystko, co masz do zrobienia, to powiedzieć siostrze prawdę. Przecież ona go nie kocha i tak naprawdę nie będzie z niczego rezygnowała. Sama powiedziałaś, że jej nie zależy, że traktuje swoje własne wesele jak jeszcze jedno przyjęcie tego lata. Widziałam ją z Joelem. Odnosi się do niego jak do brata. Jeśli go kocha, to bardzo dobrze to ukrywa.

- Nie, nie kocha go. Jestem pewna.

- Czemu więc nie miałyby ci pomóc?

- Przestań, Trudi. Ona nic nie może poradzić.

- Możliwe. Ale jeśli może poradzić? Jeśli spowoduje odwołanie ślubu i dostaniesz Joela? A jeśli ma się już stać najgorsze, to niech ona ucieknie. Przynajmniej wówczas ślub się nie odbędzie.

- Trudi, to wariactwo - ze złością powiedziała Stephanie, ale była to złość na siebie samą, bo chciałyby, żeby to Sharisse wyjechała. Lucas Holt był prawdopodobnie brzydki i stary, byłaby więc z nim nieszczęśliwa. Tyle narobiła zamieszania. Znowu poczuła cisnące się do oczu łzy.

- Dobrze, sądzę, że mogłabym przynajmniej powiedzieć Rissy, o swoich uczuciach - z wahaniem powiedziała Stephanie.

- Wreszcie pierwsze rozsądne zdanie, jakie dziś powiedziałaś - Trudi z ulgą uśmiechnęła się do niej.

* * *

- Dobranoc, Rissy.

- Dobranoc, Joel.

Sharisse przymknęła oczy i czekała na zwykły, powierzchowny pocałunek, mając desperacką nadzieję, że tym razem coś poczuje. Nie poczuła. Rękami, które schwyciły ją za ramiona, brakowało siły, nie było entuzjazmu w ustach, które musnęły jej wargi. Nigdy nie przytulił jej blisko do siebie i Sharisse zdała sobie sprawę, że nie wie, jak się czuje dziewczyna w męskich objęciach. Również Antoine Gautier nigdy nie tulił jej namiętnie. Pieścił jej ręce, bardzo po francusku. Ale nawet tamten dotyk warg Antoine'a na jej dłoniach wzniewał w niej więcej namiętności niż jakakolwiek pieszczota Joela.

Nie mogła winić Joela. Po upokorzeniu doznanym od Antoine'a przysięgła, że już nigdy się nie zakocha - i jej serce potraktowało poważnie to postanowienie. Tak było dobrze. Dzięki temu już nikt nie zrani jej w taki sposób. Wytłumaczyła też sobie, że nie może mieć nadziei na coś więcej niż letnie uczucie.

Westchnęła, stojąc przy drzwiach i obserwując Joela zeskakującego ze schodów i wsiadającego do powozu. Był taki przystojny. Miał prawie tak samo jasną karnację, jak ona. Zawsze nosił starannie przystrzyżone niewielkie wąsy. Jego szczupła sylwetka nie sprawiała tak przytłaczającego wrażenia, jak potężnie umięśniona postać jej ojca. Nie było też w nim arogancji, co było istotne dla Sharisse. Ojciec stanowił takie źródło butnej arogancji, że wystarczy jej na całe życie. Joel był dobroduszny, posiadał urok człowieka, który niczym się nie przejmuje. Czegóż więcej mogła chcieć?

Kogo oszukiwała? Wcale jej nie pochlebiało, że mężczyzna nawet nie potrafił udawać, iż jej pożąda. Przynajmniej Antoine udawał. Nie, nie będzie ich porównywać. Joel wcale nie był podobny do podstępного Antoine'a. To jej czegoś brakowało, to wszystko. Jej wzrost odstraszał większość mężczyzn, a jej szczupłą, chłopcęca figura powstrzymywała pozostałych. Po prostu nie była kobieca i nie miała

tego czegoś, co budzi męskie namiętności.

Och, niektórzy mężczyźni spoglądali na nią z nieukrywaną żądzą, ale strzegła się przed nimi. Byli jak Antoine, kusila ich wyłącznie myśl o pozbawieniu kobiety niewinności. Tylko tego chcieli. Chociaż z tym nie będzie mieć do czynienia, gdy zostanie już mężatką.

W przyszłym tygodniu. W przyszłym tygodniu zostanie panią Parrington. Dotąd on nie pokochał jej, ani ona jego. Ale to nie było ważne. Przecież postanowiła więcej się nie zakochać, więc nie miało to znaczenia.

3.

Ciśnienie krwi Marcusa Hammonda gwałtownie podskoczyło. Patrzył ponad biurkiem na swą starszą córkę, która po raz pierwszy nie kulila się ze strachu, widząc jego niezadowolenie. Siedziała w swoim nocnym stroju i wpatrywała się w niego. Nie mógł uwierzyć oczom. Tak bardzo przypominała mu żonę. Nie zamierzał jednak godzić się na ten bunt.

- Sharisse, idź do swojego pokoju!

Jej wielkie, ametystowe oczy stały się jeszcze bardziej okrągłe. - Chcesz powiedzieć, że nawet nie przedyskutujesz tego ze mną?

- Nie.

Uniosła brodę w geście oporu i głębiej usadowiła się na krześle. - Nie pójdę spać zanim nie ustalimy tej sprawy.

- Nie pójdziesz? Nie pójdziesz! Bóg mi świadkiem...

- Czy możesz po prostu mnie wysłuchać? - w głosie Sharisse pojawiła się błagalna nuta.

- Mam wysłuchiwać jeszcze więcej bzdur? Nie będę!

- Czy nie rozumiesz? Nie mogę poślubić Joela. Jakże bym mogła teraz, gdy wiem, że Stephanie go kocha?

- Stephanie jest jeszcze dzieckiem - wrzasnął ojciec.

- Jest za młoda, by wiedzieć cokolwiek o miłości.

- Ma siedemnaście lat, tato. Czyż mama nie miała siedemnastu lat, gdy się z nią ożeniłaś?

- Nie mieszaj do tego matki! - ostrzegł Marcus wściekłym głosem.

Sharisse wycofała się. - Gdybyś tylko posłuchał, co mówię... Nie Kocham Joela, za to Steph go kocha. Dlaczego więc to ja muszę wyjść za niego za mąż, jeśli ona pragnie to zrobić?

- Trzeba było o tym powiedzieć wówczas, gdy ustalany był wasz ślub, a nie dziś, gdy ślub już za tydzień. Byłaś całkiem chętna, by wyjść za tego chłopca nim twoja siostra wyznała ci te idiotyzmy. Teraz jest za późno, Sharisse.

- Och, mam ochotę wrzasnąć! - krzyknęła zawiedziona Sharisse, jeszcze bardziej zaskakując tym swego ojca.

- Mówisz, jakbyśmy nie byli w bliskich stosunkach z Parringtonami. Ojciec Joela

jest twoim najlepszym przyjacielem, był nim jeszcze w czasach, poprzedzających moje narodziny. Gdybyś wytłumaczył Edwardowi sytuację, na pewno by zrozumiał.

- Akurat by zrozumiał - warknął Marcus, przerażony samą myślą o zakomunikowaniu przyjacielowi o zastąpieniu jednej córki drugą w tak późnym terminie. Ależ pomysł! - Nie chcę o tym więcej słyszeć.

- Ależ ojciec...

- Więcej nie rozmawiam! - podniósł się z krzesła i wyprostował na całą swą zastraszającą wysokość. - A ty, Sharisse Hammond, nie jesteś na tyle dorosła, by nie móc ci dać batów i, na Boga, zrobię to, jeśli jeszcze raz wspomnisz o tych bzdurach! Sharisse nie odpowiedziała. Opuściła ją odwaga, więc wybiegła z pokoju. Zatrzymała się na szczycie schodów, czując łoskot swego serca. Czy kiedykolwiek tak się bała? Nie wiedziała, skąd znalazła w sobie odwagę, by opierać się ojcu. Ale sprzeciwić mu się po tej ostatniej groźbie... niemożliwe. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie łatwo rozmawiać z ojcem, ale nie przypuszczała, iż tak ostro jej odmówi. A straszenie jej laniem! Zatrzęsła się.

Sharisse odnalazła Stephanie w jej pokoju, siedzącą niespokojnie w oczekiwaniu na brzegu łóżka. - Przykro mi, Steph - tyle tylko wystarczyło powiedzieć. Młodsza dziewczyna zaczęła płakać. - Wiedziałam, że to nic nie da. Mówiłam Trudi, ale ona była taka przekonana, że coś poradzisz.

Sharisse podeszła do łóżka i starała się pocieszyć siostrę. - Proszę, Steph, nie płacz. Może, kiedy tata chwilę się zastanowi...

- Mówiłam ci, że nie zmieni zdania. - Stephanie mocniej zaczęła chlipać. - Nie powinnam była ci w ogóle mówić. Powinnam była wyjechać, tak jak to zaplanowałam.

- Wyjechać? - Sharisse nie była pewna, czy się nie przesłyszała. - Co masz na myśli?

- Nieważne - Stephanie pociągnęła nosem. - Nie musisz nigdzie wyjeżdżać, Steph.

- Nie muszę? - rzuciła Stephanie ze złością, sądząc, że Sharisse się nad nią lituje. - Dla twojej wiadomości, jest człowiek, który czeka, by się ze mną ożenić - natychmiast, w Arizonie. Mam bilety, żeby się tam dostać. Może nawet wyjdę za mąż przed tobą - dodała, nie wiedząc dobrze, ile czasu zajmie podróż do Arizony.

- Ale gdzie spotkałaś tego mężczyznę?

- Ja... właściwie wcale go nie spotkałam. Wymieniliśmy listy.

- Co?

- Nie bądź taka zaskoczona. Zawsze się tak robiło. Na Zachodzie brakuje kobiet, wiesz przecież. Jak inaczej ci dzielni mężczyźni mogliby zdobyć przyzwoite żony? Stephanie mówiła w swej obronie cokolwiek, co tylko mogło brzmieć logicznie. W rzeczywistości wiedziała taki samo mało o Dzikim Zachodzie i o korespondencyjnych żonach, jak i Sharisse. Ale nie chciała, by siostra zdała sobie z tego sprawę i by odkryła, że lęka się wyjazdu do Lucasa Holta.

- Chcesz powiedzieć, że zaplanowałaś wyjście za mąż za człowieka, którego wcale

nie znasz? I podróż przez cały kraj...? Steph, jak mogłaś nawet myśleć o czymś takim?

- A jak mogłam myśleć o pozostaniu na miejscu po twoim ślubie z Joelem? Nie mogę. Nie zostanę. Wyje jutro i nie próbuj mnie zatrzymywać.

- Przecież nie mogę pozwolić ci odjechać. Jesteś naiwna, Steph. Oczywiście, pewno byś się zgubiła nie dotarłszy nawet na dworzec kolejowy.

- Fakt, że byłaś w Europie nie oznacza jeszcze, jesteś jedyną osobą, dającą sobie radę w podróży - szorstko przerwała Stephanie. - Jeździłam do ciotki Sophie. Poradzę sobie.

- Jeździłaś do ciotki Sophie z tatą i ze mną. Nigdy nie wyjeżdżałaś sama. I... mój Boże, myśleć o ślubie z nieznanym! Nie, nie mogę ci pozwolić.

Oczy Stephanie zwięzły się ze złości. - Zmusisz mnie żebym została i była świadkiem twojego ślubu z Joelem? Będiesz aż taka okrutna?

- Steph!

- Kocham go! - słowom towarzyszył nowy potok łez. - Ja go kocham, a ty wychodzisz za niego za męża! Wiesz - dodała gorzko - tylko twoja nieobecność tutaj mogłaby zapobiec temu ślubowi w przyszłym tygodniu. Ale czy pomyślałaś, żebyś to ty wyjechała, nie ja? Oczywiście, nie pomyślałaś. Z pewnością dość szybko ustąpiłaś tacie. Nie mogę mieć do ciebie żalu o to, że nie chcesz mu się nadal sprzeciwiać i uciec stąd.

- Zagroził, że mi sprawi lanie - spokojnie powiedziała Sharisse.

- Och - w głosie Stephanie nie było już cienia pretensji.

- Poczekaj chwilę - impulsywnie rzuciła Sharisse. - Dlaczego nie mogłabym wyjechać? To by rozwiązało wszystko. Tata by zobaczył, że jestem zdecydowana nie poślubić Joela, a ja musiałabym tylko trzymać się z daleka, dopóki nie ustąpi.

- Mówisz poważnie, Rissy? - z nadzieją spytała Stephanie. - Naprawdę zrobiłabyś to dla mnie?

Sharisse zastanawiała się. Ojciec będzie wściekły. Może będzie zmuszona ukrywać się przez parę miesięcy. Ale przynajmniej nie będzie odpowiedzialna za cierpienie siostry.

- Dlaczego nie? - rzekła odważnie. - Mogę pojechać i mieszkać z ciotką Sophie.

Stephanie pokręciła głową. - To będzie pierwsze miejsce, jakie sprawdzi tata. Nie sądzisz chyba, że pozwoli ci wyjechać i nie będzie próbował cię odnaleźć?

- Ojej - skrzywiła się Sharisse. - Czekaj, daj mi chwilę pomyśleć.

- Mogłabyś wykorzystać moje bilety.

- I jechać do Arizony? To śmieszne, Steph. Nie muszę wyruszać aż tak daleko.

- Ale gdzie poza tym mogłabyś zamieszkać? Przynajmniej Lucas Holt zaopiekuje się tobą do czasu, aż dam ci znać, że możesz już wracać do domu.

- Zaopiekuje się mną? - wykrztusiła Sharisse. - Ten człowiek oczekuje żony, nie gościa. I czeka na ciebie, nie na mnie.

- Hmm, właściwie to on nie wie, o kogo się stara. Wysłałam mu co prawda zdjęcie, ale byłaś na nim ty, ja i tata, zdjęcie zrobione po twym powrocie z Europy. I ja... hm... zapomniałam mu napisać, która z nas to ja.

Skoro Sharisse postanowiła być taka dobra i wyjechać, Stephanie chciała, by siostra znalazła się jak najdalej i ojciec nie miał szans na jej odnalezienie. Arizona leżała wystarczająco daleko.

- Gdy do niego pisałam - kontynuowała - podpisywałam się jedynie S. Hammond. Sama więc widzisz, że nie zauważy różnicy, gdy pojedziesz tam zamiast mnie. I wcale nie musi wiedzieć, że nie zamierzasz wyjść za niego.

- Mam go oszukiwać?

- On nie oczekiwał, że pobierzemy się natychmiast. W swoim liście napisał, że najpierw musi mnie zaaprobować. A po pewnym czasie mogłabyś po prostu powiedzieć, że jednak coś nie wyszło i nie poślubisz go.

Sharisse była przerażona. - Nie mogłabym tak wykorzystać człowieka.

Stephanie zdecydowana była się nie poddawać. - Nie masz przecież pieniędzy, by się utrzymać, prawda?

- Mam swoją biżuterię. Na jakiś czas wystarczy.

- Chcesz ją sprzedać?

- Tylko tyle, ile będzie trzeba.

Stephanie zaczęła się już zastanawiać, jak może pozwolić siostrze na takie poświęcenie dla niej, gdy pomyślała o Joelu i przestała odczuwać wyrzuty sumienia.

- Pewnie nigdzie nie dostaniesz nawet w przybliżeniu tyle, ile te klejnoty są warte - powiedziała z namysłem Stephanie. - Naprawdę nie pojmuję, dlaczego nie możesz wykorzystać Lucasa Holta. Mówiłam ci, że ma ranczo? Dam ci jego list i ogłoszenie. Sama się przekonasz, że sprawia bardzo miłe wrażenie. Pewnie jest bogaty. Mogłabyś żyć na przyzwoitym poziomie.

- Skończ z tym, Steph. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym w ten sposób wykorzystać człowieka. Ale skorzystam z biletu kolejowego, który przysłał.

- Sharisse uśmiechnęła się, podniecona własną odwagą.

- Idziemy do mojego pokoju i zaczynamy pakowanie? Jeśli mam jechać, muszę wyjść z domu wcześniej rano, gdy tylko tata pójdzie do swojego biura. Musisz kryć moją nieobecność po południu i wieczorem. Tata nie powinien się dowiedzieć o moim wyjeździe wcześniej, niż następnego dnia rano, a wtedy będę już daleko. Będziesz musiała odwołać moje spotkania. Jutro miałam zjeść lunch z Sheilą, a przyjęcie Carol...

- Jak mam ci podziękować, Rissy? - zawołała Stephanie.

- Podziękujesz zostając panią Parrington tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Nie mam nic przeciwko chwilowemu zniknięciu, ale nie chciałabym być nieobecna dłużej - uśmiechnęła się marząco. - W końcu nie ma drugiego takiego miejsca, jak Nowy Jork. Kocham to miasto i nie znoszę tęsknić za domem.

Stephanie zaśmiała się. - Nawet nie zauważysz, kiedy będziesz z powrotem.

4.

Benjamin Whiskers stał za barem i powoli sączył kufel piwa. Oczy utkwił w Lucasie Holcie i przyglądał się, jak ten podchodzi do wahadłowych drzwi, wygląda na zewnątrz, a potem wraca, by stanąć po drugiej stronie baru. Skończył już trzecią whisky i po raz piąty wyjrzał na dwór. Ben umierał z ciekawości, czego szuka Lucas, ale nie miał odwagi go o to zapytać. Ciągle nie mógł się pogodzić z myślą, że to jest przyjazny Holt, a nie ten drugi z braci.

Ben nie byłby taki podejrzliwy wobec Luke'a Holta, gdyby nie był świadkiem, jak tamtej nocy, siedem lat temu, Slade Holt zastrzelił Ferala Sloana. Ale był tam wtedy i widział Slade'a zabijającego Ferala z zimną krwią i odchodzącego bez cienia skrupułów. Slade Holt był niebezpiecznym człowiekiem. A ten tutaj był wypisz, wymaluj jak Slade. Byli bliźniakami. To mogło budzić niepokój.

Wielu ludzi w mieście lubiło Luke'a, naprawdę czuło do niego sympatię. Nie dlatego, że lekceważyli opowieści o Sladzie, lecz dlatego, że pierwszego spotkali Lucasa, bo chociaż bracia wyglądali niezwykle podobnie, to różnili się od siebie jak noc i dzień. Lucas wyjął coś z kieszeni, krzywo na to popatrzył i włożył z powrotem. Ben widział go, powtarzającego te czynności już po raz drugi. Facet wcale przyjemnie nie wyglądał. Zwykle zamieniał kilka miłych słów, ale nie dzisiaj. Sprawiał wrażenie podnieconego i wlewał w siebie whisky jak wodę.

Pojawienie się przed dwoma laty Lucasa, zamierzającego osiedlić się w mieście wywołało pewien szok. Ludzie głowili się, czemu wybrał Newcomb, ale nikt o to nie spytał. W tych czasach już nikt nie przyjeżdżał do Newcomb, aby tu pozostać. Odkąd linia kolejowa ominęła miasto, każdy myślał raczej o wyjeździe stąd. Ale Lucas Holt przyjechał i kupił ranczo starego Johnsona, położone trzy mile za miastem. Trzymał się na uboczu i nie powodował żadnych kłopotów. Pewnie po bliższym poznaniu dawał się lubić, ale Ben nigdy nie zaprzyjaźniłby się z Lucasem. Nigdy nie byłby w stanie oddzielić go od Slade'a.

Gdy Lucas osiedlił się w Newcomb, powrócił też Slade Holt. Nieczęsto zjawiał się w mieście, ale kiedy przyjeżdżał, dostarczał ludziom tematów do rozmów. Zawsze przed przybyciem odwiedzał swego brata na ranczo. Kiedy był w mieście, ludzie nie byli sobą. Wszystko się uspokajało. Wszystkie walki odkładane były do czasu wyjazdu Slade'a.

Do diabła, nikt nawet słowa nie mógł powiedzieć o Metysie, którego Lucas zatrudnił u siebie. Któż by się ośmielił?

Każdy widział Billego Wolfa wjeżdżającego do miasta ze Sladem. Łatwo było odgadnąć, że byli przyjaciółmi. Slade przywiózł Billego Wolfa do Lucasa, gdyż Indianin uchodził za znakomitego łowcę koni, a Lucas właśnie zakładał ich hodowlę. Przy wszystkich kłopotach, jakie sprawiali ci renegaci Apacze z rezerwatu, półkrwi Indianin zostałby z pewnością wyrzucony z miasta, gdyby nie bracia Holt. Z ich

powodu nikt nawet nie popatrzył krzywo na Billego Wolfa.

Lucas znów podszedł do drzwi i kiedy tym razem wrócił z powrotem, Ben nie mógł się powstrzymać przed zapytaniem. - Czekają pan na kogoś, panie Holt? Stale wygląda pan na ulicę.

Lucas utkwiał swe zielone oczy w Whiskersie. - Mam spotkać kogoś na postoju Bensona.

- Nie spodziewa się pan chyba swojego brata, prawda?

Lucas uśmiechnął się, słysząc niespokojną nutę w głosie właściciela saloonu. - Nie, Whiskers, w najbliższym czasie nie spodziewam się brata. Dziś przyjeżdża moja przyszła żona.

- Przyszła żona? To ci dopiero! A to dopiero! - Ben był zbyt podniecony, by zachować ostrożność.

- Na pewno Sam Newcomb ucieszy się, gdy się o tym dowie.

- Tak?

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. - Ben pospiesznie zaczął się poprawiać. - Zakładam, iż wie pan, że Sam jest żonaty od niedawna i że jego żona nie może oderwać od pana oczu. Nie żeby Sam był zazdrosnym człowiekiem, ale wydaje mi się, że lubi wiedzieć, co jest jego. Będzie szalenie zadowolony, gdy dowie się, że zamierza się pan ustatkować.

Lucas nic nie odpowiedział, ale gotowało się w nim. Ben trafił w sedno. Prawdziwym powodem, dla którego Lucas czekał teraz na odebranie swej narzeczonej, była Fiona Newcomb. Nie znalazłby się w tym kłopotliwym położeniu, gdyby nie ona. Tak, spędzili ze sobą wspaniałe chwile gdy tylko osiedlił się w Newcomb, a ona była jeszcze Fioną Taylor, zarządzającą jedynym pensjonatem w mieście. Nigdy nie dał jej podstaw do myślenia, że chodzi mu o coś więcej, niż o trochę rozrywki. Tymczasem ona chciała wyjść za mąż! Gdy odmówił wszelkiej dyskusji na ten temat, obiektem jej zainteresowania stał się Samuel Newcomb.

Sam wiedział, że dostał Fionę, gdyż chciała zrobić Lucasowi na złość i ta świadomość go zżerała. Przed historią z Fioną Lucas mógł zrobić z Samuelem Newcombem co tylko chciał, na zasadach przyjaźni. Stało się tak ze względu na Slade'a. Jak na ironię, ten bogaty człowiek czuł dług wdzięczności wobec Slade'a za pozbycie się Ferala Sloana. Facet był jak cierń w jego oku.

Nim zaczął się problem z Fioną, wydarzenia toczyły się zgodnie z planem. Lucas pochodził ze wschodu kraju i miał więcej pieniędzy, niżby mogła dawać sama hodowla koni, toteż Sam doszedł do wniosku, że Lucas wie, o czym mówi, gdy ten wspominał o paru drobnych inwestycjach. Czy Sam nie chciałby w nich brać udziału? Chciał. A kiedy pojawiły się zyski, nie było trudno namówić Sama na duże inwestycje.

Jeszcze nie wykończyli Newcomba, a teraz ogołocenie go z pieniędzy nie wydawało się już tak łatwe. Z powodu Fiony przyjacielskie zainteresowanie Sama Lucasem

osłabło. Jak trafnie zauważył Billy Wolf, Sam tak długo się nie uspokoi i nie stanie się łatwowierny jak długo Fiona będzie miała ochotę na Lucasa.

Mimo to Lucas nigdy nie powinien był dać się przekonać Billemu, że musi się ożenić. Brzmiało to nawet rozsądnie, ale był wtedy po kilku kieliszkach i właściwie wszystko, co tamtej nocy mówił Billy, wyglądało sensownie.

- Newcomb będzie cię pilnował dopóki będzie wiedział, że ona nadal ma na ciebie ochotę i istnieje szansa, że mu ją zabierzesz. Ale jeśli się z kimś zwiążesz uzna, że się ustatkowałeś. Przystanie się martwić. Jeśli zaś nic nie zmienisz i Sam będzie cię obserwował tak, jak cię teraz obserwuje, wkrótce zaczniesz się zastanawiać, dlaczego dostajesz tyle listów ze Wschodu. I gdy kiedykolwiek przyjdzie mu do głowy sprawdzenie twojej działalności, to będzie koniec. Musisz natychmiast odwrócić od siebie jego zainteresowanie, a ślub jest najlepszym sposobem.

Nie chciał żony. Cóż z tego, że patrząc na Billego i jego żonę, Willow, będących razem, odczuwał czasami tęsknotę za własną kobietą? To dlatego, że życie na ranczo było takie samotne. Nie był przyzwyczajony do długiego przebywania w jednym miejscu, na dodatek tak odizolowanym. Był za to przyzwyczajony, by mieć kobiety na każde życzenie. Kiedy to się wreszcie skończy, chciałby znów gdzieś wyruszyć, lecz jak by mógł, gdyby miał żonę?

Toteż Lucas zabezpieczył się. Zamiast rozglądać się wokół w poszukiwaniu kobiety, która by zdawała sobie sprawę z tego, na co się decyduje, napisał do swojego prawnika z poleceniem zamieszczenia w gazetach na Wschodzie ogłoszenia matrymonialnego. Miał nadzieję, że dziewczyna ze Wschodu przerazi się, gdy zobaczy, z jakim życiem przyjdzie jej się zmierzyć. Chciał, by nastawała na odesłanie jej z powrotem - z chęcią to robi, tylko w odpowiednim momencie. W tym tkwił cały problem. Musi zatrzymać dziewczynę tak długo, dopóki nie skończy tego, co zaczął.

Fakt, że ksiądz pojawiał się w mieście mniej więcej raz w miesiącu, z pewnością ułatwi zadanie. Tak długo, jak długo Samuel Newcomb będzie przekonany o jego planach matrymonialnych, Lucas nie będzie miał problemów.

Nie powiedział Billemu, że nie zamierza poślubić dziewczyny. Obecność Billego i Willow, a także starego Maca zapewniała dziewczynie przyzwoitą opiekę i eliminowała wszelkie komentarze na temat jej mieszkania z Lucasem na ranczo jeszcze przed stawieniem się przed obliczem księdza. Może jej się to nie spodobać, ale przecież, doszedł do wniosku Lucas, ktoś tak zdesperowany, gotowy związać swe życie z kompletnie obcym człowiekiem, nie może wymagać zbyt wiele. A ponadto, zamierzał dobrze jej zapłacić za poniesione trudy i stracony czas. Miał zamiar spowodować, by wyjazd był jej własnym pomysłem i nikt nie poczuł się zraniony jego podstępem.

Po raz kolejny wyjął z kieszeni fotografię. Gdyby tylko uświadomił sobie, jak często to ostatnio czynił, byłby wściekły na siebie. Jego wzrok prześlizgnął się po

planowanej „narzeczonej” i zatrzymał przy drugiej dziewczynie na zdjęciu. Pozowała isticie po królewsku, z ramionami odchylonymi do tyłu i drobnymi piersiami podanymi ku przodowi. Jej wzrost podkreślał jeszcze jej królewski wygląd, a rysy twarzy cechowała duma. Była szczupła jak trzcina, jednak było w jej postaci coś, co go intrygowało od momentu, gdy po raz pierwszy spojrział na zdjęcie. Lucas był już zdecydowany na dziewczynę z Filadelfii, gdy nadszedł list z fotografią od panny Hammond. Wiedział od razu, że właśnie takiej szukał. Zdecydowało ubranie, jakość ubrania, jakie miały na sobie trzy osoby na zdjęciu. To ubranie świadczyło o zamożności, a Lucas wiedział z doświadczenia, że rozpieszczone, bogate dziewczęta nie miały pojęcia o ciężkiej pracy. I dlatego bogata panna zniechęci się do życia, jakie jej zaproponuje. Wcale nie był rozczarowany, że dziewczyna okazała się najładniejsza ze wszystkich, których kandydatury rozważał. Nie mógł przestać zastanawiać się, czemu osoba tak urocza, jak panna Hammond, zgłosiła się jako kandydatka na żonę.

Nie miał nic przeciwko towarzystwu ładnej buzi przez jakiś czas. Ale nie miał zamiaru jej wykorzystać, jak piękna by nie była. Jeśli przyjedzie tu jako dziewczica, taka sama powróci na Wschód. A nawet gdy nią nie będzie, to i tak nie chciałby w jakikolwiek sposób wiązać się z nią, aby nie uroiła sobie, że jest moralnie zobowiązana by go zaakceptować.

Lucas zauważył, że znów wpatruje się w zdjęcie, więc szybko je odłożył, zły na siebie. Jeszcze raz podszedł do drzwi, ale nadal nie było nawet śladu dyliżansu. Zaczął się zastanawiać, co taka wychowana w dużym mieście panna Hammond sądzi o Arizonie, gdzie można się upiec na słońcu, gdzie można podróżować tygodniami, nie napotykając żywej duszy. Uśmiechnął się. Ta podróż zapewne już zdecydowała o jej powrocie. Pora roku mu sprzyjała, był bowiem środek lata. Niewątpliwie biedna dziewczyna zdążyła już z pół tuzina razy zemdleć z gorąca. Nie, bogatej, szlachetnie urodzonej pannie z Nowego Jorku z całą pewnością nie spodoba się tutaj.

5.

Sharisse pomachała chusteczką w powietrzu, mając złudną nadzieję, że mokry materiał nieco się wychłodzi, nim znów przyłoży go do czoła. Z przerażeniem myślała o konieczności wycierania się kawałkiem płótna, przesiąkniętym już potem, ale nie było na to rady. Bielizna lepiała się do niej, podobnie jak bluzka z długimi rękawami, a także włosy na czole i skroniach, wymykające się ze ściśle zwiniętego na szyi koka.

Przestała już przejmować się swoim wyglądem. I tak zamierzała go nieco stonować, by uniknąć zaczepek w pociągu; przed opuszczeniem domu pożyczyła nawet parę rękawiczek od jednej ze służących. Dawno już się podarły i zostały wyrzucone, co nie miało specjalnego znaczenia, gdyż i tak wyglądała najgorzej, jak tylko można. Dlaczego wszystko źle się potoczyło? Ciągle nie mogła uwierzyć, że pozostały jej jedynie dwa dolary. Wystarczą na jeden posiłek, jeśli karetką pocztowa zatrzyma się

jeszcze przed dojechaniem do Newcomb. W podróży jadła okropne rzeczy i schudła, a nie powinna była sobie na to pozwolić. Lucas Holt tylko rzucił na nią okiem i z miejsca każe jej wracać.

Nie przewidywała, że znajdzie się w tym paskudnym, gorącym miejscu. Zakładała, że w towarzystwie Charleya będzie wygodnie mieszkać w jakimś ustronnym, niewielkim miasteczku na środkowym zachodzie. Biedny Charley. Z powodu swej długiej sierści cierpiał jeszcze bardziej niż ona, tracił futro całymi garściami, zobojeśniał, ziajał bez przerwy. Skąd mogła przypuszczać, że będzie tu upał nie do wytrzymania? To był kraj, o którym nic nie wiedziała. A zresztą, nawet gdyby wiedziała, to i tak nie mogłaby wyjechać bez Charleya.

Nadal nie była w stanie uwierzyć, że Stephanie tak ją urządziła. To dla Stephanie Sharisse wzięła na siebie całe ryzyko, z gniewem ojca włącznie. Dlaczego więc siostra miałaby chcieć pogorszyć jeszcze jej sytuację? A jednak próbowała namówić Sharisse na podróż do Arizony. Wszystko okazało się jeszcze gorsze w momencie, gdy Sharisse odkryła zniknięcie swoich klejnotów. Pamiętała, że dała Stephanie do potrzymania torebkę zawierającą biżuterię, aby umieścić Charleya w podróżnym koszyku. Po opuszczeniu domu ani na chwilę nie rozstała się z torebką, w czasie krótkiej drzemki w pierwszym dniu jazdy pociągiem schowała ją nawet pod spódnicę. Zniknięcie klejnotów odkryła szukając w torebce listu od pana Holta. Dlaczego Stephanie zabrała biżuterię? Przerzątała ją myśl o tym, że znalazła się w tarapatach tak daleko od domu, bez pieniędzy na powrót. Będzie więc musiała poczekać i przekonać się, jakim człowiekiem jest Lucas Holt.

Jego list nie dawał odpowiedzi na to pytanie, choć w zastrzeżeniu, że potrzebny mu czas, aby ją przed ślubem zaakceptować, zabrzmiała niemal arogancja. Tak, gdyby miała przez jakiś czas zależeć od niego, takie zastrzeżenie działałoby na jej korzyść. Mogłaby go użyć do odwlekania terminu ślubu tak długo, jak długo byłoby to potrzebne. Powinna więc pogardliwie odnosić się do Lucasa i jego życia, żeby go zbytnio nie zaskoczył naleganiem, że to wszystko nie ma przyszłości. A sądząc po tym, co dotychczas mogła stwierdzić o Arizonie i jej twardych mieszkańcach, nie będzie musiała bardzo udawać.

Wielki dyliżans Concord chwiał się przejeżdżając przez niemal wyschnięte koryta rzeki. Tylko łaty mulistych kałuż pozostały po rzece. Jaskrawo pomalowany dyliżans mógł pomieścić dziewięciu pasażerów, ale w tej podróży było ich tylko czworo. Jedynie Sharisse jechała do Newcomb. Miejsca w karetkie podróżnej było tak dużo, że nikt nie protestował, gdy wyjęła Charleya z koszyka. Ale wszyscy wpatrywali się w niego, jakby nigdy nie widzieli domowego, rasowego kota. Zresztą, może nie widzieli. Ona zaś z pewnością nie dostrzegła żadnego kota od momentu przesiadki kolejowej w Kansas.

W dali widniały góry, porośnięte drzewami. Po pustyniach, równinach i górach, gdzie nie było nic prócz skał i kaktusów, taki widok zdumiał Sharisse do tego

stopnia, że nie zauważyła miasta, dopóki woźnica nie krzyknął: - Dojeżdżamy do Newcomb. Ludzie, godzinny postój.

Sharisse ścisnęło w dołku. Odczuła przyływ próżności, żałując nagle, że się nie przebrała na poprzednim postoju. Niestety, tego właśnie nie była w stanie zrobić, odkąd opuściła dom. Założyła bowiem nieświadomie, że zawsze będzie miała do pomocy Jenny i wyjechała z domu w bluzce, której nie mogła zdjąć samodzielnie. Sharisse opanowała się, przypominając sobie, że nie przyjechała tu wywierając korzystnego wrażenia. Równie dobrze jej wygląd mógł odzwierciedlać jej złe samopoczucie. Jednak lata dobrego wychowania skłoniły ją do założenia żakietu, kiedy tylko wsadziła Charleya do koszyka. Ostatni guzik udało jej się zapiąć w chwili, gdy dyliżans zatrzymywał się na postój.

Z tumanów kurzu wynurzył się olbrzym i podszedł, by pomóc wysiąść pasażerom z dyliżansu. Sharisse wytrzeszczyła na niego oczy, ale szybko zauważyła, że się gapi i umknęła spojrzeniem w bok. Kiedy wysiadając z dyliżansu przyjęła jego wyciągniętą do pomocy rękę, uczyniła to z roztargnieniem, zastanawiając się, który ze stojących wokół mężczyzn jest Lucasem Holtem.

- A niech mnie diabli wezmą.

Sharisse obróciła się do olbrzyma. Nie puszczał jej ręki. - Co pan powie, naprawdę? - spytała wyniośle.

Było w nim na tyle przyzwoitości, że się zmieszał. - To taki zwrot retoryczny, proszę pani.

- Wiem - odparła zimno i zdumiała się na widok jego uśmiechu.

Gdy stała na ziemi, jeszcze większe wrażenie wywarł na niej jego ogrom, ten wzrost i rozłożystość barów. Poczuli się po prostu malutka, nigdy jeszcze tak się nie czuła. Jej ojciec był wysoki, ale przy tym mężczyźnie wyglądałby jak karzeł. Czyżby znalazła się w krainie olbrzymów? Ale nie, nerwowy rzut oka dookoła ukazał jej mężczyzn, do wyglądu których była przyzwyczajona. Wyróżniał się tylko ten jeden człowiek, mężczyzna, przyglądający się jej z wyrazem twarzy zachłannego posiadacza.

Serce zaczęło jej bić nierówno. To nie mógł być Lucas Holt!?

- Pan nie jest...?

- Lucas Holt. - Uśmiechnął się szerzej, błyskając równymi, białymi zębami. - Nie muszę pytać, kim pani jest, panno Hammond.

W najśmielszych marzeniach Sharisse nie mogłaby sobie wyobrazić Lucasa Holta w ten sposób, tak bardzo męskiego, o ostrych rysach i mocnej budowie. Wyczuwała w nim spokojną arogancję, co, Boże drogi, przypominało jej ojca. Natychmiast doszła do wniosku, że z powodu tego podobieństwa do ojca nie może zaryzykować powiedzenia mu prawdy.

Usiłowała dostrzec coś pod powłoką tej surowej siły, która ją przerażała. Przynajmniej był młody, miał może dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. I

nie mogła powiedzieć, że był brzydki. W oczach niektórych kobiet mógłby nawet uchodzić za bardzo atrakcyjnego, ona jednak przyzwyczajona była do nienagannie czystych, eleganckich mężczyzn. Ten tutaj nawet nie miał na sobie marynarki. Nosił do połowy rozpiętą koszulę, pachniał koźmi i skórą. Na dodatek paradował z pistoletem na jednym biodrze. Dzikus jakiś?

Był gładko ogolony, co uwidaczniało jeszcze brązowy odcień skóry i niesforne, długie, ciemne włosy. Oczy miał niezwykle. Ich kolor skojarzył jej się z posiadanym naszyjnikiem z chryzolitów, żółtozielonych kamieni, przezrzystych i świecących. Te oczy zaś zdawały się błyszczeć jeszcze bardziej, przez kontrast z ciemną cerą.

Lucas pozwolił dziewczynie na dokładne oględziny. To była ta dziewczyna, która bardziej mu się podobała na zdjęciu. Nieco oklapnięta, lecz przydało jej to tylko realności. Do diabła, ależ świetnie wygląda! Mogło się niemal wydawać, że chciał, aby się tu zjawiała i oto była.

- Sądzę, że powinienem zająć się pani bagażem.

Sharisse obserwowała, jak wolnym krokiem podchodzi do tyłu dyliżansu i łapie kufer i walizę, rzucone z góry przez woźnicę. Uśmiechał się. Dlaczego sprawiał wrażenie tak zadowolonego? Patrzyła z przestachem. Powinien był być przerażony. Wrócił, niosąc kufer na ramieniu, z niewielką skrzynią wsuniętą pod pachę. - Powóz jest tam.

Rozejrzała się dookoła i dostrzegła hotel. - Ależ myślałam... to znaczy...

Lucas podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. - Że zostanie pani w mieście? Nie, proszę pani, zatrzyma się pani na moim ranczo, poza miastem. Ale proszę się nie bać o swoją reputację. Nie będziemy tam sami.

Przyznała sama przed sobą, że przesadą byłoby oczekiwanie, iż Lucas płacić będzie za jej pokój i wyżywienie, gdy pewnie ma ogromny dom na ranczo, z całą armią służących. Poszła za nim do powozu i poczekała, aż umieści jej kufry.

- Czy potrzebuje pani czegoś przed opuszczeniem miasta? - spytał Lucas.

Sharisse zaśmiała się wstydliwie. - Jedyna rzecz, jakiej potrzebuję, panie Holt, to długa kąpiel. Obawiam się, że nie brałam ani jednej prawdziwej kąpieli od wyjazdu z Nowego Jorku. Sądzę, że z kąpielą będę musiała poczekać, dopóki nie dotrzemy na pańskie ranczo.

- Nie korzystała pani z noclegów po drodze? Sharisse pokraśniała, ale w końcu czemu nie miała mu powiedzieć prawdy. - Nie miałam tyle pieniędzy. Wszystko, co miałam, wydałam na jedzenie.

- Ależ pani posiłki były wliczone w cenę biletu. Sharisse wciągnęła powietrze. - Co?

- Wszystko było załatwione. Cóż, wygląda na to, że pieniądze przepadły. - Przyjrzał się jej z uwagą. - Nie ma więc pani żadnych pieniędzy?

Sharisse była wściekła na siebie. Czemu nie obejrzała dokładniej biletów? Dlaczego konduktor nic nie powiedział? Czemu Lucas Holt nie wspomniał o tym w swoim liście?

Jej złość znalazła ujście w impertynenckim tonie głosu. - Czy to będzie problemem? Chyba nie spodziewał się pan posagu, prawda?

- Nie, nie spodziewałem się - odparł z uśmiechem. Świetnie, była więc kompletnie od niego uzależniona. Nie miała żadnych środków, by wyjechać, gdy tylko zechce. - Ale pani też się wcale nie spodziewałem.

- Nie rozumiem - Sharisse zmarszczyła brwi.

Lucas wydostał z kieszeni zdjęcie i wręczył jej. -W liście od pani przeczytałem, że stoi tu pani po lewej stronie.

Otworzyła szeroko oczy. A więc Stephanie skłamała, aby Sharisse przyjechała tutaj bez obaw. Czuła się upokorzona. Zamiast Stephanie, na którą czekał, dostała mu się ona.

- Widzę... widzę, że powinnam być dokładniejsza. Czasem myli mi się prawa strona z lewą. Przepraszam, panie Holt. Musi pan być okropnie rozczarowany.

- Gdybym był, jak to pani ujęła, okropnie rozczarowany, wsadziłbym panią z powrotem do dyliżansu. A poza tym, jak ma pani na imię? Nie będę przecież ciągle zwracał się do pani tak oficjalnie.

Uśmiechał się zachęcająco, głos miał głęboki i brzmiący. Spodziewała się, że będzie zdenerwowana w czasie tej pierwszej konfrontacji, ale nie aż tak.

- Sharisse - odpowiedziała mu.

- Brzmi z francuska.

- Moja matka była Francuzką.

- Myślę, że nie ma powodu, byśmy nadal byli tacy formalni. Ludzie mówią na mnie Luke.

W tym właśnie momencie ktoś zawołał: - Kogo tam masz, Luke?

Pytającym był mały, przysadzisty mężczyzna, stojący w drzwiach sklepu z artykułami kolonialnymi. W budynku znajdował się tylko ten jeden sklep. Większość budynków w Nowym Jorku mieściła dziesiątki biur i sklepów.

Ponownie zwróciła uwagę na mężczyznę, gdy Lucas przedstawiał ich sobie. Była zdumiona, kiedy dodał: - Znałem pannę Hammond przed moim przyjazdem tutaj. W końcu zgodziła się zostać moją żoną.

To już postanowione? - zaśmiał się uradowany Thomas Bilford. - Domyślam się, że należą się wam gratulacje. Czy twój brat przyjedzie na wesele?

- Nie planowałem niczego hucznego, Thomasie - powiedział Lucas. - Po prostu zaczekamy na księdza, gdy będzie przejeżdżał przez miasto.

- Ludzie będą rozczarowani.

- Nic na to nie poradzę - odparł Lucas i tym razem pojawiła się w jego głosie ostra nuta.

- Dobrze, a więc życzę miłego dnia, Luke, pani też - kupiec powiedział to niespokojnym głosem i szybko ukrył się w głębi sklepu.

Gdy wyjeżdżali z miasteczka, rozciągającego się wzdłuż jedynej drogi, Sharisse

siedziała zamyślona i cicha. Kiedy wreszcie pozostawili za sobą ostatnie zabudowania, odezwała się w końcu - Cemu powiedział pan panu Bilfordowi, że poznaliśmy się kiedyś na Wschodzie?

Lucas wzruszył ramionami. - Nikt by nie uwierzył, że jesteś narzeczoną z ogłoszenia. Oczywiście, jeśli wolisz...

- Nie! Tak będzie dobrze - zapewniła go.

Sharisse znów zamilkła i odwróciła oczy. Zmiana w wyglądzie siedzącego obok niej mężczyzny była wyraźna. Bez swego chłopięcego uśmiechu sprawiał zimne i nieprzystępne wrażenie. Wyglądało, że przeżuwa coś w myślach. Co takiego powiedziała?

- Dlaczego jesteś tutaj, Sharisse Hammond? - zadał niespodziewanie pytanie.

Spojrzała na niego. Wzrok miał utkwiony w kurzu drogi przed sobą. W porządku, przecież już wiele dni temu przewidziała, że to pytanie padnie.

- Niedawno owdowiałam, panie Holt.

To zwróciło jego uwagę, przeszył ją spojrzeniem, pod którym zbladła. Nie pomyślała o tym! Czyżby życzył sobie dziewicy? Rola ubogiej wdowy wydawała się taka doskonała, była świetnym wytłumaczeniem, dlaczego skorzystała z ogłoszeń matrymonialnych.

- Przykro mi, jeśli oczekiwał pan niewinnej panienki- miękko powiedziała Sharisse.

- Zrozumiem oczywiście, jeśli pan...

- To bez znaczenia - przerwał jej krótko.

Popatrzył znów na drogę, wściekły na samego siebie. To naprawdę nie stanowiło żadnej różnicy. Czyż nie rozważał możliwości, że może nie być dziewicą? Dlaczego więc tak się przejął?

- Czy to był mężczyzna ze zdjęcia? - zapytał po chwili Lucas.

- Czy był to...? O Boże, skądże. To był mój ojciec.

- Twój ojciec żyje?

- Tak. Ale... stosunki między nami ochłodziły. Widzi pan, ojciec nie aprobował mojego męża. A nie jest to specjalnie ustępliwy człowiek.

- Nie mogłaś więc powrócić do ojca po śmierci męża?

- Nie. Nie byłoby też problemu, gdyby mój mąż nie pozostawił mnie bez środków do życia. Oczywiście nie wyszłabym za niego wiedząc, że ma tak wielkie długi

- dodała skromnie. - Ale... - westchnęła. - Widzi pan, pochodzę z bogatej rodziny. Nie potrafiłam zapracować na swoje utrzymanie, gdy dotarło do mnie, w jak złej znalazłam się sytuacji. Gdy zobaczyłam pańskie ogłoszenie, pomyślałam, że to świetne rozwiązanie.

- Coś chyba ominęłaś.

- Nie sądzę - wpadła w panikę.

- Nie można powiedzieć, że jesteś nieładna - podkreślił.

- Jeśli więc doszłaś do wniosku, że musisz wyjść za mąż, dlaczego szukałaś tak

daleko? Musiałaś mieć bliższe propozycje.

Sharisse uśmiechnęła się, słysząc to rozumowanie. Oczywiście miała oferty małżeństwa, wiele ofert, odkąd tylko ukończyła piętnaście lat. Ale wszystkie pochodziły od mężczyzn żądnych jej fortuny, albo nie do przyjęcia z innych powodów.

- Tak, wielu mężczyzn próbowało się do mnie zbliżyć.

- I?

- Nie podobali mi się.

- A kto ci się podoba? Sharisse poruszyła się nerwowo.

- Nie lubię u mężczyzny arogancji ani surowości. Cenię wrażliwość, łagodny charakter, poczucie humoru i...

- Czy jesteś pewna, że ma to dotyczyć mężczyzny?

- Zapewniam pana, że znałam takich mężczyzn - odpowiedziała oburzona.

- Twój mąż?

- Tak.

Lucas chrząknął. - Podjęłaś wielkie ryzyko, decydując się na mnie. Co będzie, jeśli nie posiadam żadnej z tych cech?

Jęknęła w duchu. - Ani jednej? - spytała słabym głosem.

- Tego nie powiedziałem. Ale skąd mogłaś wiedzieć?

- Ja... obawiam się, że nie myślałam w ten sposób. Czułam tylko, że wszystko będzie lepsze od możliwości zamążpójścia, jakie miałam w domu. - złapała oddech. - Nie zakładałam... chciałam powiedzieć... oczywiście miałam nadzieję, że dobrze trafię.

- Jesteś rozczarowana?

- Z pewnością nie oczekuje pan, że szybko dam panu odpowiedź na to pytanie. - Czuła się coraz bardziej zmęczona tą rozmową.

Rozbawienie pojawiło się w jego głosie. - Skarbie, od pierwszego spojrzenia wiedziałaś, czy jesteś mną rozczarowana, czy też nie.

- Wygląd nie świadczy o człowieku. - Sharisse usłyszała swoją pruderyjną odpowiedź.

Przeraziło ją odkrycie, że go broni, że bezwiednie powiedziała mu komplement. Chciała przecieżyć, by odczuł jej wzgardę.

A on znowu się uśmiechał. I zauważyła że choć już jakiś czas rozmawiali ze sobą, nadal nic o nim nie wiedziała. Odważyła się zadać bezpośrednie pytanie - Nie jest pan arogancki, prawda?

- Nie chciałbym myśleć, że jestem.

Ciągnęła dalej. - Dominujący?

Zachichotał. - Ja? Obchodzić się bezwzględnie z kimś tak ślicznym, jak ty? Gdzież bym śmiał.

Dlaczego wyraźnie czuła, że się z nią drażni? Zamilkła, chwilowo się poddając.

Willow oparła się o framugę otwartych drzwi i obserwowała chmurę kurzu, widoczną w oddali. Zgodnie ze standardami białych ludzi jej jednoizbowy domek uznany by został za mały. Ale dla Willow, przyzwyczajonej do nisko sklepionego szałas, zbudowanego z chrustu i trawy, łatwego do spalenia, gdy przychodziła pora, by się przemieścić, ten domek z drewnianych bali był olbrzymi. Przywykła do życia w nim, z dala od swego plemienia i rodziny, w ciągu tych dwóch lat, odkąd przywiózł ją tutaj mąż.

Willow była jedynie w jednej czwartej Apaczem z Białych Gór. W następnej jednej czwartej była Meksykanką. Pozostałą połowę, nieokreśloną mieszankę białej rasy, zawdzięczała jakiemuś draniowi, który zgwałcił jej matkę. Wyglądała jednak zupełnie jak Apacz i była z tego bardzo dumna.

- Już jedzie, Billy - powiedziała Willow swym miękkim, melodyjnym głosem.

Billy Wolf podszedł do żony, by przyjrzeć się przybliżającemu się do rancza obłokowi kurzu. Uśmiechnął się i otoczył ją ramionami, ponad jej ciężarnym brzuchem.

- Myślisz, że ją przywiezie?

Willow zrozumiała uśmieszek Billego. Ostatnio często go widywała.

- Nadal uważasz za zabawne, że namówiłeś go na ślub?

- Myślę, że właśnie tego potrzebuje. Ma już dosyć długiego wyczekiwania na chwilę, gdy rzuci swego przeciwnika na kolana. Jeszcze jeden miesiąc, a pozwoliby przejąć sprawę Slade'owi - by załatwił to tak, jak tylko Slade potrafi. Luke potrzebował jakiejś rozrywki. Dlaczego nie miałyby to być żona?

- Ale może jej nie polubić.

- Polubić? - zachichotał Billy. - Do diabła, jeśli o mnie chodzi, może jej nawet nienawidzić, byleby tylko była zabawna.

- W tym wszystkim zupełnie nie myślisz o dziewczynie - cierpko oskarżyła go Willow.

Wcale nie wyglądał na skruszonego. - Troska o przyjaciół jest najważniejsza. Po to tu jestem. Teraz wejdźmy do środka, nim nas zobaczą. Damy z miasta zawsze dostają waporów na sam widok prawdziwego, żywego Indianina. Sama o tym wiesz.

- Znowu zachichotał. - Przed zawarciem znajomości damy jej czas do jutra rano.

Willow spojrzała krytycznie na męża. - Nie zamierzasz chyba jej przestraszyć, prawda Billy?

- Czy zrobiłbym to narzeczonej przyjaciela?

Nie, z pewnością by tego nie zrobił, powiedziała sobie z przekąsem, nie jej kochający żarty mąż.

Sharisse przymknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, że w rzeczywistości dom na ranczo nie jest właściwie mały, tylko... malowniczy? Nie udawało jej się. Budynek był prosty i solidny, nawet nie pomalowany. Chata. I ona miałyby tu mieszkać? Była tu też stodoła, dwukrotnie większa od domu, ale także nie pomalowana. Obszerna

zagroda dla koni, pod rzucającym cień, starym, wysokim drzewem puchowca znajdowała się za stodołą. Kilka koni snuło się po zagrodzie. Jakies sto stóp za zagrodą stała druga chata, jeszcze mniejsza od pierwszej.

- Wyobrażam sobie, że jesteś przyzwyczajona do bardziej okazałych siedzib - powiedział gładko Lucas, pomagając jej wysiąść z powozu.

Sharisse nie odpowiedziała. Nie były to dokładnie przeprosiny, cóż więc mogła powiedzieć? Że jej dom na Fifth Avenue był kolosalną rezydencją? Niekoniecznie musiał o tym wiedzieć.

Wyraz twarzy Sharisse i tak zdradzał te myśli i Lucas uśmiechnął się widząc, że jest wstrząśnięta. Czego się spodziewała? Prawdopodobnie czegoś podobnego do domu, który postawił Samuel Newcomb, aby dać ostentacyjny wyraz swemu bogactwu, domu składającego się z dwóch pięter wielkich pokoi i luksusowego wyposażenia. Cóż, dom Lucasa spełniał swoje zadanie, a poza tym zdarzało mu się już gorzej mieszkać. Lepiej też, ale tutaj potrzebny mu był jedynie dach nad głową. Nie zamierzał tu przecież pozostać. Och, być może powinien był nieco uporządkować dom na jej przyjazd. Ale znowu -jego uśmiech pogłębił się - dziewczyna wcale nie musi wiedzieć, że tego nie zrobił.

Przyglądał się jej ukradkiem, gdy rozglądała się dookoła, trzymając koszyk tak, jakby stanowił osłonę. Sprawiała wrażenie bardzo przestraszonej. Taki sam wygląd miała w chwili, gdy go po raz pierwszy ujrzała i od tego czasu była nerwowa jak płochliwy żreback. Czy naprawdę się go obawiała, czy też zawsze była taka roztrzęsiona? Może peszył ją jego wzrost. Odczuwała to większość kobiet. Z drugiej strony, pewnie sama się uważała za zbyt wysoką kobietę. Ale z jego punktu widzenia była w sam raz.

Lucas otworzył drzwi wejściowe i czekał, aż Sharisse zakończy swoją inspekcję. Palące promienie popołudniowego słońca padały na rozsiane wokół kaktusy, na rozciągający się jak okiem sięgnąć step i na góry.

Wyobraził sobie, że już niedługo jej jasna, kremowa skóra przybierze soczystą, złotą barwę - gdy tylko przekona ją do pracy w ogrodzie za domem i do noszenia lżejszego ubrania. Musiała się gotować w tym ciężkim, podróżnym stroju. Im szybciej go zdejmie...

Każda jego myśl wiązała się z rozbieraniem jej. - Sharisse?

Aż podskoczyła, niemal zupełnie zapomniała o jego obecności. Stał w otwartych drzwiach czekając, aby weszła do środka. Cóż znajdzie wewnątrz? Taką samą surowość?

Westchnąwszy, Sharisse wkroczyła do środka, starając się, by mijając go nawet skrajem spódnicy nie otrzeć się o jego nogi. Światło wewnątrz było przytłumione przez zasunięte zasłony, nim jednak jej oczy przywykły do panującego półmroku, drzwi zamknęły się, ona zaś została pociągnięta i przytulona mocno do twardej piersi Lucasa Holta. Pisnęła ze strachu, a może tylko próbowała, ale jego usta zdusiły

dźwięk na jej wargach.

Poczuła się jak porażona, Charley syknął i nagle stała sama, trzęsąc się i wpatrując w Lucasa szeroko otwartymi oczami. Trudno byłoby ocenić, które z nich było bardziej zaskoczone.

- Zawsze sądziłem, że tylko tak się mówi - odezwał się Lucas - ale widzę, że kobiety rzeczywiście potrafią prychać jak kotki.

- A ja sądzę, że to jednak tylko takie powiedzenie, panie Holt. To było męskie prychnięcie, prychnięcie prawdziwego kota. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, bo nie mogłam pozostawić Charleya.

Postawiła koszyk na podłodze, aby go otworzyć i wyjąć Charleya. Lucas znalazł się twarzą w twarz z niedużym, mocno zbudowanym kocurem, o najdłuższej sierści, jaką kiedykolwiek widział u kota, w złocistopomarańczowym kolorze, bardzo zbliżonym do koloru włosów dziewczyny. Kiedyś, na Wschodzie widywał dziesiątki kotów, ale nigdy nie spotkał takiego, jak ten.

W tym momencie Mack wyłonił się zza budynku.

- Co to jest, do diabła? - krzyknął. - Nie, nie pani- poprawił się szybko - ale to coś, co pani trzyma na rękach?

Sharisse utkwiała wzrok w małym mężczyźnie o policzkach pokrytych siwym zarostem i żywych, błękitnych oczach, w kapeluszu ze zwisającym brzegiem. Lucas szybko dokonał prezentacji, opisując rozliczne zajęcia Macka na ranczo. Ale Mack nie zwracał w ogóle uwagi na Sharisse. Zatrzymał wzrok na Charley'u.

- Co to jest? - powtórzył.

- Mój zwierzak, Charley.

- Trzyma pani tę dziką kreaturę jako domowe zwierzątko?

- Nie jest dziki - zapewniła go. - To jest perski kot. Widziałam całkiem sporo takich kotów w Europie. Tymczasem w Ameryce należą do rzadkości. W Anglii organizują nawet wystawy kotów, na których przedstawiciele rzadkich ras, tacy jak Charley, mogą być pokazywani publiczności.

- Jedyne koty, jakie tu mamy, to drapieżniki - zauważył Mack. - A ten mały nie gryzie? - na próbę wyciągnął rękę, by pogłaskać Charleya i otrzymał w zamian ciche burknięcie.

- Musi mu pan wybaczyć - przeprosiła Sharisse.

- Obawiam się, że nie przepada za obcymi. Jestem chyba jedyną osobą, którą naprawdę toleruje.

Mack chrząknął i odwrócił się by odejść, mrużąc:

- Lepiej nie dawać Billemu zbliżyć się do tego dziwaczego stwora. Jeszcze pomyśli, że znalazł coś nowego do wrzucenia do garnka.

Sharisse zwróciła szeroko otwarte, przerażone oczy na Lucasa. - Czy dobrze go rozumiem?

- To Mack jest dziwaczny, Sharisse - powiedział rozbawiony Lucas. - Niemal nic, co

mówi, nie może być traktowane do końca poważnie.

- Ale...

- Nie musisz się bać o swojego zwierzaka, przynajmniej jeśli chodzi o Billego. On też dla mnie pracuje. Wcale nie jest taki dziki, jak Mack chciałby, żebyś wierzyła. Czyżby drażnił się z nią? Doszła do wniosku, że musi mu zawierzyć, ale postanowiła przez jakiś czas trzymać Charleya przy sobie.

Następnie przeszła do kolejnego ważnego tematu.

- Panie Holt, jeszcze słówko o tym, co pan zrobił.

- O właściwym powitaniu mojej przyszłej żony? Sharisse stropiła się pod wpływem diabelnie czarującego uśmiechu, który zmiękczył zarys ust i nadał mu nieprzyzwoicie przystojny wygląd.

- Przerwano nam - ciągnął dalej - jeśli chciałabyś, bym kontynuował...

- Nie! To znaczy chciałam powiedzieć, że nie jesteśmy zwyczajną parą narzeczonych. To, na co można sobie pozwolić po długim okresie narzeczeństwa, nas nie dotyczy. Przecież dopiero się spotkaliśmy. - I chciałabyś najpierw lepiej mnie poznać?

- Dokładnie - ulżyło jej. Mimo wszystko nie będzie trudno dać sobie z nim radę. I tak długo, jak długo będzie to rozumiał, nie pozwoli na żadne poufałości.

- Ale w jaki sposób mam cię lepiej poznać, jeśli będziesz mnie trzymała na dystans? Skoro nie lubisz się całować, to mamy kłopot.

Jego aprobata dla niej zdawała się zależeć od jej odpowiedzi. Najeżyła się.

- Nie zwykłam pozwalać nieznanym, by mnie całowali - powiedziała surowo. - A pan nadal jest dla mnie obcy.

Lucas potrząsnął głową. - Mówisz mi, żebym się trzymał z daleka, ale gdy posłucham, skończy się na tym, że będziemy sobie obcy znacznie dłużej, niż potrzeba. I tak kilka miesięcy zajmie mi sprawdzenie, czy nadajesz się tutaj. Mam zmarnować tyle czasu, by dopiero potem przekonywać się, czy pasujemy do siebie? Sharisse była przerażona. Jego zdaniem, będzie to wyłącznie strata czasu, jeśli po szczęśliwym przejściu przez nią różnych prób okaże się, że absolutnie nic do siebie nie czują. To prawda. Ale rozwiązanie, jakie sugerował budziło odrazę. Miałaby pozwolić mu na poufałości?

Sharisse zmobilizowała całą swoją udawaną pewność siebie, - Panie Holt, rozumiem, że nasza sytuacja jest wyjątkowa i że będę musiała poczynić pewne ustępstwa. Ale naprawdę muszę prosić choćby o odrobinę czasu, by móc poczuć się swobodnie w pańskim towarzystwie. Po jakimś czasie jeden czy drugi pocałunek stanie się dopuszczalny - jeśli będzie pan nalegał. Na więcej jednak nie mogę się zgodzić przed naszym ślubem. Ale jeżeli to panu nie wystarcza...

Lucas wiedział, kiedy należy się wycofać. - Domyślam się, iż nie dasz się przekonać do niczego więcej. Twój pokój jest zaraz po lewej stronie. Już przynoszę twoje rzeczy.

Po jego wyjściu Sharisse westchnęła i rozejrzała się wokoło. Na ścianie pomieszczenia, w którym stała, po lewej stronie, znajdowało się dwoje drzwi. Izba była większa, niż sobie wyobrażała, jednak poza nią i pokojami za zamkniętymi drzwiami w domu nie było innych pomieszczeń. Przy tylnej ścianie urządzono coś w rodzaju kuchni, z piecem opalany drewnem, zlewem z ręczną pompą, jakimiś szafkami zastawionymi naczyniami kuchennymi i dużym stołem. Okno nad zlewem wychodziło na tyły domu. Po lewej stronie pieca znajdowały się drzwi. W pozostałej części pokoju, po prawej stronie, znajdował się kominek z położonym przed nim puszystym dywanem i drewniane, szare siedzisko bez poduszek. Obok, w pobliżu drzwi wejściowych, stał fotel bujany i świecznik.

Sharisse poczuła, że opadają jej ręce. Pokój był taki przygnębiający. Taki surowy. Wzdrygnęła się na myśl o tym, jaka okaże się jej sypialnia. Stała przed drzwiami i otworzyła je. Przez dwa otwarte okna z rozsuniętymi zasłonami do środka pokoju wpadało wesołe światło, a także gorące powietrze. Nie mogła dostrzec choćby jednej rzeczy, która by się jej spodobała, zresztą nawet nie próbowała, tylko szybko, by zdążyć przed powrotem Lucasa, przeniosła się do drugiej sypialni. Ten pokój, ze swoją ciemną kolorystyką i śladami zamieszkania, sprawiał bardziej dramatyczne wrażenie. Łóżko było nie posłane, a brudne ubranie przerzucone przez otwarte drzwi szafy. Inne przedmioty leżały rozsypane dookoła. Jego pokój, z wszelką pewnością. Poczowała się nieco zakłopotana, że zajrzała do środka.

Cicho zamknęła drzwi. I wtedy dotarło do niej. Były tu tylko te trzy pokoje. Żadnych pomieszczeń dla służby. To oznaczało...

- Jak ci się tu podoba? - spytał Lucas, wnosząc przez drzwi wejściowe jej bagaż.

Sharisse nie była w stanie odpowiedzieć, dręczona alarmującą myślą, że będą jedynymi ludźmi, śpiącymi w domu.

- Nie ma pan żadnej służby w domu, prawda?

- Nikogo, kto by się zajmował domem, to prawda

- obdarzył ją tym swoim ujmującym, chłopięcym uśmiechem. - Teraz wiesz, dlaczego potrzebna mi jest żona.

Znów się z nią drażnił, jednak poczuła się dotknięta.

- Czy nie byłoby prościej wynająć służącą?

- Znacznie prościej - zgodził się - ale nie mógłbym oczekiwać, że służąca będzie dzielić ze mną łóżko.

Powiedział to tak obojętnie, że Sharisse zatrzęsała się w środku. Ze strachu? Stała bez ruchu, gdy wnosił bagaże do jej pokoju.

- Będziesz chciała się rozpakować - zawołał z sypialni - i przypominam sobie, że chciałaś się wykąpać. Przygotuję ci kąpiel i jakąś przekąskę, a potem zostawię cię, żebyś mogła odpocząć. - Wrócił do pokoju i badawczo zajrzał jej w oczy swoimi żywymi, zielonymi oczami. - Niczego nie musisz się tutaj obawiać, Sharisse. Nie stanie ci się żadna krzywda tak długo, jak długo będę za ciebie odpowiedzialny.

Pozostawił ją stojącą bez ruchu i rozważającą usłyszane właśnie słowa wobec wszystkiego, co stało się tego dnia. Nie obawiać się niczego? Gdyby tylko mogła wyplatać się jakoś z tej sytuacji! Ale nie miała wyboru. Nawet napisanie listu do siostry, co zamierzała uczynić jeszcze tej nocy, przez jakiś czas niczego nie zmieni. Ugrzęzła tutaj pod fałszywym pretekstem i nie miała najmniejszego pojęcia jak z tego wybrnąć.

7.

Sharisse otworzyła oczy, oślepienie rażącym blaskiem. Zmieszana, szybko usiadła i wtedy zauważyła, że intensywne światło dociera z niewielkiego lusterka, które wczoraj postawiła na biurku. Nie przyszło jej do głowy, że lusterko będzie odbijać promienie porannego słońca prosto na poduszkę. Słońce szybko nagrzewało dom. Zarzuciwszy na siebie cienki, jedwabny szlafroczek, leżący na skraju łóżka, Sharisse podeszła do okna. Prześliczny szlafroczek, koronkowa kreacja w tonacji zielonych cytryn i bieli, pasował do bielizny nocnej podarowanej przez ciotkę w czasie pobytu we Francji. Sharisse przywiozła ten i jeszcze jeden podobny ze sobą, sądziła bowiem, że zamieszka sama w ślicznym wiejskim dworku, nie zaś w jednej chacie z mężczyzną.

Spakowanie lekkich, letnich ubrań było jedyną rozsądną rzeczą, jaką do tej pory zrobiła. Całą resztę można było uznać wręcz za klęskę - zwłaszcza pochopną decyzję o ucieczce z domu. I pomyśleć, że zrezygnowała z takiego bezpieczeństwa!

Sharisse westchnęła, patrząc, jak za oknem słońce chowa się za grube paluchy gigantycznego kaktusa, rosnącego z boku domu. Obserwować też mogła fragment zagrody dla koni i nagle spostrzegła jak nisko nad ziemią znajduje się okno. Prawie każdy mógł przechodzić obok i widzieć ją leżącą w łóżku.

Z pałającą twarzą, jednym szarpnięciem zasunęła zasłony. Obraz jednego tylko człowieka, zagląającego do środka, stanął jej przed oczami. Szybko zaciągnęła również pozostałe zasłony i cofnęła się w głąb pokoju, by usiąść na łóżku i spróbować się uspokoić. Wszystko w pokoju kazało jej myśleć o Lucasie, wielka, okrągła balia, którą wczoraj napełnił wodą, zimną już dzisiaj, taca z nakryciem. Jej oczy spoczęły na bluzce, dla ocalenia której cierpiała takie niewygody, a która teraz leżała zmięta w kącie, gdzie cisnęła ją w ataku złości. W końcu i tak musiała ją zerwać z siebie, chociaż posiadając tak ubogą garderobę nie bardzo mogła sobie na to pozwolić. Nie mogła go przecież poprosić, ani Macka, by jej pomógł. Sama z dwoma mężczyznami - to było jego wyobrażenie o przyzwoitej opiece!

Na biurku leżał list, który pisała do późnej nocy. Och, te wszystkie rzeczy, włącznie z przyborami do pisania, jakie zabrała ze sobą, myśląc o spokojnym życiu w jakiejś malowniczej mieścinie! Śmieszne. Negliże, płócienne poranne sukienki, suknie na dzień, kostium wyjściowy wraz z rękawiczkami, kapelusikiem i pasującymi doń butami. Oficjalna suknia wieczorowa. Przywiozła więcej przyborów toaletowych niż ich naprawdę potrzebowała, wachlarze, ozdoby do włosów, jedwabne pończochy,

halki, turniury, a nawet dodatkowy gorset. Wypchała swoją walizę, a mimo to znalazła się w tym nieprzyjaznym klimacie, z dala od cywilizacji, bez odpowiedniej odzieży. To doprawdy było śmieszne, a może raczej należało nad tym płakać.

I miała ochotę się popłakać, ale nie przyznała się do tego Stephanie. Godziny zajęło jej takie sformułowanie listu, by nie wpędził jej w panikę ani nie wywołał wyrzutów sumienia. Nie wspominała wcale o biżuterii, napisała tylko, że zginęła, aby wyjaśnić, dlaczego mimo wszystko wylądowała w Arizonie. W liście umieściła krótki fragment opisujący Lucasa Holta i była łaskawa w opisie. Jednak dała do zrozumienia Stephanie, że nie może bardzo długo tu pozostać. Trzeba wymyśleć coś innego i Stephanie musi się tym zająć.

Sharisse ubierała się powoli, starając się jak najbardziej odwlec nieuchronne spotkanie z Lucasem Holtem. Charley spał nadal w pustej misce, gdzie schował się w nocy. Przedsięwziął krótką wyprawę rozpoznawczą za okno, pokręcił się po pokoju dopóki nie poszła do łóżka, a potem ułożył się w chłodnej porcelanowej misce. Zastanawiała się, czy przyzwyczai się do upałów i przestanie gubić tak wiele sierści. Zastanawiała się, czy ona sama się przyzwyczai. Westchnęła i, zebrawszy siły, wyszła z pokoju.

Ulżyło jej, gdy zobaczyła, że w sąsiedniej izbie nikogo nie ma, ale szybko poczuła, że jest głodna, a na stole nie ma jedzenia i nic nie stoi na kuchni, brak nawet dzbanka z kawą. Postawiła tacę z brudnymi naczyniami obok zlewu i zaczęła rozważać poszukiwania w pokoju gospodarskim. Doszła do wniosku, że musieli jeść tam wcześniej rano i po prostu nie zdążyła na śniadanie.

Skierowała się ku bocznym drzwiom, ale nim do nich doszła, otworzyły się i wszedł Lucas. Ich spojrzenia spotkały się i zmierzyły przez chwilę. Potem jego oczy prześlizgnęły się po niej, notując strojną, beżową sukienkę z bawełnianego płócienka, z falbanami z białej koronki i szerokimi koronkowymi bordiurami zdobiącymi dół stanika, kołnierzyk, karczek i długie rękawy. Dwie brązowe, satynowe kokardy rzucały się w oczy na turniurze, a trzecia pod szyją.

- Wybierasz się gdzieś?

Sharisse była zaskoczona. - Nie jestem ubrana do wyjścia - powiedziała, tłumacząc jak dziecku - to jest zwyczajna, poranna sukienka.

Zaśmiał się. - Skarbie, to co masz na sobie jest strojniejsze niż jakakolwiek odświętna kreacja dam z Newcomb. I to nie jest wyjściowe ubranie?

Była oburzona. - Obawiam się, że nie mam nic skromniejszego niż to, jeśli nie liczyć mojego stroju podróznego.

- Który jest za gruby - stwierdził Lucas, kiwając głową.

- Widzę, że będę zmuszony kupić ci jakieś nowe ubrania.

Sharisse zaczerwieniła się. - Dam sobie radę.

- Na pewno? A prace domowe też będziesz robić w tej ozdobnej sukience?

- Porządki domowe? Jeżeli... jeżeli będę musiała- rzekła dzielnie.

- Zrobisz jak zechcesz - postanowił się z nią nie sprzeczać. - Gdzie jest śniadanie?
- Nie ma.
- To widzę - odpowiedział cierpliwie. - Kiedy więc zamierzasz zacząć je szykować?
- Ja? Ależ ja nie umiem gotować!
- Nie potrafisz? Cóż, sądzę, że będziesz musiała naprawdę szybko się tego nauczyć.
- A kto gotował dotychczas?
- Trochę ja się tym zajmowałam, trochę Mack, a czasami Willow robiło się nas żal i przygotowywała porządny posiłek.

- Willow?

- To żona Billego.

- Czyli mieszka tu jeszcze inna kobieta?

- Oczywiście. Wkrótce oczekuje dziecka i - ostrzegł poważnym głosem - ma wystarczająco dużo zajęcia przy Billym i przy sobie, więc nie myśl nawet o proszeniu jej o pomoc. Byłem samowystarczalny przez całe życie, Sharisse. Ale teraz, gdy ty tu jesteś...

W miarę jak docierało do niej znaczenie jego słów, jej oczy otwierały się coraz szerzej w panice. - Ale ja naprawdę nie umiem gotować. To znaczy, nigdy nie gotowałam. Zawsze była służba. - Zamilkła. Na jego twarzy nie pojawił się nawet cień współczucia. - Przypuszczam, że będę w stanie się nauczyć... jeśli ktoś mi pomoże.

Wydał z siebie pomruk. - Myślę, że poproszę Billego, aby przywiózł ci książkę kucharską, gdy pojedzie dzisiaj do miasta. - Westchnął nieprzyjemnie, po czym skierował się do pokoju gospodarczego.

- Przepraszam, panie Holt. - Sharisse poczuła się zmuszona, by przeprosić, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego.

- Nic nie szkodzi - rzucił przez ramię - tak długo, jak długo będziesz sprawnie wykonywać inne prace domowe i szybko się uczyć.

Podczas gdy ona zastanawiała się o jakie inne prace chodzi, on przetrząsał otoczenie, by wrócić wreszcie z pełnymi rękoma. Następna godzina została poświęcona niszczeniu wspaniałej płóciennej sukienki mąką i tłuszczem, pozostawiającymi ślady w miejscach nie osłoniętych fartuchem, który Lucas kazał jej założyć. Odebrała pierwszą lekcję gotowania i wcale jej się nie spodobało. Miała jednak okazję obserwować Lucasa, gdy na nią nie patrzył i zastanawiać się nad tym mężczyzną, pochodzącym ze Wschodu, który tak dobrze adaptował się na tej ziemi. Był na zmianę szorstki i zasadniczy, a potem w łobuzerski sposób czarujący.

Po skończonym śniadaniu Lucas znów wyszedł na dwór, a Sharisse usiadła przy stole z jeszcze jedną filiżanką najohydniejszej kawy, jaką kiedykolwiek piła w życiu, gorszej nawet niż te potworne wywary, podawane na postojach dyliżansu. Analizowała, jak w miarę jedzenia poprawiał się nastrój Lucasa. Gdy odchodził od stołu, gotów był nawet się śmiać. Tymczasem jej humor znacznie się pogorszył, gdy

Charley wskoczył na blat koło pieca, by zbadać rozsypaną mąkę, a ona nagle pojęła, że to ona powinna uprzątnąć cały ten bałagan!

- Och, wyć mi się chce! - powiedziała głośno, zanim się połapała. Jęknęła, kiedy Charley zeskokczył z blatu, pozostawiając ślady mąki na podłodze.

Wcale nie musi tego sprzątać, pomyślała buntowniczo. Niestety, musiała. Gdyby tylko wiedziała wcześniej, że nie ma tu służby i że sama będzie zmuszona pracować jak służąca!

Minęło trochę czasu, zanim ostatni talerz znalazł się na swoim miejscu i Sharisse poczuła, że może schronić się w swoim pokoju. Obróciła się w tym kierunku i wrzasnęła na widok półnagiego mężczyzny, stojącego w drzwiach w głębi pokoju. Długie, ciemne włosy opadały mu na ramiona, a rodzaj spłowiełej szarfy przepasywał czoło. Nagi tors osłonięty był częściowo krótką skórzaną kamizelką. Długie do kolan, miękkie buty bardziej okrywały mu nogi, niż kwadratowy skrawek materiału.

Trudno ocenić, kto w tym momencie był bardziej zaskoczony; Sharisse, stojąca oko w oko z dzikusiem, czy Billy, któremu po raz pierwszy w życiu odebrało mowę. Zamiast spodziewanej drobnej, małej blondynki, uciekającej z krzykiem do Luke'a, miał do czynienia, na litość boską, z Amazonką wyższą od siebie. To prawda, krzyknęła, ale nawet nie drgnęła.

Lucas usłyszał krzyk i wpadł do pokoju. - Co się...? - przyjrzał im się, próbując pojąć sytuację, po czym obdarzył Billego grymasem niezadowolenia. - Mógłbyś chociaż założyć spodnie, Billy, dopóki się do ciebie nie przyzwyczai.

Billy odprężył się nieco. - Było za gorąco - podał jako wystarczające wyjaśnienie. - A co się stało z tą złotowłosą?

- To nie była ona - krótko odpowiedział Lucas.

- Ale przecież pokazywałeś mi zdjęcie i mówiłeś...

- To była pomyłka - ostrzegawczo przystopował go Lucas. - A wracając do was, to czy zawarliście już znajomość, czy też po prostu staliście naprzeciw i gapiliście się na siebie?

Oboje byli zażenowani, Sharisse nawet podwójnie, bo przypomniała sobie o ukrywanej zamianie ról z siostrą i myślała, że Billy to dzikus, podczas gdy nie ulegało wątpliwości, iż jest przyjacielem Lucasa.

- Jestem Billy Wolf, proszę pani, bliski przyjaciel Slade'a Holta - a teraz Lucasa - rzekł z pewnym siebie uśmiechem.

- Sharisse Hammond - odpowiedziała z lekka spiętym głosem.

- Nie chciałem nikogo przestraszyć - dodał, ze względu na Lucasa. - Wszedłem, by się dowiedzieć, czy nie potrzebujecie czegoś z miasta, bo właśnie się tam wybieram.

- Mam nadzieję, że najpierw się trochę ubierzesz - mruknął Lucas.

Sharisse powiedziała głośno: - Szczerze mówiąc, mam właśnie list do wysłania, jeśli to nie będzie za duży kłopot. Zaraz go przyniosę.

Gdy tylko weszła do swojej sypialni, Billy szepnął do Lucasa: - Dlaczego nie odesłałeś jej z powrotem, gdy zobaczyłeś, jaka jest wysoka?

Lucas zaśmiał się. - Nie jest za wysoka.

Billy zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. - Taaak, domyślam się, że jej wzrost nie zrobił na tobie wrażenia. Ale, Jezu, Luke, ona jest taka chuda!

Lucas uniósł brwi. - Tak myślisz?

- Cóż, ponieważ to był mój pomysł, nie chciałbym, żebyś się nią rozczarował.

Sharisse wróciła do pokoju i wyciągnęła list do Billego. Ale Lucas wyrwał go jej z ręki, wywołując swą arogancją bladeść na jej twarzy, bowiem nawet przez głowę jej nie przeszło, że list może zostać przeczytany, zanim znajdzie się bezpiecznie w drodze.

- Trudi Baker? - głośno przeczytał Lucas, po czym spojrzał na nią pytająco.

Sharisse domyślała się, jakimi torami podążają jego myśli. Kiedy powiedziała, że nie ma nikogo w Nowym Jorku, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc, musiał dojść do wniosku, iż miała tylko ojca i siostrę.

- Trudi, panie Holt, jest przyjaciółką mojej siostry. Moja siostra, Stephanie, ma zaledwie siedemnaście lat i nadal mieszka w domu z ojcem, toteż, jak pan rozumie, nie była w stanie mi pomóc. - Czuła się coraz bardziej niezręcznie, mówiąc o tym w obecności zaciekawionego Billego. - List posyłam do domu jej najlepszej przyjaciółki, bo, no cóż, wyjaśniałam już panu, jak to jest z moim ojcem.

Reszty nie dopowiedziała, zastanawiając się, dlaczego w ogóle musiała się tłumaczyć z listu. Wstrzymała oddech, gdy ponownie spojrzał na list. Wreszcie wzruszył ramionami i wręczył list Billemu.

- Przypilnuj, by został wysłany, Billy, i nie zapomnij o książce kucharskiej, o której ci mówiłem.

Billy zasalutował listem i wyszedł dziarskim krokiem. Sharisse ciągle ostrożnie przypatrywała się Lucasowi i była zaskoczona, gdy uśmiechnął się nieśmiało. - To była chyba zbyt samowola z mojej strony, przepraszam. Obawiam się, że nie potrafiłem powściągnąć swej ciekawości. Nie spodziewałem się, że będziesz do kogoś pisać.

- Jesteśmy z siostrą bardzo sobie bliskie. - Sharisse złagodniała i zaczęła wyjaśniać. - Chociaż, ze względu na ojca, nie mogę do niej pisywać bezpośrednio, wymogła na mnie przyrzeczenie, że dam jej znać, gdy dojadę bezpiecznie.

- Czy ona wie, po co przybyłaś na zachód? - uśmiechnął się szerzej. - I czy to aprobeuje?

Z całego serca, chciała gorzko odpowiedzieć Sharisse. Ale poczuła się winna, że taka myśl mogła jej przyjść do głowy. Nie powinna winić siostry za to wszystko.

- A cóż mogła powiedzieć, panie Holt? Stephanie zna moją sytuację.

Nie kontynuował tego tematu, lecz rzekł w zamyśleniu. - Na zdjęciu wyglądała na więcej niż siedemnaście lat. Ale i ty wydawałaś mi się starsza niż osiemnastolatka.

- To dlatego, że...

Przerwała gwałtownie, w ostatniej chwili uświadamiając sobie, że musiał znać ich wiek z listów Stephanie. Jakie inne niespodzianki, wynikające z korespondencji Stephanie z tym człowiekiem, jeszcze ją czekają? Jakże by chciała zobaczyć te listy nim się fatalnie zapłacze.

- Dlatego, że? - odpowiedział Lucas.

- To z powodu mojego wzrostu - dokończyła sztywno.

- Zawsze przez to wyglądałam starzej.

- Nie lubisz swojego wzrostu, prawda?

Zatkało ją niemal. Nigdy żaden mężczyzna nie był tak niedyskretny, by choćby napomknąć o tym. Też pomyśl! Żeby ten tutaj pozwalał sobie przypuszczać... czyżby był całkiem pozbawiony manier?

- To nie dlatego, że nie lubię być wysoka - powiedziała obronnym tonem, choć zamiast tego wolałaby go złać - lecz dlatego, że mój wzrost peszy większość mężczyzn, a to może być czasami krępujące.

- Ale mnie nie peszy.

- To oczywiste - odrzekła sucho.

Zaśmiał się. Potem chwycił ją pod ramię i poprowadził w kierunku drzwi na dwór. - Co sądzisz o spacerze? Reszta twoich zajęć może poczekać.

Ach ta męska zuchwałość, pomyślała Sharisse. Nawet nie poczekał, by zobaczyć, czy zgodzi się iść z nim na spacer. I wtedy dotarło do niej, co powiedział.

- O jakich zajęciach pan wspomniał, panie Holt? - Zdecydowanie uwolniła ramię z jego uchwytu i przystanęła, zmuszając go do zatrzymania się i spojrzenia na nią.

- Ogród wymaga pielęgnacji - pielienia i tym podobnych. Trzeba poprać ubrania. Mój pokój można by uporządkować. Takie małżeńskie zajęcia, panno Hammond.

Miała ochotę wykręcić się, ale jego niski głos i użycie zarzuconej przecież wczoraj formy „panno Hammond” sprawiły, że się zawahała. Czy był zły? Życzyłaby sobie, by łatwiej to można było ocenić, ale w jego przypadku nigdy nie miała pewności.

- Nie zdawałam sobie sprawy...

- Rozumiem - powiedział łagodnie. - I wezmę to pod uwagę. Ale ostrzegałem cię w liście, że życie tutaj nie będzie łatwe.

Czy mogła mu powiedzieć, że sądziła, iż ta uwaga odnosi się do klimatu? Nigdy nie myślała, że będzie musiała pracować jak służąca, niemniej jej aktualna sytuacja tak właśnie wyglądała. I nic nie mogła na to poradzić, wyjąwszy skłonienie go do natychmiastowego odesłania jej do Nowego Jorku. Ależ to był kuszący pomysł. Poczowała wyrzuty sumienia, pomyślawszy o siostrze. Musi dać szansę Stephanie. Wolała nie przyznawać się sama przed sobą, jak bardzo obawiała się spotkania z ojcem.

Zmusiła się do uśmiechu, chociaż naprawdę miała ochotę się popłakać. - To co z tym spacerem, panie Holt?

Uśmiechnął się i powtórnie wziął ją pod rękę. Była dotkliwie świadoma jego dotyku, jego bliskości. Była tym tak bardzo pochłonięta, że nie zauważyła wcale, dokąd ją prowadzi, dopóki nie dotarli do końskiej zagrody. Cofnęła się z odrazą, a on spytał: - Co się stało?

Zerknęła na niego. - Nie lubię koni. A jeszcze bardziej nie znoszę zapachu, jaki im towarzyszy.

Roześmiał się. - Skarbie, to jest końskie ranczo. Będziesz musiała się przyzwycząić do takich zapachów.

- Nie widzę powodu - zmrużyła podejrzliwie oczy. - Chyba że spodziewa się pan, że będę sprzątać stajnię. Proszę pozwolić sobie powiedzieć...

- Poczekaj, nikt nie wspominał o czyszczeniu stajni. Ale będziesz jeździła konno.

- Nie, nie będę - zdecydowanie pokręciła głową. Jego ciemne brwi powędrowały do góry. - Chcesz mi powiedzieć, że nie jeździsz konno?

- Dokładnie to mówię.

- Będziemy więc musieli to zmienić.

Bardzo jej się nie podobał wyraz jego twarzy. Czyżby chciał jej dać lekcję? - Przywiózł mnie pan tutaj całkiem niezłym powozem. Mogę nim jeździć.

- Ale ten powozik nie jest mój. Był pożyczony, a dzisiaj Billy zabiera go do miasta. Właśnie w tym momencie wspomniany powóz wypadł z wrót stajni, wzbijając w górę tyle kurzu, że można się było zadławić. Sharisse osłoniła oczy i obserwowała Indianina, teraz ubranego w znacznie bardziej cywilizowany sposób, wyjeżdżającego z rancza w szalonym pędzie.

Lucas zauważył jej minę i poczuł się okropnie. Za szybko obarczył ją zbyt wieloma ciężarami.

- Czy zawsze wyglądasz tak ślicznie po spędzeniu całego ranka w kuchni?

Zdumiona, zwróciła się ku niemu.

- Pan sobie ze mnie żartuje, panie Holt. Musi pan wiedzieć, że dzisiejszy poranek był pierwszym, jaki kiedykolwiek spędziłam w kuchni. - Nie zamierzała podważać swoich walorów i dodać, że jej kolorystyka była za żywa, jak na prawdziwą piękność.

- Wniosek stąd, że kuchnia musi do ciebie pasować - uśmiechnął się.

Nim zdążyła odpowiedzieć, poprowadził ją wokół zagrody do wielkiego puchowca. Lekki wiaterek nie donosił już tutaj końskich zapachów, a cień drzewa był zachęcający. Znajdowała się tam ławka w sam raz dla dwóch osób, ale Lucas nie wykonał żadnego ruchu, by usiąść obok niej. Postawił tylko nogę na ławce, rękę zaś oparł na kolanie i w ten sposób pochylił się, a właściwie zawisł nad nią.

Sharisse przechyliła głowę, by na niego spojrzeć. Jego pocałunek był dla niej całkowitym zaskoczeniem. Cofnęła się, by się uwolnić, ale opuścił ręce na jej barki, była więc zmuszona pozwolić na ten pocałunek, zmuszona wpatrywać się w oczy podobne klejnotom i zastanawiać się, jakie emocje w nich dostrzega.

Już po paru sekundach zanotowała kształt i miękkość jego ust. Gdy jego ręce przesunęły się wzdłuż jej ramion aż do szyi, ogarnęło ją niewytłumaczalne, gwałtowne uczucie. Zamknęła oczy. Pod jego ustami jej wargi zaczęły się poruszać prowokująco, aż podjął wyzwanie i śmiało wsunął pomiędzy nie swój język.

Sharisse odskoczyła do tyłu, dysząc. - Panie Holt!

Nikt nigdy tak jej nie całował!

Poczuła się taka naiwna. Pomyśleć, że była tak bliska kochania się z Antoinem, a tymczasem tak mało wiedziała o całowaniu. Nawet Antoine nigdy tak jej nie pocałował.

Myśli o Antoinie obudziły drzemiącą w niej złość. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nigdy nie dawali niczego bezinteresownie. Zawsze chcieli czegoś w zamian za swe słodkie pochlebstwa. Od niej zawsze chcieli pieniędzy albo jej ciała. Teraz mogła dodać do tej listy jeszcze jedno - niewolnictwo. Lucas Holt szukał dożywotniej sługi, na dodatek z niezłym ciałem do skorzystania. Łagodniej nie można było tego sformułować.

- Sądziłam, że ostatniej nocy doszliśmy do porozumienia, panie Holt. - Woda mogłaby zamarznąć na dźwięk jej głosu.

- Zważywszy... - zrobił znaczącą przerwę, uśmiechając się przy tym łobuzersko. - Nie uważasz, że już czas, byś zaczęła zwracać się do mnie Luke?

- Nie uważam. A poza tym zawarliśmy porozumienie - upomniała go surowym głosem, wściekła, że był rozbawiony - które, zdaje się, postanowił pan ignorować.

W jego oczach zabłysła wesołość. - Nie, proszę pani. O ile sobie przypominam, życzyła pani sobie czasu, by poczuć się swobodnie w moim towarzystwie. A że przed chwilą zdawała się pani być ze mną wystarczająco swobodna, więc... - Wzruszył ramionami.

- Nie chodziło mi o jednodniową szansę.

Twarz Lucasa pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

- Nie rozumiem, po co robić takie zamieszanie. Czy cię przestraszyłem? O to chodzi?

- Nie jestem pewna.

- Cóż, przynajmniej jesteś uczciwa, muszę ci to przyznać.

Och, gdyby tylko wiedział, pomyślała niespokojnie i cała jej złość szybko się ulotniła. Obserwowała go, jak się odwraca i w kilku krokach podchodzi do płotu, ogradzającego koński wybieg. Jeden ze srokatych koni zbliżył się ku jego wyciągniętej ręce. Przyglądała się od tyłu jego szczupłej sylwetce, obcisłym jeansom i ciemnożółtej koszuli, które w kwestii jego budowy niewiele pozostawiały wyobraźni. Miał też takie długie nogi, mocno umięśnione i ładnie ukształtowane.

- Po prostu nie znam pana - powiedziała bezwiednie. Popatrzył na nią przez chwilę, a potem znów zajął się koniem. - Chcesz usłyszeć historię mojego życia? Sądzę, że to rozsądny pomysł. Może później. Teraz lepiej będzie, jeśli wrócę do pracy.

Czyżby chciał ją zbyć? Tak. Jakie to autokratyczne! Zupełnie jak jej ojciec, chociaż

bez wrzasków. Ten mężczyzna był arogancki w spokojny sposób, nie dawał przedstawień. Najgorszy rodzaj.

Sharisse wiedziała, że sama też jest zarozumiała i nie znosiła tej wady. Winiła o to ojca. Dwie aroganckie natury skazane były na prowadzenie wojny i nie było sensu tego rozważać. Byłoby tak samo jak z jej rodzicami.

Tak, gdyby szukała męża - czego oczywiście nie robiła - z pewnością nie wybrałaby Lucasa Holta. Dzięki Bogu, sytuacja nie była jeszcze aż tak rozpaczliwa.

8.

Sharisse postawiła ostatnią miskę na stole i stanęła w pewnej odległości, pocierając brwi. A więc dokonała tego, sama ugotowała pierwszy w życiu posiłek. Nie był podobny do smakołyków, jakie jadła wcześniej, ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Po powrocie z miasta Billy wręczył jej wiejską książkę kucharską, toteż mogła skonstatować, że jedzenie na prowincji różni się od posiłków miejskich. Nie rozumiała niektórych określeń w książce, więc po prostu omijała te fragmenty. Jaką szkodę mogło wyrządzić opuszczenie jednego czy dwóch drobiazgów? Przygotowała jedzenie dla trzech osób, gdyż nikt nie uprzedził jej, czy Mack będzie z nimi jadł, czy też nie.

Sharisse podeszła do otwartych drzwi, z nadzieją na chłodny powiew. Nie było go, za to oszołomił ją widok wspaniałego, płonącego czerwienią nieba. Czarne kształty znaczyły krajobraz jak mali wartownicy: walcowate kaktusy, drzewa yukki, ogromne kaktusy saguaro. Małe zwierzątko przebiegło drobnymi kroczkami. Gdzieś zawył kojot.

Sharisse musiała przyznać, że nigdy nie widziała czegoś równie pięknego jak pejzaż przed nią. W pociągu rolety były zawsze opuszczone, by mogły chronić przed popołudniowym słońcem, toteż nie zauważyła, że Zachód ma do zaoferowania takie widowiskowe zachody słońca. Jeśli nawet ta chorobliwa eskapada nie przyniesie żadnych rezultatów, to chociaż może oglądać takie rzeczy.

- Czemu mnie nie zawołałaś?

Sharisse odwróciła się zaskoczona. Lucas zamykał drzwi w głębi. Miał koszulę rozpiętą do pasa, a ręcznik owinięty wokół szyi. Jego włosy były mokre, z miękkimi, ciemnymi pasmami wijącymi się na skroniach. Wyglądał bardzo męsko, jak oszałamiający samiec. Postanowiła mieć się na baczności.

- Mam nadzieję, iż nie oczekuje pan, że będę szukała pana na posiłki - nie dało się nie zauważyć wyniosłego tonu w jej głosie.

Lucas oderwał od niej spojrzenie i podszedł do stołu. - Wystarczy krzyknąć przez okno - powiedział, lustrując jednocześnie jedzenie.

- Ja nie krzyczę, panie Holt.

- Naprawdę? - Znów skupił na niej całą uwagę. - Nawet wówczas, gdy jesteś wściekła?

- Nie wściekam się.

Zaśmiał się. - Skarbie, nie spotkałem jeszcze rudej dziewczyny, która by się nie wściekała.

Sharisse wciągnęła powietrze. - Ja nie jestem ruda!

- Nie, nie jesteś - ustąpił, podziwiając miedziane warkocze - ale prawie.

Przysunęła się, by poprzez stół zajrzeć mu prosto w twarz. - Zupełnie nie rozumiem, co mają do tego włosy. Mój ojciec powiedziałby panu, że jestem łagodna i dość potulna. Lubię myśleć, że właśnie taka jestem.

- Żadnej skazy? - Śmiech tańczył mu w oczach.

- Nie lubię się sprzeczać, jeśli o to pan pyta - odcięła się. - Niejeden raz byłem świadkiem kłótni w dzieciństwie. Jestem zadowolona, że nie odziedziczyłam wybuchowego charakteru po rodzicach.

Lucas uśmiechnął się. - Cóż, chyba miałem wystarczająco wiele kobiet o ognistych temperamentach. Posiadanie słodkiej, uległej żony będzie miłą odmianą.

Sharisse zaczerwieniła się. Dżentelmen nigdy by nie wspomniał o kobietach ze swej przeszłości.

- Proszę usiąść, panie Holt.

- Kiedy wreszcie przestaniemy być tacy sztywni, panno Hammond?

- Przepraszam, nie zrozumiałam.

- Nieważne - westchnął Lucas. - Widzę, że nakryłaś dla trzech osób. Czy będziemy mieć towarzystwo?

- Nie wiedziałam, czy Mack przyłączy się do nas, czy nie. Powiedział pan, że pan Wolf ma żonę, która dba o niego, ale nie powiedział pan, czy Mack będzie z nami jadał, czy nie.

- Mówisz o nim „Mack”, a ja nadal jestem „pan Holt”? - w jego słowach dało się słyszeć irytację. - Dlaczego tak jest?

Sharisse westchnęła. Facet był pobudliwy. Poza diabelskimi uśmiechami i wyraźnym poczuciem humoru miał jeszcze inne oblicze. Nie wiedziała, co ma o nim sądzić. Z tego, co zaobserwowała, mógł być gwałtownego usposobienia.

- Myślę... myślę, że mogę nazywać cię Lucas. - Sharisse poddała się w końcu.

- Luke byłoby jeszcze lepiej.

- Lucas brzmi stosowniej.

- Założę się, że opisując cię twój ojciec czasami używał słowa „uparta”.

Sharisse uśmiechnęła się wbrew sobie. Niekiedy mógł ją zastraszyć, miał jednak ten utrudniający ocenę i tak nęcący urok człowieka, który nic sobie z niczego nie robi. Gdyby go ubrać w garnitur i obciąć włosy, kobiety tam, skąd wyjechała, uznałyby go za rozkosznego hultaja, przystojnego nawet. Tak, całkiem przystojnego. Gdyby wczoraj nie była taka zaskoczona jego surowym wyglądem i przerażona jego wzrostem, zauważyłaby, iż pod ciemną opalenizną kryje się atrakcyjna twarz. Jednak w modzie była bladość lilii, a nie opalenizna. Będzie musiała o tym pamiętać. To nie pozwoli jej uważać go za atrakcyjnego mężczyznę.

Lucas obszedł stół, by pomóc jej zająć miejsce, a potem usiadł na krześle obok niej. - Nakryłaś dla trzech osób - zauważył - ale ta ilość jedzenia z ledwością wystarczy dla nas dwojga, i to tylko dlatego, że nie jestem zbyt głodny.

Otworzyła szeroko oczy. Spojrzała na pieczeń i sos, pół tuzina biszkoptów, ziemniaki, marchewkę i cebulkę. Zgoda, początkowy płat wołowiny skurczył się do niezbyt dużego kawałka, niemniej...

Znowu popatrzyła na Lucasa i westchnęła. Powinna była pamiętać o tych wszystkich naleśnikach, które pochłoniął tego ranka. Człowiek jego rozmiarów musi jeść ogromne porcje jedzenia, to oczywiste.

- Bardzo mi przykro - oświadczyła szczerze. - Obawiam się, że mężczyźni jakich znałam, jakby to powiedzieć, nie byli ludźmi czynu. A także nie są tacy wielcy. Po prostu nie wzięłam tego pod uwagę.

Lucas uśmiechał się do niej. - Domyślam się, że kilka tanecznych obrotów na parkiecie nie pobudza tak apetytu, jak ujeżdżenie trzech dzikich koni. Ale Mack przyrzadził nam duży lunch, więc się nie przejmuj.

Policzki Sharisse zaróżowiły się na myśl, czy przypadkiem nie zaglądał do domu w poszukiwaniu lunchu. Co robiła wczesnym popołudniem? Niewątpliwie nawet nie pomyślała o lunchu po późnym śniadaniu.

- Więc zajmowałaś się dzisiaj ujeżdżaniem koni?

Lucas skinął głową, napełniając jednocześnie swój talerz. - Dostałem zamówienie na dostarczenie dwunastu koni do Fort Lowell koło Tucson. Ułożenie ich dla kawalerii to łatwa robota. Znacznie więcej czasu zajmuje przekształcenie dzikich mustangów w konie dla pasterzy na ranczach. Sam Newcomb chce trzydzieści takich na koniec lata, a ponieważ mam już inne zamówienia, więc Billy i ja będziemy musieli wkrótce udać się w góry.

- Łapiecie konie? - Sharisse była zdumiona. - Sądziłam, że je hodujesz. Czy nie to się zwykle robi na końskich farmach?

- Osiedliłem się tu niespełna dwa lata temu, Sharisse. Nie było tu ani jednego konia. Rozpocząłem już hodowlę, sprowadziłem nawet konia pełnej krwi z Kentucky, ale założenie stada wymaga czasu. Mam już trochę źrebiąt, które pasą się na wzgórzach, ale żadne nie jest wystarczająco duże, by je sprzedać i jeszcze przez pewien czas nie będzie.

- Rozumiem. Po prostu... pasujesz tu tak dobrze, że myślałam, że mieszkasz w tych stronach dłużej.

- Można się szybko przyzwyczaić - powiedział znacząco.

- Wyobrażam sobie, iż zależy to od środowiska, z jakiego się pochodzi - wymamrotała.

- Myślisz, że moje tak bardzo różni się od twojego? - znowu się uśmiechał.

- Czekam na odpowiedź na to pytanie - odpowiedziała słodko.

Zaśmiał się. - Przecież powiedziałem „później”, prawda? Może jednak dasz mi

szansę na zjedzenie, zanim zacznę cię zanudzać opowiadaniem historii mojego życia?

- Skoro nalegasz. Może kawy?

- Poproszę.

Kiedy powróciła do stołu z dzbankiem kawy, Lucas miał pełne usta jedzenia. Zaczęła nakładać sobie na talerz. Stale zerkąta na niego ukradkiem, usiłując wybadać, co sądzi o jej pierwszych próbach kulinarnych, ale z wyrazu jego twarzy nic nie mogła odczytać.

Wzięła do ust pierwszy kęs mięsa. Było twarde i wyschnięte na kość. Zrobione przez nią biszkopty miały smak pleśni, a kiedy im się przyjrzała, dostrzegła grudki surowej mąki. Czy wszystkie wyszły takie? Marchewka też była twarda, ale dawała się jeść. Ziemniaki były papkowate, za to cebulka prawie dobra. No bo jak można zepsuć cebulę? A kawa, po czterech próbach, udała się bosko.

Spojrzała na Lucasa z rozgrzaną twarzą. - Jest okropne, prawda?

- Jadałem gorsze rzeczy - zaśmiał się.

Nie miała zamiaru się tym przejmować, nie miała.

- Widzę, że niektóre rzeczy, które opuściłam w przepisach miały większe znaczenie, niż przypuszczałam.

- Chcesz powiedzieć, że improwizowałaś? - uśmiechnął się.

- Nie, po prostu opuszczałam to, czego nie rozumiałam. Ale skąd mogłam wiedzieć, co oznacza „wyrabianie ciasta” w przypadku biszkoptów? Nigdy nie słyszałam takiego określenia. I jeszcze napisano o powolnym duszeniu pieczeni, ale bez wyjaśnienia, co to oznacza. Polecono dodać wodę, lecz nie podano, ile, doprawić do smaku, ale czym? Zresztą i tak udało mi się znaleźć jedynie sól.

- Zioła są w ogrodzie, Sharisse.

- To świetny moment, żeby mi o tym powiedzieć.

- Widzę, że mimo wszystko będę musiał poprosić Willow, by złożyła ci wizytę. Będiesz mogła ją zapytać o wszystko, czego nie rozumiesz. Ale jeszcze przed odwiedzinami Willow, jutro rano, wsyp trochę ziaren kawy do napoju, który parzysz.

- Ależ kawa jest doskonała!

- Smakuje jak ciepła woda.

- Bo przyzwyczyłaś się do tych gęstych pomyj, jakie piłeś dziś rano. Nie pojmuję, jak można pić coś takiego. Ma smak błota.

- Przywykniesz.

Innymi słowy, zawsze musiał postawić na swoim. Zachowując kamienną ciszę, zjadła tyle jedzenia, ile tylko zdołał pomieścić żołądek, potem zaś, obrażona, zabrała się za sprzątanie.

Lucas rozwalił się na krześle. Prawdę powiedziawszy, jak na pierwszą próbę, posiłek wcale nie był taki zły. Spodziewał się czegoś gorszego. Oczekiwał także, że znajdzie ją wyczerpaną i znużoną dzisiejszymi obowiązkami, które prawdopodobnie

dostarczyły jej więcej pracy, niż miała jej w całym dotychczasowym życiu, a co dopiero mówić o jednym dniu. Ale nie wyglądała na wykończoną, wyglądała świetnie, aż za dobrze.

Przebrała się i miała teraz na sobie wspaniałą kreację z oliwkowozielonego jedwabiu w ciemnozielone liście, ozdobioną orientálną koronką w kolorze ecru. Suknia miała niezbyt głęboki dekolt karo i rękawy trzy czwarte. Znalazła jeszcze jeden fartuch i miała teraz na sobie dwa, by lepiej chronić suknię.

Śledził ją wzrokiem, gdy tak przebiegała od blatu do zlewu, potem do stołu i z powrotem. Gościła w jego myślach przez cały cholerny dzień i musiał szukać sobie różnych zajęć, aby nie ulec pokusie i nie zacząć poszukiwać jej towarzystwa. Nie mógł sobie przypomnieć, by jakakolwiek inna kobieta tak opanowała jego myśli. Żadna nie wywarła na nim takiego wrażenia. Prawda była taka, że jej pragnął. Przyznawał teraz, że czuł to od chwili, gdy ujrzał ją na fotografii. Jej fizyczna obecność rozpałała go. To było chyba ponad jego siły.

Nie było żadnej innej możliwości. Jeżeli był taki rozgorączkowany po zaledwie jednym dniu jej pobytu tutaj, to nie istniał żaden sposób, by potrafił się powstrzymać przed kochaniem się z nią, nim odeśle ją do domu. Nie takie miał wcześniej plany, ale teraz nie zamierzał z tym walczyć. Gdyby jeszcze była dziewicą, musiałby zastanowić się chwilę dłużej, ale przecież nie była dziewicą.

- Czy powiedziałem ci już, że ślicznie wyglądasz w tej sukni? - usłyszał swój głos. Sharisse spojrzała na niego przez ramię. - W tej starej sukni? Dobry Boże, panie... Lucas. Wyglądam jak straszidło. Zamierzałam się przebrać w suknię wieczorową do kolacji, ale nie zdążyłam.

Lucas uśmiechnął się do siebie. Nieszczęsny mężczyzna, który ujrzy ją, gdy będzie wyglądała najlepiej! Ach te damy i ich nie kończące się zestawy ubrań, różne na każdą porę dnia! Aż dziw, że mimo swego nieustannego przebierania się znajdują jeszcze czas na jakieś inne zajęcia. Ale cóż, plan dnia dam nie przewidywał pracy. Ta jedna dama dowiadywała się właśnie o tym w przykry sposób.

Poczuł wyrzuty sumienia, że zmusza ją do tego wszystkiego. To nie dlatego, że nie mógł sobie pozwolić na służbę. Ale nie chciał uchodzić w Newcomb za bogatego nieroba - właściciela rancza. Był po prostu przybyszem ze Wschodu, który dorobiwszy się gotówki zateęsknił za spokojnym życiem, jakie oferował Zachód. Nie chciał, by ktokolwiek podejrzewał, jak zamożny jest naprawdę.

Lucas podszedł do Sharisse od tyłu i, gdy tylko poczuł jej delikatny zapach, odczuł niemal przytłaczające pragnienie, by jej dotknąć. Zamiast tego schwycił ścierkę do naczyń.

- Pomogę ci skończyć.

Ta oferta była zaskoczeniem dla niego samego. Ale przecież nie chciał jej przeciążyć, w każdym razie jeszcze nie teraz. I jej uśmiech podziękowania wart był zachodu. Kiedy się uśmiechała, była taka śliczna.

Po odłożeniu na miejsce ostatniego talerza powrócili do stołu, Sharisse z dzbankiem kawy w ręku. Lucas odmówił wypicia jeszcze więcej słabej lury i siadając do stołu sięgnął po butelkę i szklaneczkę stojące na półce.

Sharisse skrzywiła się. - Często to robisz? - spytała z wahaniem, patrząc na whisky.

- Mogę cię uczciwie zapewnić, że nie jestem pijakiem, jeśli taka myśl przyszła ci właśnie do głowy.

- Przepraszam. - Sharisse spuściła wzrok na stół, zawstydzona swoją bezczelnością. - To było impertynenckie pytanie.

- Masz prawo wiedzieć.

Ich spojrzenia znów się spotkały. - Może więc jesteś już gotowy, by mi wszystko teraz opowiedzieć?

W zamyśleniu, ze szklanką whisky w dłoni, rozparł się na krześle. - Urodziliśmy się z bratem w St. Louis. Rodzina ze strony matki należała do najznamienitszych w mieście. Matka umarła, a nasz ojciec, Jake, nie chciał mieć później do czynienia z jej rodziną. Zabrał nas tutaj, do Arizony. Przywiodło go złoto i nadzieja na zdobycie własnego majątku.

- Był poszukiwaczem złota? - Sharisse była zaskoczona, choć wiedziała, że nie powinna się dziwić. Od wczesnych lat pięćdziesiątych złoto przyciągało na zachód tysiące ludzi.

Lucas skinął głową. - Umieścił nas w pensjonacie w Tucson, a sam penetrował okoliczne góry w poszukiwaniu złota. Największy kłopot polegał na tym, że je znalazł. Ogromne złożo. To doprowadziło do jego śmierci. Stało się to w sześćdziesiątym szóstym roku.

- Chcesz powiedzieć, że go zamordowano?

- Zabito go dla jego działki - potwierdził.

- Ale czyż działka nie należała się wam, synom?

- Zgodnie z prawem tak i dlatego nas też trzeba było się pozbyć.

Nie mogła uwierzyć, że opowiada o tym wszystkim tak spokojnie. - I co zrobiliście?

- Uciekliśmy z miasta w góry. - Lucas popatrzył w dal i kontynuował. - Sloan, człowiek który zastrzelił naszego ojca, deptał nam po piętach, aby, jakby to powiedzieć, rozwiązać problem.

- Mój Boże! Co to musiał być za potwór, żeby polować na dzieci? Przecież nie mogliście mieć więcej niż jedenaście, dwanaście lat.

- Dokładnie dziesięć - powiedział ponuro. - To był wynajęty rewolwerowiec, człowiek zabijający dla pieniędzy, nie zadający pytań o powody. Na Zachodzie żyje paru przedstawicieli tego bezkrytycznego rodzaju.

- Udało wam się przed nim uciec?

- Niezupełnie. Padły strzały i mój brat zleciał w dół skalistego wąwozu. Mając Sloana tuż za sobą, nie mogłem wrócić po brata. Musiałem jechać dalej. Ale kiedy w końcu zgubiłem Sloana, sam też się zgubiłem. Kilka dni zajęło mi odnalezienie drogi

do miejsca, gdzie spadł Slade i nie było tam już po nim ani śladu. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pojechać do St. Louis w nadziei, że uczynił to samo.

- Znalazłeś go tam?

- Nigdy się tam nie pokazał. - Zaplanowała cisza. - Zatrzymałem się w St. Louis u ciotki, myśląc że Slade nie żyje. Dopiero po wielu latach wreszcie mnie odszukał.

- Czemu tak długo czekał?

- Cierpiał na pewien rodzaj amnezji. Dokładnie pamiętał większość rzeczy, ale nie przypominał sobie, że ma rodzinę w St. Louis ani tego, co się stało ze mną. Nie wiedział, czy umarłem, czy też żyję i gdzie mógłby rozpocząć poszukiwania. A poza tym był jeszcze kłopot ze Sloanem - w obawie przed spotkaniem z nim trzeba było się trzymać z dala od miast.

- Co więc zrobił?

- Rozpłynął się w dzikich ostępach. Wraz z Apaczami dzielił się górami stąd aż do granicy.

- Żartujesz - była przerażona.

- Skądże. Żył samotnie w górach przez osiem lat. Ale kiedy miał osiemnaście lat, stało się coś, co przywróciło mu pamięć i umożliwiło odnalezienie mnie.

Sharisse słuchała uważnie. - Nie mówisz o tym z radością.

Uśmiechnął się ze smutkiem. - To nie był już ten sam brat, jakiego zapamiętałem. Zawsze byliśmy bardzo do siebie podobni. Ale nie dziś. Lata, które spędził samotnie, wycisnęły na nim swoje piętno. - Wzruszył ramionami i skrzywił się. - Gdybyśmy mieli liczną rodzinę, a nie mamy jej, byłby w niej typową czarną owcą.

- Jest taki zły?

- Niektórzy tak sądzą.

Nie rozwijał szerzej tematu, a ona nie naciskała.

- A co się stało ze złotym złożem waszego ojca?

- Nigdy go nie znaleziono. Co za ironia, prawda?

- Mówisz o swoim ojcu, który został zabity na próżno? No tak! A czy człowieka, który go zastrzelił, postawiono kiedyś przed sądem?

- Sloan nie żyje. - Ostra nuta pojawiła się w jego głosie.

- Ale człowiek, który go wynajął, stale jest tu w pobliżu.

- Czy wiesz, kto to?

- Tak, ale nie mam dowodów. Nie mogę nic zrobić, jeśli nie liczyć wyzwania go na pojedynek. Ale facet nie ma wprawy w posługiwaniu się bronią, więc byłoby to zwyczajne morderstwo.

- Och - wyszeptała - musisz się czuć okropnie zawiedziony, że nic nie możesz zrobić.

- Można tak powiedzieć - odpowiedział gorzko. Zmieniła temat nim Lucas zdążył mieć dosyć jej wścibstwa.

- Dlaczego powróciłeś do Arizony?

- Przede wszystkim, zmęczyło mnie życie w mieście. Ale było jeszcze coś więcej.

Ponieważ Slade nie osiedliłby się w St. Louis, więc zdecydowałem się przenieść bliżej niego.

- Mieszka w Newcomb?

- Slade nigdy nie pozostaje zbyt długo w jednym miejscu, ale przejeżdża przez Newcomb od czasu do czasu. Widuję się z nim czasami, gdy znajdzie się w pobliżu. Przez chwilę zastanawiała się nad tymi informacjami.

- Musisz go bardzo kochać, skoro godzisz się na takie poświęcenie.

Lucas roześmiał się zachwycony jej rozumowaniem.

- Skarbie, nie traktuję tego jak poświęcenia. Przypadkiem polubiłem to miejsce.

- Przepraszam. Nie miałam zamiaru... zresztą, tak czy inaczej, cieszę się, że znalazłeś brata i znów staliście się sobie bliscy. Te lata rozłąki musiały być straszne.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że jesteśmy sobie bliscy? Zdenerwowała się widząc, że się do niej śmieje. - Cóż, ja tylko myślałam...

- Nie można zbliżyć się do Slade'a, Sharisse. Nikt tego nie potrafi, nawet Billy, który znał go w czasach, gdy żył w dziczy. Bliźniacy czy nie, nie jesteśmy już sobie tak bliscy, jak w dzieciństwie.

- Chcesz powiedzieć, że jesteście bardzo do siebie podobni?

- Dokładnie.

- Mój Boże. W szkole była para bliźniąt, które wyglądały identycznie. Nawet ubierały się tak samo i w zasadzie nie można było poznać, które jest które. Czy podobnie jest w przypadku ciebie i twojego brata?

- Hm, nie ubieramy się tak samo, ale podejrzewam, że gdybyś zdarła z nas ubranie, nie potrafiłabyś nas rozróżnić.

- Ojej - powiedziała. - Sądzę więc, że mogę być wdzięczna iż Slade tu nie mieszka. Mam za dużo nowych spraw, z którymi się muszę uporać, by jeszcze martwić się, który z was jest który.

Jego twarz przybrała niezbadany wyraz. - Och, nie myślę, byś miała jakieś kłopoty z rozróżnieniem nas. Wyglądamy podobnie, ale różnimy się jak dzień i noc.

- Nie rozumiem, jak...

- Jeśli go spotkasz, skarbie, zrozumiesz, co mam na myśli - odparł tajemniczo, kończąc temat. - Jak jeszcze mógłbym zaspokoić twą ciekawość?

- Nie w tej chwili - uśmiechnęła się z wdzięcznością. Przeciągnęła się. - Wydaje mi się, że po takim długim dniu najchętniej wzięłabym miłą, ciepłą kąpiel przed spaniem.

- Wiadra stoją tam z boku - machnął głową w kierunku zlewu.

- Ależ... - była osłupiała. - Uważasz, że mam nanieść wodę?

- Jeśli chcesz się wykąpać.

- Ale wczoraj...

- ...Zlitowałem się nad tobą, bo byłaś wyczerpana po długiej podróży. Ale nie spodziewaj się po mnie, że nadal będę ci nosił wodę. To jest kobiece zajęcie.

Opuściła ramiona opadły jej w poczuciu przegranej. - Rozumiem.

- Może będziesz chciała przenieść balię tutaj - zaproponował. - Stąd jest bliżej.

- Kąpiel nie jest już teraz tak bardzo nęcąca - powiedziała cienkim głosem.

Tylko na tyle Lucas mógł sobie pozwolić, by zachować twarz. A wyglądała tak rozpaczliwie. Niewiele brakowało, aby powtórnie ulitował się nad nią, jednak nie mógł jej rozpieszczać nawet gdyby chciał, bo pokrzyżowałyby to jego plany.

- Myślę, że zagrzeję tylko trochę wody do miski i pójdę do łóżka. - Sharisse westchnęła. - Mam zagrzać też trochę dla ciebie?

- Umyłem się w stajni. Ale doceniłbym gorącą wodę rano, gdyby udało ci się wstać wystarczająco wcześnie.

Jeszcze jeden z jej obowiązków? Szttywno skinęła głową, wstała i podeszła do pieca. Lucas przełknął następny łyk whisky, w zadumie śledząc ją wzrokiem.

- Wiesz Sharisse, jakieś cztery mile stąd, w górach, jest sadzawka. Woda w niej powinna jeszcze zachować miłe ciepło. Mamy pełnię. Masz ochotę na przejażdżkę przy świetle księżyca?

Jak wspaniale to zabrzmiało! Taka propozycja była jednak okrucieństwem z jego strony.

- Mówiłam ci już, że nie jeżdżę konno - rzekła.

- Nawet we dwójkę?

- W żaden sposób. Nigdy w życiu nie siedziałam na koniu.

- To była tylko propozycja. W końcu jest jeszcze dość wcześnie. Kiedyś jednak będziesz musiała się nauczyć jeździć, wiesz o tym. Z tego rancza można się gdzieś ruszyć tylko konno.

- Mógłbyś kupić powóz.

Nuta nadziei w jej głosie poruszyła jego serce. Ale trzymał się twardo. - Nie słynę z rozrzutności, a zakup powozu w sytuacji, gdy mam z pół tuzina kłaczy wystarczająco łagodnych, byś mogła na nich jeździć, byłby po prostu stratą pieniędzy.

- Zastanowię się nad tym.

Odwróciła się sztywno i z czajnikiem pełnym wody wpadła do swojej sypialni. Kiedy wróciła z czajnikiem, Lucas czekał przy kuchni.

- Dobranoc, Lucas.

- Tylko dobranoc? - Uniósł brew. - Nie ma chyba nic złego w buziaku na dobranoc? - I dodał z uśmiechem. - Mogłabyś się do tego przyzwyczaić. Lubię całusy.

- Doszłam właśnie do tego wniosku - odpowiedziała sucho. Zrezygnowana, westchnęła. - Och, proszę bardzo.

Pochyliła się do przodu z zamiarem złożenia pocałunku, jakim obdarzyłaby swego ojca. Ale w chwili, gdy wargami dotknęła jego ust, jego ramiona oplótły ją, uniemożliwiając odepchnięcie się.

Pocałował ją z niezwykłą czułością, przesuając miękko swe wargi po jej ustach i wywołując cudowną omdlałość. Poczwała się idiotycznie słabo. Najdziwniejsze zaś

było to, że wcale nie chciała się wyrwać. Słodkie poszukiwania jego warg sprawiały jej przyjemność. Nawet ostry zapach whisky w jego oddechu był kuszący.

Ręce Lucasa zacięły się przesuwać wzdłuż jej pleców, wywołując uczucie mrowienia w dole kręgosłupa. I nagle pieścił już jej szyję. Ręka przemieszczała się powoli w dół. Serce zaczęło jej walić jak młotem. Wiedziała, co zamierzał zrobić, ale nie znajdowała w sobie woli, by go powstrzymać. Kiedy w końcu jego ręka zacisnęła się zuchwale wokół jej piersi, pomyślała, że zemdleje od samej niegodziwości tego gestu.

To było szaleństwo. Zdawała sobie sprawę, że nie może mu pozwolić na nic więcej, ale całkowicie opanowały ją słodkie doznania, jakie wzniecał. Dopiero gdy jego usta przewędrowały po jej policzku na szyję, była w stanie odzyskać głos.

- Lucas...

Zamierzała go upomnieć, zabrzmiało to jednak czule. Nie miała siły w rękach, aby go odepchnąć. Jego wargi spoczywały teraz na jej uchu, a podniecenie rosło w niej aż do granic wytrzymałości.

Wsunął język do wnętrza jej ucha i pomyślała, że zemdleje.

- Pragnę cię, Shari. Wiesz o tym, prawda? Pozwól, bym się z tobą kochał. - Jego głos stał się jeszcze bardziej ochrypliwy. - Gdybyśmy teraz byli małżeństwem, to właśnie robilibyśmy przez resztę wieczoru. Wielu godzin potrzeba, aby się z tobą kochać należycie, a ja mam zamiar cię należycie kochać, Shari.

Jego słowa podniecały do szaleństwa. Musi z nim walczyć. Nawet sposób, w jaki szeptał jej imię, wymawiając je jak francuskie chri, powodował mrowienie.

- Nie możesz... nie jesteśmy... Lucas! Proszę! - błagała go o pomoc, sama bowiem straciła moc, by się dalej opierać.

Odchylił się do tyłu tak, aby móc spojrzeć jej w oczy, ale nie wypuszczał jej z mocnego uścisku ramion. W jego oczach tlił się ogień, który przenikał wprost do jej duszy.

- Nie jesteś już przecież niewinna. Dlaczego się opierasz? Wiesz, że będzie dobrze. Teraz czy później, to nie ma znaczenia. Nawet jeśli się nie pobierzemy, to i tak nie będzie różnicy. Nie walcz z tym, Shari.

Nie trzeba było tego mówić. Poznał to od razu, widząc w jej ametystowych oczach iskry, zmieniające ich barwę na głęboki, ciemny fiolet.

- Jedynie mężczyzna jest w stanie powiedzieć, że to nie ma znaczenia. Oczywiście, dla ciebie nie jest to niczym innym, jak tylko chwilową przyjemnością. Ale kobieta potrzebuje czegoś więcej.

- Mówisz jak dziewczyna - powiedział oskarżycielsko. - Kto ucierpi na tym, że będziemy się ze sobą kochać?

Sharisse wstrzymała oddech. Jak miała odpowiedzieć, skoro wszystkie jej odpowiedzi były odpowiedziami dziewczycy? Czy wolno było wdowie zachowywać się swobodnie? Skąd mogła wiedzieć?

- Nie wiem nawet, dlaczego dyskutuję z tobą na ten temat - rzekła obronnym tonem.
- Nie będzie małżeńskich przywilejów przed ślubem.
- Chcesz więc zmusić mnie do przyprowadzenia kaznodziei, abym ulżył swemu cierpieniu?

Coś ścisnęło ją w dołku. - Jakiemu cierpieniu?

Skrzywił się. - Nie baw się ze mną, Sharisse. Nie mogłaś, będąc mężatką, nie wiedzieć tego o mężczyznach. Czujesz chyba. - Mocno przycisnął jej uda do swoich.

- Sądzisz, że to nie boli, jeśli nic z tym nie mogę zrobić?

- Ja... ja... - Jej twarz pokryła się czerwienią i z całej siły spróbowała odepchnąć go od siebie. - Przykro mi, że...

- Już dobrze - przerwał ostro i puścił ją. I zaraz przeklął sam siebie, widząc strach w jej oczach. - To mnie jest przykro, Sharisse. Wiem, że cię ponaglam i przepraszam za to. Ale jesteś tak diabelnie pociągająca.

- Ale... nie wybierasz się po księdza, prawda? - spytała z wahaniem.

Czy to ją wystraszyło? - Skąd, u diabła, mam wiedzieć? - znów podniósł głos. - Do licha, niszczysz mnie, kobieto!

Obrócił się na pięcie i wyszedł z domu. Sharisse pobiegła do swego pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Co miała robić? Nie mogła jeszcze raz stanąć wobec podobnej sytuacji. Cóż więc miała począć?

9.

Lucas uwiązał konia przed saloonem i wolnym krokiem wszedł do środka. Jedynie paru mężczyzn uniosło wzrok, ale ci, którzy to zrobili, obserwowali z ciekawością, jak podchodzi do długiego baru i zamawia whisky. Lucas Holt nieczęsto przyjeżdżał do miasta, a już zwłaszcza w nocy.

Lucas wypił szklaneczkę whisky, a gdy Ben zaproponował mu następną, bez słowa schwycił butelkę i ruszył w kierunku pustego stolika. Powoli rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym się znajdował, ale zobaczył jedynie tłum codziennych bywalców w lokalu Whiskersa - wyjątek stanowił Leon Waggoner, grający w karty. Pociągając z butelki, Lucas obserwował nadzorcę z Newcomb Ranch.

Nigdy nie przepadał za Leonem. Ten człowiek po prostu go drażnił. Ponadto Newcomb był królem w mieście, które założył, więc każdy pracujący dla niego był traktowany niemal z szacunkiem, a to od początku uderzyło Leonowi do głowy. Teraz uważany był w mieście za twardziela, a jego wzrost i budowa podtrzymywały tę opinię. Nikt nie zadzierał z Leonem. Najgorsze, że zawsze, gdy Slade przybywał do miasta, Leonowi udawało się gdzieś przepadać, pomyślał cynicznie Lucas.

Leon był błogo nieświadomy świdrujących jego plecy zimnych, zielonych oczu. Wygrywał właśnie raz za razem i trzej stali goście, z którymi grał, nie byli najszcześliwsi z tego powodu. Jednak żaden nie śmiał zaprotestować. Znali jego złość i nie mieli ochoty jej prowokować. Teraz był w dobrym nastroju, ale

wystarczyłoby, aby którykolwiek z graczy spróbował zrezygnować z dalszej gry, a humor Leona bardzo by się popsuł. Zdarzało się to już wcześniej. Will Days miał złamany nos tylko z tego powodu.

Henry Foster, siedzący naprzeciwko Leona, był w rozpacz. Przegrał już więcej, niż mógł sobie pozwolić. Jeszcze jedno albo dwa rozdania, a straci pieniądze uzyskane z pożyczki hipotecznej i żona go zabije. Byli właścicielami jedyne w mieście sklepu z bronią, ale miasto nie było duże i interes nigdy zbyt nie kwitł. Skończyło się na tym, że popadali w coraz większy dług bankowy i nie wyglądało na to, że kiedykolwiek go spłacą. I oto siedział tutaj i grał hazardowo w karty. Czy nigdy się nie nauczy? Gdyby tylko Leon postanowił, że kończy grę z powodu późnej pory.

Henry widział, jak Lucas Holt wchodzi do saloonu. Słabą stroną Henry'ego było to, że przerażali go ludzie takich rozmiarów, jak Holt. Ci spokojni byli nawet gorsi niż pyszałki pokroju Leona. Nie znał osobiście Lucasa i wcale nie miał na to ochoty. Wystarczyło mu, że gdy kiedyś sprzedawał amunicję jego bratu, czuł się tak, jakby miał wypocić z siebie całe wiadro nim ten człowiek opuścił sklep. To był taki człowiek, że, hm, lepiej było nie wchodzić mu w drogę i kropka. Któż mógł zagwarantować, że Lucas nie jest jak jego brat? Z pewnością nie miał przyjaznego wyglądu.

Pewna myśl przyszła do głowy Henry'emu. Cokolwiek, byleby tylko skończyć tę rozgrywkę, a nie sprawić wrażenia, że chce przerwać grę.

- Wiesz, Leonie - zaczął Henry, pochrzäkując nerwowo - pan Holt wykazuje ogromnie żywe zainteresowanie twoją osobą od kiedy tylko tu wszedł.

- Który Holt? - Leon okręcił się wokoło, aż jego oczy napotkały wzrok Lucasa. Potem obrócił się z powrotem ze słyszalnym westchnieniem ulgi. - Ach, ten. - Zgarnął pulę, jednak bez wielkiego zapału.

Henry upierał się nadal. - Ciekaw jestem, czemu ci się tak przygląda?

- Może podziwia krój mojego ubrania - warknął Leon.

- Zamknij się i rozdawaj.

Nie zadziało. Henry ciężko przełknął ślinę. Po prostu nie mógł grać dalej. Musiał się wycofać, ryzykując wściekłość Leona. Lepiej teraz niż później, gdy będzie doszczętnie zrujnowany.

- Wyczyściłeś mnie, Leonie - powiedział. Wstał, mając nadzieję, że mu się uda. - Muszę skończyć grę.

Zanim Leon zdążył mu odpowiedzieć, by lepiej przeszukał kieszenie, pozostali dwaj gracze szybko wstali i przyuczyli się do wyjaśnień Henry'ego.

- Co to za tchórzostwo? - spytał wojowniczo Leon. - Tylko dlatego, że wygrałem parę rozdań... a zresztą, idźcie sobie - zakończył rozdrażnionym głosem. Zaczął upychać wygraną po kieszeniach.

Wszyscy trzej mężczyźni szybko opuścili bar. Leon Waggoner nie myślał o nich więcej. To była dobra noc. Był zadowolony, że zdecydował się przyjechać do miasta

dzisiaj, zamiast czekać do sobotniej nocy, kiedy to zwykle towarzyszył pracownikom z rancza w ich cotygodniowych piekielnych hulankach na całego. Postanowił zostać na noc i skorzystać z prywatnego apartamentu Sama w hotelu. Mógłby też namówić którąś z dziewcząt Rose, by spędziła z nim noc. Nie powinny być zbyt zajęte w powszednią noc i z pewnością docenią zamianę burdelu na luksusy apartamentu Sama.

Podniósł się, by wyjść, gdy znów napotkał utkwiony w sobie wzrok Lucasa Holta. Co za diabeł? Połowa miasta może być ostrożna wobec tego człowieka ze względu na jego brata, ale nie Leon. Jeśli chodzi o Leona, Lucas był dla niego jeszcze jednym żółtodziobem ze Wschodu. I co z tego, że prowadził jakieś interesy z Samem? Sam nie dowierzał już tak zupełnie Lucasowi po tym, co Fiona z nim wyrabiała.

Stale się gapił, przekłety facet. Leon niedbałym krokiem podszedł do stołu i z hałasem umieścił obutą nogę na pustym krześle obok Lucasa, jednocześnie pochylając się do przodu.

- Słyszałem, że się żenisz, Holt. Słyszałem jak mówiono, że z niej prawdziwa ślicznotka.

-Tak?

Leon zachichotał sprośnie. - Zwykle nie przyjeżdżasz w nocy do miasta. Co się stało? Ty i twoja narzeczona mieliście małą sprzeczkę?

Lucas odstawił na bok do połowy pustą butelkę. Leon nie dorównywał mu wzrostem, ale był muskularny, powinien więc dobrze się spisywać, pomyślał Lucas.

- Nie podoba mi się, że dyskutujesz o mojej przyszłej żonie, Leon - odparł Lucas z ukrytą groźbą w głosie.

- Do diabła, każdy o niej mówi - rzekł niewzruszony Leon. - Nowa dziewczyna w mieście to nowina. A taka, co przyjeżdża tutaj, by wyjść za mąż, to jeszcze większa nowina. Powiedz, czy jest rzeczywiście taka ładna, jak mówią?

- Chyba mnie nie rozumiałeś.

- Och, rozumiałem cię, Holt. - Leon uśmiechnął się krzywo. - Ale gównu mnie obchodzi, co ci się podoba, a co nie. Możesz sobie mieć brata, który umie szybko posługiwać się bronią, ale to nie oznacza, że ty też tak potrafisz. Ja zaś jestem całkiem szybki - czyżbyś o tym nie słyszał? Podejrzewam, że mogę cię pokonać w każdej chwili.

Twarz Lucasa wykrzywiła się w bardzo nieprzyjemnym uśmiechu. - Tak uważasz, Leonie? Tak się składa, że wszystko, co wiem o broni, wiem od Slade'a. Nie sądzę, byś chciał spróbować na własnej skórze, czego mnie nauczył. Ale odłóż swój rewolwer, a wyjaśnię ci, że nie chcę, abyś dyskutował o mojej przyszłej żonie.

Oczy Leona zwęziły się z wściekłości. - Do diabła, a więc przyjechałeś tutaj szukać zwady, prawda, ty bękarcie? W porządku, jestem gotów. Jeśli chcesz wrócić do swojej drogiej narzeczonej z pokiereszowaną twarzą, zwróciłeś się do właściwego człowieka.

Leon zaczął rozpinąć swój pas z bronią i Lucas wstał, by zrobić to samo. Jednak zanim skończył, pas Leona, z rewolwerem w kaburze, uderzył go w bok głowy i odrzucił, chwiejącego się, na bok. Gdy oderwał rękę od ucha, cała była wymazana krwią. W oczach rozbłysła tłąca się furia. Zawarczał, szarżując na brzuch Leona i przewracając się z nim na podłogę w saloonie.

Po kilku godzinach Lucas, pogwizdując radośnie, prowadził konia do domu. Szczękę miał obolałą, spuchnięte dłonie, a żebra bolały jak czort, ale było warto. Może teraz uda mu się zasnąć nie myśląc o niej.

10.

Lucas był zaskoczony, gdy ujrzał czekające na niego śniadanie. Ale nie zaskoczył go widok surowo zaciśniętych ust Sharisse. Podała mu jedzenie bez słowa i odwracała oczy nawet wtedy, gdy już usiadła obok niego. Przez cały posiłek zachowywała kamienne milczenie.

Lucas był trochę rozbawiony, trochę zaś zmartwiony. Czy to wszystko z powodu jego miłosnych zabiegów? A może słyszała, jak wczoraj w nocy, po powrocie z miasta, wślizgnął się do jej pokoju? Mógłby przecież przysiąc, że wtedy spała. Chciał jedynie sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Nie, nie tylko. Chciał również upewnić się, że nie uległa panice i nie uciekła. I nie zobaczył niczego, czego nie powinien był oglądać. Miała nakrycie naciągnięte aż po szyję. Spała nawet z włosami zwiniętymi w kok, nie mógł więc zaspokoić swojej ciekawości, jakie są długie.

Sharisse grzebała się ze zmywaniem w nadziei, że Lucas sobie pójdzie, nim ona skończy. To, co miała mu do powiedzenia, wymagało silnych nerwów, które jeszcze nie do końca sobie wypracowała. Gdyby jeszcze jakoś się odezwał, łatwiej by jej było zacząć. Ale on siedział przy stole i towarzyszył jej w milczeniu.

Coś jednak trzeba było powiedzieć. Nie miała zamiaru zaryzykować powtórki jego bezwstydnego zachowania z ostatniej nocy. Ta myśl dodała jej brakującej odwagi.

- Musimy porozmawiać, Lucas.

- O minionej nocy?

- Tak.

Znowu usiadła, ale zanim zaczęła, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Czy na początek pozwolisz się przeprosić?

Jego dotyk i zachrypnięta barwa głosu odebrały Sharisse odwagę. Nie mogła spojrzeć mu w oczy, patrzyła więc na rękę, delikatnie ściskając jej dłoń. Zaniepokoiły ją opuchnięte, pocierane palce.

- Zraniłeś się. - Przeniosła oczy na jego twarz. Lewy policzek miał spuchnięty.

- To nic. - odparł Lucas z pewnym zakłopotaniem. - Po prostu wdałem się w bójkę z nadzorcą z Newcomb Ranch.

- Tutaj? Czy na jego ranczu?

- W mieście.

- Och. Nie zdawałam sobie sprawy, że wyjeżdżałeś z rancza. - Ciekawość skłoniła ją do pytania. - Kto zwyciężył?

- Żaden z nas. - Lucas obdarzył ją nieśmiałym uśmiechem. - Obawiam się, że za bardzo się nie starałem.

- Dlaczego? - Poprawiła się szybko. - To znaczy, przede wszystkim, jeśli zostałeś zmuszony do walki, to myślałam, że będziesz próbował ją wygrać. Albo chociaż bronić się przed zranieniem.

- Nie wypuściłem się, by zrobić człowiekowi krzywdę, Sharisse. A poza tym, nie jestem ranny. To drobiazg. Ale doceniam twoje zainteresowanie.

Znienacka jego uśmiech stał się zbyt butny. Wydawał się prawie bezczelny. Uciekła spojrzeniem, wściekła, że wziął jej ciekawość za coś więcej.

- Wracając do ostatniej nocy, Lucas...

- Wiem - powiedział. - Jesteś na mnie zła. Nie dziwię ci się.

- Nawet więcej - rzekła niespokojnie, pamiętając nie tylko jego zuchwałość, lecz także to, co do niego czuła. - To co zrobiłeś było...

- ...niewybaczalne, wiem - dopowiedział. Sharisse utkwiała w nim wzrok. - Czy pozwolisz mi mówić? Tak, było niewybaczalne - kontynuowała. - Nie miałaś prawa zalecać się do mnie tak gwałtownie, ani nie miałaś prawa wpadać w złość, gdy ci się oparłam. A na dodatek, usiłowałeś sprawić, bym to ja poczuła się winna, podczas gdy nie uczyniłam nic, aby cię zachęcić.

- Wydaje mi się, że o czymś zapominasz - powiedział spokojnie.

Obserwowała go czujnie. - O czym?

- Przyjechałaś tu, by mnie poślubić. Większość korespondencyjnych narzeczonych wychodzi za mąż w dniu swojego przyjazdu i teraz już rozumiem, dlaczego. W twoim przypadku nie stało się tak tylko dlatego, że zgodziłem się dać nam obojgu czas na lepsze wzajemne poznanie się.

- Mówiłeś, że chcesz zobaczyć, czy tu pasuję - przypomniała mu surowo.

- To też. Ale naprawdę mogłem nalegać, abyśmy się pobrali już pierwszego dnia. Było jej nieprzyjemnie, ale nie zamierzała się poddać miażdżącym argumentom. - Dobrze, że tego nie zrobiłeś.

Zmarszczył brwi. - Doprawdy?

- Tak, ponieważ... ponieważ zmieniłam zdanie w sprawie wyjścia za ciebie. Chcę cię prosić, abyś odesłał mnie do domu.

- No tak, jeśli już poczujesz do kogoś urazę, to będziesz ją czuła bez końca, nieprawdaż?

- Nie o to chodzi.

- To o co?

- To zwyczajnie sprawa gustu - powiedziała. - Jak dla mnie, jesteś za potężny.

Przerwał jej śmiechem. - Skarbie, gdybym był aż tak potężny, ostania noc spędziłabyś w moim łóżku, a nie w swoim. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Wstała nerwowo i podeszła do otwartego okna. Stała odwrócona do niego tyłem. - Nie jestem przyzwyczajona do prowadzenia rozmów na takie tematy.

- Z ledwością ją słyszała. - Nie wiem Lucasie, do jakiego rodzaju kobiet przywykłeś, ale ja nie przyjechałam tutaj, by zostać twoją kochanką. To przesada, byś wymagał tego ode mnie. Po prostu nie mogę tu pozostać nawet dnia dłużej w sytuacji, gdy znów może się to powtórzyć.

Nic nie odpowiedział. Z przedłużającą się ciszą jej nerwowość rosła. Wreszcie ośmieliła się rzucić na niego okiem i zauważyła, że wpatruje się w stół. Dlaczego nic nie mówił?

- Rozumiesz, Lucasie, prawda? - zaryzykowała. Nic nie dawało się wyczytać w oczach, które zwrócił w jej kierunku. - Nie możesz wyjechać, Sharisse - powiedział zwyczajnie.

- Nie mogę? - powtórzyła jak echo. - Co to znaczy?

- Nie mogę cię odesłać w tej chwili do Nowego Jorku.

- Dlaczego? - Uniosła głos pod wpływem nerwów i strachu.

- Podróż przez cały kraj nie kosztuje paru pensów, Sharisse. Wszystkie pieniądze, jakie miałem, zainwestowałem w to ranczo. A całą dostępną mi gotówkę wydałem na sprowadzenie cię tutaj. Nie zostało nic, za co mógłbym cię wysłać z powrotem. Była zbyt oszołomiona, aby cokolwiek powiedzieć.

Nabieram wprawy w kłamaniu, pomyślał z niesmakiem Lucas. Do licha, nie przewidział, że w ten sposób stawi mu czoła. A teraz nie mógł zaczynać wszystkiego od nowa. Było za późno na sprowadzenie innej dziewczyny.

Sharisse wyglądała przez okno, plecy miała sztywne.

- Wiesz, moglibyśmy zapomnieć o twojej pospiesznej decyzji i rozpocząć na nowo - zaproponował Lucas.

- Może istotnie nieco zanadto nalegałem ostatniej nocy, ale bardzo cię pragnąłem, a nie możesz przecież winić człowieka za to, że chce dostać to, na co ma ochotę. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Ale nie zrobiłem ci żadnej krzywdy, prawda? Sharisse wzięła długi, głęboki oddech. - Nie, sądzę że nie. Ale nie chcę przeżywać tego jeszcze raz, Lucas.

- Jeśli moje pożądanie tak cię niepokoi, postaram się go nie okazywać.

- A nie mógłbyś po prostu... nie pożądać mnie? - zaproponowała nieśmiało. Wyglądało to na rozsądny pomysł.

Zdumiało go to pytanie. - Jak długo byłaś mężatką?

- Czemu pytasz?

- Bo straszliwie mało wiesz o mężczyznach.

- Istotnie, byłam mężatką niezbyt długo. - Nie umiała spojrzeć mu w oczy, ale przyjął, że jest po prostu skrepowana.

- Czy twój mąż nigdy nie wyjaśnił ci, że czasami mężczyzna traci kontrolę nad swoim ciałem? Może się zapalić na widok pięknej kobiety i nie ma wtedy żadnego

sposobu, żeby powstrzymać swe ciało przed reakcją.

- Nie, nie wiedziałam o tym - wyznała. - Czy to właśnie zdarzyło się minionej nocy?

- Obawiam się, że tak. Ale nie groził ci gwałt. Nigdy nie skrzywdziłem kobiety, nigdy też nie posiadałem kobiety, która nie miała na to ochoty. Do niczego bym cię nie zmusił, Sharisse. Wierzysz mi, prawda?

- Nie wiem - przyznała szczerze.

- A więc podejdź tutaj, a ci udowodnię - powiedział.

- Co?

- Tylko chodź tutaj. Na miły Bóg, nic ci nie zrobię. Podchodziła do niego powoli. Mógł jedynie żywić nadzieję, że nie będzie zbyt długo odzyskiwać jej zaufania.

Kiedy zbliżyła się do stołu, wstał, ignorując jej niespokojne protesty, porwał ją w ramiona. Całował ją długo i mocno, nie przerywając aż do momentu gdy poczuł, iż jej opór słabnie. Wtedy ją puścił.

- Widzisz? - powiedział Lucas. - Niełatwo jest odejść od ciebie, ale zrobię to.

I odszedł. Obserwując jak odchodzi, Sharisse miała ochotę tupać nogami, bowiem znów, rozпалиł w niej te uczucia i chciała, by nadal trwały.

11.

Zaproszenie na kolację na ten wieczór, na ranczo Samuela Newcomba, wprawiło Sharisse w drżenie. Dostarczono je późnym popołudniem i miała ochotę odmówić. Nie do pomyślenia było przyjęcie zaproszenia, które pozwalało jedynie na kilkugodzinne przygotowanie się. Ale Lucas zaakceptował zaproszenie w imieniu ich obojga i poinformował ją o tym już po odjeździe posłańca.

I co miała powiedzieć? Samuel Newcomb był najbogatszym człowiekiem w okolicy. Wszędzie w Newcomb widziała jego nazwisko: na targu mięsnym, w sklepie z artykułami kolonialnymi, w sklepie z siodłami, w banku, nawet w nazwie gazety. Jak długo by nie miała tu pozostać, nie zaszkodzi poznać założyciela miasta. Być może mógłby jej pomóc, gdyby jej sytuacja zmieniła się na gorsze.

Strasznym ciosem była dla niej wiadomość, że Lucasa nie stać na odesłanie jej do domu. I nie tylko dlatego, że tu ugrzęzła. Dodatkowo obudziło się w niej poczucie winy. Człowiek wydał całe swoje oszczędności na zdobycie żony, a tymczasem ona nawet przez chwilę nie zamierzała go poślubić. Jeżeli Stephanie nie przyśle pieniędzy, będzie zmuszona poprosić Lucasa, by opłacił jej podróż powrotną jak tylko będzie mógł, co oznaczałoby znaczne wydłużenie oczekiwania na następną korespondencyjną kandydatkę na żonę. Jakże podle jest wykorzystywać go w ten sposób! Zaczynała się zastanawiać, czy jej poświęcenie było tego warte.

Jedyną dobrą stroną zaproszenia na kolację było to, że nie musiała gotować. Lucas nie był zbyt zachwycony perspektywą wizyty u Newcombów, ale przecież ostatniej nocy stoczył bójkę z pracownikiem pana Newcomba i pewnie dlatego czuł się niezręcznie.

Sharisse spóźniała się w przygotowaniach do wyjścia. Wszystko musiała szykować

sama, z kąpielą włącznie. Za to kiedy skończyła, była zadowolona z siebie. Jej suknia wieczorowa nie była wygnieciona, a ponadto udało jej się skopiować jedną z łatwiejszych fryzur Jenny, którą ozdobiła kompozycją z drobnych kwiatów białej róży. Wybrała jedną z ulubionych sukni, kombinację miękkich jedwabi w błękitach i kolorze kości słoniowej. Suknia miała głęboki, okrągły dekolt i krótkie rękawy. Choć długie rękawiczki, także w kolorze kości słoniowej, wyglądały skromnie bez bransoletek, a prosta aksamitna wstążka zawiązana na szyi musiała wystarczyć za całą ozdobę, Sharisse czuła, że wraz z obszytą norkami kremową peleryną jej kostium jest doskonały.

Właśnie zakładała tę krótką narzutkę, gdy zapukał Lucas. Otworzyła mu drzwi i z obawą czekała, aby coś powiedział. Jego wzrok prześlizgnął się po niej. Był świeżo ogolony i założył marynarkę. Zrobiona była z koziej skóry i ozdobiona frędzlami, ale przynajmniej czysta. Biała koszula była z jedwabiu. Miał na sobie szare spodnie, wsunięte w wypolerowane, czarne trzewiki. No i nie miał broni.

- I jak? - przerwała ciszę.

- Fiona zzielenieje z zazdrości - powiedział.

Sharisse skrzywiła się. - Proszę, nie mów mi, że jestem za dużo wystrojona. To naprawdę jest prosta suknia do obiadu. Normalnie noszę ją tylko w domu.

- Nie jest więc wystarczająco porządna na wizytę, tak?

- Lucas!

- Wyglądasz pięknie, skarbie. I wcale nie jesteś zbyt wystrojona na jedno ze spotkań towarzyskich u Newcombów. Jeśli chodzi o Sama, to im bardziej ozdobnie, tym lepiej.

- A kto to jest Fiona? - zapytała, gdy eskortował ją do powozu, przysłanego przez Sama.

- Żona Sama. Świeżo poślubiona, powinienem dodać. Pobrali się niespełna rok temu.

- Czy jest coś, co powinnam o nich wiedzieć, nim dotrzemy na miejsce?

- Tylko to, że Sam lubi ładne kobiety, będziesz więc musiała uważać.

- Ależ on jest żonaty - odpowiedziała z oburzeniem.

- I co z tego?

Ta bezceremonialna odpowiedź przywiodła jej na myśl własne doświadczenia z żonatym mężczyzną, toteż zapadła w milczenie, podczas gdy meksykański woźnica uwoził ich szybko z rancza. Opadły ją wspomnienia i żadne nie było przyjemne.

Antoine'a Gautiera spotkała na przyjęciu, w którym uczestniczyła wraz ze swą ciotką tydzień po przyjeździe do Francji. Antoine był taki wesoły, tak pełen werwy, taki przystojny i dobroduszny. Sądziła, że się zakochała. Potem wyznał, że on też się w niej zakochał. Miała zaledwie osiemnaście lat, a Antoine był człowiekiem obytym w świecie.

Miłość nie pobudza do logicznego myślenia. Powinna była zauważyć, że coś jest nie tak, skoro mężczyzna nigdy nie próbował jej pocałować, całując jedynie jej rękę.

Powinno ją zastanowić tempo jego zalotów. Ale, głupia, wierzyła, że ją kocha. Na jednym z przyjęć pozwoliła mu się wprowadzić do pustej sypialni.

Antoine powtarzał jej wystarczająco wiele razy, że jej pragnie, a ona była aż nadto chętna, by ją posiadał. Nie poprosił jej o rękę, ale naturalnym było założyć, że to zrobi. Małżeństwo wiązało się z uprawianiem miłości. To oczywiste, że się z nią ożeni - nie było co do tego wątpliwości.

Dopiero później stwierdziła, że liczył właśnie na to założenie.

Tamtej nocy rozbierała się wstydliwie, podczas gdy on siedział na brzegu łóżka i ją ponaglał. Kiedy usiadła obok niego, zdjął tylko spodnie, ale nie zwróciła na ten fakt uwagi.

Nie było już więcej delikatnych czułości i miłych słów. Antoine pochwycił ją i zwałił się na nią, gotów pozbawić ją cnoty bez chwili zwłoki. Dzięki Bogu, w tym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju weszła kobieta.

Antoine był wściekły. - Dwie minuty, Marie! Nie mogłaś poczekać jeszcze dwie minuty?

- Ależ myślałam, że do tej pory już skończysz, mon cher - ze słodyczą odparła śliczna brunetka. - Jak długo może trwać wygrywanie zakładu?

Zakład! Jej wszystkie złudzenia zbudowane były na zakładzie. Jakże chciało jej się płakać, jak bardzo chciała udawać, że nie znajdują się we troje w tym pokoju i że nie leży naga. Ale nie rozplakała się. Udało jej się nawet opuścić pokój z pewną godnością.

Później dowiedziała się, że brunetka była jego żoną. Po tym wszystkim nie miało to niemal znaczenia. Otrzymała swoją lekcję: mężczyznom nie wolno ufać.

Lucas był w równie ponurym nastroju. Zawsze tak było, gdy był zmuszony znosić towarzystwo Samuela Newcomba. Musiał jednak to wytrzymać. Po to właśnie tu przyjechał. Ale nienawidził udawania, zmuszony do przyjaznego zachowywania się, podczas gdy naprawdę pragnął zabić tego człowieka. Sam jednak nadal był bezpieczny dzięki swemu testamentowi, a nagroda za schwytanie jego mordercy z upływem lat wzrosła.

Lucas wiedział, że zaproszenie na ten wieczór wynikało po prostu z zaciekawienia Sama osobą Sharisse. Dobrze się składało, gdyż dawało to Lucasowi możliwość wprowadzenia w życie najistotniejszej części planu. Będzie tylko musiał odciągnąć Sama na bok, by przekazać mu informacje.

Po całym tym wyczekiwaniu widać było wreszcie koniec. Jeszcze tylko parę miesięcy i Samuel Newcomb odkryje, że jest nędzarzem. Powinien tylko tej nocy połknąć haczyk, to wszystko.

Fiona pomogła nieświadomie, kosztowała bowiem Sama sporo pieniędzy. Sam nie chciał, żeby wiedziała, iż jego kapitał jest w większości zamrożony, toteż sprzedał swe drobniejsze inwestycje w Newcomb i kupował jej, co tylko zapragnęła. Aby była stale szczęśliwa, wciąż musiał kupować.

12.

Sharisse miała kłopoty z zapamiętaniem wszystkich imion. Uroczysta kolacja okazała się być przyjęciem na jej cześć, na które zaproszone zostało pół miasta.

Pan Newcomb osobiście ją oprowadził i przedstawił wszystkim. Jego żona, Fiona, powitała ją, po czym natychmiast zignorowała z przerażającą niegrzecznością. Samuel Newcomb zdawał się być tym nieco ubawiony.

- Jest zazdrosna, ale proszę się tym wcale nie martwić - szepnął do Sharisse. - Dotychczas była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy, teraz zaś pani przypadł ten zaszczyt. Muszę przyznać, panno Hammond, że można pozazdrościć Lucasowi.

Ślicznie się zarumieniła i natychmiast polubiła tego mężczyznę. Wyglądał całkiem dystyngowanie, koło czterdziestki, z włosami w kolorze piasku i szarymi oczami, które, być może, ujawniały nieco za dużo. To był człowiek ceniący piękne rzeczy w życiu, posiadający imponujący dom. Miał też, jak ostrzegał Lucas, słabość do kobiet. Jednak wcale jej nie przeszkadzały jego zachwycone spojrzenia. W towarzystwie Sama czuła się dobrze, nie brała na serio jego sugestii, że znajdzie dla niej jakiś przytulny kąt, jeśli kiedykolwiek znudzi się jej Lucas.

Też pomyśl! Samuel Newcomb mógłby być jej ojcem. Ale wiedziała, że tylko przekomarzał się z nią. Nie ulegało wątpliwości, że był oddany swej żonie, szukał jej wzrokiem gdy tylko oddaliła się od niego za daleko. Fiona była śliczną kobietą o granatowoczarnych włosach i jasnoniebieskich oczach. Była znacznie młodsza od męża, w gruncie rzeczy niewiele starsza od Sharisse.

Z powodu dużej liczby gości kolacja miała nieformalny przebieg. Ludzie siadali gdzie tylko mogli, trzymając talerze na kolanach. Sharisse bawiła się dobrze. Jedzenie było proste, ale w ogromnych ilościach, zaś szampan płynął strumieniami.

Lucas pozostawił ją samą, aby mogła porozmawiać z paniami. Był stale zajęty, przyjmując gratulacje i powtarzając w kółko historię o tym, jak się poznali. Przysłuchiwała się tej historyjce uważnie, aby nic nie pokręcić, gdyby ktoś ją spytał o to samo.

Ludzie, których spotkała byli przyjaźnie nastawieni i naprawdę zdawali się być jej radzi. Ale tym, co ją najbardziej uspokajało, była stała obecność Lucasa w zasięgu wzroku. Trudno było zrozumieć, dlaczego pozostawiona z nim sam na sam czuła się niezręcznie, natomiast jego obecność na przyjęciu dawała jej poczucie bezpieczeństwa. W jakim by nie była pomieszczeniu, wystarczyło, żeby się rozejrzała wokół, a zawsze gdzieś go dostrzegła. Nie była świadoma, jak często szukała go spojrzeniem.

Był widoczny z daleka, i to nie tylko ze względu na swój wzrost. Podczas gdy na innych mężczyznach ubranie układało się swobodnie, strój Lucasa ciasno opinał całe muskularne ciało. Roztaczał wokół siebie atmosferę nieugiętej siły i nieokrzesej męskości. Nie mogła też nie zauważyć, że ludzie z miasta odnosili się do niego z dużym szacunkiem.

- Jest znacznie przystojniejszy, niż jakikolwiek mężczyzna miałby prawo być, nie sądzi pani?

Sharisse, znów przyglądająca się Lucasowi, odwróciła się do Naddy Durant. - Kto? - spytała.

- Oczywiście pani mąż.

- Och. - Sharisse poczuła się zaskoczona szczerością młodej dziewczyny. Naddy miała tylko szesnaście lat. Jej matka, Lila, siedząca obok niej, nie sprawiała wrażenia osoby, która widzi coś dziwnego w tym stwierdzeniu. Kiwała potakująco głową, podobnie jak inne zebrane tam panie.

- Ale on nie jest jeszcze moim mężem. - Sharisse jasno postawiła sprawę.

- Moja droga, to tak, jakbyście byli małżeństwem - powiedziała pani Landis. - W dawnych czasach, kiedy ksiądz nie tak często zaglądał w te strony, nie oczekiwano od młodych, że będą czekać na ślub. Jeśli tylko chcieli i mogli, budowali dom, błogosławieństwa zostawiając na później. Teraz większość miast ma swoich kaznodziejów. Przez pewien czas był i u nas, ale od czasu jego śmierci nie pojawił się nowy na jego miejsce.

- Rozumiem - grzecznie odpowiedziała Sharisse.

- Wyznam szczerze, że miałam nadzieję, iż Luke mnie dostrzeże. - Naddy pochyliła się, jakby powierzała tajemnicę, chociaż cała szóstka obecnych pań również wychyliła się do przodu. - On albo jego brat, Slade. Obaj są tacy...

- Nadine Durant! - sapnęła Lila. - Czym innym jest podziwianie miłego, szanowanego człowieka, jakim jest nasz Luke, czym innym zaś branie pod uwagę kogoś takiego jak Slade. Sądziłam, że lepiej cię uczyłam, dziewczyno. Naddy wcale nie wyglądała na przejętą skarceniem. - Czy spotkała już pani Slade'a?

- zadała pytanie Sharissie.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała Sharisse.

- Czeka więc panią jeszcze ta przyjemność.

- To będzie raczej straszne. - Lila znów poprawiła córkę, z niechęcią widoczną na twarzy.

- Och, chłopak nie jest aż taki zły, Lila - wtrąciła pani Landis.

- Oj, jest. - Inna kobieta poparła Lilę.

- Cóż, nie powinnyśmy nawet rozmawiać o Sladzie.

- Dlaczegoż by nie, Lila? - mąż Lili, Emery, podszedł do niej od tyłu wraz z Johnem Hadleyem. - Nie każde miasto może się pochwalić, że jest domem słynnego rewolwerowca.

- Wiesz przecież dobrze, że Slade Holt nie pochodzi z Newcomb. - Lila wdała się w dyskusję z mężem.

- Nie, ale od kiedy jego brat się tu osiedlił, ze wszystkich możliwych miejsc w Newcomb jest najbardziej u siebie.

Sharisse z ciekawością obserwowała Emery'ego Duranta. - Co to znaczy

rewolwerowiec?

- Szybki strzelec.

- Chce pan powiedzieć, że się wynajmuje ze swoim rewolwerem? - Oczy miała otwarte szeroko.

Emery potrząsnął głową. - Nic o tym nie wiem. Nigdy nie słyszałem, aby dla kogoś pracował. Chce pani powiedzieć, że Luke nie opowiadał pani o swoim bracie?

- Niewiele - przyznała.

- Niemożliwe! - twarz Emery'ego rozbłysła jak buzia dziecka na Boże Narodzenie. Jedynie chwilę zabrało mu upewnienie się, że Lucas znajduje się w drugim końcu pokoju, po czym usiadł koło żony. - A zatem proszę mi pozwolić opowiedzieć o dniu, kiedy Slade Holt pierwszy raz zawitał do Newcomb.

Wszystkie panie zbiorowo westchnęły, słyszały już bowiem tę historię nieskończenie wiele razy. Sharisse nie wiedziała, czy w ogóle ma ochotę ją usłyszeć.

- Ubrany był jak Indianin - powiedział John Hadley, zanim Emery zdążył otworzyć usta. - I wyglądał też jak Indianin, z włosami rozpuszczonymi na ramiona i...

- John, czy dasz mi opowiedzieć? - rzekł rozjątrzony Emery.

- Cóż, to ja tam wtedy byłem - mruknął John - a nie ty.

- I co rzekomo zrobił wówczas Slade? - Sharisse przerwała początek czegoś, co wyglądało na kłótnię.

- Otóż zabił Ferala Sloana. Sloan był twardym facetem, byłem zawodowym zabójcą, tak sprawnym, jak to oni potrafią.

- Sloan! - Sharisse wyszeptała to imię jeszcze świeże w jej pamięci.

Spojrzała w kierunku Lucasa, zastanawiając się, dlaczego jej o tym nie opowiedział, ale mignął jej jedynie, wychodząc z pokoju w towarzystwie Samuela Newcomba. Odwróciła się z powrotem ku Emery'emu Durantowi z nadzieją, że źle zrozumiała.

- Czy to oznacza, że Slade Holt jest zabójcą?

- Cóż - odparł Emery - tu w okolicy zabił jedynie Ferala. Zdarzyło się to prawie siedem lat temu, gdy był jeszcze początkującym rewolwerowcem. Wieść niosła, że wcześniej posłał już na tamten świat dwunastu ludzi.

Nie trzeba mówić, ilu jeszcze dodał do tej dwunastki od owego czasu.

Sharisse zbladła. - Dlaczego nie został aresztowany?

- Po co? - zapytał Emery.

Zamrugnęła oczami. - Ależ powiedział pan, że zabił tu człowieka.

- To była uczciwa walka, panno Hammond. Nikt nie może temu zaprzeczyć. - Wszyscy wokół niej pokiwali głowami. - Slade pozwolił nawet Feralowi pierwszemu wyciągnąć broń. Po prostu Slade był szybszy. Nigdy nie widziałem nikogo tak szybkiego, jak on.

Czy ci ludzie wiedzieli, że Sloan zabił ojca Slade'a?, zastanawiała się. Musiała się czegoś napić. Nie chciała więcej słuchać o bracie Lucasa. Nazwał go czarną owcą. Rzeczywiście!

* * *

Również w gabinecie Sama Newcomba tematem rozmowy był Slade. Sam wspomniał o nim, gdy tylko wraz z Lucasem usiedli przy biurku. - Czy widziałeś ostatnio swojego brata?

- Od jakiegoś czasu nie - odparł Lucas, z trudnością zachowując kamienny wyraz twarzy.

To nigdy nie zawodziło. Sam pytał o Slade'a przy okazji każdego spotkania. Lubił, gdy pracowali dla niego szybcy strzelcy, a obaj wiedzieli, że Leon Waggoner nie jest taki szybki.

- Moja propozycja jest stale aktualna. Przekaż mu to, gdy się z nim będziesz widział.

- Zrobię to.

- A teraz, o czym tak bardzo ważnym mieliśmy porozmawiać na osobności? - spytał Sam, przygotowując cygaro do zapalenia.

- Złe wieści, obawiam się. - Lucas od razu przystąpił do rzeczy. - Ta linia kolejowa, której budowę finansowaliśmy, ma jakieś kłopoty. Zdaje się, że postąpiłeś słusznie, nie pakując w nią więcej pieniędzy, niż możesz stracić.

- Co chcesz powiedzieć?

- Za nisko oszacowali koszty zakończenia budowy linii. Wygląda na to, że wszystkie pieniądze poszły na położenie zaledwie trzech czwartych długości torów. Cała robota stanęła i nie są w stanie skłonić nikogo do wyłożenia pieniędzy na zakończenie budowy. Banków to po prostu nie interesuje. To mnie pozbawiło gotówki, ale chociaż pozostało mi ranczo. Mam nadzieję, że niedługo zaczniesz przynosić zyski. Cieszę się, że cię ostrzegłem, abyś za dużo nie inwestował, bo wygląda na to, iż nic nie dostaniemy z powrotem.

Sam zaniemówił. Lucas wiedział, dlaczego. Bardzo dobrze wiedział, że Sam nie zastosuje się do rady, jakiej mu udzielił, gdy po raz pierwszy wspominał o tym kolejowym interesie i miał rację. Sam dużo zainwestował, chcąc zdobyć pakiet kontrolny i nie przyznał się do tego Lucasowi. Sprzedał wszystkie swoje inwestycje poza Newcomb, nawet większość aktywów swojego banku, w nadziei, że stanie się potentatem kolejowym. Nigdy, poza jedną wizytą, nie pofatygował się, by na miejscu sprawdzić postęp prac, przyjmując za prawdziwe raporty otrzymywane od prawników kompanii.

- Musi być... musi być jakiś sposób...

- Chyba, że znasz kogoś, kto będzie chciał zostać właścicielem części linii kolejowej.

- Bez namysłu odpowiedział Lucas. - Proszę pierwszych inwestorów, by wyłożyli tyle, ile jeszcze brakuje, a to spora suma. Ale ja nie mam grosza. Nie mogę nic zrobić. Nie dostałeś jeszcze listu?

- Nie - rzekł Sam.

- To dostaniesz. Wyjaśnię ci szczegółowo, co się nie udało - i ile zysku przyniesie nam dalsza inwestycja. No cóż, powinienem chyba wrócić teraz do Sharisse. Dobrej

nocy, Sam.

Sam tylko skinął głową. Poczł się chory, zrobiło mu się niedobrze. Straci wszystko, co zbudował przez te lata, chyba że zainwestuje jeszcze trochę gotówki. Będzie musiał zadeszować do tego prawnika z St. Louis, który pisał o europejskich klientach zainteresowanych zakupem dużego rancza w okolicy Sama. Może jeden z klientów zechce także nabyć hotel. Będzie to postawieniem kropki nad i, ale cłż innego może zrobić?

Musi tak postąpić. Nie ma innego wyjścia. Za stary jest juź, by zaczynać wszystko od początku. Czasy się zmieniły. Nie było juź tak łatwo ukraść złotonośną działkę, aby się wzbogacić. Do Arizony dotarło prawo.

Siedział sam w swoim gabinecie, wpatrując się w dal. Wiedział, co musi zrobić. Wiedział, że nic innego nie pozostało mu do zrobienia.

13.

Sharisse była pijana. Trzymała się wspaniale, zachowując się z taką godnością i spokojną rezerwą, że nikt by się tego nie domyślił. Nawet Lucas uświadomił to sobie dopiero wówczas, gdy zaczęła chichotać zaraz po wejściu do powozu, a potem zasnęła oparta o jego ramię.

Rozbawiło to Lucasa. Nigdy by nie przypuszczał, że dumna dziewczyna z wielkiego miasta ulegnie słabości do alkoholu. Był zaskoczony i całkiem zadowolony odkrywszy, że jednak potrafi pozbyć się skrepowania. Ale jednocześnie nic nie mogło go rozproszyć po dzisiejszym spotkaniu z Samem.

Siedząc naprzeciwko Sama w jego gabinecie mógł wyczuć panikę tego człowieka. Jak długo na to czekał!

Niewiele brakowało, aby się głośno roześmiał, myśląc o małym stadzie koni, zamówionych przez Newcomba. Kiedy przyjdzie czas na dostawę, nie pozostanie mu nic, by za nie zapłacić. Jednak Lucas będzie musiał złapać konie i oswajać je tak, jakby nic o tym nie wiedział.

Sharisse poruszyła się u jego boku, przerzucając rękę przez jego pierś i wtulając mu głowę w szyję. Jej krótka pelerynka rozchyliła się, pozwalając dostrzec głęboki dekolt i łagodne wzniesienie piersi. Ręką spoczywającą na jej talii delikatnie przesunął po zaokrąglonych kształtach.

I co miał z nią począć? Przerosła jego oczekiwania. Pragnął tej dziewczyny, z zadowoleniem śpiącej obok niego. A pragnienie to było tak silne, jakby narastało przez lata, nie zaś w ciągu tych trzech dni, które spędziła tutaj. Trzy dni i juź planował uwiedzenie jej.

Potrząsnął głową, niezadowolony z siebie i z tego, nad czym nie mógł zapanować. Jeszcze będzie żałował dziewczyny. Zdawał sobie z tego sprawę, ale cłż miał robić? Kłamał przy niej na prawo i na lewo, a kłamstw tych będzie jeszcze więcej, nim zakończy sprawę. Wystarczy, że wciągnął ją w grę z Newcombem, że wykorzystuje jej pomoc, by doprowadzić do jego ruiny.

Bała się go i nie mógł zrozumieć, dlaczego. Z tego powodu powiedziała już, że go nie poślubi. Gdyby się z nią przespał, czy nadal by tak uważała? Czy była typem osoby, stawiającej znak równości między uprawianiem miłości i całkowitym oddaniem? Chciałby, żeby jej zachowanie dawało się łatwiej przewidzieć. Chciałby też, aby się go nie lękała.

Powóz zatrzymał się przed domem, ale Sharisse ciągle smacznie spała. Lucas powoli usiadł, pociągając ją za sobą.

- Sharisse?

Skrzywiła się i złapała go za marynarkę. - Ale ja nie chcę wyjść za niego za męż, tato. To Stephanie kocha Joela, a nie ja.

Lucas uśmiechnął się, zastanawiając się jednocześnie, o co jej chodzi. - Sharisse, obudź się.

Zdezorientowana, otworzyła oczy. - Kto...? Ach, to ty.

- Rozejrzała się po powozie. - Co tu robimy?

- Przyjęcie, pamiętasz? Właśnie przyjechaliśmy do domu.

Zaczęła się chwiać i złapała równowagę przywarłszy mocno do Lucasa. Postawił ją na ziemi.

- Możesz iść, czy też mam cię zanieść do środka?- spytał z rozbawieniem, mając nadzieję na to ostatnie.

- Zanieść mnie? Nie mów głupstw!

Sharisse ruszyła przed nim do drzwi, idąc zdumiewająco prosto. Lucas pochwycił uśmiech woźnicy i odpowiedział tym samym, pozdrawiając go już w biegu. Udało mu się złapać Sharisse w momencie, gdy potknęła się w drzwiach.

- Wydawało mi się, że nie było tutaj schodka - powiedziała z oburzeniem, patrząc do tyłu na Lucasa.

- Bo go nie ma - zaśmiał się.

- Och.

Pokój tonął w księżycowej poświacie, więc nie zapalał lampy. Porwał ją w objęcia, zadziwiony, jak wielki wpływ ma to na niego. Przytulał ją, była dokładnie tam, gdzie pragnął, by się znalazła. Czuł się tak samo bezsilny jak ona, nie potrafił się oprzeć słodkiemu rozchyleniu jej warg.

Chciał jedynie poczuć ich smak, ale jej usta poruszyły się pod jego dotykiem, ciepłe i pełne życia, rozpalając w nim ogień. Jęknął. Sharisse westchnęła, opierając głowę na jego i ramieniu, zupełnie nieświadoma uczuć, jakie w nim wzbudza.

Uprzytomnił sobie, że może ją mieć natychmiast. Zważywszy jej stan, nie będzie stawiała żadnego oporu. Alej nie chciał jej w ten sposób. Powinna być chętna, pragnąć go, a nie niezdolna do czegokolwiek po alkoholu. Gdyby posiadał ją teraz, mogłaby tego nawet nie zapamiętać. A jeśli by zapamiętała, mogłaby później żałować i gardzić nim za to, że ją wykorzystał. Nie miał ochoty czuć się winnym, nie chciał wyrzutów. I, z jakiegoś powodu, ważne było, aby pamiętała.

Do diabła, skąd się brały te wszystkie szlachetne uczucia? Nadal zamierzał ją uwieść. Jeśli miał działać bez skrępowań, powinien to uczynić jak trzeba.

Sharisse westchnęła, znów zapadając w sen. Po twarzy Lucasa przemknął rozmarzony uśmiech. Jeszcze nie tej nocy, skarbie, ale już niedługo. Musnął wargami jej czoło i poniósł ją do jej pokoju.

Obudziła się, gdy położył ją na łóżku i zaczął ściągać jej buty. - Sama mogę to zrobić - zaprotestowała.

Usiadła za szybko i zmorzona zawrotem głowy opadła do tyłu. Lucas uśmiechnął się.

- Po prostu traktuj mnie jak swoją służącą - zaproponował, upuszczając jej buty na podłogę. - Jestem pewien, że ją miałeś.

- Ale zupełnie nie jesteś podobny do Jenny. - Uznała, że to bardzo śmieszne i zachichotała. Nie zauważyła zdjęcia pelerynki, lecz pochyliła się do przodu, aby mógł się dostać do guzików na plecach. - Cieszę się, że jej tu teraz nie ma, bo bym się musiała nasłuchać. Widzisz, ona nie pochwała picia i... - Złapała oddech. - Czemu mi nie powiedziałaś, że twój brat jest zabójcą?

- Bo nie jest.

- Ale zabił setki ludzi!

- Setki?

- No, może dziesiątki, co za różnica?

- Nasłuchiwałaś się plotek, Sharisse. - Uśmiechnął się, podnosząc ją z łóżka, aby wyciągnąć spod niej suknię. Nie zwróciła na to uwagi.

- Nie mogłam nie słuchać. Mój Boże, i pomyśleć, że nazwałeś go czarną owcą! To dość łagodne określenie, nie sadzisz? Mogłeś mnie uprzedzić.

- O tym, że zabił człowieka?

- Wielu ludzi!

- Zastrzelił tylko jednego, Sharisse. Pozostali, których ponoć zabił, po prostu nie istnieją. To tylko plotki. Ludzie chcą w nie wierzyć.

- Naprawdę tylko jednego?

- Tak. - Zaczął rozsznurowywać jej gorset.

- Ale...

- To był zabójca, mordujący z zimną krwią, który zasługiwał na śmierć.

Zapomniała, że ten człowiek ścigał Lucasa i Slade'a gdy byli jeszcze dziećmi, po zamordowaniu ich ojca. Jeśli prawo było bezsilne, czy należało potępiać Slade'a, że to zrobił?

- Mówili, że to był uczciwy pojedynek - powiedziała spokojnie Sharisse.

- To prawda. Równie dobrze mógł zginąć Slade.

- Przepraszam.

- Zapomnij o tym. - Ściągnął już gorset i przystąpił do przyjemnego zajęcia, polegającego na zdejmowaniu jej jedwabnych pończoch.

Przeciągając się, Sharisse westchnęła. - Cieszę się, że nie jest taki zły, jak o nim

mówią.

Także Lucas westchnął, zastanawiając się, jak może wytrzymać to, że ją rozbiera, by mogła wygodnie spać, podczas gdy jego ciało ma coś zupełnie innego na myśli. Niech ją diabli, żeby się tak upić!

- Slade jest taki, jaki jest - szorstko powiedział Lucas, chcąc uniknąć dalszych dyskusji.

- To ładnie.

Lucas potrząsnął głową. Nawet go nie słyszała. Znów dryfowała w krainę snu.

Przykrył ją kołdrą i delikatnie pocałował w czoło. - Dobranoc, Shari.

- Antoine... mój kochany.

Wymruczane słowa z ledwością dawały się rozróżnić. Antoine? Jej mąż? Po raz pierwszy słyszał to imię.

Mówiła, że kochała swojego męża. Nie przejął się tym, ale teraz odkrył, że wcale mu się to nie podoba.

Do diabła! Mąciła mu w głowie. Czy powinien pojechać z Billym w góry wcześniej, niż było zaplanowane? Im wcześniej, tym lepiej, rzekł sobie ponuro.

14.

Sharisse obudziło łaskotanie po twarzy. Otworzyła oczy i ujrzała ogromne, miedziane oczy Charleya. Mruczał głośno. Poruszył łebkiem i jego długie wąsy powtórnie połaskotały jej policzek. Uśmiechnęła się, była bowiem budzona w ten sposób przez wiele ranków. Obrął taką niecierpliwą metodę, aby dać znać, że jest głodny.

- Dzień - mrau - dobrrrry.

Usiadła na łóżku za szybko i poczuła pulsujący ból. Przycisnęła dłonie do skroni w nadziei na ulgę, zastanawiając się jednocześnie, czy nie jest chora. Ale nie, błyskawicznie stanęły jej przed oczami wydarzenia ostatniej nocy. Nie powinna była pić tych trzech ostatnich kieliszków szampana. Teraz rozumiała, co miała na myśli Jenny, mówiąc o złych stronach picia. Co za diabelny ból głowy. Ból był do zniesienia tylko wtedy, gdy nie wykonywała żadnych ruchów.

Dręczyły ją niejasne wspomnienia. Przypomniała sobie swe potknięcie ostatniej nocy, kiedy przechodziła przez drzwi i Lucasa, który ją podniósł i pocałował. Jak dokładnie to pamiętała. Rozmawiali też o Sladzie, ale dlaczego nie Przypomina sobie tego tak wyraźnie? Co mówili?

- Panno Hammond?

- Co? - warknęła i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jest to kobiece wołanie, dobiegające zza drzwi. - Czy to ty, Willow? Wejdz.

Sharisse poruszyła się, by zasłonić swoją nocną koszulę kołdrą i aż wstrzymała oddech zauważywszy, że nie ma jej na sobie. Ciągle była ubrana w staniczek i muślinową halkę. Oczy rozszerzyły jej się z przerażenia, kiedy następne wspomnienia przemknęły jej przez głowę.

- Czy wszystko w porządku?

- Słucham? - Sharisse udało się uśmiechnąć do indiańskiej dziewczyny. - Tak, wszystko w porządku, dziękuję. Po prostu przypomniałam sobie coś... nieprzyjemnego. A więc to ty jesteś żoną Billego Wolfa?

Dziewczyna skinęła głową. Wyglądała dość egzotycznie, z oczami o kształcie migdałów w owalnej twarzy, z ciemnymi włosami opadającymi do ramion i gładką, ciemną skórą. Ubrana była w wyblakłą niebieską spódnicę, sięgającą jej bosych stóp i w luźną niebieską koszulę z długimi rękawami. Sharisse nie przypuszczała, sądząc po jej pogańskim mężu, że dziewczyna będzie taka śliczna i tak delikatna.

- Luke mówił, żeby cię nie budzić, ale zaczęłam się niepokoić. Jest już prawie południe - powiedziała Willow.

- Mój Boże, nie miałam pojęcia.

Dostrzegła światło słoneczne, wpadające przez rozsunięte zasłony, które zwykle zasuwiała sama. Stanowiło to potwierdzenie, iż Lucas położył ją do łóżka, po czym sobie poszedł. Musiał wyjść, prawda?

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - odważyła się zapytać Willow, swym miękkim, melodyjnym głosem kojąc zarówno napięte nerwy Sharisse, jak i jej kaca.

- Tak, naprawdę. Tylko... tylko troszkę boli mnie głowa.

- Jeśli chcesz, przyrządzę coś na to - zaproponowała Willow.

- Mogłabyś? Będę ci bardzo wdzięczna. Tylko się ubiorę i przyjdę do ciebie do kuchni.

Kiedy zamknęły się drzwi, Sharisse jak szalona zaczęła grzebać w pamięci. Lucas zostawił ją po rozebraniu jej. A może nie? Nie czuła się jak osoba pozbawiona dziewictwa, ale przecież mogła tego nie rozróżnić. Och, musi sobie przypomnieć!

Po krótkiej chwili Sharisse z wahaniem otwierała drzwi, obawiając się zastać w kuchni Lucasa. Ale była tam jedynie Willow.

- Ojej. - Sharisse uśmiechnęła się na powitanie. - Nie zauważyłam wcześniej, ale ty rzeczywiście oczekujesz już wkrótce dziecka, prawda?

Willow z czułością poklepała swój powiększony brzuch. - Tak, już niedługo.

- Czy mieszka tu gdzieś w pobliżu lekarz?

- Po co?

- Ale... przecież... - Sharisse zamilkła, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

Willow uśmiechała się do niej. - Po co mi potrzebny lekarz? Wiem, co mam robić.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest ci potrzebna żadna pomoc?

- To jest bardzo prywatne wydarzenie. Pozbędę się nawet Billego, jeśli wróci przed narodzinami dziecka.

- Jeśli wróci? Wyjechał gdzieś?

- W góry. On i Lucas wybrali się na poszukiwanie dzikiego stada dla pana Newcomba.

Sharisse usiłowała ukryć zaskoczenie. - Lucas coś o tym wspominał. Tylko nie

zdawałam sobie sprawy, że... tak szybko wyruszą.

- Och, widzę, że ci nie powiedział. To takie typowo męskie zachowanie, aby uniknąć pożegnania, kiedy się jeszcze nie jest przyzwyczajonym do kobiety. Billy był taki sam w początkach naszego małżeństwa. Nie widział nic złego w tym, że gdzieś się wybiera, nie mówiąc mi nawet, że jedzie i gdzie jedzie.

- Pewnie dlatego, że przywykł do samotnego życia? - zasugerowała Sharisse.

- Nie. Był już wcześniej żonaty. Oczywiście jego pierwsza żona była sekutnicą i unikał jej, jak tylko mógł. Może więc masz rację, że jego zachowanie wynikało z przyzwyczajenia. Teraz lubi nasze pożegnania, bo używa ich jako pretekstu do...

Uśmiechnęła się, a Sharisse wstrząsnęła ta jawna insynuacja. Jednocześnie niezwykle trudno było jej wyobrazić sobie dziko wyglądającego Billego w roli kochliwego mężczyzny.

- To dla mnie? - Sharisse wskazała szklankę na stole. Uzyskawszy potwierdzenie od Willow, upiła nieco posypanego czymś napoju i, stwierdziwszy, iż jest tylko troszeczkę gorzki, wypiła resztę.

- Siedz - zaproponowała Willow, biorąc szklankę.

- Zrobię ci śniadanie.

Sharisse przeraziła się. - Nie chcę o tym słyszeć. Powinnaś leżeć w łóżku i mieć kogoś do pomocy, a nie mnie obsługiwać. A śniadanie i tak jest w planie. Ty siedz, a ja je przygotowuję.

- Dlaczego powinnam być w łóżku?

- Dlaczego? Ze względu na twój stan.

Willow roześmiała się cicho. - Nie jestem chora, ja tylko będę miała dziecko.

- Ale nie można wymagać, abyś robiła to wszystko, co zwykle. Przecież wiele kobiet, które znałam, spodziewających się dziecka, nie wychodziło z domu od chwili, gdy ich ciąża zaczynała być widoczna. A na kilka ostatnich miesięcy ciąży kładły się do łóżka. Moja własna mama, oczekując narodzin mej siostry, żądała wprost niewolniczego usługiwania.

- Może była naprawdę chora?

- Nie, jak pamiętam, tryskała zdrowiem. - Sharisse zmarszczyła brwi w zamyśleniu. - Chcesz więc powiedzieć, że nie trzeba się tak pieścić ze sobą?

- Indiańska kobieta naraziłaby się na śmieszność, gdyby taka drobna niedogodność powstrzymała ją od dbania o siebie i rodzinę. Leżenie bez zajęcia może tylko osłabić ciało, gdy tymczasem do urodzenia dziecka potrzeba jest dużo siły.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

- Kiedy będziesz miała swoje dziecko, zobaczysz, że to przyjemność, a nie obciążenie. Istnieją zioła, które na początku łagodzą nudności, a potem to już tylko radość, że wydasz na świat nowe życie. Końcowy ból jest tylko drobnym poświęceniem dla tego cudu życia.

W jaki sposób ten temat tak wymknął się spod kontroli? Własne dziecko, też coś! O

tym dopiero będzie myśleć, a nie ma ochoty zaczynać już teraz.

- Cóż, nadal chcę nam zrobić śniadanie, ale może pod twoim kierunkiem. Podejrzewam, że słyszałaś, iż nie umiem gotować?

Chichot Willow brzmiał wspaniale. - Billy sądzi, że to śmieszne. Wyobraża sobie, że Luke schudnie do zera.

- Tak? - cierpko rzekła Sharisse. - Cóż, może zamiast tego go utuczę.

15.

To był wspaniały tydzień. Po wyjeździe Lucasa Sharisse była się w stanie zrelaksować. Odkryła, że rzeczywiście się cieszy, i to pomimo obowiązków i upału. Towarzystwo Willow okazało się bardzo właściwe. Miło było żyć w przyjaźni z inną kobietą, bez jakiegokolwiek rywalizacji. Rywalizacja, choćby nie wiem jak subtelna, zawsze była obecna w jej stosunkach z przyjaciółkami w domu.

Gdy przyzwyczaiła się do szczerości i otwartości Willow, zaczęła dostrzegać, jaką świętoszką w gruncie rzeczy była sama i podziwiać stosunek Indianki do świata. Willow nigdy jeszcze nie rodziła, ale nie przejmowała się czekającym ją zadaniem i jej pogodna postawa uspokajała Sharisse.

Spędziły dzień robiąc świece i mydło, a potem następny, przygotowując przetwory. Sharisse nauczyła się, jak konserwować warzywa. Odłożyła na bok swoją książkę kucharską gdy odkryła, że łatwiej jest jej robić notatki na podstawie instrukcji Willow. Rezultaty były dobre. Zaskoczyło ją, że czerpie przyjemność z nauki nowych rzeczy i zaczęła marzyć, by Lucas po prostu pozostał gdzieś daleko. Nie tęskniła do powrotu napięcia, jakie przynosiła jego obecność.

Próbowała wcale o nim nie myśleć. Było to łatwe w ciągu dnia, kiedy nie brakło jej zajęć. Jednak w nocy, gdy zostawała sama w domu, była zbyt świadoma swej samotności. Niepokoił ją nawet najdrobniejszy odgłos. Pragnęła wtedy i tylko wtedy, by Lucas powrócił jak najprędzej. Wówczas też potrafiła go sobie wyraźnie wyobrazić i była dziwnie zaniepokojona tym, co widziała i myślała, które tym wizjom towarzyszyły. Przyłapywała się na rozpamiętywaniu rozkosznych wrażeń, które w niej wzbudzał.

Pewnej nocy Sharisse zasnęła z takimi myślami kłębiącymi się w głowie. Przerodziły się w przyjemny sen. Ale wtedy przeraźliwie miauknął Charley i obudziła się natychmiast, siadając wyprostowana na łóżku.

- Co się dzieje, Charley?

I wówczas zobaczyła odpowiedź. Gdy nie było Lucasa, czuła się bezpieczna i zostawiała nie zasunięte zasłony. W pokoju było wystarczająco widno, by mogła dostrzec sylwetkę mężczyzny, stojącego w nogach łóżka.

A więc Lucas wrócił. Tak, piękny sposób na poinformowanie jej o tym.

- Myślę, że nadepnąłem na kota - wyjaśnił. W tym momencie Charley wskoczył w jej objęcia w poszukiwaniu pociechy. Tulila go do siebie, rozwścieczona śmiałością Lucasa. - Co to znaczy, że wchodzisz tutaj, gdy śpię?

Błysnęła zapalka i Sharisse na chwilę przesłoniła oczy. Chwilę później zapaliła się świeczka na biurczku i mogła zobaczyć Lucasa, wpatrującego się w nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Sądzę, że powinienem zapytać, co tu robisz - powiedział beznamiętnym tonem.

Zrodziło się w niej straszliwe przeczucie. Obfity zarost, dziki nieład włosów, nawet pokrywająca go warstwa kurzu - tego wszystkiego można się było po nim spodziewać. Ale ubranie było tak bardzo odmienne od czegokolwiek, co Lucas dotychczas nosił. Czarne spodnie wpuszczone w barwione na czarno i ozdobione frędzlami mokasyny o miękkich podeszwach. Granatowa koszula opuszczona na spodnie. Czarne, ręcznie robione olstro odchyłało się od talii i opadało na prawe biodro. Błyszczący pistolet o perłowej rękojeści był przymocowany rzemieniem do uda. Zawiązana z boku szyi chusta z czarnego jedwabiu uzupełniała pełen mrocznej groźby wygląd.

To musi być Lucas, to musi być on.

- Lucas? - jej głos był zawstydzającym piskiem. Pokręcił głową tam i z powrotem, unosząc kąciki ust w karykaturze uśmiechu. Spokojnie podszedł do łóżka, a jego krokom nie towarzyszył żaden dźwięk.

- Nie możesz należeć do Luke'a, bo byłabyś w jego łóżku, a nie tutaj - z zainteresowaniem omiół ją wzrokiem. - Kim więc jesteś?

Bładość powlekła jej twarz. Mój Boże! Mój Boże! To ty! Slade! Była jak zahipnotyzowana spojrzeniem, które zmierzyło się z jej wzrokiem.

- Brak odpowiedzi? - odwiązał chustę i upuścił ją na łóżko, po czym sięgnął do pasa z bronią. Przez cały czas miał wzrok utkwiony w jej oczach. - Rób jak chcesz. Nie muszę wiedzieć, jak się nazywasz, by dzielić z tobą łóżko.

Serce zaczęło jej bić jak młotem, nadal jednak nie była w stanie się poruszyć. To po prostu nie mogło się zdarzyć. Nie patrzyła, jak brat Lucasa się rozbiera. Jego koszula opadła na łóżko, potem zaś usiadł obok niej, aby ściągnąć mokasyny. Sharisse przeskoczyła na drugi brzeg łóżka, zabierając ze sobą Charleya i pozostałą część prześcieradła. Była to jednak niewłaściwa strona łóżka. Drzwi znajdowały się po przeciwnej stronie - tam, gdzie był on.

Wpatrywała się w niego ciemnofioletowymi oczami. Nie miała pojęcia, jak śmiesznie wyglądała, jedną ręką tuląc do piersi Charleya, drugą zaś prześcieradło. Prześcieradło z ledwością ją zakrywało, a błękitny negliż raczej odsłaniał to, czego nie zasłaniało. Slade nie poruszył się.

- Jeśli widzisz jakiś problem w tym, byśmy dzielili łóżko, lepiej wykrztuś to z siebie teraz.

Sharisse wycelowała sztywnym palcem w drzwi.

- Wynoś się!

Nie trzeba było tego mówić. Przekonała się o tym natychmiast. Okrążył łóżko i podszedł do niej z groźnym wyrazem twarzy, a jego niemal naga sylwetka kryła

jeszcze większą groźbę. Cofała się, dopóki nie powstrzymała jej ściana.

- Dlaczego?

Znajdował się tak blisko, że jego szerokie ramiona przysłaniały jej widok reszty pokoju. To jedno słowo, wypowiedziane z taką mocą, odbijało się zwielokrotnione w jej mózgu. Nie śmiąc napotkać jego wzroku, musiała się wpatrywać w gładkie wypukłości mięśni na jego klatce piersiowej, co było nie mniej przerażające. Przycisnęła mocno Charleya, tak mocno, że zaczął się wyrwać z jej rąk i musiała go uwolnić, w obawie przed wypuszczeniem z rąk prześcieradła.

- Ja... nie chciałam... - wyrzuciła z siebie. - Nie miałeś prawa wejść do mojego pokoju.

- To jest mój pokój, złotko - powiedział. - Korzystam z niego za każdym razem, gdy składam wizytę Luke'owi.

- A więc nieumyślnie...

Patrzyła, jak jego usta wykrzywiają się w wilczym uśmiechu. - Skarbie, byłaś dla mnie taką samą niespodzianką, jaką z pewnością jestem dla ciebie. Muszę przyznać, że miłą.

Dotknął palcem jej podbródka, wywołując w niej drżenie. Nie była w stanie wykrzesać z siebie tyle odwagi, by odtrącić jego rękę.

- Jestem zmuszona prosić, aby opuścił pan ten pokój, panie Holt.

- Możesz mnie prosić, ale musisz podać ważny powód. - Uniósł w górę jej brodę, zmuszając, by spojrzała mu w oczy. - Wolałbym zostać.

- Nie możesz! - wysapała. Usiłowała prześlizgnąć się obok niego, ale uniemożliwił jej to. - Proszę, panie Holt.

- Może lepiej powiedziałaabyś mi, kim jesteś - zaproponował.

- Jestem narzeczoną pańskiego brata.

- Mogłaś wymyśleć coś lepszego.

- Ależ to prawda!

- Och, wcale w to nie wątpię, złotko - odparł sucho. - Tylko że ten argument nie wystarczy, bym szukał noclegu gdzie indziej.

- Chyba pan żartuje!

- A dlaczegóż to?

- To pański brat!

- A ty jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mi się spotkać - wyznał otwarcie. - Cóż więc ma do rzeczy to że Luke jest moim bratem?

- Wychodzę za niego za mąż - powiedziała. Czy coś było nie w porządku ze Sladem?

- Jeszcze nie jesteś jego żoną - wzruszył ramionami. Opuścił rękę na jej kark i, lekko naciskając, przyciągnął ją bliżej. - Nie - wyszeptała. - Nie. Proszę. - Ledwo mogła oddychać.

Jego usta spoczęły na jej wargach, gorące i żądające. Przejął ją lęk do szpiku kości. Kolano rozdzieliło jej nogi i zaczęło naciskać na jej pachwiny, a ona nie mogła go

powstrzymać. Poczula odbijające się w całym ciele uderzenie żaru i, wbrew sobie, jęknęła.

Tak łatwo było wyobrazić sobie, że to Lucas. Doznawała tych samych wrażeń, jakie budził w niej Lucas. Jak to możliwe, by obaj tak na nią działali? Ale to nie był Lucas, tylko Slade, który udawał, że jest istotnie tak niebezpieczny, jak ją przestrzegano.

Udało jej się go odepchnąć. - Nie!

Cofnął się. Naga namiętność tliła się w jego błyszczących, zielonych oczach. Prześcieradło opadło i oczy te chłoneły widok jej ciała osłoniętego przejrzystym negliżem.

- Nie powinnaś nosić takich szmatek. W sekundę mógłbym je z ciebie zedrzeć.

- Nie dotykaj mnie.

- Wiesz, że mógłbym zrobić cię moją kobietą.

- Nie rób tego - powtórzyła szeptem.

Przez chwilę zastanawiał się, wyraźnie walcząc ze sobą. Wstrzymała oddech.

Jego ręka wystrzeliła do przodu, palce przesunęły się wzdłuż łuku jej szyi, a potem w dół głębokiego dekoltu jej nocnej koszuli. Palce były gorące i wywoływały uczucie dziwnej miękkości w kolanach. Wyraz jego oczu przejął dreszczem jej ciało.

- Będę krzyczała - Mack usłyszy.

Uśmiechnął się, a jego głos był bardzo zachrypnięty. - Mack ma kłopoty ze słuchem, nie wiedziałaś o tym?

Ale dlaczego wspomniałaś o starym? Czy Luke nie przyjdzie ci z pomocą?

- A potrzebuję ratunku?

- Zależy, jak na to patrzeć.

Oczywiście myślał, że Lucas jest w sąsiednim pokoju. - Możesz po prostu odejść - zaproponowała z nadzieją.

- Już ci mówiłem, złotko. Wolałbym zostać.

- Ale Lucas...

- ...nie musi nic wiedzieć.

- Ja mu powiem. - Jej głos był zaledwie szeptem.

- Nie ujdzie ci to na sucho.

- Krzycz więc i sprowadź go tutaj. Będę z nim walczył o ciebie, jeśli do tego dojdzie.

- Kiedy nie odpowiedziała, roześmiał się. - Nie wołasz go? Może więc jednak wcale go tu nie chcesz widzieć.

Była bliska hysterii. - Nie ma go tutaj. Pojechał łowić dzikie konie z Billy Wolfem.

- Jesteśmy więc tu sami? Czemu zatem marnujemy czas na rozmowę?

Pochylił się do przodu, lecz Sharisse mocno oparła obie ręce na jego piersi. - Ostrzegam cię, Sladzie Holt. Powiem Lucasowi, a on cię znienawidzi!

- Sądzisz, że się tym przejmę?

- Jesteś podły - wysapała. - Jeśli jesteś tak bardzo spragniony kobiety...

- ...znajdź sobie jakąś gdzie indziej? - Jego wzrok powędrował ku jej piersiom. - Tak naprawdę wcale nie chcesz, bym to zrobił. - Te oczy powróciły w górę, by jej urągać.

- Trzęsiesz się.

- Cóż, boję się ciebie.

- Nie dlatego się trzęsiesz.

- Przestań!

Zmierzył ją wzrokiem. - Dlaczego z tym walczysz?

- Zmarszczył brwi. - A może Luke jest jedynym, którego pragniesz?

- Tak - powiedziała, a potem, z jeszcze większym naciskiem - tak!

Cofnęła się wtedy tak gwałtownie, że aż wpadła prosto w jego objęcia. Odskokczyła do tyłu.

Wydawało jej się, że usłyszała jego westchnienie, ale nie była pewna. Odwrócił się i podszedł do łóżka. Wlepiła w niego wzrok, świadoma, jak bardzo chwieje się na nogach.

- Jak się nazywasz? Zbierał z łóżka swoje rzeczy.

- Sharisse Hammond.

- Od jak dawna znasz mojego brata?

- Niedługo. - Rozpaczliwie pragnęła, by sobie poszedł. - Może Lucas będzie mógł zaspokoić pańską ciekawość, panie Holt.

- Aż tak cię denerwuję?

- Owszem.

Zaśmiał się. - W porządku, już idę. - Jednak w drzwiach przystanął i odwrócił się, aby jeszcze raz przeszyć ją spojrzeniem tych błyszczących, zielonych oczu. - Zatrzymam się gdzieś tutaj, dopóki nie wróci Luke. - A potem dodał cichym i złowieszczym głosem. - To jeszcze nie koniec, ślicznotko. Daj mi trochę czasu. Przekonasz się, że nie jestem gorszy od Luke'a. Mam zamiar ci to udowodnić, zanim odjadę.

Drzwi się zamknęły, lecz Sharisse stała w miejscu jak wrośnięta w ziemię, dopóki nie usłyszała, że zamyka drzwi do pokoju Lucasa. Wówczas podbiegła i zamknęła na klucz drzwi swojej sypialni.

16.

Sharisse zwlokła się z łóżka o brzasku, zarzuciła jedwabny szlafroczek, nastawiła kawę, po czym wróciła do łóżka. To było wszystko, co gotowa była zrobić dla brata Lucasa. Nie zamierzała szykować mu jedzenia, a im mniej go będzie widziała tym lepiej.

Kiedy obudziła się po raz drugi, było już późne przedpołudnie. Postanowiła traktować ten dzień jak każdy inny, ignorując kręcenie się po ranczu nieproszonego gościa.

Drzwi do sypialni Lucasa były otwarte, lecz nie pozostał tam żaden znak świadczący o tym, że Slade spał tu ostatniej nocy. Łóżko było posłane. Miała nadzieję, że

nocował w stajni.

W kuchni także nie znalazła śladów jego obecności, nawet brudnego kubka po kawie. Tylko dzbanek był prawie pusty, nie mogła więc mieć nadziei, że w nocy opuścił rancho.

Wstawiła wodę, żeby móc rozcieńczyć swoją kawę. Zanim jednak zdążyła ją sobie nalać, jakaś para rąk objęła ją w pasie, pociągnęła w tył i przytuliła do twardego ciała. Gładki policzek otarł się o jej szyję. Z przerażenia nieomal wyskoczyła ze skóry. Nie słyszała wcześniej żadnego dźwięku. Jednak pospieszny rzut oka w bok ujawnił gładko ogoloną twarz i Sharisse westchnęła z ulgą.

- Och, Lucas, śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Myślałam, że jesteś...

Zaśmiał się złośliwie. - Mówiłem ci, że nie dostrzeżesz różnicy, moja piękna. Nie musisz nawet zamykać oczu, aby wyobrazić sobie, że jestem nim.

Zaczerpnęła tchu i odepchnęła go od siebie. - To pan! Może pan wyglądać jak on, ale nim pan nie jest. Jest pan napastliwym, bezwzględny, bezlitosny...

- Tak, tym wszystkim, co zwie się hombre - powiedział spokojnie. - Powinnaś więc lepiej wiedzieć, że nie należy mnie drażnić.

- Nie przestraszy mnie pan, panie Holt - odrzekła dumnie.

- A niech to - gwizdnął. - Jest jednak w tobie trochę odwagi.

Odsunął krzeselko od stołu i usiadł na nim okrakiem, przyglądając się jej. Umyty i ogolony, był niesamowicie podobny do Lucasa. Byli naprawdę identyczni, nie wyłączając brązowego odcienia skóry. Ale Slade'owi brakowało chłopięcego uśmiechu Lucasa i jego denerwującego uroku, i to stanowiło ogromną różnicę. Ten mężczyzna był zimny, sardoniczny, być może nawet okrutny, a na pewno pozbawiony zasad. A jednak... takiego człowieka w pewien sposób dostrzegała w Lucasie. Zdarzały się chwile, kiedy Lucas wyglądał dokładnie tak samo zimno i nieczule. Ale Lucas był człowiekiem. Slade zdawał się nim nie być.

Odwróciła się do niego plecami i skończyła nalewać sobie kawę.

- Naprzykrzam ci się, prawda? - zagaił delikatnie.

- Tak.

- Przyzwyczaisz się do mnie.

- Śmiem mocno wątpić, panie Holt.

- Wżeniasz się w rodzinę, więc równie dobrze możesz mnie nazywać Slade.

Odwróciła się i spojrzała na niego, przypominając sobie ostatnią noc. - Przybyłam tu poślubić pańskiego brata, a nie pana.

- U Apaczy wszystko pozostaje w rodzinie - powiedział jej. - Po śmierci wojownika oczekuje się, że wdowa po nim poślubi brata swojego męża.

- Nie jestem Apaczem, podobnie jak pan. - Stale jednak miała w pamięci, że żył jak Apacz.

- Nie pochodzisz stąd, prawda? - spytał.

- Nie, jestem z... St. Louis - powiedziała, przypomniawszy sobie historię wymyśloną

przez Lucasa.

- Jak poznałaś Lucasa? Nie jeździł na wschód przez ładnych parę lat.

Uciekła spojrzeniem. - Lucas będzie mógł to lepiej wyjaśnić.

- Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

- Panie Holt!

- Nie mów, że to nie mój interes. W końcu jest moim jedynym bratem i moją jedyną rodziną.

- Szkoda, że nie pamiętał pan o tym ostatniej nocy - rzekła cierpko.

Zareagował niewielkim wzruszeniem ramion. - Jeśli chodzi o mnie, jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Jak już mówiłem, nie jesteś jeszcze jego żoną.

Trudno było mieć nadzieję, że zacznie żałować swego zachowania. Powinna to była wiedzieć. Wstał, a jego oczy rozpromieniły się. Poczowała to samo dziwne ściskanie w piersiach, jakiego doświadczyła w nocy i musiała oddychać głęboko, żeby w ogóle złapać dech.

Zaczął się do niej przybliżać. - Trzymaj się ode mnie z daleka, Slade. - Wysunęła przed siebie kubek parującej kawy, w jednoznacznym geście ostrzeżenia.

Zatrzymał się. - Zamierzasz ze mną walczyć?

- W każdej chwili - powiedziała.

- Ale nie możesz wygrać - oznajmił otwarcie. - Nawet gdybyś miała rewolwer w ręce, nie miałyby to znaczenia. Czy nie rozumiesz?

Jego dłoń wystrzeliła do przodu i zamknęła się na jej nadgarstku w żelaznym uścisku. Pociągnął jej rękę na blat z taką siłą, że musiała puścić kubek.

- Zapisuję ci na plus tę próbę, skarbie. - Czyżby w jego głosie brzmiało rozbawienie?

- Ale nie próbuj tego więcej. I załóż tę śliczną niebieską koszulę nocną dziś wieczorem.

Pocałował ją mocno i szybko, po czym puścił ją i wyszedł przez drzwi, nie obejrzawszy się za siebie.

17.

- Mack?

- Tu jestem! - zawołał.

Sharisse z niepokojem przemierzyła stajnię, zatykając nos przed zapachem. Odnalazła Macka w obszernym boksie, gdzie dwa młode źrebaki przepychały się wzajemnie, by zdobyć cukier, który podawał im Mack.

Zdumiała ją, że zdobyła się na przyjście tutaj, ale nie miała wyboru. Groźba Slade'a była realna. Jeśli zostanie, będzie ją miał.

Jedynie Lucas mógł ją ochronić. Nie było jednak czasu, by wysłać po niego Macka - mogło się zrobić bardzo późno, nim Mack i Lucas powrócą na ranczo. Nie mogła tak ryzykować.

- Czy osiodłasz mi konia, Mack?

Przyjrzał się jej sceptycznie. - Luke wspominał coś o tym, że nigdy nie siedziałaś na

koni.

- To prawda, lecz mówił też, że kiedyś będę musiała się tego nauczyć.

Boże, spraw, by powiedział, że jest tu gdzieś jakaś stara bryczka, albo coś takiego. Była przerażona wizją konnej jazdy.

- To prawda. Zamierzasz poćwiczyć, czy chcesz jechać do miasta?

- Teraz chcę znaleźć Lucasa. Miałam nadzieję, że będziesz mógł mnie do niego zaprowadzić.

- Psiakość. Oni są o jakieś trzy, cztery godziny jazdy stąd! - wykrzyknął. - I nie wiadomo, gdzie rozbili obóz. Wytropienie ich zajęłoby mi kilka dni. Nie mogę na tak długo opuścić rancza. - Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. - A co to tak piekielnie pilnego, że nie może poczekać dzień czy dwa? Wkrótce powinien wrócić.

Nie bardzo mogła wytłumaczyć, a denerwowała się coraz bardziej. - Przygotuj mi więc tylko konia, dobrze?

- Nie, jeśli masz zamiar zrobić jakieś głupstwo. Gdybyś jednak pojechała najpierw do miasta i wynajęła tropiciela, który potrafi odnaleźć ich w niecały dzień...

Rozjaśniła się. - Dobrze! Zrobię tak. - Nie wiedziała jeszcze, czym zapłaci tropicielowi, ale o to będzie się martwić później.

- A więc tak planujesz postąpić? - spytał podejrzliwie.

- Nie jestem kompletną idiotką, Mack. Po prostu nie wiedziałam, że można wynająć kogoś, kto zabierze mnie do Lucasa. Ale kiedy mi to wyjaśniłeś...

- No dobrze już, osiodłałam ci Sally. Nie powinna ci sprawiać kłopotów przy pierwszej przejażdżce.

Patrzyła, jak spokojnie podąża do zagrody. Zaciśnęła dłonie, pragnąc, aby się pospieszył.

Miała na sobie grubą spódnicę podróżną, jedyną rzecz nadającą się do jazdy, jaką posiadała, a pod nią wszystkie swoje halki w charakterze poduszki. Nie miała już odpowiedniej bluzki, więc aby uniknąć wyjaśnień przy pożyczaniu jakiejś od Willow, wzięła jedną ze starych koszul Lucasa, dającą się zapiąć pod szyję. Podwinęła rękawy kilka razy do góry. Znalazła także jego kapelusz z bardzo szerokim rondem i upięła pod nim włosy. Łagodnie rzecz ujmując, nigdy jeszcze nie wyglądała śmieszniej. Ale w świetle wydarzeń nie było to takie ważne.

- Uciekasz ode mnie, ślicznotko?

Sharisse podskoczyła i odwróciwszy się, ujrzała Slade'a.

- Ja... ja tylko...

- Chce się widzieć z Lukiem w jakiejś sprawie - wyrwał się nadchodzący właśnie Mack. Prowadził Sally, niewielką kasztankę. - Mówiłem jej, że powinna poczekać, że wróci już niedługo, ale dziewczyna się uparła. Jedzie do miasta znaleźć kogoś, kto zaprowadzi ją do niego.

Slade przyglądał się Sharisse z niezbadanym wyrazem twarzy.

- To nie jego sprawa, gdzie się wybieram - warknęła na Macka.

- Nie rozumiem dlaczego, przecież Luke jest jego bratem - odburknął Mack. - Ach, i zna góry lepiej niż ktokolwiek inny. Potrafi odnaleźć Luke'a przed zachodem słońca. Czemu nie poprosisz, by z tobą pojechał?

Sharisse zbladła i gwałtownie pokręciła głową. - To nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego? - łagodnie zadał pytanie Slade. - Nie mam nic lepszego do roboty. Nie mam nic przeciwko temu.

- Nie mogę się narzucać.

- Nie narzucasz się.

- Ale...

- Nie ma sensu się sprzeczać, panno Hammond -przerwał jej Slade. - Nie mógłbym pozwolić ci wyjechać stąd samej. Trudno powiedzieć, kogo mogłabyś spotkać w drodze do miasta. Oczywiście - dodał z uśmiechem - zawsze możesz zostać na miejscu i zaczekać, aż mój brat przyjedzie do ciebie.

Insynuacja była jasna. Zostać i czekać, aż Slade przyjdzie do jej sypialni. Osaczał ją. Gdyby została, byłaby zgubiona. Lecz nie miał też zamiaru pozwolić jej odjechać bez niego. Swoje groźby podał jak na tacy. Co wiązało się z mniejszym niebezpieczeństwem?

Potraktował jej milczenie jak oznakę zgody i ruszył na poszukiwanie swojego konia. Podążyła za nim, aż znaleźli się poza zasięgiem słuchu Macka. - Wiesz, czemu chciałam odjechać - wysyczała. - Dlaczego nie możesz po prostu zostawić mnie w spokoju? - Nie odpowiedział, nawet nie podniósł oczu. - Chcę, żebyś mi dał spokój. Nie możesz tego zrozumieć?

Jakby nie słyszał ani słowa z tego, co powiedziała, spojrzął ponad grzbietem swojego konia i krzyknął do Macka. - Nie trzeba szykować drugiego dla niej, Mack. Pojedzie ze mną.

- Nie pojedę - stwierdziła Sharisse.

- Nie możesz jechać okrakiem w tej wąskiej spódnicy, chyba że zamierzasz odsłonić nogi, czego, jestem pewien, wcale nie chcesz zrobić.

- W ogóle z tobą nie jadę - wyszeptała z wściekłością. Odwróciła się, żeby odejść, ale złapał ją wpół i w mgnieniu oka znalazła się, siedząc bokiem, na jego koniu. Nim zdążyła choćby spróbować się ześlizgnąć, siedział już koło niej, trzymając ją w objęciach przed sobą. Chwycił wodze w rękę.

- I nie krzycz, ślicznotko - szepnął miękko - bo staruszek pomyśli, że się boisz konia. Kiedy przemyślała tę uwagę i doszła do wniosku, że Mack mógłby okazać się wystarczająco sprytny, by pomyśleć coś innego, było za późno. Slade galopował już za stajnią, a jej przerażony oddech naprawdę wywołany był jazdą. Nic nie mogła poradzić. Słyszała, że się śmieje, lecz nie przejmowała się tym. Pierwsza w życiu konna przejażdżka była dokładnie taka, jak to sobie wyobrażała - okropna. Kiedy jednak zwolnił konia do kłusa, zrobiło się chyba jeszcze gorzej. Wstrząsy były tak nieprzyjemne, zęby jej dzwoniły.

Parę mil od rancza Slade zatrzymał się. - Nie mam nic przeciwko temu, że mnie tak mocno ściskasz, skarbie, ale naprawdę nie jest to konieczne. Nie pozwolę ci spaść. Rozluźniła uchwyt, aby trochę odsunąć się od niego, ale nie miała na tyle zaufania do swojej pozycji na koniu, aby puścić go całkowicie. Ziemia wydawała się tak odległa. Trzymając ją pewnie w pasie jedną ręką Slade obrócił się w siodle, by wziąć coś z tyłu konia. - Podnieś tyłek - rzucił, odwracając się z powrotem.

- Co?

Wyraz jego twarzy był łagodny jak nigdy dotąd. - Oprzyj się na grzbiecie konia i unieś, żebym mógł podłożyć ci koc. Znosi się na długą podróż, czemu więc nie masz siedzieć wygodnie.

- Och. - Zdecydowała się spytać. - Chcesz powiedzieć, że naprawdę zawieszysz mnie do Lucasa?

Przez dalszą część dnia jechali równym tempem, w milczeniu. Czy może mu ufać? Czy naprawdę zabierze ją do Lucasa?

Krajobraz przesunął się obok, pełen samotnych wzgórz w odcieniu rdzy i urwisk z czerwonej skały, z obecnymi wszędzie zielonożółtymi, wyniosłymi kaktusami. Na tej spalonej słońcem ziemi kwiaty były cudem. Skalisty płaskowyż upstrzony był złocistymi jaskrami i purpuroworóżowymi koniczynami, zaś wyżej, w górach, rosły fiołki, przetarzniki i goryczki.

Powietrze było tu chłodniejsze. Po kilku godzinach jazdy niebo zaczęło przybierać barwę fioletu na wschodzie, a złocistopomarańczową na zachodzie. Sharisse zaczęła się martwić, czy znajdą Lucasa nim zapadnie zmrok - i czy w ogóle Slade wiezie ją do niego. I właśnie wtedy zaskoczył ją, mówiąc: - Jesteśmy na miejscu.

- Gdzie?

Nic nie było widać. Jechali krętą ścieżką, wspinającą się po górskim zboczu, usianą otoczkami i gęstymi krzakami. Strome skalne ściany przesłaniały widok.

- Nie sądzisz chyba, że trzymają stado koni na otwartej przestrzeni? - rzucił. - Rezerwat San Carlos nie jest tak daleko stąd. Zbuntowani Apacze przeczesują te tereny.

- Zbuntowani? - spytała z przestraszeniem, obracając się, by na niego spojrzeć. - A ja myślałam, że wszyscy Indianie zostali zamknięci w rezerwach.

- Niektórzy nie lubią być zamknięci - odparł spokojnie. - Arizona jest nawiedzana przez niezadowolonych wojowników od ponad dwudziestu lat. Jesteśmy na ścieżce, której używają przy swych wypadach przez granicę.

- Możemy więc w każdej chwili wpaść na bandę Indian?

- Boisz się tego?

- Oczywiście.

- Nie masz czego - rzekł obojętnym tonem. - Jedynym Indianinem przebywającym teraz w tej okolicy jest Billy, a on jest tak nieszkodliwy, jak tylko można.

Rozejrzała się dookoła. - Skąd to wiesz? I gdzie on jest?

- Powinien być po drugiej stronie tego wąskiego przejścia w górze - powiedział, ignorując jej pierwsze pytanie. Zsiadł z konia i wyciągnął ręce w jej kierunku. - Chodź.

Chwyciła się łąku siodła. - Skąd wiesz? Tak łatwo było iść po ich śladach?

- Billy świetnie wie, że trzeba zacierać ślady.

- A więc skąd...?

- Przez jakiś czas mieszkałem w tych górach. Sam też tropiłem stada dzikich koni. Billy i ja korzystaliśmy między innymi z tego miejsca.

Oczywiście znał tę drogę. Lucas mówił jej o ośmiu latach, które Slade spędził w dziczy. A buntownicy, o których wspomniał? Pewnie znał ich osobiście!

Zaczęła się zsuwać z konia, opierając ręce na jego ramionach i pozwalając, by pomógł jej stanąć na ziemi. Ale Slade nie puścił jej. Zanim zdążyła opuścić ręce, gwałtownie przyciągnął ją do siebie i wpił się ustami w jej usta. Nie mogła jasno myśleć. Nie miała nawet czasu, by walczyć, zawiodło ją ciało, rozkoszujące się nagłym uderzeniem gorąca, które przyprawiło ją o zawrót głowy, jej ręce same oplotły jego szyję.

Wydał stłumiony jęk i puścił ją gwałtownie. Potknęła się i oparła o konia. Co powstrzymało go tym razem? Jego oczy błyszczały niebezpiecznie, ale czy była to żądza, czy złość?

Bez słowa schwycił jej dłoń i pociągnął za sobą w przesmyk pomiędzy skalnymi ścianami. Nie mogła się wyrwać z uchwytu. Nie mogła go kontrolować - ani swojego losu. Albo Lucas będzie w tym pasażu, albo też uwiedzie ją jego osławiony brat.

18.

Na widok koni, uwiązanych przy ścianie urwiska, Sharisse odczuła szaloną ulgę. Billy siedział w kucki przy ognisku, piekąc mięso. Z zaskoczeniem patrzył, jak Slade przeciąga Sharisse przez wąskie przejście do małej dolinki.

Skalne ściany urywały się gwałtownie po obu stronach prowizorycznej zagrody dla koni, dalej ciągnął się stromy stok górski. W pobliżu ogromne głazy zaznaczały miejsce, gdzie znajdował się przeciwległy wylot doliny. Cała ta surowa scena skąpana była w krwistoczerwonym blasku zachodzącego słońca.

Billy uniósł się. Był ubrany dokładnie tak samo, jak w chwili ich pierwszego spotkania i wyglądał na dzikusa w każdym calu.

- Po co ją tu przyprowadziłeś? - zaczepnie zagadnął Billy.

- Chciała znaleźć Lucasa - głosem bez wyrazu odpowiedział Slade.

Sharisse szybko odsunęła się od niego, bliżej Billego. Billy niepokoił ją odrobinę mniej, niż Slade.

- Gdzie jest Lucas?

- Zwariowałaś. - Billy wygarnął prosto z mostu. - Jutro rano zamierzamy rozpocząć powrót.

- A skąd miałam o tym wiedzieć? - broniła się Sharisse. - Proszę, powiedz, gdzie jest

Lucas?

Zanim Billy zdążył odpowiedzieć, Slade znalazł się u jej boku.

- Miło cię znowu widzieć, Billy.

- Zaczynałem już wątpić, że jeszcze kiedykolwiek tu przyjedziesz. - Billy był rozluźniony, uśmiechnięty.

Slade wzruszył ramionami. - Zdaje się, że Luke świetnie sobie radzi. Oczywiście z twoją pomocą - dodał, spoglądając na konie w zagrodzie. - Ile z nich należy do niego?

- Ponad połowa - Billy zachichotał. - Zanim wyjechałeś, dobrze go wyszkoliłeś.

- Billy, gdzie jest Lucas? - ostro spytała Sharisse.

- Gdzieś tam daleko. - Machnął ręką w kierunku wylotu położonego naprzeciw przesmyku, którym się tu dostała. - Nie widziałem go przez cały dzień - wyjaśnił Billy. - Złapał młodego konia, który się kręcił koło stada, kiedy nie było ogiera. Nie mogliśmy go trzymać razem z klaczami. Za bardzo je podniecał. A mając tyle koniny do wyboru, konik nie mógł się uspokoić. - Uśmiechnął się na myśl, że porusza temat nie przeznaczony dla jej delikatnych uszu, nieświadom tego, że Sharisse zupełnie nie miała pojęcia, o czym mówi. - Trzeba było go odizolować od zapachu klaczy. Domyślałam się, że Luke postanowił dotrzymać mu towarzystwa.

Sharisse wpatrywała się w wylot doliny. Robiło się coraz ciemniej. Co będzie, jeśli Lucas spędzi poza obozowiskiem całą noc?

Z wahaniem popatrzyła na Slade'a i dostrzegła, że przygląda się jej z ponurym rozbawieniem w oczach.

Znów odsunęła się od niego, rozpoczynając wędrówkę wokół ogniska. Jego śmiech przejął ją dreszczem.

- Zajmij się moim koniem, dobrze, Billy? - poprosił Slade, śledząc wzrokiem Sharisse. - To był wyjątkowo ciężki dzień.

Sharisse wstrzymała oddech. Mają zostać sami? O nie, dzięki.

- Myślę, że wolałabym poszukać Lucasa, niż na niego czekać - powiedziała prędko.

- Tylko poczekaj. - Billy powstrzymał ją i pochylił się, aby schwycić wielki kawał mięsa w kawałek skóry. Owinał je szczelnie, po czym wręczył Sharisse. - Chcesz iść, więc możesz mnie wyręczyć i mu to zanieść - to na wypadek, gdyby postanowił tam spać z ogierem.

- Kiedy się dowie, że tu jestem, przyłączy się do nas - powiedział Slade. - Tęsknię za jego widokiem, więc nie zatrzymuj go za długo, ślicznotko. - Zmierzyli się wzrokiem. - On i ja mamy ze sobą coś do ustalenia, a nie chciałbym tego odkładać.

Sharisse niemal przebiegła przez ciemny korytarz między głazami. Wcale nie czuła się bezpieczna, nawet kiedy zostawiła Slade'a daleko za sobą. Wąska ścieżka poszerzyła się, ale w zapadającym zmroku niewiele mogła dostrzec. Wszystko miało postać ciemnych, przerażających cieni, zwłaszcza po tej stronie dróżki, po której znajdowała się opadająca w dół stromizna.

Zwolniła, uważając na każdy krok. Oczywiście nie miała zielonego pojęcia, jak daleko stąd był Lucas i modliła się, aby słabiutkie światło nie zamarło, nim go odnajdzie. Na ostrym zakręcie prawie wpadła na drzewo. Po lewej stronie zaczynał się gęsty las sosnowy. Na wprost ścieżka mijała jeszcze więcej skalnych ścian. Sharisse kontynuowała marsz, wreszcie stanęła. Niespodziewanie dróżka rozwidlała się, a jedna z jej odnóg zdawała się zawracać w kierunku, z którego przyszła.

- Lucas? - Błagam, niech tylko odpowie. - Lucas?

Czekała, wstrzymawszy oddech, ale nie doleciał jej żaden dźwięk. Za nią niebo nie było widoczne, toteż zamiast pogрузić się w ciemnościach po swej prawej stronie, skręciła w kierunku lasu. Przynajmniej, wysoko nad głową, stale można było dostrzec odbłask słońca w chmurach.

Czas jednak płynął, a ona ciągle nie mogła znaleźć Lucasa. Zawróciła, ale kiedy wreszcie dotarła do miejsca, w którym ścieżka się rozdzielała, znowu się zawahała. Czy może ryzykować, że całkowicie się zgubi, czy też powinna podążać drogą, którą już poznała? Równało się to decyzji, czy odnaleźć Lucasa, czy spędzić noc z samym Siadem i Billym.

Ruszyła w nieznaną. Ścieżka skręciła w lewo, wyraźnie w samo serce gór. Zaledwie jednak Sharisse pogрузiła się w ciemności, gdy zobaczyła światło ogniska. Zaczęła biec w jego kierunku. Potem dostrzegła konia, uwiązanego liną do wbitego w ziemię palika. Była to niewielka, okrągła przestrzeń pomiędzy ogromnymi głazami, ślepy zaułek dla każdego, kto nie był wystarczająco zwinny, by wspiąć się po gładkiej skale.

Niewątpliwie Lucas do niezręcznych nie należał. Płasko wyciągnięty, leżał na wierzchołku ogromnego kamienia z bronią wycelowaną prosto w nią. Sharisse zamarła.

- Sharisse? Co u diabła tutaj robisz?

Jednym ruchem zeskoczył ze skały i podszedł do koca przy ognisku. Na powrót umieścił strzelbę w pokrowcu i położył obok juków. Na jego widok Sharisse zawahała się. Nie miał na sobie koszuli. Niebieskie spodnie miał wpuszczone w sięgające kolan czarne mokasyny, tak samo jak Slade.

- Lucas? To ty, prawda?

- Co ma oznaczać to pytanie?

- Jest dla mnie ważniejsze niż myślisz - powiedziała załamującym się głosem, zaczynając odczuwać skutki ostatnich paru godzin.

- Spotkałaś może mojego brata? - zapytał. - Czy dlatego nie jesteś pewna, Shari, że ja to ja?

Shari. Tylko to potrzebowała usłyszeć. Slade by nie wiedział, w jaki sposób Lucas zdrobnił jej imię, dodając francuską wymowę.

- Och, Lucas! - Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję, nie przejmując się jego nagim torsem.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię spotkałam!

- Widzę - mruknął, przytulając ją mocno. - Może byś mi jednak to wyjaśniła.

Obejmowała go, zdumiona poczuciem bezpieczeństwa, które ją przy nim ogarnęło.-

To było okropne - rzuciła pospiesznie. - Mam nadzieję, że cię nie zmartwię, ale muszę ci powiedzieć, że wcale nie lubię twojego brata.

Odsunął ją od siebie, by móc spojrzeć na jej twarz.

- Co takiego zrobił?

- On... - Przerwała. Teraz, kiedy była bezpieczna, poczuła się głupio, że tak bardzo się przestraszyła. Czy nie wyśmiejemy jej, gdy mu wszystko opowie? - Och, czy

musimy teraz o tym rozmawiać? Sądzę... Przywiozłam dla ciebie obiad, widzisz? -

Wręczyła mu mięso, które ścisnęła w ręce. - Billy nie był pewien, czy wrócisz dziś wieczorem, więc przesyła to.

- Jak się tutaj dostałaś?

- Slade mnie przywiózł.

- To znaczy, że jest tutaj? Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

Odszedł i zaczął zasypywać ognisko ziemią.

- Lucas, poczekał! - krzyknęła, a on odchylił się, w oczekiwaniu wpatrując się w jej twarz. - Czy musimy dołączyć do nich? Przecież... przecież jutro rano Slade też jeszcze tu będzie.

Sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Chcesz powiedzieć, że pragniesz tu zostać?

- Tak.

- Mam tylko jeden koc.

To ostrzeżenie kompletnie do niej nie dotarło. Nie słuchała uważnie, pochłonięta myślami o odwleczeniu konfrontacji. - Nie jest tak bardzo zimno - odpowiedziała bez troski.

Lucas zawahał się. Czy zdawała sobie sprawę z tego, na co się decyduje? Wyglądało na to, że swoje obawy przeniosła z niego na Slade'a. Miał nadzieję, że tak się stanie. Zaciągnął wobec brata dług wdzięczności.

- W takim razie czuj się jak u siebie w domu.

- Uśmiechnął się i odrzucił jej mięso z powrotem.

- Poczęstuj się, a poza tym w jukach znajdziesz jakieś suchary.

Sharisse przesunęła się i usiadła na kocu. Zdjęła kapelusz. I zaczerwieniła się na myśl o tym, że prawdopodobnie już dawno rozpoznał swój kapelusz i koszulę.

- Pożyczyłam sobie kilka twoich rzeczy, żeby tu przyjechać - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Koszula wygląda na tobie lepiej niż kiedykolwiek na mnie.

Znow rozniecił ogień, celowo koncentrując się na tym zajęciu. Sharisse rozłożyła jedzenie koło siebie, jedynie przez moment zawahała się, zanim palcami oderwała pierwszy kawałek mięsa. Była wygłodniała.

- Czy teraz chciałabyś mi o tym opowiedzieć? - spokojnie zadał pytanie, siadając

koło niej.

- Co?

- O tym, co skłoniło cię do wzięcia konia i przyjazdu tutaj. Mógłbym przysiąc, że jesteś śmiertelną przeciwniczką konnych przejażdżek.

- Och - chciała uniknąć odpowiedzi.

Naprawdę nie miała ochoty mu mówić, jak podłym człowiekiem jest jego brat. Zresztą, mógłby nawet jej nie uwierzyć, i co wówczas?

- Podróż nie była aż taka straszna, jak myślałam - powiedziała. - Poza tym nie musiałam kierować koniem. Jechałam...siedziałam na koniu przed Siadem.

- Czy dobrze cię zrozumiałem? Sądziłem, że jesteś tu z powodu Slade'a.

- No, tak.

- A mimo to dałaś mu się tutaj przywieźć, a nawet jechałaś z nim na tym samym koniu?

- Lucas - powiedziała - on mi nie dał żadnego wyboru. Widział, że opuszczam ranczo, aby cię znaleźć i postanowił mi towarzyszyć. Na dodatek wsadził mnie na swojego konia i ruszył, zanim zdążyłam zareagować. Nie chciałam, żeby on mnie tu przywoził. Mój Boże, jedynym powodem, dla którego musiałam wyjechać była... Zawahała się, a Lucas uśmiechnął się. - Była chęć ucieczki przed nim?

- Sądzisz, że to zabawne?

- Slade już taki jest, moja droga. Rzadko kiedy prosi o pozwolenie, zanim coś-zrobi. Po prostu nie jesteś do niego przyzwyczajona.

- Nie mam zamiaru się przyzwyczaić. - Zaczynała się czuć pokrzywdzona.

- Nie oceniasz go zbyt surowo?

- Nie!

- Nie zrobił ci krzywdy, prawda?

- No... nie.

- Dobrze więc, Sharisse. - Był znudzony jej wykrętami. - Co właściwie zrobił Slade? Nie mogła znieść jego badawczego spojrzenia. - Pocałował mnie.

- I to wszystko?

- Lucas! - wykrzyknęła, a jej głos odbił się echem od skalnych ścian. - A czy to nie wystarczy? Wiedział, że jestem twoją narzeczoną, a mimo to mnie pocałował!

- Skarbie, rozumiem, że mogło cię to wzburzyć, ale doprawdy nie mogę mieć za złe Slade'owi, że próbował.

Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaką pokusę stanowią - stwierdził bez ogródek.

Odwróciła wzrok. Spodziewała się, że będzie zły, a nie rozbawiony. A może zachowała się jak histeryczka? Groźba zdawała się taka realna. A jednak Slade przywiózł ją do Lucasa i wcale jej nie zgwałcił, jedynie groził.

- Mimo wszystko go nie lubię. - Podniosła głos ze wzburzenia.

- Niewiele osób go lubi, skarbie.

Czyżby w jego głosie słychać było gorycz? Powiedział to tak smutno. - Przepraszam.

Nie jesteś na mnie zły, prawda?

- Nie.

- Nie przyjechałabym, gdyby mnie tak nie zdenerwował. Rozumiesz, nie mogłam tam z nim zostać sama.

- W porządku, Shari. - Uśmiechnął się uspokajająco.

- Nie martw się już tym. Nie będzie ci się więcej naprzykrzał.

Tak długo, jak długo jestem z tobą, pomyślała.

- Cieszę się, że nie jesteś taki, jak on - dodała pod wpływem impulsu. Nie mogła odczytać spojrzenia, jakim ją obdarzył.

19.

Wiedział o tym, że nie śpi. Nie mogła zasnąć, przekręcała się z boku na bok. Lucas leżał obok, walcząc ze sobą i zastanawiając się, co jej się stało.

Sharisse protestowała, kiedy układał się do snu koło niej, mieli jednak tylko jeden koc. Musiała więc leżeć obok, zaakceptowała nawet jego ramię w charakterze poduszki. Lecz była niespokojna jak kot. Niewątpliwie przejmowała się ich bliskością, zresztą on także. W gruncie rzeczy był zaskoczony swoim skrępowaniem. Była tam, gdzie chciał ją mieć, na dodatek był prawie pewny, że by go nie odepchnęła, a jednak trzymał się z daleka. To ona powinna przyjść do niego. Wierzyła, że będzie jej bronić, nie mógł więc wykorzystać swojej przewagi. Jej zaufanie dawało mu satysfakcję, nie chciał go nadużyć.

Sharisse była z siebie niezadowolona. Oto leżała, wpatrując się w przygasający ogień, bez nadziei na sen. Nigdy dotychczas nie spała koło mężczyzny i nie przypuszczała, że będzie to takie niepokojące. Czy to jest pożądanie? Czy pragnie tego mężczyzny aż do granicy bólu? Ten dziwny niepokój czuła od chwili, gdy Lucas przyłączył się do niej na wąskim kocu. Jak zakończą się te okropne sensacje? Była gotowa oddać się Antoine'owi, chociaż nie odczuwała wówczas tej niespokojnej tęsknoty, czemu więc teraz tak bardzo się opierała? Nie chodziło przecież o to, że ktoś mógłby się dowiedzieć. Jej przyjaciółka Sheila opowiadała, jakie są metody, aby mężczyzna uwierzył, że kobieta, która utraciła już cnotę, nadal jest dziewicą. Ale co zrobić w odwrotnym przypadku? Żeby mężczyzna uwierzył, że kobieta jest doświadczona, podczas gdy naprawdę jest dziewicą? Nie mogła oddać się Lucasowi, ryzykując, że się na niej pozna, bo wtedy będzie też wiedział, że kłamała, mówiąc o swoim małżeństwie. Było już za późno na wyznanie prawdy.

- Nie śpisz, Shari. To nie było pytanie.

Wytrzymała w bezruchu tak długo, jak tylko mogła, po czym obróciła się powoli w jego stronę, aby na niego spojrzeć.

- Lucas? Czy coś się stało?

Jakże głupio to zabrzmiało. Doskonale wiedziała, co jest nie w porządku. Wcale nie musiał odpowiadać.

- Shari. - Powiedział tylko to, nic więcej.

Wyraz jego twarzy, to co ujrzała w jego oczach, powiedziały jej, co zamierza zrobić. I, słodki Boże, pragnęła, by to zrobił.

Jego spojrzenie przesunęło się po jej twarzy, pieszcząc każdy rys. Zatrzymał wzrok na jej wargach i, roszcząc sobie do nich prawo, przybliżył swe usta. Jego smak i zapach były odurzające, syciła się nimi. Czas się zatrzymał. Były tylko te usta, sprawiające cuda. Spinki wysunęły się z jej włosów, które opadły wspaniałą falą i poczuła zanurzające się w nich palce. Uniosła ręce, aby otoczyć nimi jego szyję i dać w ten sposób znać, że wszystko jest w porządku. Wsunął język pomiędzy jej zęby, a ona przyjęła go, drażniła, z wahaniem podążając swoim językiem.

Jęknął, przesuwał usta wzdłuż jej twarzy aż do piersi. Oplotła go mocniej. Zaczął ją rozbierać i wkrótce miała rozpiętą koszulę, potem spódnicę. Liczne halki zostały rozwiązane, a pod jego zręcznymi palcami ustąpiły nawet haczyki przy gorsecie.

Jednym gwałtownym, szybkim ruchem podniósł ją na nogi i połowa jej odzienia opadła na ziemię. Przytulił ją do siebie jedną ręką, drugą zaś kończył rozbierać. Zanim zdążyła pomyśleć o proteście, kładł ją już z powrotem, zupełnie naga, na kocu. Płomienne pocałunki rozproszyły resztki jej oporu i poddała się cała.

Głaskał ją zdumiewająco, sprawiając że drżała w gwałtownym pragnieniu. Kiedy nagle przerwał i odsunął się, niemal zaczęła krzyczeć. Zrzucił z siebie ubranie i ruszył jej znów na spotkanie.

Obrzucił ją spojrzeniem, w którym gorzała obezwładniająca namiętność. Wiedziała, że ma ostatnią szansę, aby go powstrzymać. Nie padły żadne słowa. Była tylko wspaniała świadomość jego twardego, męskiego ciała.

Kiedy wyciągnęła w górę ręce, aby go przyciągnąć bliżej do siebie, na moment się zawahał, po czym dał się pociągnąć, aż nakrył ją sobą. Ich usta zwały się w gorącym pocałunku. Wszedł w nią powoli, delektując się jej ciałem. Z delikatną ostrożnością uwzględniał stałe narastanie bólu, gdy nacisnął na błonę, która nie ustępowała. Sharisse zaczęła się lekko opierać, ale nie przestawał całować jej piersi i poruszać się w jej wnętrzu. Jego usta miały magiczną moc i gdy nagle wtargnął w nią głęboko, fala bólu skończyła się, zanim jeszcze zdążyła się pojawić.

Stało się. Sharisse czuła ogromną ulgę. W końcu pozbyła się niewiarygodnego ciężaru. Lucas wypełniał ją sobą głęboko, dotykał w sposób, który przynosił kolejne fale stale wznowianego pożądania. Ogień narastał w jej lędźwiach, aż wreszcie pozostała tylko rozkosz, potężniejsza z każdym pchnięciem. Przyjemność stała się prawie nie do zniesienia, przerażała swym natężeniem. Przez jej ciało przetoczyły się fale, zatoneła w powodzi słodkich wstrząsów, aż pozostała słaba i drżąca. Lucas przycisnął ją do siebie, spinając się do końcowego zanurzenia. Poczowała, jak pulsuje i ogarnęła ją czułość dla tego mężczyzny. Przytuliła go do siebie tak mocno, jak tylko potrafiła.

20.

Sharisse obudziła się nagle. Kiedy siadała, halki, stanowiące jej jedyne przykrycie,

zsunęły się na bok. Była otoczona morzem halek. Zaczerwieniła się z wściekłości, bo musiał to zrobić Lucas. Przyglądał się jej, gdy spała. Jakież to krępujące!

- Dzień dobry, ślicznotko.

Sapnęła i okręciła się w jego kierunku, przyciskając do siebie koc. - Lucas?

- Chcesz powiedzieć, że nadal nie jesteś pewna? - Roześmiał się.

- No to nie nazywaj mnie tak! - parsknęła, zirytowana uczuciem strachu, jakie ją opanowało.

- Ale przecież jesteś piękna.

Podszedł do niej i uklęknął obok. Prędko skradł jej całusa. A kiedy serce zaczęło jej bić w piersi normalnym rytmem, opadł do tyłu i chwycił w palce pasmo jej włosów. Obserwował, jak przepływa przez palce, aby opaść aż do talii. Spotkali się wzrokiem. Z niezwykłą jasnością przypomniła sobie wydarzenia całej ostatniej nocy.

- Lucas?

Potrząsnął głową, wyczuwając jej poważne myśli. - Byłem diabelnie ciekaw, jakiej długości masz włosy - powiedział w przeraźliwie obojętny sposób. - Dlaczego kryjesz je w koku?

- Jestem za stara, by nosić rozpuszczone włosy.

- Za stara? Co to znaczy, za stara?

- To nie jest modne, Lucas.

- A ty musisz się trzymać mody, nawet tutaj? Kpiące błyski w jego oczach odebrały jej odwagę. One, i świadomość własnej nagości pod kocem.

- Lucas, to nie jest właściwy moment na dyskusję o moim stylu ubierania się. Chciałabym się ubrać, gdybyś więc mógł oddalić się na parę minut.

- Ach, i jeszcze jedna sprawa - powiedział, podnosząc ze stosu ubrań jej gorset. - Dlaczego nosisz ten ponury wynalazek? Nie potrzebujesz go.

- Lucas! - Bardzo zakłopotana, chwyciła gorset. - Co noszę, a czego nie noszę, to nie twój interes.

- To jest moja sprawa, jeśli dusisz się w tym zupełnie bez sensu. Kobiety z Zachodu...

- Nie mam ochoty wysłuchiwać teraz o kobietach z Zachodu, Lucas. Proszę, pozwól mi się ubrać.

- Dobrze, skarbie. - Podniósł się, rozbawiony. - Myślałem tylko o twojej wygodzie.

Czy pójdzie sobie wreszcie? Też pomyśl, żeby nie nosić gorsetu! Co mu się stało?

- Jeśli chcesz się umyć, masz wodę w manierce i ręcznik w moich jukach - odezwał się. - Daję ci dziesięć minut, więc się nie grzeb. Przepędzenie klaczy na rancho zajmie cały dzień. Billy sam potrafi się tym zająć, ale nie wyruszy stąd, zanim do nich nie dołączymy.

„Do nich” oznaczało, że Slade nie pojechał. Jak będzie mogła spojrzeć mu w oczy po ostatniej nocy? Czy Slade będzie w stanie odgadnąć, co się stało?

Poczuła falę gorąca, ogarniającą jej szyję, ale na szczęście Lucas przeszedł już przez

przesmyk i zniknął za zakrętem, dając jej upragnioną prywatność. Nie wspomniał o ostatniej nocy, a nawet powstrzymał ją przed poruszeniem tego tematu. I oto przeżyła najbardziej niewiarygodne doświadczenie w swoim życiu, tymczasem on zachowywał się tak, jakby nic się nie zdarzyło! No nie, to nie do końca prawda. Czyż nie zaczął się do niej odnosić bardziej poufale, a nawet zaborczo?

I wtedy zrozumiała, że jego milczenie oznaczało, iż nie dowiedział się o jej dziewictwie. Martwiła się więc niepotrzebnie.

Poczuła ogromną ulgę, i to nie tylko dlatego, że nadal pozostał nieświadomy jej oszustwa. Istniała przecież możliwość, że po pozbawieniu jej dziewictwa poczułby się zobowiązany do małżeństwa, w tej sytuacji jednak nie musiała się już tym martwić.

Zdecydowanie odrzuciła dalsze rozważania na ten temat i postanowiła szybko wykorzystać swoje dziesięć minut. Ale już po chwili znalazła się w kłopotliwej sytuacji, odkryła bowiem zaschnięte ślady krwi na ręczniku. Upuściła go z westchnieniem i pospiesznie zakopła w ziemi. Kiedy jednak doszła do wniosku, że już bezpiecznie zamaskowała dowody, zwróciła uwagę na koc. Nie było czasu na spranie z niego wymownych śladów. Będzie musiała po prostu zatrzymać koc przy sobie.

Wciągała właśnie buty, gdy powrócił Lucas. - Wszystko gotowe? - zapytał.

- Tak.

Kiedy podchodził, by zebrać swoje rzeczy, szybko chwyciła zrolowany koc. Rzucił jej pytające spojrzenie, więc wyjaśniła. - Pomyślałam, że użyję go jako poduszki w powrotnej drodze.

- Slade nauczył cię tej sztuczki?

- Tak.

- To miłe z jego strony, prawda?

- Tak sądzę - mruknęła niechętnie.

- Chyba się nie przejmujesz powtórным spotkaniem z nim? - spytał łagodnie, trzymając ją za ramiona.

- Ja... - zająknęła się, zmieszana jego bliskością.

- Nie... tak długo, jak będziesz przy mnie.

- Dobrze. - Poklepał ją i wrócił do swoich rzeczy, zapiął pas z rewolwerem, a juki przerzucił przez ramię.

- Jego wizyty są krótkie i rzadkie - dodał. - Nigdy więc nie będziesz zmuszona długo go znosić.

Fakt, że najwyraźniej nie widział nic złego w tym, na co naraził ją jego brat, był w tym wszystkim najgorszy.

- Brzmi zachęcająco.

Albo nie wyczuł sarkazmu w jej głosie, albo też postanowił go zignorować. Odwiązał ogiera i nie odezwał się aż do momentu, kiedy koń poczuł luz liny i

podniósł się, odsuwając się od Lucasa.

- Trzymaj się za mną, Sharisse - ostrzegł Lucas.

- Ten typ będzie próbował uciekać, a ja mogę nie dać rady go utrzymać.

Tymczasem ogier postanowił się opierać i trzeba go było ciągnąć i zachęcać do marszu ścieżką, dopóki nie dotarli w sąsiedztwo pozostałych koni. Wtedy Lucas musiał go powstrzymać.

Kiedy Sharisse dotarła do obozowiska, Lucas oddał już ogiera w ręce Billego, który poprowadził go razem z klaczami. Sharisse i Lucas mieli jechać na koniu Lucasa.

To Lucas zadał pytanie. - Gdzie jest Slade?

Billy nawet nie spojrział. - Wściekłem się, kiedy nie wróciłeś do obozu wczoraj w nocy. Sądzę, że nie był zbyt zachwycony, iż zostałeś z nią, zamiast przyjąć wizytę brata. - Spojrział w górę, demonstrując, że całą sytuację uważa za wielce zabawną. - Nie, nie sądzę, żeby mu się to podobało.

- Czy to powiedział?

Billy roześmiał się. - Nie. Ale doszedłem do wniosku, że się tym przejął. Faktycznie niewiele mówił o czymkolwiek. Wiesz, jaki jest, gdy stanie się spokojny i zamknięty w sobie. Łatwiej wtedy rozmawiać z mułem.

- Uważaj, Billy.

Indianin zaśmiał się, zadowolony. Rzucił Lucasowi skórzany woreczek. - Trzymaj, możecie to zjeść w drodze. Czekałem na was, nie miałem nic lepszego do roboty. Robił aluzje do ich nieobecności, ale Lucasa to nie bawiło.

Billy podszedł do swojego wierzchowca i dosiadł go. Kilka chwil później Lucas rozwiązał linę, wiążącą stado i Billy zaczął przepędzać konie przez skaliste przejście. Sharisse usiadła na płaskim kamieniu z dala od szlaku i czekała. Mężczyźni nie zamienili ze sobą więcej słów. Czy Lucas był zły?

Kiedy pozostali już sami, Lucas podszedł do Sharisse i wyciągnął rękę, by pomóc jej się podnieść. Wyraz jego twarzy przypominał twarz Slade'a i wcale jej się to nie spodobało. Czowała się w obowiązku coś powiedzieć. - Przykro mi, że nie zaszła.

Nie zmienił wyrazu twarzy. - Naprawdę?

Wyprostowała się. - Nie jestem hipokrytą. Wcale mi nie żal, że nie muszę go znów widzieć. Ale jeśli wyjechał z mojego powodu, smutno mi, że cię zatrzymałam. To znaczy, przykro mi, że nie wróciłeś, by się z nim spotkać.

- Czy on wyjechał przez ciebie?

- Skąd mam to wiedzieć? - spytała rozgoryczona.

- A może nie opowiedziałaś mi wszystkiego, co między wami zaszło?

Poczuła się bardzo niezręcznie. - Powiedziałam ci już, że miał na mnie ochotę. I cóż, sprawiał wrażenie, że mógłby... mógłby walczyć z tobą o mnie. Może rozmyślił się i odjechał, aby w końcu nie doszło między wami do konfliktu.

- Mój brat? Miałby walczyć ze mną o kobietę? Co takiego zrobiłaś, że tak bardzo cię zapragnął?

- Jak śmiesz mnie oskarżać? Nie ma w tym mojej winy!

Jej ciemne, ametystowe oczy rozbłysły oburzeniem, powstrzymywała się, by go nie uderzyć. Ale Lucasa rozbawił ten wybuch złości, otoczył ją ramionami, przyciskając do siebie stawiające opór ciało.

- Już dobrze - ustąpił. - Podejrzewam, że nie musiałaś nic robić. Sam wiem, jak łatwo jest dać ci się oczarować.

Była zaskoczona raptownością, z jaką zmieniło się jego zachowanie, niemal tak, jakby jego wrogość była udawana w celowej próbie sprowokowania jej. Była całkowicie skonfundowana.

- Lucas... czy nie powinniśmy ruszać?

- Mówiłem ci, że Billy da sobie radę z końmi, gdy będą już na szlaku. Nie ma pośpiechu.

Zaalarmował ją zachrypnięty ton jego głosu. Wiedziała, o czym myśli. Nie mogła nawet dopuścić do siebie myśli o kochaniu się w pełnym świetle dnia. Jednak sposób, w jaki przytulał ją do siebie, podniecał ją. Wreszcie udało jej się odzyskać mowę.

- Lucas? Nie powinniśmy... jechać?

Westchnął i odsunął się. - Przypuszczam, że martwisz się o swojego kota?

Pytanie zaskoczyło Sharisse, ale z wdzięcznością przyjęła tę wymówkę. - Tak, nigdy nie zostawiałam go samego na tak długo.

- Chodźmy więc. To długa droga. I nigdy nic nie wiadomo. Może Slade pojechał na ranczo, by tam na mnie poczekać.

Posadził ją przed sobą na koniu tak, by pomóc jej w zachowaniu równowagi, a nie, tak jak Slade, aby ją dotykać i straszyć. Och, jakież odprężenie czuła, jadąc z Lucasem do domu. Tak, na przekór wszystkiemu, ten mały domek zaczął się jej wydawać domem.

Jechali w milczeniu, nadal odnosząc się do siebie z pewną ostrożnością, lecz mimo to ciesząc się swoim towarzystwem.

21.

Sharisse trzymała dziecko w objęciach, bujając je delikatnie. Jak bardzo fascynowało ją to niemowlę, ze swoją gęstą, ciemną czuprynką i maleńkim, doskonałym zarysem buzi. Urodziło się tej nocy, kiedy wrócili z gór, tak jakby Willow czekała na powrót męża do domu.

Jednak Billy Wolf nie służył pomocą w czasie porodu Sharisse słyszała, jak zwierzał się Lucasowi, że przespał narodziny. Obudził go dopiero płacz dziecka.

Już to było zdumiewające. Nie mniej zadziwiła ją Willow, która wstała już następnego dnia. Willow zadawała kłam wszystkiemu, co Sharisse kiedykolwiek słyszała o rodzeniu dzieci. Sprawiała, że wyglądało to tak normalnie. A malutki chłopczyk był silny i zdrowy, aż przyjemnie było na niego patrzeć.

Sharisse zaniedbała swoje zajęcia, aby trzy ostatnie dni spędzić z Willow i jej

dzieckiem. Lucas zdawał się nie zwracać uwagi na spóźnione posiłki czy niewyprane ubranie. W gruncie rzeczy chyba go bawiła potrzeba Sharisse mówienia tylko o dziecku.

Lucas całymi dniami zajmował się teraz ujeżdżaniem nowych klaczy. To było błogosławieństwem, bo wieczorami wracał wyczerpany i, jak dotąd, nie robił miłosnych awansów. Ale jak długo będzie to trwało?

Problem polegał na tym, że nie wiedziała, czego ma oczekiwać po Lucasie. Na początku martwiła się, że jej tak pożądał. Teraz się martwiła, że się do niej nie zaleca. Nadal nocowali w domu sami, jednak nie zaproponował jej, żeby spali razem. Czy był po prostu zmęczony? Gdyby tylko mogła go zapytać. Lecz nie była w stanie nawet poruszyć tego tematu.

Na dodatek nie miała żadnych wieści od Stephanie. Och, jakie ukojenie przyniosłaby jej najdrobniejsza nawet wiadomość!

Lucas, który tego ranka wybrał się do miasta po zakupy, jeszcze nie wrócił, chociaż było już dobrze po południu. Zaczynała się właśnie niepokoić, kiedy usłyszała odgłos zbliżającego się pojazdu. W chwili, gdy otwierała frontowe drzwi, Lucas zatrzymał powóz.

- Co chcesz zrobić? - zawołała do niego.

- Chcę cię zabrać do miasta. Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś zjeść kolację w hotelu.

Co za wspaniały pomysł! Cóż, podejrzewała, że wie, skąd ta propozycja, ale nie mogła mieć mu tego za złe. Chodziło o jej gotowanie.

Lucas zeskoczył z powozu i z szerokim uśmiechem ręczył jej dwie owinięte papierem paczki. - To dla ciebie, ale nie na teraz - powiedział. - Dziś wieczorem załóż swą najstrojniejszą, wielkomięjską suknię. Chcę, żebyś poznała kogoś w mieście.

- A kto to jest?

- Mój przyjaciel jeszcze ze Wschodu, a dokładniej z St. Louis. Dziś właśnie przyjechał.

- Ale - powiedziała zakłopotana - mówiłeś mi, że nawet moja najskromniejsza sukienka jest za elegancka na tutejsze stosunki. Nie chcę być za bardzo wystrojona, Lucas.

- Nie będziesz.

- Zamierzasz się mną chwalić?

- A co w tym złego? - uśmiechnął się. - Nie każdy mężczyzna może powiedzieć o sobie, że ma najpiękniejszą narzeczoną w okolicy.

- Lucas, bądź poważny!

- Jestem poważny, ślicznotko.

- Prosiłam, żebyś mnie tak nie nazywał.

- Masz zamiar tu stać i się kłócić, czy też pójdziesz się przygotować? Myślałem, że

spodoba ci się pomysł spędzenia wieczoru w mieście. Dziś jest dzień powszedni, więc nie będzie tłoku. A Emery Buskett sam jest z miasta i oczarujesz go całkowicie.

- Czy powiedziałaś mu, tak jak innym, że pochodzę z St. Louis? Dobry Boże, Lucas, czy oczekujesz, że będę beczelnie rozmawiać o mieście, w którym nigdy nie byłam?

- Nie wpadaj z góry w panikę. - Znów się uśmiechnął. - Właściwie nic o tobie nie wie. Mieliśmy dzisiaj inne tematy do omówienia.

- I dlatego wróciłaś tak późno?

- Mój Boże, Sharisse, gderasz jakbyś była żoną - poskarżył się.

- Ale nie jestem nią! - parsknęła z oburzeniem. Wiedziała jednak, że Lucas tylko się z nią droczy.

- Prawdę mówiąc, zaskoczył mnie widok Emery'ego - wyjaśnił. - Nie wiedziałem, że ma przyjechać.

- A teraz chcesz go zaskoczyć - mną?

- Nie lubisz niespodzianek?

Co miała z nim zrobić, skoro wpadł w taki łobuzerski nastrój? Spotkanie z przyjacielem musiało mieć miły przebieg, pewnie też towarzyszył mu o jeden kieliszek za dużo.

- Pójdę się przygotować, Lucas.

- Grzeczna dziewczynka. - Szybko cmoknął ją w policzek. - Zostawiam dom do twojej dyspozycji, jeśli chcesz, weź kąpiel w kuchni, żeby było szybciej. Sam umyję się w stajni.

- Nie wejdiesz, zanim cię nie zawołam?

- Nic nie mogę obiecać, ślicznotko.

Roześmiał się, a ona przyglądała się, jak odchodził wolnym krokiem. Czemu upierał się, by nazywać ją „ślicznotką”, skoro wiedział, że ją to drażni? I jak mogła się gniewać na takiego hultaja?

22.

Hotel Palace okazał się inny, niż oczekiwała, sprawił jej miłą niespodziankę. Był wąski i miał dwa piętra; górne zajmował obszerny apartament, należący wyłącznie do Samuela Newcomba. Lecz za zwykłą, drewnianą fasadą hotelu kryły się luksusy. Otoczona kryształowymi żyrandolami i lampami, stojącymi na każdym stole, poczuła się jak w domu. Oczywiście, wytworna restauracja w Nowym Jorku nigdy by nie była taka pusta, nie pokazałaby się też w niej w prostej sukience wyjściowej, którą uznała za wystarczająco elegancką na tutejsze warunki.

Poza nimi w sali jadalnej znajdowała się jeszcze tylko jedna para i obsługujący ich kelner. Kiedy siedzieli czekając na Emery'ego, Sharisse ukradkiem przyglądała się Lucasowi.

Nic nie wspomniała o paczkach, które przywiózł z miasta. Proste, perkalowe sukienki niewątpliwie linały być jej strojem do pracy, a chłopięce spodnie i

bawełniane koszule miały zapewne służyć do jazdy konnej. Te ubrania powiedziały jej, że, jeśli chodzi o niego, nie przewiduje jej rychłego wyjazdu.

Gdy czekali na Emery'ego, również Lucas obserwował Sharisse. Jej widok zapierał mu dech w piersi. Mówiąc jej, by się wystroiła, wyobrażał sobie, że założy coś pretensjonalnego. Tymczasem ubrała się z klasyczną elegancją w suknię z baskinką w czarne i czerwone pasy. Trzy falbany z koronki Chantilly udrapowane były tak, aby przezierała przez nie głęboka czerń satynowej spódnicy. Suknia podkreślała bogatą, żywą kolorystykę jej miedzianorudych włosów. Wyglądała nadzwyczajnie. Zresztą, jego zdaniem, zawsze świetnie się prezentowała. Potrząsnął głową. Gdyby tylko nie odkrył, jaka z niej kłamczucha.

Nadal nie wiedział, co o tym myśleć. A niech to, wcale nie była gorsza od niego w wymyślaniu bajek. Okazał się tak samo jak ona naiwny, uwierzył we wszystko, co mu opowiedziała. Nigdy nawet nie przypuścił, że jest dziewczicą. Dziewicą! Powinien był się domyśleć. Niewątpliwie tak się zachowywała.

Ten fakt zachwycił go i złościł zarazem. Oczywiście nie zasnął tej nocy, kiedy spotkała go wielka niespodzianka. Wiele godzin spędził próbując rozszyfrować, co skłoniło ją do podawania się za wdowę, podczas gdy prawda była dużo bardziej pociągająca. To wszystko nie miało sensu.

Następnego dnia udało jej się ukryć dowody utraconego właśnie dziewictwa. Sądziła naiwnie, że jej podstęp się nie wydał i starała się nadal zachować tajemnicę. Ale dlaczego? I kim była naprawdę? Czy uciekała przed kimś? A może przed prawem? Czy rzeczywiście nie zamierzała wyjść za niego za mąż? Czy to też było kłamstwem? Pożerała go ciekawość.

Wspaniałe oczy w kolorze ametystu obróciły się ku niemu, a spojrzeniu towarzyszył wstydlivy uśmiech Sharisse. Do diabła, czemuż nie miałyby zatrzymać jej tak długo, jak długo będzie potrzebna. Pięć minut później nadszedł Emery, ale nie sam. Na widok Newcombów Lucasowi wyrwało się westchnienie. Był zaintrygowany. Emery zdradził mu, że Sam nalegał, by nikt nie dowiedział się za wcześnie o sprzedaży rancza, jeszcze nie teraz. W jaki więc sposób Sam będzie tłumaczył swoją obecność w towarzystwie prawnika? Emery sprawiał wrażenie zakłopotanego zaistniałą sytuacją. Czym innym bowiem było załatwianie spraw na odległość, a czymś zupełnie innym bezpośrednio zaangażowanie w gigantyczne oszustwo. Wiele czasu zabrało Lucasowi znalezienie prawnika, który nie miałby skrupułów przy przeprowadzaniu jego planu. Nie uwzględnił w nim jednak, że Emery i Sam Newcomb spotkają się ze sobą twarzą w twarz. W tym samym czasie Samuel Newcomb marzył, by znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie tu, gdzie właśnie był. Pomysł przyjscia do hotelu na kolację z Emerym Buskettem pochodził od Fiony, której powiedział, że Emery jest jedynie zwykłym wspólnikiem w interesach. I oczywiście, natychmiast dostrzegła Holta i jego narzeczoną i ruszyła w kierunku ich stolika. Pieskie szczęście.

Do diabła. Nie chciał, by Luke dowiedział się o przyjeździe do miasta człowieka, prowadzącego ich wspólne interesy. Teraz z pewnością Lucas zacznie się zastanawiać, dlaczego tu się pojawił i może, łącząc ze sobą różne fakty, domyśleć się, co Sam planuje. Sam nabył nowy pakiet akcji na panięskie nazwisko Fiony, aby nikt z pierwotnych udziałowców nie wiedział, że chce przejąć pakiet kontrolny. Gdyby to się rozniosło, ktoś inny mógłby zrobić to samo i objąć kontrolę nad interesem. Był taki ostrożny, a tu masz! Nie martwił się, że Holt mógłby dużo zainwestować, ale istniało prawdopodobieństwo, że zna innych inwestorów i powie im o zamierzeniach Sama.

Kiedy nadejdzie czas ekspansji, Sam pokieruje ją do Newcomb. Jego marzenie, aby pewnego dnia miasteczko, które założył, stało się wielkim miastem, nadal było realne. A przy stale wpływających zyskach, szybko będzie mógł odkupić wszelkie swoje dobra.

Wszystko to łatwo będzie przeprowadzić, jeśli tylko nabywcy spoza miasta, z ofertą których przyjechał Emery, nie dowiedzą się, że na razie Newcomb jest na dobrej drodze, żeby stać się miasteczkiem - widmem. Sam obiecał Emery'emu sporą łapówkę w zamian za utrzymanie tej informacji w tajemnicy. Dlatego naciskał, by Emery przyjechał do Newcomb. Nie mógł przecież załatwić tak delikatnej sprawy za pośrednictwem poczty. Gdyby nie udało mu się przekupić prawnika, Sam z pewnością pozbyłby się go i powierzył sprawę komuś innemu. Ale Emery przystał na wszystko. Zapewnił Sama, że nie są z Lukem bliskimi przyjaciółmi. Poza tym, dzięki kombinacjom Sama, ocaleją także pieniądze zainwestowane przez Holta, który nie będzie mógł się za bardzo skarżyć, kiedy w końcu się o wszystkim dowie.

- Co za miła niespodzianka - mówiła właśnie Fiona.

- Zupełnie się nie spodziewaliśmy spotkać cię tutaj - i oczywiście twej uroczej narzeczonej - mruknęła. Jej jasnoblękitne oczy spoczęły na Sharisse z nieukrywaną pogardą. - Jak się nazywasz, kochanie? - Zbyła ją i uśmiechnęła się do Lucasa. - Biedaku. Podejrzewam, że hotel jest jedynym miejscem, gdzie możesz dostać przyzwoity posiłek w ostatnich dniach.

Sharisse była zaszokowana taką rażącą zniewagą. Pragnęła się zachowywać poprawnie i zareagować z lodowatą uprzejmością. To było właściwe postępowanie. Jednak sposób, w jaki Fiona Newcomb pozerwała Lucasa wzrokiem, tak bardzo rozdrażnił Sharisse, że zupełnie zapomniała o tym, co jest właściwe.

Na szczęście Lucas odzyskał głos, zanim zdążyła wyciągnąć pazury. - Nie muszę szukać pretekstu, by przyprowadzić tu na kolację moją narzeczoną, Fiona, ale skoro interesują cię jej talenty kulinarne, to musisz wiedzieć, że zawstydziłaby sprowadzonego przez ciebie kucharza.

- Ależ to cudowne - odparła sucho Fiona. Słyszając to słodkie kłamstwo Sharisse rozpromieniła się.

- Istotnie, pani Newcomb, Lucas przyrzekł mi wieczór pełen nowinek z St. Louis.

Jego przyjaciel jest w mieście.

- Czyżby nasz pan Buskett? - spytała Fiona. Zerknęła przez ramię w stronę nadchodzącego prawnika i Sama.

- Skąd wiedziałeś, że Emery jest w mieście? - zapytał podejrzliwie Sam.

- Przypadkiem zobaczyłem go tu dzisiaj. Wiesz, jak zachowują się prawnicy w czasie podróży służbowych - tylko praca i nawet odrobiny życia towarzyskiego. A ponieważ jest tu tylko przejazdem, więc doszedłem do wniosku, że jeśli nie przywiozę Sharisse dziś wieczorem do miasta, straci szansę poznania go. Ale skąd ty wiedziałeś, że przyjechał do Newcomb?

- On, ach, przyjechał na ranczo z kurtuazyjną wizytą, przedstawił się. W końcu nigdy wcześniej go nie spotkałem, a prowadzi część moich interesów.

- Ładnie tak, Emery? - Przyjacielskim tonem upomniał Lucas. - Nie przyjąłeś mojego zaproszenia, ale pojechałeś, żeby się spotkać z Samem?

Emery był zanadto zdenerwowany, by odpowiedzieć, za to Sam miał gotowe wyjaśnienie. - Jestem przekonany, że przyjechałby się z tobą spotkać, gdybyście wcześniej nie widzieli się w mieście, Luke.

- Ależ oczywiście. - Emery odzyskał głos. - Lucas, nic mi nie mówiłeś, że się żenisz. Gdybym o tym wiedział, z pewnością odwiedziłbym cię, by złożyć gratulacje.

Lucas uśmiechnął się, widząc jak prędko prawnik doszedł do siebie. Przedstawił sobie towarzystwo. Kiedy Emery całował dłoń rywalki, Fiona stała cała zjeżona.

- Hammond? - powiedział z namysłem Emery. - Słyszałem ostatnio to nazwisko, ale gdzie?

Sharisse zeszywniała. Na pewno nie mógł słyszeć o niej, jednak na wszelki wypadek i tak zmieniła temat rozmowy.

- Czuję się rozczarowana, że jest pan już umówiony na kolację, panie Buskett. - Przez krótką chwilę popatrzyła na Sama i Fionę. - Może jednak będzie pan jeszcze przejeżdżał przez Newcomb i wtedy będziemy mogli się spotkać?

- Z pewnością wrócę, aby nacieszyć się pani towarzystwem - gładko odparł Emery.

- Po co czekać? - wtrąciła Fiona, widząc szansę na wypróbowanie wszelkich swoich sztuczek na Lucasie przez cały wieczór. - Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy dziś zjeść kolacji wszyscy razem, nieprawdaż? - Fiona usiadła na krzeselku obok Lucasa, zanim Sam mógłby się sprzeciwić. - Przecież nie chcemy pozbawić kochanej dziewczynki najświeższych plotek z jej rodzinnych stron. Tak dużo mogło się wydarzyć w czasie tych dwóch tygodni, które spędziła tutaj.

Sarkazm Fiony był widoczny dla wszystkich, ale Sharisse postanowiła udawać nieświadomość. - Jest pani niezwykle uprzejma, pani Newcomb, i to nie tylko dlatego, że dzieli się z nami towarzystwem pana Busketta. - Roześmiała się. - Cóż, wieki całe upłynęły od czasu, gdy ktoś nazywał mnie dziewczynką. A już zaczynałam czuć się całkiem staro.

- Pewnie to pani wzrost myli ludzi - rzekła złośliwie Fiona. - Ale oczywiście, ja

byłam w stanie dostrzec, jak bardzo jest pani młoda. Kobieta potrafi to rozpoznać.

- Ach, pani Newcomb, proszę przestać mi pochlebiać. Naprawdę, dwadzieścia lat to nie jest tak mało. - Nie miała odwagi, by spojrzeć na Lucasa w obawie, że dławi się słysząc coś, co uważa za kłamstwo. - Może, kiedy: będę miała tyle lat, co pani, nikt nie będzie mnie uważał za młodszą, niż jestem naprawdę. Pani, zdaje się, nie ma tego problemu?

Sam niemal parsknął śmiechem, widząc jak Fiona zamyka usta. Wspólnie z Emerym przysunął sąsiedni stolik, by zrobić miejsce dla wszystkich. Wiedział, co knuje żona. Od momentu spotkania z Sharisse Hammond zrobiła się z niej zwyczajna jędra. Nie mogła znieść, że nie jest już najpiękniejszą dziewczyną w okolicy. A na dodatek nowa piękność miała mężczyznę, do którego wzdychała Fiona. Gdyby więc teraz Luke się pospieszył i ożenił z dziewczyną, położyłoby to na dobre kres nadziejom Fiony i życie Sama mogłoby się stać odrobinę łatwiejsze. Gestem zamówił u kelnera drinki dla wszystkich, zbierając siły na nadchodzący wieczór.

Liczący niewiele ponad trzydziestkę i uważany przez przyjaciół za bawidamka, Emery Buskett zupełnie zapomniał, dlaczego tu przyjechał i zajął miejsce obok Sharisse. Niespodziewane spotkanie w tym małym miasteczku kobiety o stylu i klasie panny Hammond zachwyciło go i zamierzał całkowicie zmonopolizować ją w czasie kolacji, gdy tylko pani Newcomb przerwie znęcanie się nad nią na wystarczająco długo, by mógł to uczynić.

Wiedział, że nie pochodzi z jej sfery. Niewątpliwie Sharisse była przedstawicielką jednej z tych bogatych rodzin z St. Louis, o których mógł jedynie czytać w gazetach. Chociaż nie był w stanie przypomnieć sobie nazwiska Hammond. Nie w St. Louis. Gdzie jednak słyszał je ostatnio? Do diabła, nie znośił, gdy coś mu ulatywało z pamięci.

Podano trunki, whisky dla panów i butelkę wytwornego białego wina dla pań. Sam wziął na siebie zamówienie kolacji dla wszystkich. Czas upływał w dość przyjacielskiej atmosferze, gdyż Fiona skupiła swą uwagę na Lucasie, a Sharisse udawało się trzymać Emery'ego Busketta w przekonaniu, że świetnie orientuje się w życiu towarzyskim St. Louis.

Nie wiedziała, że Lucas zwracał większą uwagę na jej rozmowę, niż na to, co mówiła Fiona. Rozbawiła go jej gra, natomiast nieukrywany zachwyt Emery'ego stanowił niemiłą niespodziankę. Facet nieźle się prezentował, miał wygląd dandysa, w towarzystwie którego prawdopodobnie swobodnie się czuła. Przypomina jej pewnie wszystko, co za sobą pozostawiła. Czemuż, do czorta, przyszedł mu w ogóle do głowy pomysł poznania ze sobą Sharisse i Emery'ego. Co za głupota z jego strony.

- Marcus Hammond! - nagle wykrzyknął Emery i zaraz się zawstydził, wszyscy bowiem spojrzeli w jego stronę. - Bardzo przepraszam. Wiecie, jak to jest, kiedy macie coś na końcu języka i nie możecie sobie przypomnieć. To imię i nazwisko, których nie mogłem wcześniej odtworzyć w pamięci.

- Cóż, niech pan kontynuuje, panie Buskett – oschle powiedziała Fiona.

- Ach, to głupstwo - odparł Emery.

- Jakiś twój krewny, moja droga? - Fiona zadała pytanie Sharisse z wyraźnym brakiem zainteresowania.

- Nie - odpowiedziała Sharisse odrobinę zbyt głośno. Potrafiła zapanować nad wyrazem twarzy, ale nie nad głosem. Spuściwszy oczy, dodała - Obawiam się, że nigdy nie słyszałam o Marcusie Hammondzie.

Emery zdecydował się opowiedzieć historię. Może się okazać niezłą rozrywką. - To pewien bogaty ekscentryk z Nowego Jorku. Mój przyjaciel, który stamtąd pochodzi i cała gromada innych ludzi pogrążeni są w strachu, że utracą pracę, jeśli nie odnajdą córki dziwaka. Rozumiecie, mój przyjaciel Jim pracuje dla jednej z nowojorskich agencji detektywistycznych. Nagroda za odnalezienie tej dziewczyny jest tak ogromna, że jego szef żąda wyników poszukiwań, bo inaczej...

- Nowy Jork? - rzekł w zamyśleniu Lucas. - Jak ma na imię tamta dziewczyna?

Sharisse zapragnęła schować się pod stołem.

- Boję się, że nigdy nie spytałem o imię córki - odpowiedział Emery.

- Czy dziewczyna została porwana, panie Buskett? - zaryzykowała pytanie Sharisse, zdała sobie bowiem sprawę, że jeśli nie okaże jakiegoś zainteresowania, Lucas zacznie się głowić, dlaczego.

- Nie, to przypadek ucieczki i z tego powodu Jim tylko narzekał na swoje zadanie, kiedy odwiedził mnie w ubiegłym tygodniu. Musi prowadzić poszukiwania w czterech stanach, a szansę na sukces są niewielkie. Zbyt łatwo jest zniknąć w tak wielkim kraju, za łatwo można zmienić i nazwisko, i swój wygląd. Wiedzą, że dziewczyna opuściła Nowy Jork pociągiem z biżuterią wartą majątek, wystarczający, by mogła pojechać, gdzie tylko zapragnie. Jim jednak podejrzewa, że wróciła i ukrywa się w którymś z tych szykownych hoteli w Nowym Jorku. To jego teoria.

- Dlaczego? - zapytała Fiona.

- Urodziła się w Nowym Jorku i mieszkała tam przez całe życie. Poza jedną wycieczką do Europy, nigdy nie opuściła stanu. Po cóż miałyby porzucić jedyne miejsce, które zna, jedynie z powodu sprzeczki z ojcem? Bo dlatego znikła. Jim narzeka, sądzi bowiem, że dziewczyna znajdzie się sama i nikt nie otrzyma tej gigantycznej nagrody, jego zaś na próżno wysłano na zachód.

- To wszystko jest fascynujące, panie Buskett - wtrąciła niewinnie Fiona. - Zwłaszcza, że siedzi tutaj z nami nasza własna panna Hammond. Gdyby Luke nie powiedział nam, że pochodzi z St. Louis, cóż, zastanawiałabym się, czy przypadkiem nie jest tą bogatą, rozpuszczoną panienką, która uciekła od swojego ojca.

Sharisse zmusiła się do zachowania spokoju. Miała ochotę wrzasnąć. Ta kobieta chciała się tylko zachować impertynencko, ale czyniła większą szkodę, niż mogłaby przypuścić. Wskazywał na to wyraz twarzy Lucasa.

Oczy Sharisse stały się fioletowe, ale usta zastygły w uśmiechu. - Co pani mówi, pani

Newcomb? Takiego urojonego pomysłu mogłabym się spodziewać po staruszce albo po kimś, kto za dużo wypił. A pani nie jest aż taka stara, na dodatek niemal nie tknęła pani wina. Czym więc mam tłumaczyć te śmieszne spekulacje? Fiona uniosła się z krzesła. - Ty mała...

- Już, już - przerwał, chichocząc, Sam. - Potraktuj to jako remis, Fiona.

- Ale...

- Zapomnij o tym - powiedział dobitnie. - Idź przypudrować sobie nos, albo coś w tym rodzaju, a ja tymczasem zamówię ci deser, żebyś się uspokoiła.

Wzburzona Fiona poderwała się i opuściła towarzystwo. Ale Sharisse podniosła się tuż po niej.

- Mój nos też wymaga przypudrowania. Panowie wybaczą.

- Sharisse.

Świadomie zignorowała ostrzegawczą nutę w jego głosie. - Nie martw się, Lucas, nie zgubię się. Po prostu pójdę tam, skąd przed chwilą doleciał dźwięk zatraskiwanych drzwi.

Z promiennym uśmiechem odeszła od stołu, zanim zdążył ją powstrzymać. Pozostawało tylko czekać, jak pani Newcomb zachowa się w trakcie prywatnej konfrontacji.

Lucas siedział z kwaśną miną, przebierając palcami po stole. Z drugiej strony, Sam z trudem powstrzymywał rozbawienie. Emery był zwyczajnie zakłopotany.

Po chwili zza załomu ściany, za którym znajdowała się damska toaleta, dobiegł hałas, wystarczająco głośny, aby Lucas zerwał się na równe nogi.

- Och, pozwól im - zatrzymał go Sam, którego dobry humor jeszcze się poprawił. - Jaką krzywdę może sobie nawzajem wyrządzić para kobiet?

- To nie jest argument - parsknął Lucas.

- Miej litość nade mną - łagodził Sam. - Jeśli Fiona nie wyrzuci tego z siebie, zgotuje mi piekło. I naprawdę, co złego mogą sobie zrobić? Kobiety nie uciekają się do przemocy. Wystarczy im miotanie obelg.

Ma rację, pomyślał Lucas. Powoli usiadł z powrotem. Krzyki ucichły. Trzaśnięcie drzwi oznaczało, że to co się działo, dobiegło końca. Jednak żadna z kobiet nie wróciła. Niepokój Lucasa wzrósł na nowo.

Zamierzał podnieść się jeszcze raz, gdy recepcjonista przyniósł Samowi wiadomość, że pani Newcomb udała się na spoczynek do apartamentu.

- Żadnych dodatkowych wyjaśnień? - dopytywał Sam.

Urzędnik znał wystarczająco dobrze swojego pracodawcę, aby pozwolić sobie na uśmiech. - Hm, nie sądzę, proszę pana, żeby miał pan ochotę usłyszeć resztę tego, co pani Newcomb miała do powiedzenia.

Sam odchrząknął. - Tak, przypuszczam, że nie miałbym ochoty. - Odprawił urzędnika i zwrócił się do Emery'ego i Lucasa. - Wybaczcie mojej żonie, panowie. Zwykle nie zachowuje się tak niegrzecznie.

- Zostajesz więc na noc w swoim hotelu, Sam? - skomentował Lucas.

- Tak. Poważnie rozważam możliwość przeniesienia się na stałe do miasta - odpowiedział. - Może o to chodzi Fionie. Jest taka znudzona na ranczu, sama nie wie, co ze sobą począć.

W myślach Lucas pogratulował Samowi tak zręcznego wyjaśnienia. Ciekaw był, w jaki sposób Sam wytłumaczy przeprowadzkę, nie wspominając o sprzedaży rancza.

- Zawsze możesz zwolnić służbę - zaśmiał się Lucas. - Dostarczyłoby to Fionie jakiegoś zajęcia.

- Ha! Wyniosłaby się razem z nimi. Nie, obawiam się, że straszliwie rozpuściłem tę kobietę. Uważaj, żebyś nie popełnił tego samego błędu ze swoją ślicznotką.

- Rozpuścić Sharisse? Musiałbym chyba zabrać ją w tym celu z powrotem na Wschód. Niezbyt dobrze dostosowuje się do tutejszego życia.

- Myślisz więc o wyniesieniu się stąd? - Sam ożywił się z zainteresowania.

- Wydaje mi się, że właśnie przed chwilą radziłeś mi jej nie rozpieszczać.

- To prawda. - Sam nie potrafił ukryć swego rozczarowania.

Powrócił urzędnik, tym razem przynosząc wiadomość dla Lucasa. - Pańska narzeczona, panie Holt, przeprasza, że nie wróciła. Mam wrażenie, że nie czuje się zbyt dobrze.

- Gdzie ona jest?

- Czeka na zewnątrz, w pańskim powozie.

- Mam nadzieję, że to nie z powodu tego, co wygadywała Fiona - oświadczył Sam i trzech mężczyźni wstali, zbierając się do wyjścia.

Lucas był na tyle zły, że rzucił: - Na pewno to był powód i obaj wiemy, dlaczego tak się stało. Mam już tego serdecznie dosyć. Teraz jest twoją żoną. Cokolwiek było kiedyś między nami, dawno się skończyło. Dopilnuj, żeby wreszcie to pojęła, Sam. Bo jeśli będę zmuszony, mogę skrócić jej kark - zwłaszcza po dzisiejszym wieczorze.

Lucas pozostawił Samowi wyjaśnienie wszystkiego Emery'emu w dowolnie wybrany sposób.

23.

Sharisse nie mogła pohamować łez. Płkanie było takie głupie, nie robiła tego od czasu nieszczęsnej afery z Antoinem. Czy jednak jej dzisiejsze zachowanie nie było również głupie? Jeszcze nigdy, w całym swoim życiu, tak nie postąpiła. Bała się, że nie zna już siebie, że ta nieprzemyślana przygoda zmieniła ją w nieodwracalny sposób. Z pewnością to było powodem nieustających łez.

Tak znalazł ją Lucas, z twarzą ukrytą w dłoniach i z ramionami wstrząsanymi szlochem. Płakała bezgłośnie. Gdyby głośno zawodziła, mógłby myśleć, że jest to kobiecy chwyt, aby skupić na sobie uwagę, ale to ciche cierpienie zaniepokoiło go. Ocknęło się w nim i ogarnęło długo drzemiące uczucie, instynkt, by chronić i bronić swojej własności.

- Sharisse?

Na dźwięk jego głosu głowa Sharisse podskoczyła. Miała nadzieję, że usłyszy go wcześniej, że będzie miała czas na opanowanie się. Dlaczego skradał się do niej tak cicho? Czowała się upokorzona. Zamierzała także siedzieć do niego bokiem i kryć swój lewy policzek. Tymczasem znaleźli się twarzą w twarz i stało się to wszystko, czego chciała uniknąć. Wyraz troski na jego twarzy zastąpiła nieukrywana furia, kiedy dostrzegł wyraźny ślad na jej policzku.

Przez zapierający dech w piersiach moment Sharisse nie była pewna, w kogo była wymierzona jego wściekłość. Potem eksplodował. - Zabiję ją!

- Przecież nic mi się nie stało, Lucas - zapewniła go Sharisse.

- Czemu więc tak bardzo płaczesz?

- Z powodu tego, co zrobiłam. Och, to było okropne! - Trysnęły następne łzy. - Nie powinnam była iść za nią. Trzeba było ciebie posłuchać. Jednak ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że mnie zaatakuję.

Usiadł obok niej i przytulił do siebie. - Fiona wyznaje inne zasady, niż ty, skarbie. Sądziłem, że to zauważyłaś.

- Skąd mogłam wiedzieć? Przyzwyczajona jestem do cywilizowanych kobiet. Chciałam się tylko dowiedzieć, dlaczego tak mi dokuczają i dać jej do zrozumienia, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Ale kiedy mnie uderzyła, Och, sama nie wiem, co mi się stało. Ja... oddałam jej, Lucas. Tak mi przykro.

Zdumiony, odsunął ją od siebie. - Twój odruch był naturalny - powiedział jej spokojnie. - Nie warto z tego powodu płakać, a Fiona z pewnością sobie na to zasłużyła.

- Nic nie rozumiesz - krzyknęła. - Podejrzewam, że złamałam jej nos! - Zaskoczony, wybuchnął śmiechem. - Lucasie Holt, to nie jest śmieszne!

- O Boże, tak, to jest bardzo śmieszne! Znieważyła cię, uderzyła, a ty płaczesz, bo dostała to, na co sobie zasłużyła. To zabawne, uwierz mi.

- A złamany nos, Lucas?

- Słyszałaś trzask łamiącej się kości?

- No, nie. Ale krwawiła. I patrzyła na mnie, jakbym ją zabiła.

- Oczywiście - powiedział. - Nie spodziewała się oporu ze strony kulturalnej panny z miasta. Przestań już się tym gryźć, skarbie. Gdyby stało jej się coś złego, cały hotel napęłniłby się jej wrzaskiem.

- Naprawdę tak uważasz? - spytała z nadzieją.

- Tak właśnie myślę.

Sharisse wyciągnęła z torebki chusteczkę. Była spokojniejsza.

- Bardzo mi przykro, że tak niegrzecznie opuściłam towarzystwo. Mam nadzieję, że przekazałeś moje przeprosiny.

- W przypadku Sama zrobiłem nawet więcej. Ten człowiek powinien lepiej kontrolować swoją żonę - powiedział ostro. - Dlaczego cię uderzyła?

Sharisse przebiegła w pamięci całą wymianę zdań, prowadzącą do bójki i kark jej zeszywniał. Ale kiedy zwracała się do Lucasa, miała niewinny wyraz twarzy.

- Zasugerowałam jedynie, że gdyby była tak dobrą kochanką, jak sądzi, to utrzymałbyś wasz związek zamiast rozglądać się za żoną.

Lucas wzdrygnął się. - Powiedziała ci więc?

- Dokładnie powiedziała, że miała cię pierwsza i mogłaby cię mieć z powrotem, gdyby tylko chciała. Ona jest dość... ordynarna.

- Uwierzyłaś jej?

- Nie widzę powodu, żeby wątpić w te wywrzeszczane wyznania. - Jej zachowanie było coraz bardziej lodowate.

- A niech to licho - roześmiał się Lucas. - Jesteś zazdrosna, prawda? I dlatego ją uderzyłaś.

- Nie opowiadaj głupstw - gorąco zaprzeczyła Sharisse. - Mogłeś mnie jednak ostrzec, Lucasie. Tam, skąd pochodzę, mężczyzna nie zmusza swej narzeczonej do jedzenia kolacji wspólnie z byłą kochanką.

- Do diabła, nigdy nie była moją kochanką, Sharisse. Spotykałem się z nią od czasu do czasu, nieregularnie, i nie tylko z nią. Dała mi do zrozumienia, że chce tego i spędziliśmy razem parę miłych chwil. Ale to wszystko. Kiedy wyszła za męża za Newcomba, skończyło się. Przechwałki, że może mnie znów mieć są pomyłką. Nie interesują mnie żony innych mężczyzn.

- A gdyby nie była mężatką?

Uśmiechnął się. - Po cóż miałbym jej pragnąć, skoro mam ciebie?

Sharisse splonęła się i odwróciła wzrok. Kiedy jednak ośmieliła się zadać pytanie, jej głos był pewny. - Jeśli było ci z nią dobrze, dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

- Gdyby mężczyzna żenił się z każdą kobietą, z którą się zabawiał, skończyłby z całym oddziałem żon, skarbie. Czy naprawdę chcesz, żebym tłumaczył się ze wszystkiego, co robiłem, zanim przyjechałaś?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Lucas. Dlaczego nie ożeniłeś się z nią, kiedy miałeś szansę?

- Mógłbym odpowiedzieć, że nie uważałem jej za dobry materiał na żonę, ale tak naprawdę, nie szukałem wtedy jeszcze żony. I co, czy to wystarczy do uśmierzenia twojej zazdrości?

- Nie byłam zazdrosna - upierała się.

- No jasne, że nie - zakpił.

Parsknęła. - Och, mam ochotę wrzeszczeć! Proszę mnie odwieźć do domu, panie Holt. Mam już dość tej podniecającej rozmowy z panem dziś wieczorem.

- Tak jest, proszę pani. - Zaśmiał się i batem popędził konie do biegu.

Podróż upłynęła w milczeniu. Kiedy dojechali na ranczo, Lucas przekazał powóz Mackowi i odprowadził Sharisse do domu. Oczekiwała, że Lucas tylko zapali lampę, aby mogła trafić do sypialni. Bezceremonialne pytanie, które padło w chwili, gdy

przekraczała próg swojego pokoju, zatrzymało ją w pół kroku.

- Kto to jest Joel?

Odwróciła się gwałtownie. - Skąd znasz to imię?

- Od ciebie.

Przez jej głowę w popłochu przemknęły myśli. – Chyba nie mówię przez sen?

- Nie, ale dużo paplesz, kiedy jesteś pijana.

W jego głosie nie było wesołości. I wyglądał ponuro. Natychmiast zrobiła się ostrożna.

- Joel to mój przyjaciel, Lucas. Wyrosłam razem z nim. Czemu pytasz? Co mówiłam?

- Mówiłaś swojemu ojcu, że nie chcesz go poślubić. I że Stephanie go kocha, a nie ty.

- Mówiąc to podszedł do niej, zatrzymując się aż za blisko i zmuszając, by na niego spojrzała. - Czy dlatego uciekłaś od swojego ojca, Sharisse?

Niemal wyrwało jej się „nie”, ale w porę uświadomiła sobie, co oznacza jego pytanie. - Uważasz, że jestem dziewczyną, o której opowiadał nam pan Buskett, prawda?

- A nie jesteś nią?

- Sądzę, że odpowiedziałam już dziś wieczorem na to pytanie - odparła sztywno. - Zanim jednak zaczniesz mnie dalej podejrzewać, muszę ci powiedzieć, że mój ojciec nazywa się John Richards. Hammond nazywam się po mężu. - Jaką biegłość osiągała. - Myślę, że powinnam była wyjaśnić to wcześniej, ale nie wydawało się to istotne.

- Antoine Hammond?

- Jasne, że nie! Nienawidzę Antoine'a! - stwierdziła z mocą, dając się ponieść emocjom. Zaraz jednak opanowała się. - Przypuszczam, że wspomniałam także o Antoine tej nocy, kiedy za dużo wypiałam?

- Tak.

- A co dokładnie powiedziałam, co pozwoliło ci myśleć, że Antoine był moim mężem?

- Nazwałaś go swoim ukochanym.

- Och - powiedziała. I jak mam to wytłumaczyć?

- Co jest prawdą, Sharisse? - spytał łagodnie. - Kochałaś Antoine'a, czy nienawidziłaś go?

Przejechał palcem wzdłuż jej szczęki, potem w dół szyi, na ramię i tam zatrzymał rękę, ściskając lekko, by zapobiec jej ucieczce. Zamierzał ją tak trzymać, aż uzyska odpowiedź. Może przyszła pora na wyznanie prawdy, a choćby jej części.

- Spotkałam Antoine'a dawno temu, Lucasiu. Byłam młoda i naiwna, a on był pełen ogłady, romantyczny i niezwykle przystojny. Myślałam, że go kocham, tymczasem po prostu wkroczyłam w wiek, kiedy jest się gotowym do miłości. Toteż poddałam się wpływom pierwszego mężczyzny, który zadał sobie trud zdobycia mnie. Teraz to

wiem, ale wtedy byłam zbyt oczarowana, by się zastanawiać. - Gorycz pojawiła się w jej głosie, a oczy pociemniały pod wpływem wspomnień. - Antoine okazał się łajdakiem najgorszego rodzaju, kłamcą, oszustem. Był...

Sharisse zbladła, uświadomiła sobie bowiem, że właśnie opisała człowieka, jakim sama się stała. Gdyby Lucas kiedykolwiek odkrył, jak go okłamała, jak oszukiwała...

- Był co?

Spuściła oczy. - On... On chciał ode mnie tylko jednego. Na szczęście w porę dowiedziałam się o jego perfidii.

- Chcesz powiedzieć, że udało ci się zachować cnotę. Napotkała wzrokiem jego spojrzenie.

- Tak - odpowiedziała spokojnie.

- Ale zaangażowałaś się uczuciowo. Dotychczas żyłam z błędnym przekonaniem, że jedynym mężczyzną w twoim życiu był twój mąż. W ilu jeszcze, poza Antoinem, wydawało ci się, że jesteś zakochana?

Rozwścieczyły ją te docinki. Jak śmiał stroić sobie żarty z tak upokarzającego dla niej doświadczenia? Przypomniała sobie Fionę i jego obojętny stosunek do minionych igraszek. I mimo to śmiał ją przepytawać?

Uśmiechnęła się słodko i lekko wzruszyła ramionami. - Chyba nie spodziewasz się, że odpowiem ci na takie pytanie, Lucas. Nie należę do kobiet, które prowadzą rachunki.

- A więc tak wielu, co? - zaśmiał się.

Rozjątrzona, zazgrzytała zębami. Drań. Wiedział doskonale, jaką odpowiedź otrzyma. Ale było za późno na zmianę tonu. Zresztą nadal pragnęła go zirytować.

- Tak, tak wielu. Co poradzę na to, że jestem niestała w uczuciach?

Potrząsnął głową z szyderczą sympatią. - Tylu ukochanych, a tylko jeden mąż - jak dotychczas. Kogo więc aktualnie kochasz, Shari?

Jego wargi zwały się z jej ustami. Nie oczekiwał odpowiedzi. Miłość nie miała z nimi nic wspólnego. Był typem człowieka, któremu nie będzie zależało na jej miłości, jeśli tylko będzie otrzymywał to, czego pragnie. Ale ona mu nie pozwoli - nie tym razem. Nie chce... żeby... kochał się z nią...

W chwili, gdy otoczyła rękami jego szyję, Lucas uniósł ją i zaniósł do jej łóżka. Jego słodka dziewczica. Być może go nie kocha - być może jest wyjątkową oszustką - ale jej ciało nie kłamie. Jest jego. Przynajmniej na razie.

24.

Zaspana Sharisse przeciągnęła się i otworzyła oczy. Przez chwilę docierało do niej, że nagi męski tors, na który patrzyła, nie jest już dla niej obcy. Wiedziała, że powinna czuć się przerażona, zdruzgotana. Przez całą noc dzielić łóżko z mężczyzną, obudzić się u jego boku, jakby byli mężem i żoną! Wcale nie musi ożenić się z nią tylko dlatego, że pozbawił ją dziewictwa. Ba, przecież nawet nie wie o tym.

Szczerze powiedziawszy, powinna być trochę oburzona, że jeszcze jest w jej łóżku,

że zgarnia wszelkie korzyści związane z posiadaniem żony, nie będąc z nią formalnie związany, ale tak naprawdę byłaby głęboko rozczarowana, gdyby ją opuścił po wspaniałej miłosnej nocy. I chyba chciała się do niego mocno przytulić.

Zdawała sobie sprawę, że analizowanie własnych uczuć byłoby niebezpieczne. Gdyby chociaż przez chwilę pomyślała, że może się zakochać w Lucasie, wpadłaby w panikę. Żaden mężczyzna, zarozumiały podobnie jak jej ojciec, nie będzie kontrolował jej życia, nawet człowiek o subtelnej arogancji Lucasa.

Nie, bezpieczniej było przyjąć, że jest być może niemoralna. Och, nie w złym znaczeniu tego słowa. Dobry Boże, miała już dwadzieścia lat, była kobietą samodzielną. Czemu miałyby czekać na przeżycie ekstazy, którą pokazał jej Lucas, aż znajdzie męża? Czemu miałyby odmówić sobie tej przyjemności tylko dlatego, że nie są małżeństwem?

Sharisse uśmiechnęła się do swoich myśli. Niewątpliwie stawiała się zepsuta. Ale nie dbała o to, kiedy patrzyła na szeroką klatkę piersiową Lucasa.

Jakże inaczej wyglądał w czasie snu. Pierwszy raz widziała go śpiącego, pierwszy raz miała możliwość i czas, by mu się dobrze przyjrzeć. Podobało jej się to, co dostrzegła, wybrzuszenia mięśni na torsie i odsłoniętych ramionach, sposób, w jaki kręcące się włosy spływały po piersiach w dół, aż na wysokość żołądka. Był pełen mocy, nawet gdy odpoczywał. Podbródek miał rozluźniony, z delikatnym cieniem zarostu, na gładkie czoło opadał mu niesforny lok czarnych jak węgiel włosów.

Nagle odkrycie, że bez typowego uśmiechu, rozciągającego mu usta i przebłyskującego w podobnych szlachetnym kamieniom oczach, z powodzeniem mógłby być swoim niebezpiecznym bratem, zbiło ją z tropu.

Czemuż przyszło jej to do głowy? Nie myślała o Sladzie, odkąd wróciła z Lucasem z gór. Poczowała wówczas ulgę, gdy nie czekał na nich na ranczo. Ale to była prawda. Z zamkniętymi oczami i odprężoną twarzą, niczym się od siebie nie różnili.

Bliźniacy. Zdumiewające, w jaki sposób odmienne doświadczenia życiowe różnicowały dwóch braci, z których jeden był niebezpieczny jak zwinięty grzechotnik, drugi zaś był rozkosznym hultajem. Jeden uwzględniał jej uczucia, drugi pogardzał nimi.

Sharisse szybko odwróciła wzrok, bojąc się podążać dalej tym tropem. Dostrzegła Charleya w porcelanowej misie i uśmiechnęła się na jego widok. Miał skwaszony wyraz mordki. Cóż, Charley nigdy nie polubił Lucasa, zawsze cichutko burczał, gdy Lucas znalazł się koło niej. Podejrzewała, że kot nie jest zadowolony, widząc Lucasa w miejscu, które uważa za swoje osobiste terytorium.

W tym momencie Charley wyskoczył ze swojej miski, a potem dalej, przez okno. Wyglądało, jakby tylko czekał na zainteresowanie z jej strony, by móc okazać niezadowolenie i dać do zrozumienia, co sądzi o jej swobodnym zachowaniu. To dopiero! Dostała po nosie od własnego kota.

- Dzień dobry, ślicznotko.

Sharisse gwałtownie obróciła się do Lucasa. - Ile razy mam prosić, żebyś mnie tak nie nazywał? - powiedziała rozgoryczona.

- Nie besztaj mnie, skarbie, od samego rana. - Pociągnął ją w dół i jednym szybkim ruchem przesunął się na nią, uśmiechając się przy tym szatańsko. - A dlaczego nie wolno mi nazywać cię ślicznotką?

- Bo twój brat mnie tak nazywał i przypomina mi to Slade'a - odcięła się z maksymalną godnością, na jaką było ją stać.

Podrażnił jej usta swoimi, a potem pocałował delikatne piersi doskonałego kształtu. - Nie chcę, żebyś o nim myślała, a przynajmniej nie wtedy, kiedy cię kocham. Nie zależy mi na tym, by być zazdrosnym o własnego brata.

- Czy jesteś zazdrosnym człowiekiem, Lucasie? Pomiedzy słodkimi pocałunkami wymruczał: - Nie wiem.

- Czemu więc tak powiedziałeś?

- Powiedzmy, że chcę być pewny, iż kiedy jesteś ze mną, jesteś wyłącznie ze mną. Rozumiesz?

- Trudno mi teraz w ogóle myśleć o czymkolwiek, Lucasie - szepnęła.

Zamknęła oczy i jęknęła cicho, kiedy przesunął się niżej i tuląc wargi do jej brzucha uchwycił jej boki rękami i unióś z łóżka, aż jej głowa opadła do tyłu. Zagubiła się w doznaniach, w wirujących w jej wnętrzu falach, które umiejętnie wzniecał.

Kiedy przerwał, była bliska krzyku. Otworzyła oczy i zobaczyła, że przygląda się w sposób pozwalający jej na poczucie się uwielbianą, adorowaną i pożądaną, wyraźnie pożądaną. Temu mężczyźnie nie zależało na jej majątku albo niewinności. Kochając się z nią nie miał żadnych ukrytych motywów. Po prostu pragnął jej - dla niej samej. Przepęłniły ją ciepłe uczucia, poruszona została nietknięta dotychczas struna.

- Boże, jaka jesteś piękna.

- Zaczynam podejrzewać, że naprawdę tak myślisz - odpowiedziała bez tchu.

Zwarli się spojrzeniami. - Ale nie jesteś pewna?

- Och, Lucas, przestań gadać - wyjęczała. Schwyciła jego głowę i przyciągnęła do siebie.

Zaśmiał się głęboko. Pragnęła go teraz, a on chciał ją smakować, badać. Chciał, by jej rozkosz była jeszcze pełniejsza.

Ustami ogarnął jej wargi w gorącym pocałunku, a jego dłonie odszukały najwrażliwsze miejsca jej ciała. Nauczył się, co sprawia jej największą przyjemność, kiedy przywodził ją do kolejnych, niezwykłych uniesień. Nauczył się też, że w przypadku Sharisse, tyle samo przyjemności sprawia mu dawanie jak i branie. Przed końcem dnia przełamał jej ostatnie zahamowania. Tego doświadczenia żadne z nich nie mogłoby zapomnieć.

25.

Gdy Lucas wyszedł z za rogu budynku na podwórze, Sharisse upuściła praną właśnie halkę. Niósł w ramionach Charleya. Uśmiechał się, a Charley mruzczał. Sharisse nie

miała pewności, czy się jej nie przywidziało.

Jednak kiedy tylko Charley uchwycił podmuch jej zapachu, przeraźliwie miauknął i rozpoczął szaleńczą walkę, aby się wydostać z objęć Lucasa. Wyrwawszy się, wskoczył przez okno do jej sypialni.

- Miałem przecucie, że tak się zachowa - rzucił Lucas, siadając okrakiem na trzepaku. - Nie mogłem dojść, dlaczego nie zgadzamy się ze sobą. Bo wiesz, zwierzęta zawsze mnie lubiły. To rodzinne. I wreszcie rozumiem, o co chodzi.

- O co?

- Kiedy po raz ostatni Charley miał kontakt z jakąś kotką?

- Lucas!

Roześmiał się. - Mówię poważnie. Jest samcem i potrzebuje samiczki, tak jak wszystkie samce. Ale nie mając żadnej, ciebie traktował jak substytut.

- To absurd.

- Ten kot patrzy na mnie i na każdego, kto jest w pobliżu ciebie jak na rywala.

- Nonsens - upierała się. - Mówiłam ci już, że nie lubi obcych.

- To dlaczego Charley przyszedł do mnie do stajni w najbardziej przyjacielskim nastroju? Bo nie było cię tam i nie musiał o ciebie walczyć.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę przyszedł do ciebie?

- Sama widziałaś, że nawet pozwolił mi się nosić.

- Jeśli to prawda, gdzie mogę tutaj znaleźć kotkę dla niego?

- Nie sądzę, żeby w Newcomb były jakieś koty, ale mogę rozesłać ogłoszenia do sąsiednich miast, zobaczymy co da się znaleźć. I tak muszę dziś odwieźć powóz, więc przebierz się i jedź ze mną.

- A jak wrócę z powrotem z miasta?

- Pojedziesz konno. Przyszła już pora na lekcje jazdy.

Odwróciła się do niego tyłem i powróciła do szorowania halki. - Chyba zostanę. Nie będę ci potrzebna do rozwieszania tych ogłoszeń.

- Pragnę jednak twojego towarzystwa.

- Mam dużo roboty, Lucas.

- Idź, Sharisse, i załóż spodnie, które ci kupiłem. Szarpnęła do góry głowę. - Nie założę tych spodni, zwłaszcza do miasta! - Jak śmie jej rozkazywać?

- Nie kupiłem ich po to, żeby leżały. Pójdiesz je założyć.

- Nie założę - odparła nieustępliwie, potrząsając głową.

Wstał powoli i ruszył w jej stronę. Oskoczyła do tyłu, chwytając mokrą halkę i trzymając ją przed sobą jak broń.

Masz ochotę na malutki zakład, skarbie? - zapytał ze słodyczą. - Chcesz się założyć, że pojedziesz ze mną do miasta w tych spodniach? Chcesz się założyć, że ja cię w nie ubiorę, jeśli sama tego nie zrobisz?

Otworzyła szeroko oczy. - Nie zrobiłbyś tego.

Kiedy postąpił ku niej następny krok, rzuciła się w kierunku domu. Złapał ją, nim

zdażyła dobiec do drzwi.

- Zgoda! - krzyknęła. - Zrobię to, ale postaw mnie!

Puścił ją, a Sharisse rozwścieczył widok jego uśmiechu. - Tylko nie grzeb się za długo, bo pomyślę, że potrzebujesz mojej pomocy.

- Lucasia Holt, jesteś tyranem! - warknęła. Odchodził już, ale zawołał przez ramię: - Nie, nie jestem. Po prostu dzisiaj nie zniósłbym rozłąki z tobą.

- Och, bo będę wrzeszczeć! - I wrzasnęła.

Dwie godziny później oddali powóz w Wypożyczalni Powozów i Koni Pete'a i zostawili tam dwa konie, które miały zawieźć ich z powrotem na ranczo. Sharisse miała na sobie swój podróżny kostium, żakiet narzucony na koszulę kupioną przez Lucasa, a koszmarne spodnie ukryte pod spódnicą. Lucas śmiał się z jej kompromisu, wstrętny brutal.

Jednak nie umiała się długo na niego gniewać. Jedna rzecz różniła tego łajdaka od znanych jej mężczyzn. Mogła być nie wiadomo jak wściekła, a wystarczyło, żeby się uśmiechnął, poprzekomarzał, poprzymilał, by zapomniała, o co była zła.

Lucas zostawił ją na poczcie, a sam poszedł sprawdzić, czy dyliżans, którym miał odjechać Emery, wyruszył punktualnie tego ranka. - Jest coś, co zapomniałem mu wczoraj przekazać - wyjaśnił - i, jeśli dyliżans jest jak zwykle opóźniony, nie będę musiał do niego pisać w tej sprawie.

- A co ja mam robić, czekając na ciebie?

- Napisz ogłoszenie w trzech egzemplarzach, a kiedy wrócę, zapłacę za ich rozesłanie. Wiesz lepiej ode mnie, jaka kotka przypadłaby do gustu Charleyowi. Wilber da ci papier i pióro. A przy okazji sprawdź, czy nie ma dla nas poczty.

- Czy listów nie dostarczają na ranczo? Pokręcił głową. - Tutaj trzeba odbierać pocztę.

- Czy to oznacza, że mogły na mnie czekać listy, a ja nawet o tym nie wiedziałam? - Sharisse była oburzona.

Po odejściu Lucasa szybko weszła na pocztę i zaczęła rozmowę z siedzącym za biurkiem Wilberem. Jej nadzieja zgasła tak szybko, jak się pojawiła. Nie było listu od Stephanie. Były za to dwa listy dla Lucasa, jeden od Monsieur Andrevie z Nowego Orleanu, drugi od Emery'ego Busketta z Newcomb. Uśmiechnęła się. Widocznie Emery także zapomniał powiedzieć coś Lucasowi.

Starannie sformułowała swoje oczekiwania. Zdumiewające, ogłaszać poszukiwania partnerki dla Charleya. Potrzeba mężczyzny, który wcześniej szukał w ten sposób dla siebie żony, żeby wpaść na taki pomysł. I tylko mężczyzna mógł pomyśleć o samczych potrzebach. Westchnęła. Sama nigdy nie pomyślała o towarzysze dla Charleya. Dama nie myśli o takich rzeczach. A ona?

* * *

Lucas znalazł Emery'ego, kiedy dyliżans wtaczał się na miejsce postoju.

- Miło z twojej strony, że przyjechałeś mnie pożegnać, Lucasia.

- Nie pochlebiaj sobie. - Lucas wykrzywił się w uśmiechu. - Musiałem odwieźć wynajęty powóz. - Pomógł Emery'emu zapakować kufer do tyłu dyliżansu.

- Zostawiłem ci list - powiedział Emery - opisujący szczegółowo moje spotkanie z Newcombem.

- Świetnie, ale jest jeszcze coś, czym chciałbym, żebyś się zajął, poza tym, nad czym już pracujesz.

- Co tylko chcesz, Lucasie - odpowiedział skwapliwie Emery. - Za to mi płacisz.

- Ten twój przyjaciel, detektyw?

- Jim?

- Tak. Chcę, żebyś go odnalazł zaraz po powrocie.

- Wątpię, żeby jeszcze był w St. Louis, Lucasie.

- Równie dobrze może być w drodze do Nowego Jorku, nieważne, tylko go znajdź. Chcę, żebyś wydobył z niego pozostałe informacje o tej pannie Hammond. Chcę znać jej imię, opis, wszystko, co wie na jej temat.

- A więc jest jednak spowinowacana z twoją narzeczoną?

- Sharisse nie jest pewna, ale przypomniała sobie jakichś kuzynów z Nowego Jorku, z którymi jej rodzina utraciła kontakt. Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziewczynie.

- Z przyjemnością spełnię prośbę tak pięknej, młodej kobiety - powiedział układnie Emery. - Żałuję, że nie przywiozłeś jej do miasta, żebym mógł sam jej to powiedzieć. Z chęcią bym ją spotkał.

- Zapominasz, że jest już zajęta - rzekł Lucas, a w jego głosie nagle pojawiła się chłodna nuta.

Emery uśmiechnął się. - taką kobietę warto ukraść, nawet przyjacielowi, Lucasie. - Na widok Sharisse rozjaśnił się jeszcze bardziej w uśmiechu. - Ach, więc przywiozłeś ją.

Lucas spojrział w dół ulicy. Sharisse właśnie stanęła na chodniku, a oddalony o niespełna dwadzieścia metrów Leon Waggoner zaczął się do niej zbliżać.

- Bezpiecznej podróży, Emery - powiedział z roztargnieniem Lucas, odchodząc.

- Ale, Lucas...

Emery zamilkł, wiedząc że został odprawiony. Dziwny człowiek z tego Lucasa Holta. Zwykle bardzo przyjemny, czasami zimny i obojętny. Ale szybko przestał zaprzętać sobie nim głowę. Nieważne, jaki z niego człowiek, dopóki dobrze płaci. A Lucas niewątpliwie dobrze płacił.

26.

Zaledwie Sharisse zdążyła osłonić oczy przed rażącym słońcem, gdy brzęk ostróg skłonił ją, by spojrzeć za siebie. Kowboj przystanął, kiedy się obróciła. Był krępy, ani młody, ani stary. Zaniepokoiło ją coś w sposobie, w jaki się jej przyglądał. Czyżby spotkała go już na przyjęciu u Samuela Newcomba? Jeśli tak, to nie zapamiętała go.

- Panna Hammond, nieprawdaż?

- Poznaliśmy się już?

Zatknął kciuki za pas, przybierając postawę swobodną, lecz jednocześnie wojowniczą, ostrożną. - Nie, zgaduję, że jestem chyba jedynym człowiekiem w mieście, którego nie miała pani przyjemności poznać. Ale to z łatwością da się naprawić. Mam na imię Leon, szanowna pani. Jestem nadzorcą na ranczo Newcomba. A pani jest jeszcze piękniejsza, niż słyszałem. Tak, proszę pani, z pewnością piękniejsza.

Sharisse była przekonana, że słyszała już gdzieś to imię, ale gdzie? Co za pomysł, aby zaczepić ją na ulicy, o manierach nie wspominając!

- Panie Leonie, skoro nie zostaliśmy sobie właściwie przedstawieni...

- Leon Waggoner - powiedział. - I przedstawiam się właśnie teraz. Spotkałbym panią na przyjęciu u szefa, niestety opuściłem je dzięki pani narzeczonemu i podbitemu przez niego oku. Przez tydzień prawie nie mogłem pokazywać twarzy.

- Więc jest pan tym człowiekiem, z którym bił się Lucas! - wykrztusiła Sharisse.

- Powiedział pani, tak? Wydaje mu się pewnie, że wygrał tę walkę. Cóż, to był tylko jeden szczęśliwy cios. Założę się, że nie powiedział, iż dopadł mnie, kiedy wlałem w siebie nieco za dużo, prawda? Co pani mu zrobiła, że przyszedł szukać zwady?

- Ja? Jak pan śmie! Nie pochwalam walki na pięści.

- Co to znaczy walka na pięści, proszę pani?

- Żegnam pana, panie Waggoner.

Chwycił ją za ramię. - Nie odwracaj się do mnie plecami, kobieto - warknął. - To nie są dobre maniery.

- Myślę, że to twoja matka nie udzieliła ci lekcji dobrego wychowania, Leonie.

Oboje podskoczyli na dźwięk tych słów. Lucas stał na rozstawionych nogach, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Twarz miał jak wykutą z granitu, pasowała do jego głosu.

Leon puścił jej ramię. - Twoja kobieta nie jest zbyt przyjacielska, Holt.

- Być może jest wybredna przy wyborze rozmówców.

Leon zeszywniał. Równocześnie jednak coś w Lucasie kazało mu się powstrzymać. Facet był za spokojny, śmiertelnie spokojny.

- Między nami jeszcze nie koniec, Holt. Gdybyś nie miał ze sobą pani...

- Niech cię to nie zatrzymuje, Leonie. Jeśli chcesz teraz się ze mną spróbować, proszę bardzo. Jeśli zaś wolisz iść teraz po swoją broń, też mi to odpowiada. Tak czy inaczej, jestem do usług.

Leon, zlany potem, potrząsnął głową. - Zwariowałeś! Nie jesteś sobą, odkąd ona przyjechała. Poszukam cię, kiedy znormalniejesz. Nie walczę z wariatami.

Lucas obserwował oddalającego się w pośpiechu Leona. Może rzeczywiście lekko zwariował. Wiedział tylko, że kiedy Leon położył swoją rękę na Sharisse, pragnął mu tę rękę odstrzelić.

Odwrócił się ku Sharisse, gotów ją uspokajać, gdyby była wzburzona. Ale błysk złości w tych pięknych, ametystowych oczach był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Czyżby nie czuła strachu?

Sharisse istotnie była rozzłoszczona, ale nie na Leona, wiązało się to raczej z nerwową reakcją Lucasa. Patrząc, jak rozprawia się z Leonem pojeła, jak wiele tkwi w nim przeciwieństw. Czyżby zwiódła ją delikatność Lucasa? Czyżby, mimo wszystko, zrobiony był z tej samej dzikiej materii, co jego brat?

- Jak to robisz? - rzuciła ostro oskarżenie.

- Co robię, Shari?

- Stajesz się czasem podobny do Slade'a.

- Naprawdę? - uśmiechnął się. - Slade będzie zadowolony, słysząc to.

- Dlaczego? - spytała ostrożnie.

- Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Nie sądzisz chyba, że taki żółtodziób jak ja zdołałby tu coś bez kilku lekcji przetrwania?

- Chcesz powiedzieć, że to był tylko bluff?

- Jasne. A cóż innego?

Zmarszczyła brwi. - Dlaczego więc mam wrażenie, że to nieprawda?

Kiedy nie odpowiedział, zapytała: - Czemu połowa mieszkańców tego miasta odnosi się do ciebie z serdecznością, podczas gdy druga połowa stara ci się zejść z drogi?

- Masz bujną wyobraźnię, Sharisse.

- Nie, nie mam - upierała się. Wyraz jego twarzy powiedział jej, że nie jest zadowolony z tej obserwacji, ale musiała wiedzieć. - Czemu się ciebie boją, Lucasie?

Czy jest jakiś powód?

- To nie mnie się boją, do diabła. Wiesz o tym.

- Chodzi o Slade'a? A ludzi niepokoi, że jesteś do niego podobny?

Nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. - A ja chciałbym wiedzieć, dlaczego tak często zajmujesz się Sladem.

- Wcale się nim nie zajmuję.

- Doprawdy?? Wydaje mi się, że mój brat wywarł na tobie za duże wrażenie.

- Jeśli poruszył mnie czymś, to swoją arogancją, zimnem, bezdusnością...

- To bardzo silne wrażenia.

Och, głupstwa gadasz! - powiedziała rozdrażniona. - Mówiłam ci, że go nie lubię. Mam nadzieję, że nigdy go już nie zobaczę. Ale nie mogę przestać o nim myśleć w chwilach, kiedy zachowujesz się tak samo, jak on.

Rzucił jej twarde spojrzenie. O czym myślał? Czy podejrzewał, jak niewiele brakowało, by uległa perswazji w stylu Slade'a?

- Pod pewnymi względami jestem jak on, Sharisse - rzekł jej w końcu Lucas. - Może będzie lepiej, jeśli to zrozumiesz.

A to co znowu miało oznaczać?

Sharisse zostawiła śniadanie, zapakowane dla Lucasa, na zbitym z desek stole w stodole. Tego ranka powiedział jej zwięźle, że pojedą dziś z Billym w góry, obejrzeć żrebaki. Nie prosił o naszykowanie śniadania, ale miała nadzieję, że doceni jej starania.

Gdyby trzy tygodnie temu przyszło jej do głowy, że będzie się starała sprawić przyjemność temu mężczyźnie, roześmiałyby się z absurdalności takiego pomysłu. Zamierzała być nieprzyjemna, sprawić, by był z niej niezadowolony i odesłał z powrotem do Nowego Jorku. Cóż, był z niej niezadowolony od czasu kłótni z Leonem i ich sprzeczki o Slade'a. Od pięciu dni ledwie się do niej odzywał i nawet jej nie dotknął.

Niech będzie i tak. Każdego dnia spodziewała się listu od Stephanie i pieniędzy na powrót do domu. Czemu więc w ogóle przejmowała się Lucasem?

Nieznośna sytuacja! Miotaly nią sprzeczne uczucia. Nie była pewna, czego pragnie. Fizycznie pożądam mężczyzny, już nie myślała, że małżeństwo to rzecz straszna. Co się z nią działo? Musiała z tym skończyć, zignorować uczucia, które w niej wzbudzał. Musi wziąć się w garść.

Lucasa nie było w stodole, był za to Mack. Siodłał swojego konia, co zaniepokoiło Sharisse.

- Nie jedziesz chyba w góry z Lucasem i Billym, Mack?

Spojrzał na nią. - Nie, proszę pani. Jadę do miasta. Po parę rzeczy, o których zapomniał Lucas w ubiegłym tygodniu.

- To znaczy, że Willow i ja będziemy tu same?

Zrozumiał. - Nie ma powodu do obaw, dziewczyno. Jeśli będziesz go potrzebowała, Lucas jest na odległość strzału. Jeśli przyjedzie tu ktoś, kogo nie znasz, wystrzel ze strzelby, którą trzyma nad kominkiem, to cię usłyszy.

- Och. Cóż, nie wiedziałam, że ma żrebaki tak blisko stąd.

- W większej odległości mogłyby zniknąć: - Mack zachichotał. - Rozumiesz, Indianie - dodał.

Sharisse zignorowała to. - Rozumiem więc, że nie ma się o co martwić. Ale nie jedziesz na długo?

- Skądże. Dni, kiedy zostawałem w mieście z powodów, o których wolę nie mówić, to już przeszłość. Wszystko, co mi teraz potrzebne, to zapasik whisky, który mam na ranczo.

Sharisse zaśmiała się. Staruszek był zawsze taki bezpośredni. - Mógłbyś sprawdzić, czy nie ma dla mnie czegoś na pocztę, gdy będziesz w mieście? Spodziewam się listu.

- Rozumie się, proszę pani.

Wkrótce po odjeździe Macka na podwórzu pojawił się Lucas, prowadzący dwie nowe klacze. Billy szedł za nim krok w krok. Na końskich grzbietach były tylko derki i kiedy Billy dosiadł jednej z klaczy Sharisse pojęła, że nie zamierzają ich

siodłać.

- Czy taka jazda nie jest niebezpieczna? - spytała, by przerwać ciszę.

- To będzie ich pierwsza jazda z człowiekiem na grzbiecie. Muszą się najpierw przyzwyczaić do tego ciężaru, zanim dołożymy im jeszcze osiemnaście kilogramów siodła.

Z pewnością wiedział, jak się jeździ na nieosiodłanym koniu, nie miała więc powodu, by się martwić, że może spaść. Zresztą i tak nie chciała rozmawiać o koniach. Jej jedyne jak dotąd doświadczenie związane z samodzielnym siedzeniem w siodle, gdy wracali z miasta, było bardzo nieprzyjemne. Siedzenie bolało ją nadal.

- Zrobiłam ci śniadanie.

Podawała mu i z niepokojem patrzyła, jak pakuje je do skórzanych juków. Miał na sobie mokasyny i koszulę z frędzlami z kozłej skóry, która opinała jego twarde mięśnie. Gra tych mięśni wywarła na niej wrażenie, aż się zarumieniła z wściekłości. Jeśli Lucas szybko nie zmięknie, ulegnie w końcu pokusie i sama uczyni pierwszy krok.

Kiedy wreszcie Lucas odwrócił się i spojrzał na nią, Sharisse była zadowolona, że w stodole nie było zbyt widno. Ich oczy spotkały się i bez tchu czekała na jakieś słowa. Z jego oczu nic nie mogła odczytać. - To nie zajmie całego dnia - powiedział lekko.

Serce jej zamarło. - Wrócisz więc na kolację? - wydusiła z siebie.

- Nawet wcześniej. - Zaczął wsiadać na konia, spojrzał na nią jeszcze raz i warknął: - Och, do diabła!

Szarpnął ją ku sobie i pocałował długo i mocno. Gdy odchylił się wreszcie do tyłu, miał czułość w oczach, widać było, że jest poruszony.

- Nie spało mi się ostatnio najlepiej. - Z wolna uśmiech pojawił się na jego twarzy. - Myślę, że może za długo dusiłem coś w sobie.

- Też mi się tak wydaje.

Nie miał ochoty jej puścić, ale musiał. - Nie przemęczaj się dzisiaj - rzucił, podciągając się na konia.

- Mogłabym ci powiedzieć to samo.

Roześmiał się zadowolony, odjeżdżając. Sharisse stała w drzwiach stodoły z głupim uśmiechem na twarzy i przyglądała się, jak pędzi, aby dogonić Billy'ego.

28.

Sharisse starała się nie myśleć o swoim ojcu od chwili, gdy Emery Buskett o nim wspomniał. Ale na niemal pustym ranczo, mając mnóstwo czasu, przyłapała się na rozmyślaniu o Marcusie.

Nawet gdyby dostała pieniądze na podróż w ciągu następnych kilku dni, nie mogłaby wrócić prosto do domu, jeszcze nie teraz. Jeśli nagroda za jej odnalezienie jest tak wysoka, jak mówił Emery, to wściekłość ojca jest nie mniejsza. Poza dyskusją była więc sprawa stawienia mu czoła, dopóki jego złość nie osłabnie. Ale jeszcze gorzej byłoby, gdyby odnalazł ją któryś z detektywów i zwrócił ojcu. Nie mogła więc na razie jechać do Nowego Jorku.

Może pojechałaby do swojej ciotki? Z pewnością dom ciotki Sophie został już przeszukany i powtórne sprawdzanie go nie jest prawdopodobne. No i ciotka stanęłaby na pewno po jej stronie, gdyby usłyszała, jak nierozsądnie zachował się jej szwagier w sprawie Joela. Ciotka Sophie była romantyczką.

Innym problemem nurtującym Sharisse była konieczność konfrontacji ze Stephanie w związku z klejnotami. Okazało się, że pomoc siostrze drogo ją kosztowała, więcej niż mogła przypuszczać. Potrafiła jednak zrozumieć desperację, która przywiodła Stephanie do takiego czynu. I co tak naprawdę Sharisse straciła, poza dziewictwem? Szczerze mówiąc, wcale nie odczuwała jego braku.

Uśmiechnęła się, bo w jej myślach pojawił się Lucas. Pragnęła, aby czas szybciej upływał. Oczekiwanie było miłe.

Sharisse powędrowała do domu Willow, ale szybki rzut oka do środka ukazał jej matkę i dziecko, wykorzystujące spokojny dzień na drzemkę. Chciałaby być tak zmęczona, żeby zrobić to samo.

Westchnęła i skierowała się na podwórze. Zawsze można podlać ogródek. Założony był na dobrej, górskiej ziemi, mającej jednak tendencję do szybkiego wysychania w gorące dni, a dziś dzień był upalny. Niebo było aż białe, bez jednej chmurki.

Wiadro wisiało wpuszczone do studni. Nim zdążyła je wyciągnąć, zachciało jej się pić, więc postawiła je na ziemi, by dłońmi zaczerpnąć wodę. W momencie, gdy jej palce już miały zaburzyć taflę wody, ujrzała obok swego odbicia drugą twarz.

Sharisse odskoczyła tak szybko, że uderzyła głową w jego brodę. Mężczyzna chrząknął, Sharisse złapała oddech i popatrzyli na siebie. Była tak przerażona, że nie mogła nawet zdobyć się na krzyk. Indianin - niski, zakurzony - patrzył na nią, jakby nigdy nie widział białej kobiety. Czy był tak samo zaskoczony, jak ona? Najbardziej zdawały się go fascynować jej włosy. Po odjeździe Lucasa rozpuściła je, przypominając sobie, że lubił je takie. Ale teraz ten dzikus sięgał po lok, opadający na jej ramię. Czy ma zostać oskalpowana? Głos odmówił jej posłuszeństwa, ale nie jej odruchy. Odepchnęła dłoń Indianina i odsunęła się na tyle, by móc ujrzeć drugiego Indianina, wyjeżdżającego na koniu z za domu. Nie! Było jeszcze dwóch innych, a następni nadjeżdżali!

Popędziła do domu i zatrzasnęła drzwi. Ale jedno spojrzenie na pootwierane okna powiedziało jej, że ryglowanie drzwi nie ma sensu. Jediną szansą była strzelba nad kominkiem. Oczywiście, nie miała zielonego pojęcia, jak się nią posługiwać, ale była to ostatnia nadzieja.

Drzwi kuchenne zostały wyłamane, więc uniosła ciężką strzelbę na ramię i wymierzyła w drzwi. Wymagało to od niej całej siły. Ciężar broni obrócił ją w kółko i kiedy wreszcie udało jej się powtórnie wycelować w drzwi, w pokoju tłoczyło się siedmiu Apaczy, o mrozących krew w żyłach twarzach.

Ogarnęła ją panika i pociągnęła palcem za spust. Jeśli uda jej się zranić jednego z nich, pozostali może się wycofają. Ale nic się nie stało. Pociągnęła mocniej. Nadal

nic się nie działo. Co gorsza, zobaczyli, co usiłowała zrobić i zaczęli się z niej śmiać.

- Pewnie by pomogło, gdybyś najpierw odbezpieczyła strzelbę.

Sharisse okręciła się wokół, by spojrzeć na drzwi frontowe. Otworzyły się powoli i stał w nich - Lucas! Dzięki Bogu!

Ale gdy spostrzegła, jak jest ubrany, pojęła, że to nie był Lucas. Jednak nigdy w życiu nie poczuła takiej ulgi na czyjś widok - nawet jeśli to był Slade.

Przeszedł przez pokój i zabrał strzelbę.

- Przekłęta, głupia babo - mruknął tak cicho, że tylko ona mogła go słyszeć. - Chciałaś, żeby cię zabili?

Zesztywniała. - Broniałam się.

Zaklął pod nosem, odwieszając strzelbę na miejsce. Potem powiedział coś do Indian w ich narzeczu i posłusznie zaczęli wychodzić. Kiedy ostatni zniknął za drzwiami Sharisse oparła się o ścianę, a kolory z wolna znów powróciły jej na twarz.

- Znasz ich? - zapytała Slade'a.

- Tak. Ja ich tu przyprowadziłem. Parę ich koni nie dałoby rady dojechać do Meksyku, dokąd zmierzają. Chcieli je zamienić na wypoczęte.

W miarę, jak padały słowa, rosła złość Sharisse. - Byłeś więc tutaj przez cały czas! Mogłeś się wcześniej pokazać! Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Ściągnął brwi. - Nie wydaje mi się, żeby mi odpowiadał twój ton, kobieto.

- Nie podoba ci się! - krzyknęła, odrywając się od ściany i patrząc mu prosto w oczy.

- Guzik mnie obchodzi, co ci się podoba! Ja nie lubię być śmiertelnie przerażona. Myślę, że czerpiesz perwersyjną przyjemność ze straszenia kobiet.

- Mówisz bez sensu, sama wiesz.

- Mówię z wielkim sensem! - wybuchła. - Celowo mnie nastraszyłeś!

- Zachowujesz się jak histeryczka. Kiedy się uspokoisz, sama dojdiesz do wniosku, że nie było się czego bać. Nic ci nie groziło.

- Skąd miałam to wiedzieć?

- A mogę cię spytać, skąd ja miałem wiedzieć, że tylko rzucisz okiem na moich przyjaciół i wpadniesz w szal? Jeśli zaś chodzi o to, gdzie byłem, to żona Billy'ego słyszała, jak nadjeżdżamy i zawołała do mnie, że Luke'a nie ma. Nie minęła nawet minuta, gdy usłyszałem twój krzyk i przybiegłem sprawdzić, co się dzieje. Nie mogłem ci dać znać, że tu jestem. Nie było czasu.

- Minuta? - sapnęła.

To tak mało czasu upłynęło? Pewnie tak. Nie miał więc zamiaru jej przestraszyć. Och, jak się wygłupiła z tym oskarżeniem.

- Ja... chyba powinnam cię przeprosić - powiedziała sztywno.

- Zapomnij o tym. - Przeszedł obok niej aż do drzwi kuchennych. Przez chwilę patrzył na zagrodę dla koni, po czym poinformował. - Wybrali już sobie konie.

- Nie trzeba najpierw spytać Lucasa? - zastanowiła się Sharisse.

- Nic by to nie zmieniło - odparł Slade. - To grupa wędrowna. Albo dajesz im, co

chcą i jadą dalej swoją drogą, albo biorą, co chcą i komuś dzieje się krzywda.

A mówił, że nie było niebezpieczeństwa. - Ładnych masz przyjaciół - powiedziała zapalczywie.

Spojrzał na nią. - Lepiej, by byli przyjaciółmi, niż wrogami.

- Czy pojedą sobie teraz?

Zawołał coś i podniósł dłoń w geście pozdrowienia, potem zamknął drzwi. - Odjechali.

- Nie jedziesz z nimi?

Zdjął z głowy kapelusz i cisnął na stół. - Spotkałem ich dopiero dziś rano i pojechałem z nimi, bo zdążaliśmy w tym samym kierunku. Oni jechali po konie - a ja do ciebie.

Nagle Indianie poszli w zapomnienie. - Masz na myśli Lucasa, prawda?

- Nie, chodzi mi o ciebie. Bardzo mi odpowiada nieobecność Luke'a.

Utkwił w niej oczy, żółtozielone i tak jasne, że zdawały się świecić. Unieruchomił ją tym spojrzeniem, jednocześnie pokonując przestrzeń, która ich dzieliła.

- Lucas wkrótce wróci - wyszeptała bez tchu.

- I co z tego?

- A to, że straciłeś czas, jeśli przyjechałeś tu, by spotkać się wyłącznie ze mną. - Udało jej się zabrzmieć pewniej.

- Pozwól, że sam to ocenię.

Sięgnął po nią, ale powstrzymała go rękami. - Proszę, nie. Po naszym ostatnim spotkaniu zaangażowałam się w związek z Lucasem. On i ja... my...

- A więc przespał się z tobą. - Wykrzywił szyderczo twarz. - Mówiłem ci już wcześniej, że nie ma to dla mnie znaczenia.

Wciągnęła głęboko powietrze. - Ale ma dla mnie! - Naprawdę? Sprawdźmy więc.

Odepchnął jej ręce i mocno przyciągnął do siebie. Jego usta opadły na nią z brutalną siłą. Wrywała się przez chwilę, potem zrezygnowała, bo jego ramiona były jak ze stali. I wtedy, niespodziewanie, jej ciało zaczęło reagować. I tak samo nagle Slade odsunął ją od siebie.

Oszołomiona Sharisse oparła się o ścianę. Czy nie przeżyła już czegoś podobnego? W górach, tuż przed spotkaniem z Billym? Tam także Slade pocałował ją, aby natychmiast puścić. Czy prowadzi jakąś okrutną grę, czy też, mimo wszystko, odzywa się w nim sumienie?

- Cóż, wydaje mi się, że pytanie znalazło odpowiedź, prawda? - głos Slade'a smagał ją jak bież. - Jesteś tak niestała, jak tylko kobieta potrafi. A może mój brat ci nie wystarcza?

- O czym ty mówisz? - rzuciła ze złością. - To ty mnie pocałowałeś!

- Ale oddałaś mi pocałunek, kobieto!

To prawda. Boże, co się z nią działo? To byli przecież dwaj różni mężczyźni. Czemu nie potrafiła ich rozdzielić? Tak, kiedy nie ulegała burzy zmysłów, nie miała kłopotu

z ich odróżnieniem. Tylko w chwilach, gdy ją przytulali blisko do siebie, traciła kontrolę. Czy naprawdę pragnie ich obu? Nie! Nie mogła się z tym pogodzić.

- Dlaczego mnie pocałowałeś, skoro nie chciałeś, bym ci oddała pocałunek? - zapytała.

- Powiedziałem tak?

- Och, przestań mnie wreszcie peszyć! Byłeś zły z tego powodu. Nie możesz zaprzeczyć.

- Tak dobrze mnie znasz, prawda?

Jego twarz utraciła jakikolwiek wyraz, zaś po jej grzbiecie przebiegł nerwowy dreszcz. Jak postępować z człowiekiem, który potrafi natychmiast ukryć nawet najsilniejsze emocje? Może być ogarnięty morderczym szałem, a ona nawet się tego nie domyśli.

- Czego chcesz ode mnie, Slade?

- Bez udawania. Nie chcę oskarżeń po tym, jak cię wezmę do łóżka.

- Nie chcesz... chyba powiedzieć...?

Przerwał jej ostry śmiech, bardzo złowieszczy. - Nie zrobiłem tak dalekiej drogi po to, żeby tylko porozmawiać.

- Ale ja cię nie chcę!

W chwili, kiedy to powiedziała, przypomniała sobie o przekonaniu Slade'a, iż jest inaczej.

- Jeśli... jeśli reagowałam na ciebie, Slade, to tylko dlatego, że Lucas mnie ostatnio ignorował.

Omiótł ją powolnym spojrzeniem. - Jeżeli usiłujesz dać mi do zrozumienia, że znudził się już tobą, to ci nie wierzę.

- Tego nie powiedziałam. Pokłóciliśmy się z twojego powodu!

Miała ochotę ugryźć się w język.

- Ciekawe, dlaczego? - zadumał się. - Może wyobraził sobie, że przez cały czas tęsknisz do mnie.

- Co za absurd! Czy zawsze musisz wysnuwać fałszywe wnioski? Po prostu czasami zachowuje się jak ty, a ja tego nie znoszę i powiedziałam mu o tym. Podobnie jak ty ma talent do wyciągania błędnych wniosków. Doszedł do przekonania... och, nie mam zamiaru ci tego wyjaśniać!

- Czemu nie? Jestem zafascynowany.

Jego rozbawienie zwiększyło jej irytację. - Widzę, że mnie nie rozumiałeś - powiedziała z największą wyniosłością, na jaką było ją stać. - Nie lubię ani ciebie, ani twojego zachowania. Jesteś, Slade, zimnym i nieczułym człowiekiem, nie znoszę też twojej arogancji. Przypominasz mi mojego ojca, który jednak nie jest aż tak bezlitosny, jak ty. Byłabym nienormalna, pragnąc ciebie, gdy mam Lucasa.

- Nawet jeśli cię ignoruje? I jeśli będzie to nadal robił?

- Nawet jeżeli już nigdy mnie nie dotknie - podkreśliła. - Bo jest delikatny i troskliwy

i nigdy nie będzie próbował sięgać po coś, czego nie będę chciała mu dać.

- Ale czy podnieca cię tak samo jak ja, ślicznotko? Błyskawicznie dopadł jej i otoczył ramionami. Była przygotowana na walkę, by dowieść, że naprawdę go nie chce, ale zrobił coś nieoczekiwanego, jeszcze raz przyprawiając ją o zmieszanie. Zamiast przygnieść ją z bezwzględną namiętnością, niezwykle czule opuścił swe usta na jej wargi. Tak bardzo przypominał jej Lucasa, że zareagowała tak, jakby nim był.

Slade przestał ją całować, lecz się nie odsunął. Coś tliło się w jego spojrzeniu, przewiercającym ją i powodującym, że topniała.

- Możesz myśleć, że wolisz Lucasa, ślicznotko - szepnął - ale twojemu ciału jest wszystko jedno, który z nas zabierze je do łóżka. Wiemy o tym oboje. Myślę, że czas, aby i Luke się dowiedział. Dobrze się stanie, gdy po powrocie znajdzie nas w twoim łóżku.

- Nie! - krzyknęła. Uniósł ją i zaczął nieść do sypialni. - Och, proszę, Slade, ty nie rozumiesz. Żaden z was tego nie rozumie. Wysłuchaj mnie! - Bębniła w jego piersi, aż zatrzymał się i zwrócił uwagę na jej słowa. - Czy ty mnie całujesz, czy on, czuję to samo. Nie ma żadnej różnicy między wami. Nie wiem, dlaczego, może dlatego, że jesteście bliźniakami. Obaj macie nade mną taką samą władzę.

- Wreszcie to przyznajesz? - Nie było nic triumfalnego w jego głosie.

- Staram ci się wytłumaczyć, że jeśli trzymacie się z dala ode mnie i mogę spokojnie myśleć, z całą pewnością wolę Lucasa. Byłbyś w stanie dostać ode mnie to, o co ci chodzi, ale nienawidziłabym cię za to.

- Czy uważasz, że mnie to obchodzi?

- Tak! Nie jestem niestała. - Powiedziała to zarówno ze względu na siebie, jak i na niego. - Lucas związał mnie ze sobą, nie legalnie, ale jesteśmy ze sobą. Jeden mężczyzna mi wystarcza.

- To właśnie przyjechałem sprawdzić.

- Czy mam cię błagać, żebyś zostawił mnie w spokoju?

- Zrobiłabyś to? - zapytał miękko.

- Tak.

Triumfował. Widziała to w jego oczach. Najbardziej ze wszystkiego chciał ją upokorzyć. Nigdy nie spotkała tak podłego człowieka. Zaczęła płakać.

- Czy to konieczne? - szorstko powiedział Slade. Postawił ją na ziemi i odsunął się. Sharisse nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Czyżby naprawdę udało jej się go powstrzymać? Zapłakała głośniej.

- Przestań, kobieto! - zażądał.

- A zostawisz mnie w spokoju?

- Tak!

- Przysięgasz? - upierała się pomiędzy łkaniami.

- Nie dotkniesz mnie więcej?

- A niech to diabli, przysięgam!

Uspokoła się. Wystarczyło jej to, co usłyszała. Wyprostowała się i przeszła do kuchni po ręcznik do wytarcia twarzy. Kiedy znów zerknęła na Slade'a, wykrzywił się do niej.

- Wiesz, ślicznotko, gdybym pomyślał przez chwilę...

- Przysięgałeś, Slade - przypomniała mu pospiesznie.

- Istotnie.

Chwycił swój kapelusz i ruszył do frontowych drzwi, po czym zatrzymał się w ich świetle i spojrzał na góry.

Wiedziona impulsem, powiedziała: - Szkoda, że obaj z Lucasem nie jesteście jednym mężczyzną, Slade. Wówczas nie... - Przerwała, sama zaskoczona. Czyż sama nie może stąd wyjechać?

Nie odwrócił się, by na nią spojrzeć, ale usłyszała jego śmiech. - Co? Wówczas nie musiałabyś się zastanawiać, dlaczego pożądasz nas obu?

Nie odważyła się odpowiedzieć. Ale poczuła chęć choćby niewielkiej zemsty za wszystko, co jej zrobił.

- Wiesz, jest coś z ciebie w Lucasie. Odkryłam to. Ale ty nie masz w sobie nic z niego. Idź, Slade. Zostaw nas w spokoju.

29.

Kiedy późnym popołudniem przyjechali Lucas i Billy, Sharisse siedziała przy kuchennym stole. Przed nią stał kubek jakiegoś napoju; nie miała pojęcia, co to jest. Poszła do Willow i poprosiła o coś na uspokojenie, Willow zaś spełniła jej prośbę, chociaż nie bez obaw. Sharisse nie interesowało, co pije, gdyż po dwóch pełnych kubkach była już spokojna.

Gdy Lucas stanął w drzwiach, wszystkim co zauważyła, były te przeklęte mokasyny i serce jej zamarło na myśl, że powrócił Slade. Jednak to był Lucas. Koniec z porównaniami.

- Wcześniej wróciłeś - skomentowała.

- Istotnie, spóźniłem się - odparł Lucas, a jego wzrok spoczął na kubku. - Hej, czyzbyś piła mescal Billy'ego?

Sharisse uśmiechnęła się. - Nie wiem, co to jest. Nie jest najgorsze, gdy się już wypije pierwszych kilka łyków. A ty nie możesz być spóźniony. Mack jeszcze nie wrócił, a zapowiadał, że nie jedzie na długo.

Lucas zmarszczył brwi. - Nic ci nie jest, Sharisse?

Jego troska rozpała ją. - Ależ oczywiście, że nie. Czemu miałyby mi coś być?

- Willow powiedziała, że był tu Slade.

- Tak, twój najdroższy brat złożył nam wizytę. I wiesz, Lucas, sędzę, że źle go oceniłam. Chyba nie jest taki najgorszy. Cóż, nie zgwałcił mnie, nie zabił, ani nic takiego.

Lucas wybuchnął śmiechem. - Jesteś pijana!

- Nie jestem!

Poderwał ją na nogi, łapiąc w pół w talii. - Nie takiego przyjęcia oczekiwałem, skarbie – powiedział jej ochryple. - Myślałem o tobie przez cały dzień, ale jak mam cię wykorzystać w takim stanie?

- Wykorzystać mnie? - Zmarszczyła brwi, po chwili przyszło zrozumienie. - Och, tak. - Otoczyła rękami jego szyję. - Otóż, szanowny panie, jeśli pan tego nie zrobi, nigdy panu nie wybaczę.

- Co mam zrobić? - Wykorzystać mnie. Nalegam.

- Och, dobrze, skoro tego chcesz.

Sharisse pisnęła, gdy przerzucił ją sobie przez ramię. Zaniósł ją prosto do swojej sypialni i rzucił na łóżko.

Padając, przytrzymała go, aby mieć pewność, że przewróci się wraz z nią. Jak cudownie było czuć go blisko i nie winić się za to uczucie. A czuła ogień w żyłach.

- Och, Lucas, tak bardzo cię pragnę.

Lucas zeszywniał. - Za każdym razem wprawia cię w taki nastrój, prawda? - zapytał, uważnie się jej przyglądając.

- Przestań. Nie wspominaj o nim. - poprosiła - Chcę tylko ciebie.

Długo patrzył jej w oczy, zanim odpowiedział. - Taaak, myślę, że tak, prawda?

Zaczął ją całować i wiedziała, że będzie dobrze. Potrafiła myśleć tylko o nim, o ciepłe jego warg, o nacisku jego ciała.

Nagle przerwał i zaczął nasłuchiwać.

- To tylko Mack wraca - powiedziała, słysząc stukot końskich kopyt.

- To więcej niż jeden koń, Sharisse.

- Goście? - Upadła na duchu. - Ale jeśli nie wyjdziemy na dwór, może sobie pojadą.

- Zostawiłem otwarte drzwi wejściowe.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktokolwiek to jest, od razu wejdzie do środka?

- Większość ludzi tak robi.

Oboje spojrzeli na drzwi do sypialni. Też były otwarte. Lucas zaklął i wstał z łóżka.

- Chodź. - Westchnął. - Jeszcze przez chwilę będziesz tak na mnie patrzeć, a zabiję każdego, kto jest teraz na podwórzu.

- Cóż, nie chciałabym, żebyś to uczynił. - Zachichotała.

Odwróciła się, żeby uporządkować ubranie. Lucas tymczasem ruszył do kuchni. Kiedy weszła tam za nim, ze zdumieniem ujrzała Samuela Newcomba. Był też Mack i jeszcze jeden mężczyzna.

Mack wyciągnął ku niej list. - Mam nadzieję, że nie było żadnych problemów, proszę pani - powiedział.

- Nie sądziłem, że zostanę tak długo, ale ugrzązłem ze starym kumplem, którego nie widziałem od dwudziestu lat. Trochę sobie powspominaliśmy.

Sharisse ledwie go słyszała. Nagle poczuła się bardzo dziwnie. Oto dostała coś, na co czekała z niepokojem - swój list. Ale teraz potrafiła myśleć wyłącznie o Lucasie.

Miała wybór między ucieczką z jednej strony i Lucasem z drugiej. Nagła myśl, że już nigdy nie poczuje tych wspaniałych rąk, ożywiających jej ciało, wprawiła ją w panikę.

- Panowie, przepraszę was na parę minut. Długo czekałam na ten list.

- Sharisse!

Lucas był niezadowolony z tak nieuprzejmego potraktowania gości, lecz nie mogła dłużej czekać. - To mi zajmie chwilę, Lucas - zapewniła go i pobiegła do swojego pokoju.

Najdroższa Rissy,

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak trudno mi było znaleźć sposób na wysłanie tego listu do Ciebie. Ograniczono mi swobodę, zakazano także odwiedzin. Jednak pani Etherton ulitowała się nade mną i obiecała pomóc Trudi wślizgnąć się do domu, więc dam ten list Trudi do wysłania. Nie miałam odwagi prosić kogoś ze służących, w obawie, że doniosą Tacie.

Rissy, tutaj było potwornie. Po Twoim wyjeździe cała wściekłość Taty skierowała się na mnie, a sądzę, że żadna z nas nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo będzie zły. Odciął mnie od wszystkiego. Nie mogę nigdzie wychodzić, z nikim się spotykać. Nawet służący nie powinni ze mną rozmawiać. I ani razu nie miałam szansy, by zobaczyć Joela! Nawet wówczas, gdy Tata przyjął go i pana Parringtona, aby wyjaśnić Twoją „niedyspozycję”. Opowiadał bowiem wszystkim znajomym, że jesteś chora i ślub został chwilowo odłożony. Ale mówił to wtedy, gdy myślał jeszcze, że prędko znajdziesz się z powrotem w domu. Tymczasem upłynęło wiele czasu i musiał wreszcie powiedzieć prawdę ojcu Joela. Zrobił się przez to jeszcze bardziej zły.

Och, był po prostu okropny, Rissy. Nie widzę nadziei dla mnie i dla Joela w najbliższym czasie. Tata wybucha, gdy tylko wymienię jego imię. Ale nie to jest najgorsze. Teraz Tata twierdzi, że jeśli nie wrócisz do domu przed końcem najbliższego tygodnia, co, jak obie wiemy, jest niemożliwe, to Cię wydziedziczy.

Chce mi się zwyczajnie płakać. To wszystko moja wina. Nie wiem, czy będziesz mogła mi kiedykolwiek wybaczyć. Ale proszę, nie trać nadziei. Przrzekam, że coś wymyślę. Tylko zajmie to więcej czasu. Pewną ulgę przyniósł mi jedynie Twój opis pana Holta. Sprawia rozsądne wrażenie, nie powinnaś więc mieć kłopotów z nieco dłuższym wykorzystaniem go. Nie rozpaczaj, Rissy.

Sharisse ukryła twarz w dłoniach. Jak tu nie rozpaczać, skoro w liście nie było ani biletów, ani pieniędzy? Wydziedziczona po upływie tygodnia? Ten list szedł do niej znacznie dłużej. Co to wszystko oznacza, czy nie może wracać do domu? Czy już nigdy nie będzie mogła wrócić? Czy ma tu ugrzęznąć na zawsze? Długi czas siedziała w zupełnym bezruchu. Potem usłyszała, jak Lucas otwiera drzwi. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli do nas wrócisz, Sharisse. Sam przywiózł nam małą

niespodziankę.

Zauważyła napięcie w jego głosie, ale nie zastanawiała się nad tym. Nie zamierzała więcej kruszyć kopii. Automatycznie podniosła się i podążyła za Lucasem do sąsiedniego pomieszczenia.

30.

Dostrzegłszy ranczo, Lucas zwolnił bieg wierzchowca. Widok był bardzo przyjemny, stanowiące tło niebo o brzasku pocięte było pasmami fioletu, ametystu, wszystkimi barwami jej oczu, powiedział sobie z przekąsem.

Smuga dymu unosiła się nad domem Billy'ego, z głównego budynku nie docierał żaden znak życia. Sharisse z pewnością jeszcze śpi. Nie było powodu, aby nie spała. Kiedy odjeżdżał, nie powiedział jej, że jedzie.

Zastanawiał się, co myśli o jego dezercji sprzed sześciu dni. Z pewnością tak na to patrzy, jak na dezercję. I na pewno będzie to miało wpływ na rodzaj powitania, jakie go czeka. Jeśli jest wściekła, a nawet czuje się zraniona, niech tak będzie. Przedłożył jej uczucia ponad swoje w najważniejszej chwili. To wystarczy.

Lucas spiął konia. Wiszący obok jego nogi worek poruszył się i Lucas mruknął coś pod nosem. A więc kot nadal żył. Ciągłe nie mógł pojąć, dlaczego zawracał sobie głowę tym przeklętym zwierzakiem. Znalazł go w gospodarstwie poza Tucson, gdzie zatrzymał się, aby nabrać wodę i kupienie go od farmera wydawało się słuszne. W końcu nie przywoził kota dla Sharisse. Robił to dla Charleya, i już.

Lucasowi udało się rozsiodłać konia w stajni, nie budząc Macka. Potem wypuścił kotkę na swobodę i przyglądał się, jak ucieka w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki. Cóż, Charley szybko ją wyczuje. Teraz zaś musiał się zająć swoją panią.

Charley mruknął, gdy tylko Lucas przekroczył próg pokoju Sharisse, szybko jednak wyczuł przyniesiony przez Lucasa zapach kotki i zmienił melodię. Sharisse nie obudziła się nawet wówczas, gdy Lucas wypchnął Charleya z pokoju i zamknął drzwi.

Miał czas, żeby się przyjrzeć leżącej tam, nieświadomej niczego Sharisse, by zdumieć się jej pięknnością. Poruszyła go natychmiast i nie próbował nawet z tym walczyć. Ale widok pierścionka na szafce nocnej ostudził go równie szybko.

Niezadowolony, usiadł na łóżku z impetem, tak, aby ją obudzić. Powiodło się.

- Lucas?

Czyżby w jej głosie brzmiała radość? Nie. To był głos zagniewanej kobiety. Dobrze. Czemu tylko on miałby być wzburzony?

- Jak ci minął ten czas, skarbie? - zapytał.

- Jak mi minął czas? - wykrztusiła Sharisse. Wskoczyła z łóżka i, chwyciwszy szlafrok, odsunęła się jak najdalej od niego. - Jak śmiesz mnie o to pytać po tym, co zrobiłeś?

- Jedyne, co zrobiłem, to wyjechałem na trochę.

- Nie mówię o tym! - parsknęła. - Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie znów wyjechać.

Oszukałeś mnie, Lucasie. Gdyby nie to, że Mack zaczął mnie nazywać panią Holt, mogłabym sądzić, że cała ta śmieszna ceremonia była tylko snem.

- Ach, więc naprawdę wpadłaś w panikę, gdy przedstawiałem cię księdzu. A przekonywałem siebie, że byłaś po prostu zaskoczona.

Jego sarkazm spowodował, że Sharisse zawahała się. Och, czemuż ta konfrontacja musi mieć miejsce właśnie teraz, kiedy jeszcze nie do końca się rozbudziła? Nie zamierzała odsłaniać przed nim swych prawdziwych uczuć, chciała tylko potwierdzić swoje podejrzenia - że był wzburzony bardziej niż ona, gdy Samuel Newcomb przyprowadził im księdza.

- To było jedynie zaskoczenie, Lucas - powiedziała spokojniej. - Nie lubię być wykorzystywana.

- O ile się nie mylę, poprzednio użyłaś określenia „oszukana”.

- Pewnie, jak inaczej mogłam się czuć? - broniła się. - Po pierwsze, tamtego dnia nie byłam sobą. Piłam tę obrzydliwą mieszankę Willow. Pół tuzina Indian, że nie wspomnę już o twoim bracie, napędziło mi potwornego strachu. A do tego wszystkiego na dodatek... zresztą, nieważne - wycofała się. - Boże, nie mogę sobie nawet przypomnieć połowy wydarzeń tamtego dnia.

- A co to za różnica? Gdy staliśmy na wprost księdza, nie mieliśmy specjalnego wyboru. Przypominasz sobie, prawda? A może czas i miejsce były dla ciebie ważniejsze od reputacji? - Obrażona odwróciła się do niego plecami, on zaś dodał z ironią. - Nie, nie odniosłem takiego wrażenia.

Lucas uporczywie wpatrywał się w plecy Sharisse. Ona mogła nie mieć żadnego rozsądnego wyboru, ale on miał. Mógł wyrzucić Sama i księdza ze swojej ziemi, miał na to ochotę. Ale nie, najpierw pomyślał o Sharisse,

O Sharisse i jej przekłętą wrażliwość. Po prostu nie był w stanie upokorzyć jej, odmawiając ślubu, w obecności Sama. Cóż z niego za dżentelmen.

Ale to nie małżeństwo z nią tak go rozwścieczyło.

I tak ten ślub nie był ważny, chyba że zdecydowałby się go honorować. Oczywiście, ona o tym nie wie. Był wściekły, ponieważ stracił kontrolę nad całą sytuacją.

Przekłety Newcomb i jego wścibstwo. Drań uważał, że przywożąc księdza na rancho wyświadcza im obojgu przysługę, ale tylko diabelnie skomplikował plany Lucasa. I po sześciu dniach rozmyślań Lucas nadal nie wiedział, jak ma dalej postępować. Cholera!

Może byłoby lepiej, gdyby Sharisse była nadal na niego zła. Z pewnością tak byłoby im obojgu łatwiej się ostatecznie rozstać.

- Wiesz, Sharisse, twoje zachowanie każe mi przypuszczać, że nie chciałaś wychodzić za mąż.

Jego rozważania, tak bliskie prawdy, spowodowały, że Sharisse zawrzała gniewem. - Jak możesz tak mówić? - odparła, krocząc ku niemu z rękami na biodrach. - Czy nie przyjechałam tutaj, żeby wyjść za mąż? Czy nie mam prawa niepokoić się, gdy

zachodzą gwałtowne zmiany planów? Obiecałeś mi, że będę miała czas, aby się przyzwyczać, czas aby cię lepiej poznać. Powiedziałeś mi tak. I już po pięciu tygodniach mojego pobytu jesteśmy małżeństwem!

- Myślę, że w tym czasie udało ci się mnie poznać całkiem nieźle - zakpił.

Zaczerwieniła się. - Nie o to chodzi - upierała się. A poza tym, jeśli czyjeś zachowanie pozostawia coś do życzenia, to jest to twoje zachowanie. Nie możesz zaprzeczyć, że nie byłeś wściekły tamtego dnia, Lucasie. Byłeś tak zły, że wyjechałeś natychmiast po odjeździe księdza, nie mówiąc nawet do widzenia. I nadal jesteś zły. Naprawdę chciałabym wiedzieć, dlaczego.

Lucas spojrział jej prosto w oczy. Mógł zrobić jedną z dwóch rzeczy. Mógł ułagodzić Sharisse i doprowadzić do powrotu ich poprzednich stosunków, albo, na odmianną, mógł być szczery, czym zraziłby ją do siebie kompletnie.

Dla jej dobra istniało tylko jedno rozwiązanie. Zmuszając się do obojętności powiedział: - Jeśli wydaję się trochę bez humoru, to tylko dlatego, że nigdy nie zamierzałem się z tobą ożenić, Sharisse.

Patrzyła na niego w milczącym zdumieniu.

- Co?

- To prawda.

Sharisse zrobiło się słabo. Przypomniały jej się te wszystkie lata kiedy z powodu swojego wzrostu, koloru oczu, włosów i skóry czuła się nieatrakcyjna.

- Nie rozumiem, Lucas. Wiem... wiem, myślałeś, że to Stephanie jest twoją narzeczoną, ale mówiłeś, że to nieważne. Teraz mówisz, że to ma znaczenie. Dlaczego, skoro uznałeś, że nie możesz mnie zaakceptować, nie odesłałeś mnie od razu z powrotem?

Ból w jej oczach wstrząsnął nim. Przecież miała się złościć, a nie być zraniona.

- Psiakość, źle to rozumiałaś - powiedział szybko.

- Nie ma w tobie nic do zarzucenia. Ba, nigdy nie spotkałem kobiety bardziej pociągającej niż ty. Po prostu nie chciałem żony - żadnej żony. To nic osobistego.

- Ale zamieściłeś ogłoszenie, że szukasz żony.

- Tak.

- Nie mając zamiaru się żenić?

- To prawda.

- Dlaczego? - wykrzyknęła.

- To nie twój interes, skarbie.

- Nie mój... och! - Znów odwróciła się do niego tyłem, aby za moment obrócić się w jego kierunku.

- Uwiodłeś mnie, nie mając uczciwych zamiarów!

- Nie słyszałem, żebyś miała zastrzeżenia.

Uderzyła go w twarz i zrobiłaby to jeszcze raz, gdyby nie złapała jej za przeguby dłoni. - Jesteś godny pogardy, Lucasie!

- Możliwe - westchnął. - Ale teraz porozmawiajmy o tobie i o tym, kim właściwie jesteś.

Serce jej zabiło nierównym rytmem. - O co... o co ci chodzi? - zapytała ostrożnie.

- Pomyśl sama. Kiedy kobieta podaje się za wdowę, logicznie jest myśleć, że nie jest już dziewczyną. Jak więc wytłumaczysz swoją niewinność?

- Wiedziałaś? - wyrzuciła z siebie. - Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Lucas wzruszył ramionami. - Nie chciałem cię wprawiać w zakłopotanie.

- Och, ale teraz można wprawiać mnie w zakłopotanie, bo jestem już twoją żoną?

Po tym, co usłyszała, była zbyt rozwścieczona, by pozwolić mu na odwrócenie ról. Poczucie winy z powodu własnego krętactwa stopniało wobec jego łgarstw.

- Puść mnie, Lucas - zażądała zimno.

- A będziesz trzymała ręce przy sobie?

- Zasłużyłeś na ten policzek.

- Na co zasługuję i co jestem w stanie znieść nie zawsze idzie w parze, Sharisse - rzekł jej szorstko. - A rozmawialiśmy o tobie.

Puścił ją, zaczęła więc rozcierać nadgarstki, przyglądając mu się jednocześnie. Myślała szybko, szukając sposobu na zaspokojenie jego ciekawości, bez przyznawania się do wszystkiego.

- Lucas - zaczęła mówić z wyszukaną wyniosłością - jeśli ktoś nie jest uczciwy, nie ma też zaufania do innych.

- Jeśli ktoś ma powody, by nie mieć zaufania, to go istotnie nie ma. Twoje rzekome pierwsze małżeństwo jest wielce wątpliwe.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że mój mąż mógł mieć pewne problemy? I że nie mógł skonsumować małżeństwa? Nie było to najszcześniejsze, ale nie wszyscy mężczyźni są tak zdrowi i męscy jak ty. Nie czułam się z tego powodu mniej związana ślubem.

Lucas skrzywił się. Boże, przez cały czas ona naprawdę była niewinną ofiarą. Będzie musiał ponownie ją ocenić. I, diabli nadali, mógł to już teraz przewidzieć: rosnące poczucie winy zmusi go do zrobienia jakiegoś idiotycznie szlachetnego gestu, aby się z nią pogodzić.

- Jeśli chcesz unieważnić małżeństwo - zaproponował spokojnie Lucas - to w tych okolicznościach da się to zrobić.

- Oczywiście, że chcę - powiedziała sztywno Sharisse. - Nie sądzisz chyba, że zostanę tu z człowiekiem, który mnie nie chce.

Wbił wzrok w podłogę. - Niech więc tak będzie. Tymczasem jednak zostaniesz tutaj. I jeśli wszystko ma się odbyć prosto, przez unieważnienie, a nie rozwód, lepiej trzymaj się ode mnie jak najdalej, bo nigdy nie było wątpliwości, że cię pragnę.

Zapadła cisza, przerywana przez Sharisse. - Dlaczego nie mogę teraz wyjechać?

- Jestem bez grosza, Sharisse. Nie stać mnie na odesłanie cię gdziekolwiek, a co dopiero mówić o powrocie do Nowego Jorku. Bo do Nowego Jorku chcesz jechać,

prawda?

- Tak. Jak długo jeszcze, Lucas?

- Skąd ten pośpiech? Przyjechałaś tutaj, żeby wyjść za mąż, przypominasz sobie? - rzucił. - Czuj się w tym czasie tak, jakbyś była zamężna, dobrze?

- Nasza sytuacja wydaje mi się nie do zniesienia - powiedziała bezbarwnym głosem.

- A myślisz, że mnie się podoba? Natychmiast zamknąłbym ci usta pocałunkami, nie chcę jednak ranić cię jeszcze bardziej. - Wstał i ruszył do drzwi. - Ale powód, dla którego jesteś mi tu potrzebna, nadal istnieje, a skoro jesteśmy teraz małżeństwem, twój szybki wyjazd wywołałby zbyt wiele pytań. Będziesz musiała przeczekać to ze mną, Sharisse.

- Nie podasz mi powodu?

- Nie.

- Idź więc, Lucas. I proszę, miej na tyle przyzwoitości, by nie przekraczać więcej progu tego pokoju.

Wyszedł, żałując że ją zranił, pragnąc się z nią kochać, pełen smutku i żalu.

31.

Sharisse przekonała się, że chęć wyjazdu i zebranie się na odwagę, by wyjechać, to dwie zupełnie różne rzeczy. W ciągu dnia ubrała się w strój do konnej jazdy i zapakowała co tylko się dało do walizy, którą zamierzała przytroczyć do siodła. Kiedy jednak czekała, modląc się, żeby Lucas opuścił ranczo i by nie musiała stawiać mu czoła, miała czas na zastanowienie się, co robi.

Dotychczas nie brała pod rozwagę, że Lucas nie tylko może próbować ją zatrzymać, ale że ma do tego prawo. Nawet gdyby udało jej się dotrzeć do miasta i uzyskać schronienie u Samuela Newcomba, Lucas może przywieźć ją z powrotem. Nikt na to nie może poradzić, a już najmniej ona sama, Lucas jest bowiem jej prawowitym małżonkiem.

Cóż więc pozostaje do zrobienia? Nie mogła tu zostać, nie po tym, jak poznała prawdziwy charakter Lucasa. Och, gdyby chociaż powiedział, jak długo chce, żeby pozostała, może nie byłaby tak zdesperowana. Ale z tego, co wiedziała, Lucas może chcieć, żeby tu była przez całe wieki. Znając zaś jego wpływ na siebie, zdawała sobie sprawę, że wybaczenie mu wszystkiego będzie jedynie kwestią czasu. Jeśli znów zostaną kochankami, nie będzie mogła anulować małżeństwa. Musi po prostu wyjechać, i to natychmiast.

Lucas w końcu opuścił ranczo, zabierając jedną z nowych klaczy na przejażdżkę. Sharisse popędziła do stajni, aby poprosić Macka o osiodłanie konia. Swoją walizkę i pusty koszyk Charleya ukryła poza stajnią. Nie było powodu, by wystawiać na próbę lojalność Macka. Potem wyruszyła na poszukiwania Charleya. Odnalazła go siedzącego na ziemi za stodołą, wpatzonego w jakiś ciemny kąt. Nie zareagował, gdy go zawołała, nawet nie spojrzał w jej stronę. I wtedy spostrzegła, że złote oczy, błyszczące pod deską w kącie, należą do innego kota.

Sharisse była zaskoczona. To Lucas musiał przywieźć kota na ranczo. Jaki to miły gest. Ale nie mogła pozwolić, by zmieniło to jej postanowienie. Musiała pamiętać o wszystkich innych rzeczach, które zrobił.

Charley wyraźnie nie miał ochoty rozstawać się ze swoją nową przyjaciółką, ale Sharisse nie brała pod uwagę możliwości pozostawienia go. Zamknęła kota w koszyku i popędziła dalej. Szczęśliwym trafem Mack nie poszedł za nią i nie widział, jak przytracza swoje rzeczy do siodła. Pozostawała jej już tylko jedna sprawa do załatwienia, pożegnanie się z Willow i jej dzieckiem.

To była łzawa scena. Willow nie próbowała jej zatrzymać. Nie zadawała też żadnych pytań, zdając się rozumieć uczucia Sharisse.

Sharisse dotarła do miasta bez przeszkód. Konia zostawiła u Pete'a w stajni, skąd Lucas będzie mógł go pewnego dnia odebrać i skierowała się do hotelu. I wtedy Wilber, siedzący przed pocztą zawołał, że dostała list.

Już samo to było wystarczającym zaskoczeniem, ale to, co znalazła w kopercie, wyrwało jej okrzyk radości.

Pieniądze! Więcej niż potrzebowała, aby dotrzeć do domu. Nie mogła uwierzyć w takie szczęście w chwili, gdy najbardziej było jej potrzebne. Nie musiała już teraz nikomu się narzucać, ani prosić o pomoc Sama Newcomba. Mogła opuścić Newcomb zanim Lucas zauważy jej nieobecność.

Sharisse, nie czytając nawet listu od Stephanie, pomaszerowała prosto na przystanek dyliżansów. Przejmowała się jedynie tym, czy jest w planie odjazd jakiegoś wozu. Był, a na dodatek szczęście nadal jej dopisywało, gdyż dyliżans był opóźniony i spodziewano się go lada chwila.

Czekanie szarpało nerwy. Nawet gdy ciężki dyliżans wjechał wreszcie do miasta, Sharisse musiała czekać jeszcze godzinę, aż wymienione zostaną konie, a woźnica zje posiłek.

Czekała wewnątrz dyliżansu. Było tam jak w piecu, skórzane zasłony tamowały dostęp świeżego powietrza, ale czuła się ukryta.

Zaczęła się już odprężyć, kiedy otworzyły się drzwi i do pojazdu wsiadł Slade i usiadł obok niej. Osłupiała.

- Jak...?

- Widziałem, jak przyjechałaś do miasta - powiedział. - Od tego momentu obserwowałem cię.

- Ale co ty robisz w Newcomb?

- Wędruję tam, gdzie mam nastrój. - Jego spojrzenie wwiercało się w nią. - Dokąd się wybierasz, ślicznotko?

Zacisnęła usta, zdecydowawszy, że nie musi mu nic mówić.

- Brak odpowiedzi?

- To nie twój interes - powiedziała ponuro.

- No, nie wiem. - Opadł do tyłu na oparcie siedzenia i mówił nadmiernie obojętnym

tonem. - Kilka dni temu spotkałem Luke'a w Tucson. Chyba mu nie uwierzyłem, gdy powiedział, że związał się węzłem małżeńskim. Wróciłem więc, by zobaczyć, jak to jest naprawdę.

I rzeczywiście, usłyszałem od wielu osób, że ksiądz uczynił z ciebie przyzwoitą kobietę. - Westchnął. - Nigdy nie lubiłem przyzwoitych kobiet.

- A czy przypadkiem nie było na odwrót i to one ciebie nie lubiły? - spytała ostro.

Zaśmiał się. - Tak sądzisz? Ale teraz rozmawiamy o pani nowym statusie, pani Holt i o tym, czy to, co robisz, jest moim problemem, czy też nie. Wydaje mi się, że jest, tak długo, jak długo jesteś żoną mojego brata.

- Bzdura. - warknęła Sharisse. - Nigdy dotychczas nie obchodziły cię uczucia brata. Czemu miałbyś nagle bronić jego interesów?

- A kto tu mówi o jego interesach? Teraz nosisz także moje nazwisko, ślicznotko. Myślisz, że chcę słuchać gadania, iż Holt nie potrafił zatrzymać swojej kobiety?

Zanim zdążyła coś wtrącić, kontynuował. - Jesteś tu sama. Dla mnie oznacza to, że Lucas nie wie o twoim wyjeździe. A ja sądziłem, że tylko na nim ci zależało. Tak mi mówiłaś, prawda? - zapytał z kpina.

- Zostaw mnie, Slade.

Odwróciła się, ale schwycił ją pod brodę i zmusił, aby spojrzała na niego. - Odpowiedz mi.

- Tak! - I potem - Tak, był wszystkim, czego pragnęłam. Ale to już nie ma znaczenia, bo on nie chce żony. Wiedząc o tym, nie mogę tu zostać.

- Może on sam nie wie, czego chce - zauważył niejasno Slade. - Pokochałaś go?

- Ależ skądże - odpowiedziała za szybko. - I nie musisz się przejmować, Slade. Lucas chętnie się mnie pozbędzie. Spodziewa się, że uzyskam unieważnienie naszego ślubu. Nie rozczaruję go. Załatwię to tak szybko, jak tylko się da.

Przyjrzał się jej z namysłem, a potem powiedział: - Cóż, zanim przestaniesz być panną młodą, chciałbym skorzystać z pewnego starego obyczaju.

Wyciągnęła rękę, aby go powstrzymać. - Slade, nie!

Jego usta zwały się z jej ustami w twardym, przenikliwym pocałunku. Przez jej ciało przetoczyły się fale podniecenia. Och nie, nie znowu, rozpaczała. Ale nawet wtedy, gdy próbowała się od niego odsunąć, przywarła jedynie bliżej do jego mocnego ciała.

Kiedy ją puścił, była oszołomiona, bez tchu.

I wtedy odszedł, tak niespodziewanie, jak się pojawił.

32.

Billy szybko wciągnął powietrze, gdy wszedłszy do stajni, znalazł tam Lucasa, ładującego na konia więcej ekwipunku, niż potrzeba było na długą wycieczkę. - Willow powiedziała mi, że twoja żona uciekła. Jedziesz za nią?

Lucas nawet się nie obejrzał. - Nie.

- Co więc to wszystko znaczy? Właśnie wróciłeś po tygodniowej nieobecności.

Nawiasem mówiąc, gdzie byłeś?

- W okolicy.

- Aha - powiedział z przekąsem Billy.

Lucas zaśmiał się. - Od kiedy tak się mną interesujesz?

- Odkąd uciekłeś tego samego dnia, w którym wzięłeś ślub. - odparł Billy. - Doszedłem do wniosku, że niezbyt ci odpowiada rola żonatego mężczyzny.

- Nie odpowiada.

- Psiakość, Luke, myślałem, że ją lubisz.

Lucas wymijająco wzruszył ramionami. - To nie ma nic wspólnego. Nie jestem podobny do ciebie, Billy. Zwyczajnie nie potrzebuję żony, i już.

- Dlaczego w takim razie dałeś mi się namówić na ogłoszenie? - Billy z przejęciem podniósł głos. - Zaczynam się czuć winny jak wszyscy diabli. Willow powiedziała, że jeszcze będę żałował, że wtrąciłem się w twoje życie. - Zapomnij o tym. Zgodziłem się na wszystko, bo pomysł wydawał się dobry. Nie ma w tym twojej winy. Naprawdę nigdy nie zamierzałem poślubić tej dziewczyny.

- Czy wiedziała o tym?

- Wie teraz.

Billy cicho gwizdnął. - To dlatego uciekła. - Lucas potaknął. - Pozostałeś więc żonaty, ale bez żony. Chcesz to tak zostawić?

Lucas pomyślał, czy nie wyjaśnić sprawy nielegalności swego ślubu, ale się nie zdecydował. - Nie będę musiał, Billy. Sharisse zajmie się rozwiązaniem tego małżeństwa, gdy tylko znajdzie się w Nowym Jorku.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien.

Billy skrzywił się. - Znów zamierzasz złożyć wizytę na cmentarzu w Tucson? - zaryzykował pytanie. - Czy dlatego pakujesz tyle rzeczy?

- Byłem tam kilka dni temu. - Wreszcie Lucas spojrzał prosto na niego. - Opuszczam to miejsce.

- Nie!

Lucas nie mógł powstrzymać śmiechu. Billy z okrągłymi, niedowierzającymi oczami wcale nie wyglądał jak Billy.

- Czemu jesteś zaskoczony? - spytał Lucas. - Wiedziałeś, że niedługo stąd się wyniosę,

- Tak, ale jeszcze nie teraz. To jeszcze nie koniec. Jak możesz wyjechać przed końcem?

Lucas wzruszył ramionami. - Akcja jest w ostatniej fazie. Nie jestem tu już do niczego potrzebny.

- Nie mogę uwierzyć. Po całym czasie, jaki poświęciłeś na realizację swojego planu?

- Tak będzie, Billy. Byłem tu za długo.

- To dlatego, że ona wyjechała, prawda?

- Być może - wykręcił się Lucas. - Co za różnica? Ty możesz dopilnować końca sprawy. Wszystkie listy z podziękowaniami od towarzystw dobroczynnych, które zasypaliśmy pieniędzmi Sama, są w moim pokoju. Będziesz musiał jedynie dopilnować, żeby je dostał, gdy tylko Buskett prześle informację, że ranczo Sama zostało sprzedane, a jego ostatnie pieniądze przekazane na godny cel. Sam nie jest głupim człowiekiem. Natychmiast uprzytomni sobie, że pozbawiono go wszystkiego, co posiadał. A bank kupiłem osobiście, żeby móc umorzyć te wszystkie kredyty. Przyślę agenta, by się tym zajął.

- Uważasz, że jest to warte dodatkowych kosztów?

- Tak, chcę, żeby tutejsi mieszkańcy mogli swobodnie przenieść się do bardziej przyzwoitych miast, jeśli będą mieli taką ochotę.

- Wiesz, że wyjadą. W ciągu roku miasto umrze. Ale kurczę, Luke, sądziłem, że będziesz chciał osobiście zadać ten cios Newcombowi - narzekał Billy. - Co to za zemsta, jeśli wyjedziesz i nie zobaczysz wyrazu jego twarzy, gdy będzie czytał te listy? Po prostu nie pojmuję.

- Nigdy nie chodziło o zemstę. O sprawiedliwość. I stało się jej zadość. Ja zaś mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał - powiedział ponuro Lucas. - Nie muszę tu być, żeby to widzieć. Starłem go na proch. W następnej kolejności opuści go żona, a potem jego mała armia, pozwalająca mu czuć się jak król. Pozostanie mu jedynie apartament w hotelu, który nigdy nie przynosił i nie przyniesie zysków i wkrótce otoczy go wymarłe miasto.

- A co z tym miejscem?

- Sprzedaj je, jeśli uda ci się znaleźć jakiegoś naiwnego nabywcę. Albo, jeśli chcesz, zatrzymaj je. Jest mi wszystko jedno, co z tym zrobisz. Możesz zrobić co chcesz.

- Pewnie wybiorę się z powrotem do rezerwatu. Willow bardziej się tam podoba.

- Spodziewałem się tego.

- A ty?

- Henri Andrevie napisał, że zatrzyma się na chwilę w Nowym Orleanie, zanim popłynie do Francji i do tamtejszych kasyn. Myślę, że się do niego przyłączę.

- Czy to ten łobuz, który tak wiele cię nauczył?

- Ten sam. Nigdy nie zrozumiał, dlaczego wolałem porzucić życie człowieka z towarzystwa i zostać hodowcą koni. Może teraz zdradzę mu przyczynę i nieźle go rozbawię.

- Może lepiej nie. Mógłby domyśleć się, jak wykorzystałeś go wcześniej.

- Chyba masz słusność - zgodził się Lucas.

Był już gotowy do drogi. Ostatni raz spojrzął na Billy'ego. Jak dobrze się rozumieli. Będzie mu brakowało przyjaciela.

- Myślisz, że jeszcze tu kiedyś powrócisz? - na twarzy Billy'ego widniał smutek.

- Nigdy nie wiadomo. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą możesz dla mnie zrobić, Billy. Ta paczka listów, którą masz dostarczyć Samowi. Umieść je w jednej dużej

kopercie i napisz na niej „Z pozdrowieniami od Jake'a Holta, Boothill, Tucson”, Jeśli ten drań ma jakieś sumienie, przypomni sobie.

- Doskonałe pociągnięcie. - Billy uroczyście kiwnął głową.

Lucas rozmyślał, wyjeżdżając z rancza i z Newcomb. Chodziło oto, że Samuel Newcomb może nie pamiętać Jake'a Holta. W końcu Jake był tylko jedną z wielu ofiar Sama. Ale będzie się zastanawiał i próbował powiązać nazwisko ze Sladem i Lucasem. A jeśli pomyśli wystarczająco długo, może przypomni sobie Jake'a Holta.

33.

- To twoja pierwsza podróż do dużego miasta, dziecko? - zapytała protekcjonalnym tonem elegancko ubrana kobieta, siedząca obok Sharisse.

- Nowy Jork jest moim domem - automatycznie odpowiedziała Sharisse.

- Och.

Dama odwróciła wzrok. Wobec utraty szansy na olśnienie wiejskiej dziewczyny opowieściami o miejskim życiu straciła całe zainteresowanie. Sharisse wzruszyła ramionami i powróciła do wyglądania przez okno.

Z walizą u swych stóp, koszykiem Charleya na kolanach i w zniszczonym stroju podróżnym, nadającym się na szmaty, istotnie wyglądała, jakby właśnie przybyła z prowincji. Ale w czasie tej podróży nie swoim wyglądem się martwiła.

Za niespełną godzinę będzie w domu. Co ją czeka? List, spoczywający w jej torebce po prostu nie miał sensu. Od wyjazdu z Newcomb Sharisse tyle razy go czytała, że znała go już na pamięć, ale nadal nie wiedziała, co naprawdę oznacza.

Wyciągnęła zmięty list od Stephanie i po raz ostatni spróbowała coś z niego wydedukować.

Droga, droga Rissy,

Wreszcie spełniły się moje marzenia. Ubiegłej nocy potajemnie wzięliśmy z Joelem ślub. Pomyślisz pewnie po tym, co ci napisałam w poprzednim liście, że to było niezwykle nagłe i będziesz miała rację. Och, szkoda, że nie poczekałam z napisaniem tamtego listu, ale nie sądziłam, iż Joel tak szybko wszystko załatwi. Jednak udało mu się. I teraz muszę wyznać, że poprzednio ci skłamałam.

Och, Rissy, musisz zrozumieć. Kiedy napisałaś, że chcesz natychmiast wracać do domu, nie wiedziałam, co mam robić, żeby cię przekonać, że nie możesz. Było jeszcze za wcześnie. Tata potwornie martwił się o ciebie, ale nawet mowy nie było o odwołaniu twojego ślubu. Wcale ze mną nie rozmawiał na ten temat i sądziłam, że po twoim powrocie zmusi cię do ślubu z Joelem.

Widzisz, wcale nie zdradził Edwardowi Parringtonowi, że uciekałaś. To ja skłamałam, Rissy. Z nikim nie rozmawiał, bo miejsce gniewu zajęła troska o ciebie. Stało się tak już drugiego dnia po twoim wyjeździe. To ja wyjaśniałam wszystkim przyczyny twojej nieobecności. Oczywiście, gdybyś była chora, Sheila lub któraś z twoich przyjaciółek chciałyby cię odwiedzić, więc mówiłam, że to ciotka Sophie zachorowała i poje-

chataś się nią zajmować.

Wszyscy nadal myślą że zamierzasz wyjść za mąż za Joela, ale możemy im powiedzieć, że w czasie swej nieobecności zmieniłaś zdanie. A potem, po upływie jakiegoś czasu, można będzie ogłosić, że uciekłam z Joelem. W ten sposób nikt się nie dowie, że się ukryłaś.

To musi wyglądać bardzo niejasno, ale w rzeczywistości wcale takie nie jest. Nigdy bym cię nie okłamała, gdybym nie była taka zrozpaczona. Rissy. I nie uważam, że byłam zupełnie bez serca wobec Taty. Nie powiedziałam mu, gdzie jesteś, ale dałam mu znać, że napisałaś, że u ciebie wszystko w porządku. Powiedziałam mu, że niedługo wrócisz do domu. Wracaj szybko do domu, Rissy, zanim się rozchoruje ze zmartwienia.

Proszę, Rissy, nie złość się na mnie za bardzo. Gdy pisałam ci, byś nie wpadała w rozpacz, próbowałam dać ci do zrozumienia, że wszystko się ułoży, pamiętasz? Z pewnością zrozumiałaś?

Sharisse wsunęła list głęboko. Nie było dobrze. Nadal nie mogła zdecydować, czy tym razem Stephanie pisze prawdę, czy też może ojciec odkrył, że Stephanie zna miejsce jej pobytu i zmusił ją do napisania tego listu, aby wróciła do domu. Czy będzie musiała stawić czoła Marcusowi Hammondowi w jego najgorszym nastroju, czy też istotnie tak bardzo martwił się o nią, że przywita ją w domu bez gniewu?

Nie chciała myśleć, że Stephanie oszukuje ją w tym liście. Ale jeszcze gorsze było przyjęcie, że kłamstwem był pierwszy list. Zwodzić kłamstwami kogoś obcego, tak jak sama zrobiła, to jedno. Ale celowo oszukiwać własną siostrę! Ba, ten pierwszy list był pośrednio przyczyną jej małżeństwa! Gdyby wtedy nie nadszedł, miałyby może dość rozumu w głowie tego dnia. Trudno pojąć, jak taka mała, słodka Stephanie mogła być tak bezwzględna, nawet w obronie swej miłości.

Sharisse dużo by dała, żeby to było jej jedyne zmartwienie w czasie podróży. Ale gdzież tam, jak na ironię, powrót do domu nie różnił się od podróży na zachód, gdyż ta sama trójka osób zajmowała jej myśli. Jednak tym razem ta trzecia osoba nie była już nieznaną postacią.

Sharisse stwierdziła, że brakuje jej Lucasa. Nigdy by nie uwierzyła, że jest to możliwe, jednak nie minął nawet dzień od wyjazdu z Newcomb. gdy stało się oczywiste, że to, co czuje jest zwyczajną tęsknotą.

Zawsze udawało mu się jakoś na nią działać, bez względu na to, czy tego chciała, czy też nie. Potrafił ją bawić, złościć, nawet straszyć, no i oczywiście dawać rozkosz. Będąc z nim, zawsze coś czuła, nieważne co.

A teraz, tęskniąc za nim, nie panowała nad swoimi emocjami. Zła z powodu siostry, zmartwiona ojcem, targana była sprzecznymi uczuciami, które wywoływał Lucas. Przemęczenie coraz bardziej dawało jej się we znaki, nerwy miała napięte do ostatnich granic.

34.

Promienie jesiennego słońca, padające na spokojną aleję niemal umknęły uwadze Sharisse, przyzwyczajonej do większego skwaru. Stała na krawężniku i przyglądała się Hammond House przez długi czas po odjeździe wynajętego powozu. Wszystko wydawało się trochę obce. Nie było jej tutaj przez niespełna trzy miesiące, a miała wrażenie, jakby upłynęły całe wieki. Zaś najbardziej denerwujące było uczucie utraty przynależności do tego miejsca.

Kiedy powoli wspinała się po schodach, wciągając głęboko powietrze do płuc, miała chęć zapukać do drzwi. Ale byłoby to tchórzostwem, którego wołała nie okazywać. Weszła więc prosto do środka, jakby tu mieszkała i zatrzymała się, oszołomiona, w obszernym hallu. Przez wiele lat traktowała jako rzecz naturalną te marmurowe posadzki, bogate tapety, kryształowe żyrandole, całą tę spokojną elegancję.

Stała tam, uprzytamniając sobie, jak chętnie oddałaby to wszystko w zamian za ponowne ujrzenie podobnych klejnotom oczu Lucasa. Zaraz jednak złażała się. Lucas jej nie chciał: musiała o tym pamiętać i przestać tyle o nim myśleć.

- Panna Hammond!

Sharisse aż podskoczyła, gdy jej imię odbiło się echem w ogromnym hallu. Pani Etherton stała u szczytu schodów, jak zawsze skromna, chociaż teraz trochę wyprowadzona z równowagi.

- Co się dzieje, pani Etherton - zawołał Marcus Hammond zza drzwi swojego gabinetu.

Zapadła martwa cisza. Sharisse nawet nie drgnęła, wstrzymała też oddech. Już po chwili Marcus Hammond pojawił się w drzwiach. Zatrzymał się, spojrzał na nią i, zanim skupił wzrok na jej twarzy, od stóp do głów szybko omiótł ją spojrzeniem swoich niebieskich oczu. Jeśli spodziewała się ujrzeć człowieka wyczerpanego kłopotami, to nic takiego nie zobaczyła. Wokół oczu widniały ślady zmęczenia, poza tym jednak nie można było dostrzec specjalnych różnic.

Sharisse pilnowała, aby nie zdradził jej wyraz twarzy. Czyżby przez chwilę, zanim się zdołał opanować, dostrzegła na twarzy ojca ulgę? Nie była w stanie powiedzieć, gdyż odgłos biegnących kroków przywołał grymas na jego oblicze.

Stephanie usłyszała okrzyk pani Etherton i przybiegła pędem. Niemal zderzyła się z gospodynią u szczytu schodów. Ale Sharisse nawet nie rzuciła okiem w kierunku siostry, nie była bowiem w stanie oderwać spojrzenia od taty. On zaś popatrzył na nie obie, po czym rzekł do Sharisse: - Zostaw swoje rzeczy i chodź tutaj.

Jak łatwo było powrócić do wypełniania bez dyskusji poleceń tego człowieka. Sharisse postawiła swoją walizkę i koszyk Charleya na podłodze i ruszyła przez hali do gabinetu ojca. Szybko rzuciła okiem na siostrę i ujrzała panikę Stephanie, co jeszcze spotęgowało jej obawy.

Gdy zamknęły się drzwi, Sharisse zebrała siły. Nie mogła znieść milczenia. - Nadal gniewasz się na mnie?

- Oczywiście, że się gniewam - rzucił ostro. Ale jeszcze mówiąc to podszedł do niej i wziął ją w objęcia. Przytulił ją tak mocno, że zabrakło jej tchu, potem, tak samo nagle, puścił ją. Przyglądała mu się zaskoczona. Zmarszczył brwi, jednak teraz jej to już nie przerażało.

A więc to prawda. Naprawdę martwił się o nią. Poczwała tak wielką ulgę, że aż się roześmiała.

- Wydaje mi się, tato, że stęskniłeś się za mną.

- Nie bądź taka impertynencka, moja panno - powiedział surowo. - Na Boga, powinienem sprawić ci lanie. To, co zrobiłaś, było najbardziej nieodpowiedzialnym...

- Wiem o tym. - Przerwała mu szybko, zanim zdążył wpaść w złość. - I naprawdę jest mi przykro, tato. Nikt nie żałuje tej głupoty bardziej ode mnie.

Wtedy ujawnił się jego niepokój. - Wszystko u ciebie w porządku, Rissy? Chciałem powiedzieć... czy nic ci się nie stało?

Zawahała się. - Cóż... - Nie chciała, jeśli nie będzie zmuszona, mówić mu o Lucasie.

- Nie, nic. Czyż nie dobrze wyglądam?

- A czy ostatnio przeglądałaś się w lustrze? - zapytał szorstko.

Sharisse oblała się rumieńcem. - Byłam w podróży ponad dwa tygodnie, tato. Kiedy się umyję i przebiorę...

- Dwa tygodnie? - wykrzyknął. - Gdzie więc byłaś? Wynajęci przeze mnie ludzie nie mogli cię znaleźć. Dwa tygodnie!

- Byłam... byłam w Arizonie.

- To dokładnie drugi koniec kraju! Czyś ty zwariowała? Terytoria nie należące do Stanów trudno nazwać cywilizowanymi. Co cię napadło...?

- A czy ma to jakieś znaczenie? - przerwała. - Jestem już w domu.

Marcus zacisnął usta. Nie wiedział już teraz, jak postępować ze swoją córką. Nigdy nie widział jej takiej - zupełnie jak jej matka.

Ponadto Marcus nie chciał ryzykować, by znów pokazała swą nowo odkrytą niezależność. Jak opisać swojemu dziecku ten śmiertelny niepokój, kiedy się nie wie, gdzie ono jest, ani nawet czy jeszcze żyje? Nie zrozumie tego, dopóki sama nie będzie miała dzieci. Marcus wiedział, że nie wytrzymałby następnego jej zniknięcia, po prostu wiedział.

- Siadaj, Sharisse. - Skierował się do swojego biurka, za którym czuł się znacznie pewniej. - Chcę od ciebie uroczystej obietnicy, że nigdy więcej nie opuścisz domu bez mojej zgody. Osiągnęłaś już lata, kiedy pewna ilość swobody ci się należy, ale nadal wymagasz opieki. A twoje urodzenie obliguje cię do właściwego zachowania, Sharisse. Odstępstwa od niego hańbią nasze dobre imię. Czy mam twoje słowo?

- Tak.

Marcus zastanowił się nad tą zwięzłą odpowiedzią. Czy istotnie Sharisse żałowała swojego zachowania? Jeżeli tak, dobrze było teraz sprawdzić, jak dalece.

- Cieszę się, że jesteś rozsądna, moja droga. Ucieszyć cię więc musi wiadomość, że twoja przygoda nic nie zmieniła. Twój ślub odbędzie się zgodnie z planem, z nieznacznym tylko opóźnieniem.

- Tato...

- Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu - powiedział nieugięcie.

- Usłyszysz więcej niż tylko jedno słowo - odparowała, tak samo twarda, jak on. - Nie mogę wyjść za mąż za Joela. Stephanie go poślubiła.

Patrzył na nią bez słowa.

- Spytaj ją, tato.

Jedyną rzeczą, jakiej Marcus nie znośli było dać się komuś zaskoczyć. Ze ściągniętymi groźnie brwiami podszedł do drzwi, aby wezwać swą młodszą córkę. Ale gdy tylko otworzył drzwi, Stephanie, która nie słyszała zbliżających się kroków ojca, wpadła do pokoju. Stała zawstydzona, że przyłapano ją na podsłuchiwanie.

- Czy to prawda? - zapytał z furią Marcus. - Wyszłaś za mąż za Joela?

Stephanie zatrzęsała się. Nigdy nie umiała stawić czoła rozgniewanemu ojcu. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, udało się jej jednak wyszeptać - Tak.

- Jak to się stało?

Stephanie zebrała całą odwagę. - Joel to zorganizował. Pojechaliśmy na obrzeża miasta. Pobraliśmy się w małym kościele i... i odwiózł mnie do domu przed twoim powrotem z biura.

- I ty to nazywasz ślubem? - wrzasnął Marcus. - To śmieszne. Załatwię unieważnienie.

- Nie! - krzyknęła Stephanie.

- Nie będę dłużej tolerował żadnego sprzeciwu w tym domu! Idź do swojego pokoju! Stephanie zwróciła przerażoną twarz ku siostrze. - Rissy, zrób coś!

Nagle Sharisse poczuła się bardzo zmęczona. Głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu odpowiedziała na błaganie siostry. - Sądzę, że już dosyć zrobiłam, nie uważasz?

Stephanie wybuchnęła głośnym płaczem, wybiegła z pokoju i popędziła po schodach. Marcus zamknął drzwi i wrócił do biurka. Jakże nienawidził, by krzyżowano mu plany.

- Widzisz, jak łatwo dało się to załatwić - stwierdził autokratycznie.

Sharisse westchnęła. Ojciec nadal zachowywał się jak udzielny książę, nie biorący pod uwagę czyichkolwiek uczuć.

Popatrzyła mu prosto w oczy. - Dlaczego mój ślub z Joelem jest taki ważny? Nie może przecież chodzić o połączenie naszych rodzin, bo ślub ze Stephanie to załatwia. A Joel niewątpliwie ją woli. Co w tym złego?

- To ty, Sharisse, odziedziczysz większość moich interesów. A ponieważ twój mąż będzie musiał prowadzić twoje sprawy, muszę być pewien, że da sobie z tym radę. Myślałem, że jesteś wystarczająco mądra, by to zrozumieć.

- Zapisz więc wszystko Stephanie - odpowiedziała przytomnie.

- Nie.

- Czemu nie? Dlaczego mam dostać większość udziałów tylko dlatego, że jestem starsza? Nie wydaje mi się to sprawiedliwe.

- Nie rozumiałaś, Rissy. Nie pozostawiam twojej siostry z niczym. Po prostu zostawię jej dobra, nie wymagające stałego nadzoru, to wszystko.

- Zaplanowałaś więc też wszystko dla Stephanie? Podejrzewam, że wybrałaś już dla niej męża?

- Nie ma pośpiechu, jest jeszcze młoda.

- I zakochana, i zamężna. Na litość boską, nie rozumiem, dlaczego nie możesz poprzestawiać sobie wszystkiego. Plany można zmieniać. Pozwól jej odziedziczyć te interesy, którymi się tak przejmujesz, mnie zaś zostaw to, co chciałaś scedować na nią. W ten sposób nadal będziesz miał Joela do prowadzenia interesów i wszyscy będą szczęśliwi. Czemu nie chcesz na to przystać? To takie proste.

- Edward pragnie mieć ciebie za synową, nie twoją siostrę.

Spojrzała ze zrozumieniem. W jej pamięci powróciły mniejsze i większe kawałki kłótni, które słyszała w dzieciństwie. - To dlatego, że Edward kochał moją matkę, a ja mu ją przypominam, prawda? - Widząc jego zdumioną minę, Sharisse wpadła w złość. Wreszcie poznała powód jego uporu. - Tak, wiedziałam o tym.

- Skąd?

- Ty i mama nigdy nie kłóciliście się cicho, tato, i przypominam sobie, że wiele sporów dotyczyło Edwarda Parringtona. Myślałam, że jesteś zazdrosny, bo znał mamę zanim ty ją poznałeś. A teraz zastanawiam się, ile tych kłótni wynikało z twojego poczucia winy.

- Dość już, Sharisse!

- Chyba nie - kontynuowała. - Prawda, że mam rację? Nadal czujesz się winny, że odbiłeś ją swojemu najlepszemu przyjacielowi. I dla naprawy tej krzywdy chciałaś poświęcić obie swoje córki!

- Zupełny nonsens.

- Dlaczego więc - zapytała gorzko - uparcie trzymasz się planu, który dawno już stracił sens dla Stephanie i dla mnie?

- Ponieważ byłaś skłonna poślubić Joela, aż do momentu, gdy twoja siostra oznajmiła, że go pragnie. Taka głupota. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że zapragnęła czegoś, co należało do ciebie?

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę mogła go wcale nie kochać? - Sharisse zmarszczyła brwi. Ojciec nie był świadomy wszystkiego, co zrobiła Stephanie, żeby zdobyć Joela. - Nie, nie mogę w to uwierzyć. Ona go kocha.

- To jeszcze dziecko, Sharisse. Może sobie teraz wyobrażać, że jest zakochana, ale doświadczy tego samego uczucia jeszcze wobec tuzina mężczyzn, zanim będzie gotowa wyjść za mąż, co nastąpi dopiero za parę lat. Nie, jej pospieszne małżeństwo

zostanie rozwiązane. Nie pozwolę, aby dobrze obmyślane plany zniszczył dziecinny kaprys.

- Nie rozważysz tego jeszcze raz?

- Nie.

Sharisse opadła ciężko na krzesło. Próbowwała zachować w sekrecie Lucasa, ale się nie udało.

- To bardzo źle, tato.

- A co to ma znaczyć?

- Nawet jeśli ci się uda unieważnić ślub Stephanie, i tak nie będę mogła wyjść za Joela. Nie chciałam ci tego mówić, a przynajmniej nie od razu, ale nie dałeś mi wyboru. Ja już mam męża.

- Kłamiesz - powiedział beznamiętnie.

Sharisse otworzyła torebkę i położyła na stole akt ślubu.

Ostrożnie wziął go do rąk i przeczytał. Potem rzucił z powrotem na biurko. - Ten też unieważnię.

Sharisse wolno pokręciła głową. - Nic nie możesz zrobić, tato. Nie wiem nic o Joelu i Steph, ale Lucas i ja mieliśmy swoją noc poślubną, rozumiesz, co chcę powiedzieć.

- Nie musiała przecież opowiadać, że stało się to jeszcze przed ślubem. - Nie wierzę, żeby unieważnienie było możliwe, jeśli nie przyznam, że małżeństwo nie zostało skonsumowane.

Jej ojciec odwrócił się z wściekłością. - A więc będzie rozwód! - krzyknął.

-I skandal? - Podniosła głos, podobnie jak on. Zaciśnęła mocno usta, oczy zabłyśły buntowniczo.

Marcus wiedział, że został pokonany. Nie mógł zrobić nic, jeśli małżeństwo zostało skonsumowane. Jeśli już o tym mowa, nie zatroszczył się, by zapytać Stephanie, czy ona i Joel... Boże, jak to się stało, że nieszczęście zmieniło się w katastrofę?

Sharisse zmięknęła widząc, jak bardzo był pokonany. - Jeżeli zachowasz się rozsądnie i pozwolisz Stephanie i Joelowi pozostać małżeństwem, ja zgodzę się na anulowanie mojego ślubu. Mogę znaleźć innego mężczyznę, który ci się spodoba. Możesz postąpić tak, jak proponowałam wcześniej i zmienić plany odnośnie dziedziczenia po tobie. Szczerze mówiąc, nie spieszy mi się do następnego zamążpójścia. Pozwól tato, odziedziczyć to, co miało zostać moje, Joelowi i Steph.

- Przyznałaś, że miałaś intymne kontakty ze swoim mężem. Jak więc można anulować małżeństwo?

Temat był wystarczająco kłopotliwy nawet bez wdawania się w szczegóły. - Nie będzie protestował. Nie muszę mówić całej prawdy o tym, co między nami zaszło, prawda? Możesz to załatwić z prawnikiem?

- Wszystko da się załatwić - powiedział pospiesznie.

- Ale wyjaśnijmy rzecz do końca. Twierdzisz, że ten Lucas Holt nie przejmuje się tym, co zrobisz?

- To dość bezceremonialnie powiedziane, ale w zasadzie prawdziwe. Widzisz, właściwie żadne z nas nie chciało ślubu. To efekt splotu różnych okoliczności, moje mieszkanie pod jego opieką, ludzie, przyjmujący że się pobierzemy, przejeżdżający karnodzieja - och, tato, to długa historia. Nie chciałabym teraz o niej mówić - zakończyła z westchnieniem.

Marcus nie przyjął tego do wiadomości. - Nie myśl, że nie opowiesz mi o tym człowieku.

- Naprawdę nie ma co opowiadać - rzekła. - Jest farmerem.

- W Arizonie?

- Tak.

- Jak wygląda jego sytuacja?

Sharisse знаła tok myślenia ojca. - Nie jest bogaty. Ma ranczo z końmi w pobliżu miasteczka Newcomb. Ledwo starcza na utrzymanie jego i kilku ludzi, którzy pracują dla niego. Chwyta dzikie konie, ujeżdża je, a potem sprzedaje wojsku i innym farmerom. O ile dobrze zrozumiałam, stado hodowlane, które założył, jest jeszcze zbyt młode, by można było stamtąd sprzedawać konie.

- Jaki on jest?

Sharisse nie chciała myśleć o Lucasie i odpowiedziała bez namysłu: - Sądzę, że można go nazwać przystojnym, jeśli się lubi ten typ urody.

- Jaki typ?

Nie zamierzał pozostawić sprawy w spokoju. Westchnęła. - Brunet, surowy, aż nadmiernie męski. Jest też wysoki, przerażająco silny, a jego ciało... - Zaczerwieniła się po cebulki włosów. Co ona wygaduje?

- Powiedzmy, że jego wygląd może być przedmiotem zazdrości niektórych mężczyzn. Jeśli zaś chodzi o charakter, cóż, jest podobny do ciebie. Uparty, arogancki. - Jej ojciec nie zareagował. - Lucas potrafi też być pełnym wdzięku hultajem. Nie spotkałam wcześniej podobnego mężczyzny.

- A w jaki sposób go poznałaś?

Spróbowała udawać, że jest znudzona. - To dość skomplikowane.

Marcusowi wcale się nie spodobała ta wymijająca odpowiedź, ale na razie usłyszał wszystko, co chciał wiedzieć. - Jesteś pewna, że mu na tobie nie zależy?

Spuściła oczy, czując się nagle przygnębiona. - To nie ma znaczenia.

- Dlaczego?

- Jeśli musisz wiedzieć, nie chciał mnie. Był wściekły, gdy zostaliśmy zmuszeni do pobrania się.

Marcus zbladł, po chwili na twarz powróciły mu kolory. - Ten człowiek miał czelność odrzucić moją córkę?

- Na litość boską, tato, bycie twoją córką nie ma tu żadnego znaczenia. Nigdy nie wyznałam Lucasowi swojego pochodzenia. W rzeczywistości myślał, że jestem bez środków do życia.

- Nie byłaś więc dla niego wystarczająco dobra -podsumował Marcus. - Dziewczyna bez pieniędzy.

- Nie. Nie sądzę, żeby moje pieniądze miały z tym coś wspólnego. Po prostu nie chciał żony.

- Powinien więc mieć dość przyzwoitości, by nie iść do łóżka z moją córką, zanim odesłał ją do domu!

Sharisse skuliła się. Wszystko sprawiało, że Lucas wydawał się taki gruboskórny, ale jak miała to wyjaśnić?

- Nie odesłał mnie do domu, tato. Odeszłam z własnej woli, gdy tylko pojawiły się na to pieniądze. Lucas nie zakończy tego małżeństwa. Pozostawia to mojej decyzji. Nie mam wątpliwości, że gdybym nastawała, by pozostał moim mężem, zrobiłby to.

- Co daje ci tę pewność?

- Pod wieloma względami bardzo do siebie pasowaliśmy.

Jej odpowiedzi znów stały się wymijające, aż Marcus zapytał podejrzliwie: - Czy jesteś ze mną zupełnie szczerą, Rissy?

- O co pytasz?

- Czy ten człowiek rzeczywiście pozwolił ci odejść, czy też może uciekłaś od niego tak, jak uciekłaś z domu?

- Nie ustalałam z nim sprawy mojego wyjazdu, jeśli o to ci chodzi - odparła z irytacją. - Z jakiegoś powodu, którego mi nie podał, chciał żebym została jeszcze przez jakiś czas. Ale jak mogłam zostać, gdy przyznał, że nie chce żony?

Marcus zastanowił się przez chwilę, zanim zadał pytanie. - Czy jest możliwe, że przyjedzie tu za tobą?

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie. - Nawet gdyby chciał, nie ma pieniędzy na długą podróż. Zresztą nie ma żadnego powodu, dla którego mógłby chcieć. Naprawdę jestem zmęczona, tato.

- Oczywiście - przytaknęła Marcus. - Jeszcze tylko jedna rzecz.

Westchnęła. - Słucham?

- Czy jesteś w ciąży?

Szeroko rozwarła oczy z niedowierzaniem. Nie myślała, nigdy nawet nie zastanowiła się...

- Nie! - krzyknęła.

- Nie powinno więc być problemu. - Przyjrzał jej się uważnie, bo wyglądała na zaniepokojoną. - A może twoje „nie” było zbyt pośpieszne?

- Może - przyznała nieszczęśliwie. - Za wcześnie jeszcze, by móc coś powiedzieć.

- A więc jest to możliwe?

- Tak - sapnęła. - Jest możliwe.

Zważywszy jej reakcję, Marcus stwierdził niechętnie. - Proponuję wstrzymać się z jakimikolwiek działaniami do chwili, gdy będziesz pewna.

- Musimy?

Wzruszył ramionami. - Zawsze moglibyśmy wymyśleć ci męża, gdyby zaszła taka konieczność. Ale skoro już masz jednego i jesteś słusznie przekonana, że nigdy go już nie zobaczysz, nie widzę powodu, by wymyślać kłamstwa. A ty widzisz?

- Nie, myślę że nie. Muszę teraz tylko poczekać i sprawdzić.

Po wyjściu Sharisse Marcus usiadł, bębniąc palcami po biurku. Obie córki są zameżne. Żadnej z nich sam nie wydał za męża. Cały starannie przygotowany plan okazał się do niczego. Czy to zły sen? Potrząsnął głową.

Jedna córka była szczęśliwa. Edwarda da się przekonać. A druga? Cóż, udzielała niejasnych odpowiedzi na pytania o swoje uczucia do tego Holta, ale jego uwadze nie umknęło, jak szybko stanęła w jego obronie. I aż promieniała, opisując go. Może przypadkiem kocha go, sama o tym nie wiedząc? Może jest jedynie zraniona jego odtrąceniem?

Odtrącenie rozjątrzyło Marcusa. Za kogo, do diabła, Lucas Holt się uważa? Miał dość dużo rozumu - nie, powinien to zostawić w spokoju. Jednak coś, co powiedziała Sharisse zaintrygowało go, Holt był jak on sam. Tego właśnie brakowało młodemu Joelowi. Był wystarczająco sprawny, ale nie miał tego kośćca.

Uparty, arogancki, określiła Holta. Mężczyzna ulepiony z tej samej, co on, gliny. Po raz pierwszy tego dnia Marcus uśmiechnął się. Wiedział, że powinien zostawić sprawę jej własnemu biegowi. Z drugiej jednak strony...

35.

Sharisse położyła się na plecach na łóżku i zamknęła oczy. Spędziła właśnie dwie niewyobrażalnie długie godziny w objęciach robiącej mnóstwo zamieszania Jenny. Skóra nadal ją piekła po mocnym szorowaniu, jakie zaaplikowała jej Jenny w próżnym wysiłku starcia nowego odcienia skóry, Jenny tylko jęczała i psykała nad niemodną, ciemną opalenizną, która nie zamierzała ustąpić pod wpływem szczotki. Charley, obwąchawszy wszystkie kąty pokoju, od razu się zadomowił. Zajął swoje ulubione miejsce na środku łóżka, przyglądając się panującemu wokół rozgardiaszowi i ziewając od czasu do czasu. Wiedział, że jest w domu.

Kiedy Sharisse, pozostawiona wreszcie w spokoju przez Jenny, poszła w jego ślady. Charley zwinął się w kłębek u jej boku. Zamruczał, zanim jeszcze zaczęła go głaskać. Przynajmniej jedno z nich było zadowolone z końca podróży.

Sharisse głaskała kota pogrążona w myślach. Dziecko. Czy to możliwe? Jasne, że tak. Jej cykle miesięczne były zawsze długie, więc niewiele to mówiło. Żyła z mężczyzną, męskim, namiętym mężczyzną. Pozwoliła mu się kochać, a to wystarczało. Czy chciała dziecka Lucasa? Chłopca, który wyrośnie jak jego ojciec - silny, przystojny, arogancki. Albo dziewczynkę. Jak by wyglądała jego córka? Wiedziała, że nie powinna jeszcze o tym myśleć, było za wcześnie. Ale nie mogła nic na to poradzić. Teraz, po ustąpieniu szoku, przepełniał ją dziwny rodzaj ciekawości. Powstanie czegoś z tej namiętności, jaką dzieliła z Lucasem byłoby czarem. Pragnęła tego dziecka, tak jak nadal pragnęła jego. Podły człowiek. Ciągle tęskniła za nim aż

do bólu. On jednak najpewniej już o niej zapomniał.

- Och, Rissy! - Stephanie wpadła do pokoju bez ostrzeżenia, rozpraszając myśli Sharisse. - Tato właśnie mnie poinformował, że wysłał zaproszenie dla Joela na dzisiejszą kolację. Aby oficjalnie powitać go w rodzinie. Nie wiem, jak to zrobiłaś! Tak bardzo jestem ci wdzięczna. Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz.

Sharisse powoli usiadła, trzymając oczy utkwione w siostrze. - Nie zrobiłam tego dla ciebie, Stephanie. Zrobiłam to dla siebie.

- Ale...

- Tato nadal chciał, żebym poślubiła Joela. Oczywiście to było poza dyskusją.

- Oczywiście. Nie byłoby w porządku, po tym, jak Joel i ja... no wiesz - wyszeptała Stephanie.

- Nie, nie wiem.

Stephanie oblała się rumieńcem. - Po ślubie nie pojechaliśmy prosto do domu. Po drodze była gospoda, w której się zatrzymaliśmy i...

- Na litość boską, czemu nie powiedziałaś tego ojcu? - warknęła Sharisse.

- Nie mogłabym mu powiedzieć czegoś takiego - wykrztusiła Stephanie. - Widziałas, jaki był zły. Nic by to nie zmieniło.

Sharisse krzyknęła z rozgoryczeniem. - Oczywiście, że by zmieniło. Jeśli byliście z Joelem jak mąż i żona, wasze małżeństwo nie może zostać unieważnione. Czy ty nic nie wiesz?

- O Boże. Zdaje mi się, że Joel tak mówił. Ale byłam dzisiaj taka rozstrojona, że w ogóle nie myślałam.

- Ty już w ogóle przestałaś myśleć - odrzekła ze złością Sharisse. - Nie myślisz o konsekwencjach, nie myślisz o...

- Nie rozumiem, Rissy, z czego jesteś niezadowolona. Powiodło się nam przecież, prawda?

- Tobie się powiodło. Ale ja musiałam podać tacie powód, dla którego nie mogę poślubić Joela, a który wolałam zachować dla siebie. Och, nie wiem dlaczego w ogóle rozmawiam z tobą po tym wszystkim, co zrobiłaś!

- Och, Rissy, nie bądź taka - prosiła Stephanie. - Wszystko mogę wytłumaczyć.

- Możesz? - zapytała Sharisse. - Zaczynaj więc od wyjaśnienia, gdzie są moje klejnoty. Bo nie miałam ich, przez co musiałam odbyć całą tę podróż do Arizony. Dlaczego zabrałaś moje kosztowności?

- Wiesz, jaka jesteś impulsywna, Rissy. Bałam się, że zmienisz zdanie i wrócisz prosto do domu. I miałam rację, prawda? Natychmiast napisałaś, że nie chcesz zostać w Arizonie.

- Istnieje gigantyczna różnica. Różnica między samotnym pobytem w jakimś spokojnym miasteczku. I pobytem tam, gdzie ja byłam. - Sharisse wyrzucała z siebie słowa. - Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, jak tam było? Indianie nadal napadają. Mężczyźni noszą broń na biodrach i nic sobie nie robią z zabijania. A

słońce robi to z twoją twarzą, Stephanie. - Pokazała na swoją twarz. - To nie teatralny makijaż mam na sobie. Miesiące upłyną, zanim to zejdzie.

- Mój Boże, Rissy, czemu nie wspomniałaś o niczym w liście?

- Bo myślałam o twoich uczuciach! Sądziłam, że jeśli poznasz moje prawdziwe położenie, przejmiesz się tak bardzo, że nie będziesz mogła racjonalnie pracować nad naszą sytuacją. Ale teraz widzę, że nic by to nie zmieniło. Wcale ci nie jest przykro.

- To nieprawda. Każdego innego dnia...

- Och, zamknij się, Stephanie. Dostyc już usłyszałam.

Lekceważąc siostrę, Sharisse podeszła do toaletki. Jednak Stephanie zwlekała z odejściem. Patrząc na wyprostowane plecy Sharisse, rzuciła opryskliwie: - Powiedziałaś, że podałaś tacie powód uniemożliwiający twój ślub z Joelem. Dlaczego go nie użyłaś wcześniej? Wówczas nie musiałabyś wcale uciekać.

Sharisse obserwowała Stephanie w lustrze. - Mój powód jest zupełnie świeży, gdyby było inaczej, z pewnością bym go podała wcześniej. Nie mogę wyjść za mąż za Joela, bo mam już męża - dzięki pobytowi w Arizonie.

- Co? - Stephanie zrobiło się słabo. - Poślubiłaś go? Przecież nie mogłaś!

Sharisse powoli obróciła się na krześle. - Nie mogłam?

- Miałaś tego nie robić. Czemu tak postąpiłaś?

- Nie mieszka się pod jednym dachem z mężczyzną, a potem, kiedy pojawia się ksiądz, odmawia swej ręki - powiedziała sucho Sharisse. - Nie miałam wyboru.

- Och, to po prostu straszne. Rissy. Nie chciałam, żeby przytrafiło ci się coś takiego.

- Wiem - westchnęła Sharisse.

- Co powiedział tato?

- Nie był specjalnie zachwycony.

- Ale ty nie zamierzasz pozostać żoną pana Holta, prawda?

- Nie.

- Możesz się z tego wyplątać?

Sharisse skinęła głową. - On nie chciał żony. Stephanie złapała oddech. - Ależ chciał. On...

- ...oszukiwał tak samo, jak ja. Nigdy nie zamierzał się żenić ze mną, czy z kimkolwiek innym.

- To godne pogardy! - parsknęła z oburzeniem Stephanie. Po chwili zaświtała jej nowa myśl. - Och. Boże! Skoro go poślubiłaś, to znaczy, że musiałaś... się z nim kochać. Nie kochając go. Jakie to straszne dla ciebie, Rissy. Z Joelem nie było zupełnie tak, jak się spodziewałam, ale przynajmniej go Kocham. Musiałaś być bardzo nieszczęśliwa.

Sharisse uśmiechnęła się. Nie mogła się powstrzymać.

- Akurat na to nie mogę się skarżyć, Stephanie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że go polubiłaś? - Młodsza dziewczyna była

przerażona.

- Lucas jest czarującym hultajem, zawsze podniecającym. Ma więcej wad niż zalet, ale jako kochanek był wspaniały, Steph. Byłam bardzo szczęśliwa.

Stephanie nie wiedziała, co powiedzieć. Była zaszokowana szczerością siostry. Jednocześnie była zazdrosna, po swoich doświadczeniach z Joelem.

W końcu stwierdziła opryskliwie. - Nie rozumiem, o co jesteś na mnie taka zła. Przecież twój pobyt u Lucasa Holta był wspaniały.

Sharisse nie znalazła odpowiedzi.

36.

Lucas zaczynał dochodzić do wniosku, że zobaczyć jedno kasyno to tak samo, jakby zobaczyć wszystkie. To, które znalazł Henri na południu Francji było bogatsze niż inne, przestrzenne, z ogromną salą i rozstawionymi z dala od siebie stołami. Pogoda panująca pod koniec kwietnia pozwalała na otwarcie weneckich okien, dzięki czemu zapach różowych wawrzynów przesycił powietrze, mieszając się z pachnidłami kobiet. A było ich dużo na sali.

- Tamta jest mężatką - zauważył Henri, widząc że Lucas przypatruje się posągowej brunetce. - Ale miło jest widzieć, że wreszcie zaczynasz się interesować, mon ami. Lucas odchrząknął. - Myślę, że jak zwykle jesteś w stanie opowiedzieć mi co nieco o każdym tu obecnym.

- Oczywiście. Nie marnowałem dziś czasu na spacer po plaży, tak jak ty. Znalazłem kelnera, kochającego plotki. Dostarczył mi wielu informacji.

Jeden z nadzwyczajnych talentów Henri Andrevie polegał na znajomości ludzi, z którymi grał. Nigdy nie omieszkał dowiedzieć się czegoś o każdym graczu, zanim zasiadł do stołu i przystąpił do odbierania ich pieniędzy. Henri specjalizował się w zbieraniu wiadomości prywatnej natury, co zapewniało mu godziwy byt.

Był to niski mężczyzna i wraz z Lucasem tworzyli ciekawą parę. Blondyn, z gołębioszarymi oczami o psotnym wyrazie, wyglądał na mniej niż trzydzieści dziewięć lat. Ten lekceważący wszystko hultaj potrafił znaleźć wyjście z każdej sytuacji i oczarować kobietę samym tylko uśmiechem. W czasie miesięcy wspólnych podróży Lucas przekonał się, że Henri nic nie stracił ze swojej zręczności.

- Zauważ, że Anglicy grywają razem, jak ci tu czy tam. - Henri wskazał graczy. - Przyjeżdżają tu, by uprawiać hazard, a nie po to, by uczyć się języków, jakich wiele tu można usłyszeć. Ten siwiejący jegomość jest księciem. Gra o duże stawki, ale nigdy nie wygrywa.

Tutaj Henri zachichotał, a Lucas nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tak dobrze znał Henrego. - Przed końcem nocy będziesz miał wszystkie jego pieniądze.

- Wydaje mi się, że masz rację, mon ami. Teraz ci dwaj, messieurs Varnoux i Montour, to bracia. Nie chcą jednak, by o tym wiedziano, więc posługują się różnymi nazwiskami. Przekazują sobie znaki i informacje, toteż trzymaj się z daleka od ich stolika. A przeciwko temu zapewne z przyjemnością mógłbyś zagrać. - Henri

pokazał na mężczyznę ubranego tak dobrze, że nadawało mu to aż zniewieściały wygląd. - Nie wie zupełnie nic o kartach, ale ma duszę hazardzisty i gotów jest założyć się o wszystko. Nawiasem mówiąc, przyglądałeś się właśnie jego żonie. Ładna, prawda?

- Bardzo.

Henri westchnął. - Chociaż bardzo pragnę, byś się wreszcie zaczął bawić, muszę cię przed nią ostrzec - chyba, że ci nie przeszkadza obserwowający wszystko mąż.

- Nie, dziękuję.

- Tak, to jest dekadenccka para. Wspomniano mi, że on specjalizuje się w uwodzeniu dziewczyc i przyjmuje zakłady, jak szybko zdoła tego dokonać. Jego żona wie o wszystkim. Czy to nie czarujące?

- I nigdy nie został wyzwany na pojedynek przez rozsierdzonego ojca lub brata?

- Rzadko. Z tej prostej przyczyny, że on i jego żona nigdy nie zatrzymują się za długo w jednym miejscu.

Lucas zakpił. - Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co ci opowiadają, Henri.

- Ach, przecież w każdym kłamstwie jest zawsze ziarenko prawdy.

Wspomnienie dręczyło Lucasa. - Czy on nie ma przypadkiem na imię Antoine?

Henri wzruszył ramionami. - Noszą nazwisko Gautier. Nie znam ich imion. Czemu pytasz? Słyszałeś coś o nim?

- To byłby chyba za duży zbieg okoliczności. Nie wiem nawet, dlaczego o tym pomyślałem.

Ale wiedział. Tego dnia wiele czasu spędził samotnie i jak zawsze wtedy gdy był sam, bez przerwy myślał o Sharisse. Wszystkie rozmowy z nią zapisały mu się w pamięci tak, jakby odbyły się wczoraj, a nie ubiegłego lata. A dzisiaj przypomniał sobie o Antoine. Antoine chciał od niej tylko jednej rzeczy, podobnie jak ten Gautier pragnął tylko jednego od swoich ofiar - żeby wygrać ich kosztem.

To nie mógł być ten sam człowiek, ale Lucas diabelnie pragnął, by tak było. Tak źle się czuł myśląc jak potraktował Sharisse, że nie miałby nic przeciwko małej zemście w jej imieniu. Kłopot polegał na tym, że nigdy by się o tym nie dowiedziała. Tak jak nie mógł zapomnieć o niej, tak samo powtórne spotkanie byłoby katastrofą. Nadal miał nadzieję, że czas osłabi wspomnienia, ulży cierpieniu, zakończy wreszcie tę śmieszłą tęsknotę, którą stale czuł.

Jej pewno nie było trudno o nim zapomnieć. Pewnie dawno temu uzyskała unieważnienie ślubu. Może już nawet wyszła za mąż. Nawet gdyby chciał ją zobaczyć, nie wiedział, gdzie jej szukać. Pieniądze, które dla niej złożył w nowojorskim banku stale tam były, nie podjęte. Cztery miesiące poszukiwań nie dały rezultatów. Jedyne John Richards, jakiego udało się znaleźć, był emigrantem, kapelusznikiem i nie miał córek. Nie było pani Hammond, odpowiadającej jej opisowi, nie było także panny Richards.

Henri ciągnął przekazywanie Lucasowi informacji o obecnych na sali, lecz Lucas

słuchał tylko chwilami. W końcu się rozstali, Henri podszedł do stolika księcia. Lucas obserwował dalej wysztafirowanego Gautiera. Ten po chwili odszedł od swego stolika i przyłączył się do dwóch dżentelmenów, widocznie znajomych. Z ich rozmowy, która wkrótce stała się ożywiona, i wielu ukradkowych spojrzeń, rzucanych w kierunku ślicznej, ciemnowłosej dziewczyny w drugim końcu sali, Lucas domyślił się, że zawierają zakład.

Ciekawość zawiodła go do baru, gdzie trzech panowie właśnie kończyli rozmowę. Dzięki Bogu, że nauczył się niezłe francuskiego, głównie za sprawą Henrego.

- Dwa tygodnie?

- Półtora tygodnia, Antoine, nie więcej

- Zgoda.

Antoine. Czy to ten sam człowiek? Imię było popularne we Francji, a z pewnością wielu mężczyzn zabawiało się tu uwodzeniem młodych dziewcząt. Choćby dla zakładu

Po odejściu swych towarzyszy Gautier sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Zamówił drinka, po czym przystąpił do obserwacji ciemnowłosej dziewczyny po drugiej stronie sali.

- Proszę mi pozwolić. - Lucas zapłacił za napój i wręczył go niższemu od siebie mężczyźnie.

Gautier przyjął kieliszek, niepewnie przyglądając się Lucasowi. - Czy ja pana znam, monsieur?

- Nie, ale mam wrażenie, że słyszałem o panu. Antoine Gautier, nieprawdaż?

- Tak.

- Tak też myślałem, po tym interesującym zakładzie, który usłyszałem.

Gautier roześmiał się uspokojony. - A może ma pan ochotę razem z moimi przyjaciółmi stracić trochę pieniędzy?

- Nie, jeśli zna pan już dziewczynę. - Lucas wczuł się w rolę.

- Nie, jeszcze nie miałem tej przyjemności - zapewnił go dandys. - Claude dostał od niej kosza, dlatego się założył.

- Claude to jeden z tych panów, którzy właśnie odeszli?

- Tak. Ma nadzieję się pocieszyć, widząc również moją klęskę. Ale jeśli ma pan jakieś wątpliwości, monsieur. proszę wybrać dowolną dziewczynę na sali. Będzie mi miło sprostać podwójnemu wyzwaniu.

Lucas z trudem ukrył niesmak. Oczy mężczyzny świeciły wyczekująco. Z dołeczkami na twarzy i ochoczym spojrzeniem był po prostu piękny. Czy taki paw istotnie pociągał kobiety?

- Sprawia pan wrażenie pewnego wygranej - zauważył Lucas. - Ciekaw jestem, dlaczego.

- Bo nigdy nie przegrywam.

- Nigdy?

Antoine zarumienił się. - Ach tak, mówił pan, że słyszał o mnie. Pewnie spotkał pan Jean-Paula i on panu powiedział? To było trzy lata temu, ale on nadal lubi przechwalać się przed każdym, że jako jedyny wygrał ze mną zakład tego typu.

- Dziewczyna się panu wymknęła? - Głos Lucasa stał się bardzo obojętny.

- Tak, istotnie. Była słodką niewinnością. Osiemnastolatka. Jakież one są naiwne w tym wieku. I prawie ją miałem. Zabrakło paru chwil, aby ciąg moich sukcesów nie został przerwany.

Osiemnaście lat trzy lata temu? To nie była Sharisse. Lucas czuł się straszliwie rozczarowany, że nie będzie miał powodu, żeby rozkwasić draniowi nos.

- A co się stało?

Antoine cmoknął, zde gustowany. - Moja żona stęskniła się za moim towarzystwem. Musiała wejść i zepsuć wszystko mówiąc kim jest.

- Pańskiej żonie nie przeszkadzają podboje?

- Zupełnie nie, nie mogę więc pojąć, dlaczego umyślnie zniszczyła moje szansę na Amerykanke. A to było celowe, chociaż do dziś nie chce się do tego przyznać.

- Zazdrosna?

- Możliwe. - Antoine westchnął. - Gdyby dziewczyna była tylko śliczna, Marie by się nie wtrącała. Ale panna Hammond była inna, wibrująca...

- Hammond? - wszedł w słowo Lucas. - Znam pewną panią Hammond. Także Amerykanke.

Antoine odsunął się o krok. - Nie... nie musi się pan obawiać, że bawiłem się pańską znajomą. Nie zajmuję się mężatkami.

- Sharisse. - Lucas złośliwie podał imię i przyglądał się, jak Francuz blednie. - Ty skurwysynu! - warknął Lucas, porzucając francuski, którym się porozumiewali.

Antoine był zaszokowany. - Pan też jest Amerykaninem?

- Ma pan rację. Myślę, że powinniśmy się obaj przejść.

- Nie rozumiem.

- Wychodź na dwór, Gautier, i to już.

Antoine rozumiał doskonale. Ścisnęło go w dołku. Niezwykły wzrost Amerykanina nie umknął jego uwadze.

- Monsieur, nie znoszę przemocy. Niech pan będzie rozsądny. Nie zrobiłem dziewczynie krzywdy.

- Ona tak nie uważa. - Lucas popychał Gautiera ku drzwiom. - Nie odzywaj się, mon ami, bo ci złamię rękę - dorzucił groźnym szeptem.

- Kim... kim ona jest dla pana?

Lucas wyprowadził go do ogrodu, z dala od budynku. Puścił Francuza, stając z nim twarzą w twarz. Kim była dla niego Sharisse? Wściekłość, jaka owładnęła Lucasem wystarczała za odpowiedź.

- Jest moją kobietą.

- Ale przecież wie pan, że mi się z nią nie powiodło!

- Tylko z powodu ingerencji pańskiej żony. Pana motywy, Gautier, przyprawiają mnie o mdłości. Zdobyć kobietę, bo się jej pragnie, to inna sprawa, ale uwieść ją dla zakładu! Czy się dowiedziała?

- O czym?

- Nie prowokuj mnie, Gautier - huknął Lucas. - Czy wiedziała, że uganiałeś się za nią ze względu na zakład?

Antoine był zanadto przerażony, żeby kłamać. - Tak, moja żona wspomniała o tym w jej obecności.

- A więc była nie tylko skrzywdzona, ale jeszcze upokorzona.

Lucas powiedział to miękko, tak miękko, że Antoine z zaskoczeniem poczuł, jak łamie mu się nos. Pod wpływem uderzenia zachwiał się do tyłu i upadł w krzaki, zasłaniając rękoma twarz.

- Proszę... - jęknął.

Lucas poderwał go na nogi, zanim zdołał skończyć. - Daj z siebie wszystko, śliczna buźko, bo zamierzam mieć dla ciebie tyle samo litości, ile ty jej miałaś dla swoich ofiar.

Antoine próbował, ale od początku było wiadomo, kto zwycięży. Lucas był cięższy, wyższy, w lepszej formie i tak rozwścieczony, że nie dbał o to by walka była czysta. Nie okazywał litości. Każdy cios był tak wyliczony, aby zrobić jak największą szkodę, zwłaszcza na tej ślicznej twarzy.

Po paru minutach było już po wszystkim, Francuz czołgał się po ziemi, ledwie przytomny. Lucas stał nad nim, przewiązując chusteczką okrwawione dłonie. Nadal pieniał się ze złości.

- Podziękuj swej żonie, że przerobiłem ci tylko twarz - powiedział Lucas. - Gdyby ci się powiodło z Sharisse, mógłbym cię zabić. Nie sądzę, żeby łatwo ci teraz było wygrywać te odrażające zakłady, monsieur Gautier. Kiedy następnym razem spojrzysz w lustro, pomyśl o mnie.

Lucas oddalił się, przyspieszywszy pod wpływem nowej fali gniewu. Okłamała go, podała nieprawdziwy wiek, fałszywe nazwisko, stan cywilny. Odtworzył w pamięci dzień ślubu. Zaskoczenie? Gówno prawda! Była przerażona. A to oznaczało, że nie miała zamiaru go poślubić. Oznaczało też, że poczucie winy męczyło go przez wszystkie te miesiące bez powodu. Z pewnością była zachwycona, gdy dowiedziała się, że nie chce żony, a uradowała się jeszcze bardziej, gdy powiedział jej o możliwości unieważnienia ślubu. Czyż nie wyjechała natychmiast? I skąd miała pieniądze na życie? Czy brak środków do życia też był jej wymysłem? Czy cokolwiek, co dotyczyło Sharisse, nie było oszustwem?

W momencie pojawienia się w hotelu wściekłość Lucasa przekroczyła granicę bezpieczeństwa. Ale jak zwykle umiejętnie ukrył swe uczucia. Recepcjonista, wręczając mu list, niczego nie podejrzewał. List pochodził od Emery Busketta i szedł do Lucasa pięć miesięcy.

Lucas wstrzymał się z otwarciem noszącego ślady długiej podróży listu do czasu, aż znalazł się w swoim pokoju. Wszystko, co choć na chwilę mogło odwrócić jego myśli od Sharisse, było mile widziane. Stojąca przed nim butelka też była potrzebna.

Lucas,

Dobrze, że wreszcie zdecydowałeś się mnie powiadomić, gdzie cię szukać. Nie wiedziałem co myśleć, kiedy Billy Wolf zatelegrafował, że opuścicieś Arizone. Nie wiedziałem, czy nadal chcesz informacji od mojego przyjaciela Jima, czy już nie. Jim powrócił do Nowego Jorku i pracował nad następną sprawą, więc nie mogłem go znaleźć. Ale on odszukał mnie jakiś miesiąc temu, nie zgadniesz, dlaczego.

Jim został wynajęty przez tego samego, co uprzednio, Marcusa Hammonda, tym razem, by... odnaleźć ciebie. Był w Newcomb i rozmawiał z Billym, który powiedział mu niejasno, że można cię szukać gdzieś w Europie. Ale Billy podał mu moje nazwisko. Sądzę, że myślał, iż możesz być ze mną w kontakcie i chcieć wiedzieć o takich sprawach. Zanim Jim wytropił mnie w Chicago, dokąd się przeniostem, był już porządnie zmęczony tą sprawą. A ja oczywiście nie mogłem mu udzielić żadnej informacji na twój temat, co nie poprawiło biedakowi humoru.

Jeśli zaś chodzi o dane, o które prosiłeś, zdziwiło mnie bardzo, że jestem ci potrzebny do potwierdzenia, że twoja narzeczona jest córką Marcusa Hammonda. Musiałeś o tym wiedzieć od początku - to samo nazwisko, zgadzający się opis. To nie mógł być przypadek. Jim doniósł mi, że zgodnie z jego przypuszczeniami panna Hammond sama wróciła do domu. A teraz szuka cię jej ojciec. Czy naprawdę była twoją narzeczoną, czy tylko pomogłeś jej ukryć się przed ojcem? No cóż, nie jest to chyba mój interes.

Słyszałem od Jima, że Newcomb w szybkim tempie przeistacza się w miasto—widmo. Pozostało niewielu ludzi, których mógł pytać o ciebie, między innymi niejaki Samuel Newcomb, utrzymujący, że to ty go zrujnowałeś. Jim nie dał wiary niczemu, co mówił ten człowiek, gdyż nigdy nie mógł go spotkać trzeźwego na tyle, by odpowiedział na zadane mu pytania.

Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, wiesz gdzie mnie szukać.

Twój uniżony sługa.

Emery Buskett

Lucas przeczytał list powtórnie, zanim go zmiął i cisnął w drugi kąt pokoju. A więc Sharisse była z powrotem w domu ze swoim ojcem. Zbieg, a nie żona bez męża, pozbawiona środków do życia. Czy nigdy nie będzie końca kłamstwom, którymi go karmiła?

Całkowicie ją potępił. Zepsuta, bogata panienska, obrażona na ojca, dostrzegła w ogłoszeniu Lucasa jedynie sposób na czasowe zniknięcie, nie biorąc pod uwagę wyrządzonych przez siebie szkód. Nie mogła wiedzieć, że naprawdę wcale nie

szukał żony. Ba, mógł być jakimś samotnym głupkiem, który zakochałby się w niej po uszy, a po jej ucieczce pozostał ze złamanym sercem.

Czy wzięła to pod uwagę? Czy ją to obchodziło? Oczywiście, że nie. Ludzie jej typu myślą wyłącznie o sobie.

Nic dziwnego, że nie mógł jej znaleźć. Bez wątpienia ci niekompetentni bankierzy, którym zlecił sprawę, nie mieli dość rozumu, żeby przetrząsnąć domy wszystkich Hammondów. Albo to, albo też Marcus Hammond ich przekupił.

Czy dlatego Hammond go poszukiwał? Czy dowiedział się o pieniądzach, które Lucas złożył w banku dla Sharisse? Mężczyzna o jego pozycji mógł to potraktować jak zniewagę. A poza tym, ratując własną skórę, Sharisse mogła opowiedzieć ojcu, jak ją potraktował. Hammond może więc chcieć rewanzu. Niewątpliwie odmalowała swoją rolę w niewinnych barwach.

Lucas rozparł się na krześle, a jego usta wykrzywiły się w karykaturze uśmiechu. A więc spuściła za nim psy myśliwskie, tak? Potrząsnął głową i sięgnął po butelkę. Lepiej by zrobiła zostawiając wszystko w spokoju.

37.

Sharisse odwiozła swoją przyjaciółkę, Carol Peterson, do jej domu na Lafayette Place, w jednej ze starszych dzielnic, nadal zamieszkałej przez śmietankę towarzyską, ciągle opierającą się rozwojowi handlu. Również Sheila miała do nich dołączyć, ale się nie zjawiła, więc Sharisse i Carol spędziły przyjemne popołudnie, spacerując między skwerami Union i Madison, podczas gdy stangret Sharisse jechał wolno za nimi. Oczywiście dziewczęta nie mogły się powstrzymać przed odwiedzeniem wielkich domów towarowych Tiffanych, Arnoldsów oraz Lorda i Taylora.

Sharisse była zmęczona, lecz nie ciągnęło jej do domu, mimo że była umówiona na wieczór. Chcąc nacieszyć się widokami miasta, które tak kochała, poleciła stangretowi, aby się nie spieszył.

Przejechali obok mierzącego ponad sześćdziesiąt metrów długości Custom House ozdobionego wieloma kolumnami, w górę Broadwayu i wzdłuż Park Row, i koło Printing House Square, biorącego swoją nazwę od dużej ilości oficyn wydawniczych w okolicy. Pomiedzy latarniami stały wysokie słupy elektryczne, nawet z dziewięcioma poprzeczkami. Na ulicach słychać było przygodnych muzykantów, a sprzedawcy słodczy popychali swoje wózki obok ulicznych lodziarzy. Wystarczył cent, aby kupić malutki kubeczek, wypełniony tą czy inną pyszną mieszaniną.

W mieście panował wieczny gwar. Po wielu ulicach jeździły konne tramwaje, a także kolejka na pomostach, ale starodawne konne omnibusy nadal pozostawały jedynym, poza prywatnymi powozami, środkiem transportu po Broadwayu, na południe od Czternastej Ulicy. Były to kolorowe pojazdy z ogromnymi napisami powyżej i poniżej długiego szeregu okien. Woźnica, siedzący z przodu na górze, narażony był na kaprysy pogody i miał przygotowany parasol na wypadek niespodziewanej ulewy. Przejazdźki omnibusem były wielką przygodą dla dzieci.

Sharisse wieki całe już nimi nie jechała.

Park Place skupiał wiele sklepów, reklamujących meble z rattanu, fajerwerki, żaluzje, maszyny polerskie i drukarki. Za ratuszem wiele starych domów zostało zastąpionych budynkami z kamienia o żeliwnych frontonach. Można tam było znaleźć wytwórców sejfów, broni i wag. Drzewa na trawnikach były coraz rzadsze, by wreszcie zupełnie zaniknąć. Sklepy z gotową odzieżą oferowały kapelusze, rękawiczki, kwiaty i pióra, gorsety, buty i futra.

W pobliżu Bleecker Street, przejeżdżając koło hotelu Grand Central, Sharisse uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak ojciec dostawał białej gorączki na każdą wzmiankę o tym kłującym oczy budynku. Istotnie był monstrualny, górował nad wszystkimi budowlami w sąsiedztwie, miał jednak specyficzny styl, nadany przez marmurowy fronton i mansardowy dach. Kiedy został otwarty w 1875 roku, ze swoimi nieprawdopodobnymi siedmioma piętrami i sześciuset trzydziestoma pokojami uznano go za największy hotel świata.

Ledwie powróciła do domu i zdjęła kapelusz i rękawiczki, gdy w drzwiach gabinetu pojawił się ojciec.

- Chciałbym zamienić z tobą parę słów, Rissy.

- Czy to nie może poczekać, tato? Dziś wieczorem Robert zabiera mnie na przedstawienie i nie mam wiele czasu, żeby się przygotować.

- Powinnaś więc wcześniej zakończyć robienie zakupów - powiedział nieprzyjemnym tonem. - Chciałbym z tobą porozmawiać właśnie o twoich ostatnich sprawunkach.

Sharisse westchnęła i wkroczyła za nim do jego przybytku. - Nie zamierzasz chyba ukarać mnie za zbyt duże wydatki, prawda? To tylko kilka sukni, tato.

- Kilka? Mam wrażenie, że dziesiątki pudeł doręczono tutaj w ostatnim tygodniu, a codziennie przybywają nowe.

- Cóż, pełne turniury znów stały się modne. Nie możesz się spodziewać, że zostaną przy zeszłorocznych fasonach, skoro tak bardzo się zmieniły. A poza tym, nigdy nie skapiłeś mi na porządne stroje.

- Nie dlatego cię wezwałem. Rissy. Nie przywiązuję wagi do tego, czy kupisz sto nowych sukien. Chcę tylko wiedzieć, kto za nie płaci.

- Płaci? No oczywiście, że ty.

- Ja?

Sharisse zmarszczyła brwi. - Nie rozumiem.

- Przypadkiem dziś rano byłem na Broadwayu, w samym środku tego piekielnego świata kobiet, jak wy, dziewczęta, to nazywacie. Pomyślałem, że skoro już tu jestem, wstąpię do twojej krawcowej i ureguluję twoje wydatki. Ale właścicielka poinformowała mnie, że twój rachunek został już opłacony.

- Ale jak...

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Nie potrafiła mi powiedzieć nic ponad to,

że przyszedł do niej posłaniec z pieniędzmi na opłacenie twojego rachunku. Myślała, że pieniądze, włączając w to suty napiwek, pochodzą ode mnie.

- To musiał być Joel, płacący za suknie Steph. Ojciec pokręcił głową. - Posłaniec podał twoje imię.

- Musiała to więc być jakaś pomyłka.

Znów potrząsnął głową. - Udałem się potem do trzech innych sklepów, w których robisz zakupy.

Z jego miny Sharisse wywnioskowała, co chce powiedzieć. - Też wszystko było uregulowane?

- Tak.

Usiadła koło biurka, wielce skonfundowana. - Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Wiesz, że robiąc zakupy nigdy nie mam przy sobie gotówki. Wszystko obciąża twój rachunek. Skoro jednak żadne z nas nie zapłaciło tych rachunków, to kto?

- Robert?

- Z pewnością nie! Ledwie go znam. Wcale bym się z nim nie widywała, gdyby Joel i Stephanie tak nie nalegali.

- Wiem, że jest bliskim przyjacielem Joela, więc pomyślałem... Nie spotykałaś się z nikim więcej, prawda?

- Doprawdy, tato! Sugerujesz, że jestem czyjaś utrzymanką?

Odchrząknął zakłopotany. - Nie, oczywiście, że nie. Ale ewidentnie masz jakiegoś hojnego adoratora, który próbuje się do ciebie zbliżyć w niecodzienny sposób. Kto to może być?

- Poznałam ostatnio kilku dżentelmenów, świeżo przybyłych do miasta, żaden jednak nie sprawił na mnie wrażenia ostentacyjnego czy ekstrawaganckiego. Nie, nie potrafię sobie wyobrazić, by postąpił tak ktoś ze znanych mi osób. Ale to intrygujące. Rachunki, o których wspomniałeś, nie opiewały na bagatelne sumy.

- Twoje rachunki nigdy nie są małe, moja droga.

Zignorowała tę uwagę. - To nietypowy sposób darowania prezentów. Kwiaty czy świecidełka można zwrócić, ale przecież nie oddam z powrotem moich sukien, po tylu godzinach przymiarek. Mam nadzieję, że będziesz miał gotówkę, abym mogła zwrócić te pieniądze, gdy tylko znajdę ofiarodawcę.

- Czemu nie pozwolisz mi się tym zająć? Nie podoba mi się, że jakiś obcy płaci za twoje sprawunki. Inną rzeczą jest kupowanie ci jakichś drobiazgów, aby zyskać twą sympatię, inną zaś, wręcz zuchwałą, jest płacenie twoich rachunków. To musi być jakiś cudzoziemiec. Oni mają śmieszne podejście do wielu spraw.

Sharisse uśmiechnęła się, słysząc to podsumowanie. - Cóż, ktokolwiek by to nie był, jestem pewna, że już wkrótce się zdradzi. Teraz już naprawdę muszę iść się przygotować, tato. Czy wybierasz się wieczorem do swojego klubu? Nie lubię myśleć, że spędzasz czas samotnie w domu.

- Nie martw się o mnie. Sądzę, że poczekam do twojego powrotu, na wypadek,

gdybyś się dziś wieczorem czegoś dowiedziała.

38.

Pierwszy akt sztuki już trwał, kiedy zjawiła się z Robertem w Academy of Music, po zachodniej stronie Union Square. Przeciętny wygląd zewnętrzny tego budynku, usytuowanego obok bardziej imponującego Tammany Hall, nie uprzedzał o jego pięknym wnętrzu. Odbywały się tu bale, a także spektakle operowe i amatorskie przedstawienia teatralne, takie jak sztuka wystawiana tego wieczora.

Powozy stały wzdłuż ulicy, ale nie każdy przybył tutaj z powodu przedstawienia. Po drugiej stronie ulicy pary spacerowały po skwerze lub korzystały z ławek, otoczonych trawą i krzewami. W ciągu dnia i po południu ławki te i ścieżki zapełniały się niańkami w białych czepkach i dziećmi, różnego rodzaju próżniakami, poczynając od włóczęgów, a na wszechobecnych żebrakach kończąc, a także przechodniami, poszukującymi spokojnej osłony drzew w tej „odrobinie wsi w mieście”. Nocą lampy zwieszające się z drzew dawały wrażenie przytulności i odosobnienia. Nocą było to miejsce dla zakochanych.

Sharisse nie rozumiała czemu, wchodząc oparta na ramieniu Roberta do Academy, przygląda się temu zakątkowi z takim utęsknieniem. Z pewnością Robert jej nie pociągał. Och, był dość atrakcyjny ze swoimi jasnobrązowymi włosami i niebieskimi oczami, był też dość uprzejmy. I jasno dał do zrozumienia, że chce być kimś znacznie więcej, niż tylko eskortą. Lecz gdyby zamierzała wziąć sobie kochankę, wołałaby kogoś wyższego, ciemniejszego, szerszego w barach, podobniejszego do... Usunęła z głowy te dręczące myśli i spróbowała skoncentrować się na przedstawieniu. Udało jej się to aż do chwili, gdy zatrzymała wzrok na swoim pierścionku z ogromnym chryzolitem otoczonym brylantami, który pasował do jej naszyjnika i kolczyków. Znow zrobiła to samo, znow automatycznie wybrała te klejnoty na dzisiejszy wieczór, tak jak to robiła przy każdej formalnej okazji od czasu powrotu do Nowego Jorku. Perły, czy nawet szmaragdy, wyglądałyby lepiej przy nowej, srebrzystoszarej sukni. Jednak ogromne, owalne chryzolity były dokładnie tego koloru, wystarczająco żółte, by mogło się wydawać, że drzemie w nich ogień - jak w jego oczach.

Dlaczego nie może o nim zapomnieć? Minał już rok, okrągły rok, odkąd widziała Lucasa Holta, a jednak miała przed oczami jego obraz tak wyraźny, jakby było to wczoraj.

- Sharisse! Wiedziałam, że to ty!

Uniosła głowę i ujrzała przeciskającą się ku niej przez tłum Sheilę Harris. Światła na przerwę już się paliły i większość widzów kierowała się w stronę kuluarów. Robert przeprosił je na chwilę i odszedł, więc Sheila usiadła na jego miejscu. Wyglądała niezwykle kolorowo w ciemnoniebieskiej sukni ze złotymi błyskotkami, zdobiacymi stanik. Sheila nigdy nie stosowała się do mody, jednak bez względu na to, jak się ubrała, zawsze wyglądała pięknie.

W tej chwili niebieskie oczy Sheili były szeroko rozwarte z ciekawości i gdy tylko Robert oddalił się na bezpieczną odległość, pochyliła się do przodu. - Co ty z nim robisz?

- Dobry wieczór, Sheilo. - Sharisse uśmiechnęła się. - Miło cię widzieć.

- Och, tak, dobry wieczór - rzuciła niecierpliwie Sheila.

- Brakowało nam ciebie dzisiaj.

- Dzisiaj? O nie! Czy to dzisiaj miałam się spotkać z tobą i z Carol? Zapomniałam. Wybaczysz mi, prawda?

- Jasne. - Sheili zawsze udawało się rozbawić Sharisse.

- I co? Pytałam o Roberta.

Sharisse wzruszyła ramionami, - Od pewnego czasu Robert dotrzymuje mi towarzystwa. Wiesz o tym. Stale mnie z nim widzisz.

- Wiem. Nie o to mi chodziło. Myślałam tylko... hm... dlaczego miałabyś wychodzić z Robertem, jeśli on wrócił?

- On? Mów składniej, Sheila.

- Nie baw się ze mną w ciuciubabkę, Sharisse. - Sheila przymrużyła oczy. - Zachowałam się jak kompletna idiotka, kiedy go spotkałam, i wszystko przez ciebie. Tak mnie to zaskoczyło, że straciłam mowę - a wiesz, że nie zdarzyło mi się to w całym moim życiu.

- Sheila, jeśli mi natychmiast nie powiesz...!

- Bardzo nieładnie z twojej strony, że mnie nie ostrzegłaś. Błagałam cię o szczegóły, a uzyskałam tylko twoje stwierdzenie „on jest inny”. I jak tego nie nazwać skromnym opisem! Inny! Jest wspaniały. Dlaczego tego po prostu nie powiedziałaś?

Sharisse oparła się w fotelu, potrząsając głową. To było niemożliwe.

- Mówisz, że... go spotkałaś. Kiedy?

- Zeszłej nocy, na wieczorku u Stewartów. Donald nas sobie przedstawił. Donald a znasz.

- Tak, tak, facet, z którym się spotykasz, znam Donald a. Opowiadaj dalej, Sheila. Sheila kontynuowała, a Sharisse modliła się, żeby nie zadała pytania, czemu nie była w kontakcie z Lucasem. - Otóż Donald nie skojarzył jego nazwiska z tobą i przedstawił go jedynie jako pana Holta. Oczywiście, iluż Holtów znamy? Po prostu musiałam go zapytać wprost, czy jest twoim mężem. Nie sądziłam, że nim jest, nie po twoim lekceważącym opisie. Wyobrażasz sobie, jaka byłam zaskoczona, gdy powiedział tak.

- Co... co jeszcze Lucas mówił?

No cóż, niewiele. Nie jest zbyt rozmowny, prawda? Zapytałam go o jego statek. - Sharisse sprawiała wrażenie wzburzonej i Sheila spytała z niepokojem - Co się stało?

- Nic. Mów dalej.

- Zapytałam o statek i czy jego wyprawa na Wschód była udana, ale odpowiadał wymijająco. I oczywiście zapytałam, dlaczego nie przyszedł z nim, a on powiedział,

że nie czujesz się dobrze. Ale musiało ci się poprawić, bo nie byłabyś tutaj dziś wieczorem z... o Boże. Zadawał mnóstwo pytań, głównie na temat Roberta.

- Co? Powiedziałaś mu o Robercie?

- Ja mu nie powiedziałam - zranionym głosem rzekła Sheila. - Przyjęłam, że ty już to zrobiłaś, bo wiedział, że ostatnio Robert wszędzie ci towarzyszy. Chciał wiedzieć, jaki on jest, ale nie umiałam mu wiele powiedzieć, przecież dopiero dwa miesiące temu wróciłam do miasta, a przed moim wyjazdem ty byłaś jeszcze z ciotką w głębi stanu. Jednak twój mąż zdecydowanie był zainteresowany Robertem. Myślę, że to zupełnie naturalne, zważywszy, że tak długo załatwiał interesy i był nieobecny. Taka długa rozłąka to nie najlepszy sposób rozpoczęcia małżeństwa, lecz chyba nie dało się tego uniknąć, prawda?

- Co? - Sharisse prawie nie była w stanie myśleć.

- Czy teraz pobędzie tutaj trochę, zanim wyprawi się w następną podróż? Dziwiłam się, jak mogłaś poślubić kapitana statku, nawet jeśli był tego statku właścicielem, ale teraz już rozumiem! Może go nie być przez długi czas, ale kiedy jest w domu, och, zazdroszczę ci.

Sharisse usłyszała swój wybuch - Ja... nie wiem, kiedy znów wyjeżdża, Sheila. My... ach, jeszcze nie rozmawialiśmy o tym.

- A gdzie jest teraz?

- Jest zajęty. - mruknęła Sharisse, po czym prędko uśmiechnęła się i rzuciła niedbale:

- To, że jest w domu, nie oznacza jeszcze, że poświęca mi cały swój czas. Ma mnóstwo spraw, którymi musi się zająć. Wszystkim, co zostało zaniechane z powodu wyjazdu.

- I dlatego przyszłaś z Robertem?

- Tak. A teraz naprawdę muszę już iść i zobaczyć, co go zatrzymało.

Podniosła się, aby odejść, ale przyjaciółka schwyciła ją za ramię.

- A co z przyjęciem twojej siostry w sobotę? Na pewno potrafisz zmusić swego męża, by tam z tobą poszedł. W końcu kto z naszych znajomych, poza mną, go poznał?

Och, nie! - Nie wiem, Sheila. Poczekamy, zobaczymy - mruknęła Sharisse, desperacko pragnąc odejść.

Odszukała Roberta najszybciej, jak potrafiła i poprosiła o natychmiastowe odwiezienie do domu, podając jako wymówkę gwałtowny ból głowy. W drodze powrotnej niemal się do niego nie odzywała i pożegnała go szybko i z roztargnieniem. Pani Etherton powitała ją w korytarzu i wzięła pelerynę i rękawiczki, martwiąc się widokiem jej spiętej twarzy.

- Gdzie jest mój ojciec?

Gospodyni prychnęła z dezaprobatą i powiedziała cicho. - W kuchni, panienko.

- Znów zrobił najazd? - uśmiechnęła się Sharisse.

- Tak mi się wydaje, panienko.

Ruszając na poszukiwania ojca, Sharisse nadal się uśmiechała. Lubiła myśleć o tym, jak wzburza służbę, wkraczając do ich królestwa. To było tak bardzo w jego stylu. Zastała go samego w kuchni, z zimnym kurczakiem i pajdą chleba leżącymi przed nim na kuchennym stole. Ale nie był zupełnie sam. W kącie siedziała Clarissa, kremowa kotka, której znalezienie zajęło Sharisse całe tygodnie po powrocie. Clarissa karmiła trójkę kociąt. Był też Charley, zawsze w pobliżu swej małej rodziny, wijący się wokół nóg Marcusa. Sharisse zdumiała się, słysząc ojca, mówiącego - Przeklęty kocie. Podejrzewam, że chcesz trochę tego?

- Ach, ty dobrotliwy staruszk!

Marcus podskoczył i obrócił się, by na nią spojrzeć.

- Za stary już jestem, żeby mnie tak straszyć!

- Przepraszam. - Usiadła przy kuchennym stole i wzięła kawałek kurczaka.

Przyglądał jej się z zaciekawieniem. - Wcześniej wróciłaś. Czy odkryłaś, kto jest twoim tajemniczym wielbicielem?

- Nie. Zresztą... może. Och, równie dobrze mogę ci powiedzieć od razu i zobaczyć, co z tym będziesz mógł zrobić. Sheila była w Academy i powiedziała mi, że spotkała Lucasa ostatniej nocy u Stewartów.

- Lucasa? Chcesz powiedzieć... Lucasa? - Tak.

- No, no, czyż to nie interesujące?

- Raczej alarmujące. Czy nie może to być ktoś inny, podający się za Lucasa? - spytała z nadzieją Sharisse. Wiedziała jednak, po pełnym uwielbienia opisie Sheili, że tak nie będzie.

- Co jej powiedziałaś? - zapytał ojciec.

- Nie bardzo mogłam jej powiedzieć, iż nawet nie wiedziałam, że tu jest. Jak by to wyglądało? Ona jednak potrafiła powiedzieć o nim tylko jedno - dodała cierpko.

- Uważa, że jest wspaniały.

- Co to za sposób opisywania ludzi? - zapytał Marcus.

- Sposób Sheili. Uznała, że jest całkiem atrakcyjny - odparła z przekąsem.

- O ile pamiętam, ty też tak sądziłaś. Dobrze już, przyjmijmy, że ten człowiek jest twoim mężem. Jest tutaj. Co masz zamiar zrobić?

- Nie zamierzam nic robić - odpowiedziała beznamiętnie. - Na pewno nie zamierzam się z nim spotkać.

- Może będziesz musiała, kochanie. Nie mogę po prostu zabronić mu wstępu do domu, jeśli zażąda spotkania z tobą. Nadal jest twoim mężem. Mógł o tym nie wiedzieć w chwili przyjazdu, ale z pewnością już się dowiedział. A na dodatek sprawił, żebyś i ty była świadoma jego praw jako twojego męża.

- Co masz na myśli?

- Zapłacił za twoje zakupy. Wątpię, żeby zrobił to z poczucia obowiązku. Nazwałbym to ekstrawaganckim przesłaniem. Wiadomością dla ciebie.

- Innymi słowy, chce, żebym wiedziała, że jeśli będzie chciał grać rolę mojego męża,

zrobi to?

- Dokładnie.

- Nie wiem, tato. Lucas jest za prostoliniowy na to. On by zwyczajnie wpakował się prosto tutaj i...

- To dlaczego tego nie uczynił?

- Och, skąd mogę wiedzieć, co zamierza!

- Jestem pewien, że potrafisz zgadnąć. Chce się dowiedzieć, dlaczego wciąż jesteś mężatką, Rissy. Zamierzasz mu powiedzieć?

- Nie - odpowiedziała twardo - absolutnie nie.

- Musisz więc jak najszybciej coś wymyśleć, bo sędzę, że upłynie niewiele czasu, a znów spotkasz Lucasa Holta.

39.

Sharisse właśnie kończyła lunch, kiedy do pokoju wkroczyła jej siostra. Poruszała się szybciej, niż dane to było widzieć Sharisse od wielu miesięcy, choć i tak całkiem wolno. Pięciomiesięcznej ciąży Stephanie prawie nie było widać, ale od chwili, gdy dowiedziała się o swoim stanie, zaczęła się ze sobą pieścić, podobnie jak to robiła ich matka. Wielokrotnie Sharisse próbowała jej wytłumaczyć, że będzie zdrowiej, jeśli przestanie traktować siebie jak inwalidę, ale młodsza siostra nie chciała o tym słyszeć

Tego dnia Stephanie, wyraźnie ożywiona, rozejrzała się po pokoju, aby się upewnić, że są same.

- Co cię tu sprowadza, Steph? Sądziłam raczej że przez cały dzień będziesz katować służących, przygotowując wszystko na wieczorne przyjęcie.

- Doprawdy, Rissy, skąd ci się biorą takie śmieszne zwroty? „Katować”, też coś. - Siadając, Stephanie odegrała wypracowaną scenkę zajmowania wygodnej pozycji, po czym powiedziała: - Taty nie ma w domu, prawda?'

- W sobotę? Wiesz przecież, że zawsze w sobotę je lunch z twoim teściem.

- Wolałam się upewnić. Nie chciałam, żeby coś usłyszał.

- Nie mam już sekretów przed tatą, Steph.

- Nie powiedziałaś mu chyba o moim udziale w... Sharisse pospieszyła ją uspokoić. - Nie, nie martw się.

W każdym razie teraz nie mam przed nim nic do ukrycia.

- Nawet tego, że Lucas Holt jest w Nowym Jorku?

Stephanie była przekonana, że przynosi niezwykłą nowinę, toteż twarz jej się wydłużyła, gdy usłyszała spokojną odpowiedź: - Wiemy o tym.

- Wiecie? Mój Boże, czemu więc nikt mi nie powiedział? Musiałam się dzisiaj dowiedzieć od Trudi. Ona usłyszała to od Barbary Stewart, a wiesz, co Barbara...?

- Mogę sobie wyobrazić, Steph. - przerwała sucho Sharisse. - Myślę, że Sheila pracuje nad tym, żeby wszyscy wiedzieli. Poznała go, rozumiesz. U Stewartów.

- I?

- Co i?

Stephanie niecierpliwie machnęła ręką. - I co on tutaj robi?

- Nie wiem.

W Stephanie zakipiało. - Nie chcesz mi powiedzieć, prawda?

- Nic przed tobą nie ukrywam, Steph. Naprawdę nie wiem, dlaczego Lucas tu przyjechał. Nie widziałam się z nim.

Sharisse nigdy by się nie przyznała, jak bardzo złościł ją fakt, że Lucas nie przyszedł się z nią spotkać. Co zamierzał, bawiąc się w chowanego?

- Wydawało mi się, że słyszę moje dziewczęta - zawołał Marcus, wchodząc do pokoju.

Sharisse zdumiał jego widok. - Czy nie byłeś na lunchu z Edwardem?

- Skróciłem go. Coś mi wypadło. A co cię tu sprowadziło, moja droga? - zapytał Stephanie, całując ją.

- Musiałam zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Te wszystkie porządki w moim domu, sam rozumiesz. Przyjdiesz wieczorem na moje przyjęcie, tato?

- Na Boga, nie. To dla was, młodych. Spędzę wieczór w moim klubie.

- Cóż, chyba rzeczywiście powinnam już wracać i zobaczyć, jak postępują prace - powiedziała Stephanie, z niechęcią myśląc o odejściu.

- Jeśli się pospieszysz, znajdziesz jeszcze mój powóz przed drzwiami. Może cię zawieźć do domu, Stephanie.

Sharisse jęknęła. - Jesteś taki sam, jak ona, tato. Mieszka dwa kroki stąd. Potrzebuje ruchu.

- Nonsens, Rissy - wesoło odrzekła Stephanie, dźwigając się z krzesła. - Nigdy nie zawadzi być ostrożnym.

Kiedy pozostali wreszcie sami. Sharisse zaczęła strofować ojca. - Nie powinieneś jej do tego zachęcać.

- Wiem. Ale teraz tak bardzo przypomina mi waszą matkę. Ty jej nie przypominałaś. Przez cały czas, aż do końca, zachowywałaś się tak, jakby nic wielkiego się nie działo.

- Miałam szczęście. Kiedyś ktoś mi pokazał... och, nieważne. Co przerwało ci lunch?

- Przyniesiono mi to do restauracji. - Położył teczkę na stole. - Czekałem na to dwa dni. To jest raport na temat twojego męża.

- Nie zrobiłeś tego!

- Oczywiście, że zrobiłem. Zatrzymał się w hotelu Fifth Avenue i mieszka tam od ponad miesiąca.

- Tak długo? Ale przecież to jest luksusowy hotel. Skąd bierze pieniądze? Zastanawiam się, czy sprzedał ranczo?

- A tak, jego ranczo istotnie zostało sprzedane, ale nie przez niego. W ubiegłym roku sprzedał je niejaki Billy Wolf. Lucas Holt opuścił tamte okolice znacznie wcześniej. Sharisse wpatrywała się w ojca szeroko rozwartymi oczami. - Skąd, u diabła, o tym

wszystkim wiesz?

- Posłałem tam kogoś w zeszłym roku. Sprawdzenie Lucasa wydawało mi się rozsądnym posunięciem.

- Przez cały czas wiedziałeś o wszystkim i zachowałeś to dla siebie?

- Nie było sensu o tym wspominać, nie chciałem też cię niepokoić. Poza tym, skoro Holt zniknął bez śladu, zmuszony byłem odwołać poszukiwania.

- Zniknął?

- Staruszek, który u niego pracował powiedział, że opuścił ranczo tego samego dnia, co ty - odparł Marcus.

- Nikt go już później nie widział.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

- Czy sądzisz, że próbował jechać za mną?

- Nie. Łatwo mógłby cię dogonić.

- Oczywiście. - Nie potrafiła całkowicie pozbyć się rozczarowania w głosie. - Zresztą po cóż miałby próbować?

Marcus przyglądał jej się w zamyśleniu. - Donoszono mi, że był odpowiedzialny za zrujnowanie założyciela Newcomb. Jeśli to prawda, to być może musiał wyjechać. Newcomb jest nędzarzem. Czy wiesz coś o tym?

- Samuel Newcomb? Ależ oni są przyjaciółmi... albo coś w tym rodzaju. Nie, nie mogę uwierzyć, żeby Lucas tak postąpił. Nie Lucas.

Odchrząknął. - Cóż, jak powiedziałem, takie krążyły słuchy.

- Co jeszcze znalazłeś?

- Pan Wolf - mój człowiek go odnalazł - sugerował, że twój mąż udał się do Europy.

- Do Europy! Przecież on nie miał pieniędzy.

- Ale mają teraz - rzekł ojciec. - Zatrzymał się w jednym z najdroższych hoteli w mieście, kupił też stary dworek Tindel.

- Co zrobił?

- Jest coś, co mnie dziwi - powiedział Marcus. - Pomyślałem, że może ty będziesz mogła mi to wyjaśnić.

- Tylko jedną rzecz? - spytała sarkastycznie. - Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że mówimy o człowieku, którego znałam!

- Może nie.

- Tato - zaczęła znużona, ale jej przerwał.

- Ten człowiek zameldował się w hotelu pod nazwiskiem Slade Holt, a nie Lucas Holt.

- Slade! O nie!

Marcus zaniepokoił się jej rumieńcem. - O co chodzi, Rissy?

- Slade jest bratem Lucasa!

- Czemu jednak Lucas miałby używać imienia brata?

- To może nie być Lucas - wyszeptała. - To może być Slade.

- To nie ma sensu. Ten człowiek utrzymuje, że jest twoim mężem. Mogłabyś go zdemaskować, gdyby to nie był twój mąż.

- Mogłabym? - zaśmiała się ponuro. - Są bliźniakami. Umiem ich odróżnić tylko dlatego, że Slade ubiera się jak Indianin. Gdyby się tutaj ubrał zwyczajnie, a na pewno by tak zrobił, nie zauważyłabym różnicy, przysięgam.

- A więc to może nie być twój mąż?

Zagryzła wargi, a potem wykrzyknęła: - Och, naprawdę nie wiem, co myśleć!

- Cóż, będę musiał pójść i porozmawiać z tym człowiekiem - powiedział zdecydowanie ojciec.

- Nie! - Sharisse podskoczyła na swoim krześle, jakby ją ktoś postrzelił. - Nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego nie?

- Jeśli to jest Slade, hm... to trudny człowiek. Nie jest podobny do Lucasa. Slade dorastał samotnie w dziczy. Jest rewolwerowcem. Jest szorstki i nieco dziki. Brak mu ogłady. Nie daje się rozmawiać ze Sladem, tato, a przynajmniej nie jest łatwo.

- Czy jest tobą zainteresowany? - zapytał ojciec.

- Tak, był - przyznała niechętnie. - To nie jest typ człowieka, z którym można dyskutować, tato, więc proszę, nic nie rób.

- Coś trzeba zrobić, Rissy. Nie możemy po prostu czekać i się zastanawiać.

- Właśnie to możemy - upierała się. - Sam powiedziałeś, że pewnie już wkrótce skontaktuje się ze mną. Jeśli to jest Slade, wolałabym jak najbardziej odwlec to spotkanie.

- Spuściła oczy i zaczęła wyjaśniać: - Z Lucasem przynajmniej potrafię postępować. Ale Slade? Mój Boże, jeśli postanowił udawać Lucasa, aby zmusić mnie...

- Niech tylko spróbuje - warknął Marcus.

- O tak, tato, spróbuje. Staralam ci się to wytłumaczyć. On działa bez skrupułów. Uzna za zabawne chwilowe udawanie mojego męża, abym znalazła się dokładnie tam, gdzie... Cóż, jak mówiłam, prześladował mnie już wcześniej.

- Może powinnaś przenieść się znów na trochę do ciotki.

- I nigdy nie rozwikłać tej sytuacji? Nie, nadal będę mieszkała tu, gdzie stale mieszkam. Odmawiam krycia się przed nim. Jedno, co powinnam teraz zrobić, to spotkać się w poniedziałek z adwokatem i zakończyć nasze małżeństwo. Wtedy nie będzie miało żadnego znaczenia, czy jest to Lucas, czy Slade.

- Jest już za późno, żeby to prosto zrobić, Sharisse. Teraz potrzebna ci jest współpraca męża. Wiesz o tym - przypomniał jej łagodnie.

- Cóż - westchnęła żałośnie - jest jedna szansa. Stosunek do rozwodu powie mi, kim on jest. Jeśli nie będzie chciał rozwodu, będę wiedziała, że to Slade.

Jej ojciec wstał, popatrzył na nią smutnym wzrokiem, a potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Musiał teraz znaleźć chwilę czasu, by pomyśleć o tym w samotności.

- Miałaś tu przyjechać wcześniej, a nie spóźnić się, Rissy - poskarżyła się Stephanie, biorąc siostrę pod rękę i podążając z nią w kierunku salonu.

- Nie besztaj mnie, kochana. Mało brakowało, a wcale bym się nie pojawiła. Robert przeprosił, że nie może iść ze mną i gdybym nie była już ubrana do wyjścia w chwili, gdy doręczono jego bilecik, w ogóle bym nie przyszła.

- Ależ to, że jesteś bez towarzysza, nie ma najmniejszego znaczenia. Znasz tutaj wszystkich.

- I dlatego w końcu zdecydowałam się przyjść. -W rzeczywistości potrzebowałam czegoś dla oderwania myśli, rozpaczliwie potrzebowałam. - I naprawdę nie spóźniłam się. - Zatrzymały się przed wejściem do ogromnego salonu, w którym zgromadziło się już około dwudziestu gości. - Domyślałam się, że Sheila jeszcze nie przybyła.

- Ba, to jedyna spóźnialska poza tobą. Zresztą nigdy nie można liczyć na to, że Sheila dotrzyma obietnicy.

- Nie miej takiego złego humoru, Stephanie. Nie do twarzy ci z nim.

- Nic na to nie poradzę - młodsza dziewczyna wysyczała cicho. - Od chwili, gdy usłyszałam wiesz o kim, jestem kłębkim nerwów.

- Nie chcę, żebyś poruszała ten temat. - Za plecami usłyszały odgłos zamykanych drzwi frontowych i Sharisse odsunęła się od Stephanie. - I masz. Idź i powitaj swoich ostatnich gości. Ja wejdę sama. Będę...

- Co się stało, Rissy? - Stephanie spojrzała w tym samym kierunku, co siostra i wyszeptała - Czy to on? To on, prawda? Och, co mam robić? Czy mam zawołać Joela, żeby wyprosił go za drzwi? Rissy?

Trzeba było mocno potrząsnąć Sharisse, aby mogła w ogóle coś odpowiedzieć. - Nic... nic nie rób, Stephanie. - Zakołysała się, zamykając oczy i próbując się uspokoić.

- Co powinnam zrobić? - wyszeptała szaleńczo Stephanie. Nie mogę przecież powitać go w moim domu. Trzeba powiedzieć Joelowi.

- Stephanie, zachowujesz się bez sensu! - parsknęła Sharisse. Nie zmusisz takiego człowieka, żeby wyszedł, jeśli nie ma na to ochoty. A wciągając w to Joela narobisz tylko kłopotów. Udawaj po prostu, że wszystko jest w porządku.

- A jak mam to robić? - Stephanie ścisnęła ramię Sharisse. - O Boże, zauważył cię! Idzie tutaj, Rissy! Chyba sobie pójdę.

- Tylko się nie waż zostawiać mnie z nim sam na sam! - syknęła Sharisse.

Odwróciła się. Ich spojrzenia zwały się. I nagle poczuła się bardzo dziwnie. Sprawily to te oczy, przejrzyste, żółtozielone, tak jasne i rozbrajające. Bez względu na to, czy było zimno, czy panował upał, jego spojrzenie zawsze miało na nią magiczny wpływ i to najwyraźniej nie uległo zmianie. Nie miał już tak intensywnej opalenizny, chociaż i tak był najciemniejszym mężczyzną w pokoju. Ciemne włosy miał krócej obcięte, a ubranie bardziej wyrafinowane. Nadal jednak był tym mężczyzną, o którym nie umiała zapomnieć.

- Witaj, ślicznotko.

Chropawy głos przejął ją dreszczem.

- Rozumiem, że poznałeś już niektórych z moich przyjaciół, ale nie spotkałeś jeszcze mojej siostry - powiedziała tak spokojnie, jak tylko była w stanie. Przyjrzał się krótko podnieconej blondynce i skinął głową, po czym znów powrócił wzrokiem ku Sharisse. Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z granitu. Oboje wciąż stali bez ruchu, mierząc się wzrokiem.

- Ha, wreszcie widzimy nowożeńców razem - wykrzyknęła Sheila, krocząc szybko ku nim, z Donaldem u boku. - Nigdy byś nie zgadła, gdzie go znaleźliśmy, Sharisse. Dokładnie na drugim krańcu miasta. Wiedziałam od razu, że nie dotrze tu na czas, jeśli go nie podwieziemy.

- Jak miło z twojej strony, Sheila - odparła z napięciem w głosie Sharisse.

- Cóż, porozmawiamy z tobą później, kochana - powiedziała Sheila wesoło. Najpierw muszę się ze wszystkimi przywitać. Nie mogę być niegrzeczna.

Sheila wkroczyła do salonu, a Stephanie podążyła za nią, zostawiając Sharisse samą.

- Czy możemy gdzieś tutaj spokojnie porozmawiać?

- Nie! - zaczerwieniła się, słysząc swój dobitny głos.

- Boisz się zostać ze mną sama, ślicznotko?

- Nie, ja... tylko nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy pozostać tutaj, gdzie jesteśmy.

- Niech więc tak zostanie - burknął - ale nie mogę już dłużej czekać.

Szybko przyciągnął ją do siebie, a jego usta z siłą spoczęły na jej wargach. Zdawało jej się, że przeszył ją piorun, gdy poczuła nacisk jego ciała i głodne, żądające usta. Nie mając siły, aby mu się opierać, zarzuciła mu ręce na ramiona, na szyję, wplotła we włosy.

Podniósł głowę, zastanawiając się, czy odsunie się od niego, ale nie zrobiła tego. Jej oczy w kolorze ciemnego ametystu błyszcząły.

- Nie potrafiłem się powstrzymać - powiedział miękko.

- Słucham?

Uśmiechnął się na widok jej oszołomienia. - Rozejrzyj się dookoła, ślicznotko.

Spełniła jego polecenie i oblała się szkarłatem aż po cebulki włosów. Stephanie wpatrywała się w nią ze zdumieniem, Sheila się uśmiechała. Trudi Baker i parę innych dziewcząt chichotało. Panowie znajdujący się w pomieszczeniu próbowali udawać, że nic nie zauważyli. Chciała umrzeć.

Uciekając wzrokiem, dostrzegła swoje ręce okręcone wokół jego szyi i szybko je zabrała, odsuwając się do tyłu. - Jak mogłeś? - wysyczała wściekle.

- Bardzo łatwo i z ogromną przyjemnością - odpowiedział, biorąc ją pod rękę i odprowadzając na pewną odległość od ich widowni. - Dlaczego nie zadasz tego pytania sobie? Wobec wszystkich tu obecnych uznałaś mnie właśnie za swojego męża.

- A co, nie jesteś nim? - parsknęła.

- Nie.

Szeroko otworzyła oczy. - A więc to ty! Jaki jesteś podły, Slade. Dziwię się tylko, że się do tego przyznałeś.

- Slade? - uniósł ciemne brwi w irytujący sposób.

- Dlaczego sądzisz, że jestem Sladem?

Sharisse potrząsnęła głową. - Nie próbuj mnie zbić z tropu. Zameldowałeś się w hotelu jako Slade Holt.

- A więc twój ojciec znów kazał mnie sprawdzić.

- W jego głosie pojawił się chłód.

- Znów? - zapytała z wahaniem. - Wiesz o człowieku, którego posłał do Newcomb?

- Z tego powodu tu przyjechałem. Chciałbym się czegoś o tym dowiedzieć. O tym i o paru innych sprawach.

- Ale on szukał Lucasa, nie ciebie. Och, chce mi się wyć!

Zaśmiał się. - W takim razie sądzę, że powinniśmy znaleźć bardziej odosobnione miejsce. Może sypialnię twojej siostry?

- Jakbym mogła ci zaufać w sypialni - powiedziała. - Ogród musi wystarczyć.

Poprowadziła go do ogrodzonego ogrodu na tyłach domu. Były tam ławki i mała fontanna, otoczona różami. Światło docierające z domu delikatnie rozjaśniało mrok, powietrze było przyjemnie chłodne. Po zamknięciu drzwi, obróciła się do niego twarzą.

- Jeśli natychmiast nie wyjaśnisz swojego postępowania, to nie mamy o czym rozmawiać - powiedziała otwarcie.

- Ja? Skarbie, to ty powinnaś złożyć wyjaśnienia.

- Nie, dopóki nie powiesz, kim jesteś.

Zmrużył oczy. - Jestem mężczyzną, którego poślubiłaś w Arizonie.

- Dlaczego więc zaprzeczasz, że jesteś moim mężem?

- Dlatego, że posiadany przez ciebie papier, stwierdzający, że jesteśmy małżeństwem, jest bez wartości.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. - Chcesz powiedzieć, że ksiądz był...

- Nie, ksiądz był autentyczny. I oboje wiemy, że cię poślubiłem. Ale czy potrafisz tego dowieść? Jeśli zacznę występować pod innym imieniem, czy nadal będę twoim mężem?

- Nie rozumiem. Nie możesz wyplątać się z małżeństwa przez zmianę imienia.

- Mogę. I ty wiesz dobrze, że mogę... jeśli to drugie imię brzmi „Slade”. Posiadanie brata bliźniaka ma swoje dobre strony.

- Nigdy nie słyszałam nic bardziej niedorzecznego! To nie może być możliwe.

- Nie będę ci dokładnie tłumaczyć, dlaczego jest to możliwe, po prostu uwierz mi. że jest. Ten dokument, stwierdzający, że jesteśmy małżeństwem będzie ważny tylko wówczas, gdy przyznam, że jestem Lucasem.

- Ależ przyznałeś się już, że jesteś Lucasem!

- Tobie. - Uśmiechnął się. - Nikomu więcej.

- To nieprawda. Sheila uważa, że jesteś moim mężem. Nie zaprzeczyłeś ani jej, ani komukolwiek innemu.

Wzruszył ramionami. - Wiele par udaje, że wzięło ślub, aby nikt nie mógł ich oskarżyć o niemoralność. Ciekawe, co by powiedzieli twoi przyjaciele, dowiedziawszy się, że przez cały czas udawałaś?

Sharisse powoli i głęboko wciągnęła powietrze. To by oznaczało skandal, wiedział o tym.

- Ale była uroczystość i...

- Nie masz żadnych świadków tej uroczystości. Twoi przyjaciele pomyślą tylko, że próbowałaś ocalić reputację. Ludzką rzeczą jest wierzyć w najgorsze rzeczy o innych, kiedy jest dużo plotek. Wiesz o tym.

- Nie możesz mi tego zrobić - rzekła zdecydowanie. - Musimy być małżeństwem.

- Dlaczego? - podniósł głos. Co się za tym kryło?

- Lucasie, rozumiem, że musiało cię zdziwić to, że ciągle jeszcze jestem twoją żoną.

- Zdziwienie to niezbyt trafne określenie.

- Pozwól mi wyjaśnić. Miałam szczery zamiar uzyskać unieważnienie, ale po moim powrocie do domu ojciec ciągle nalegał, żebym poślubiła Joela.

- Męża twojej siostry?

- Tak. Widzisz, Stephanie go kochała. Czyż nie mówiłam ci już tego wcześniej? Ale mój ojciec nie chciał o tym słyszeć i zmusiłby mnie do wyjścia za męża za Joela. Gdybym mu nie powiedziała, że jestem już mężatką, zostałabym od razu panią Parrington. Oczywiście nie spodobało mu się to. Próbował cię odnaleźć, domyślałam się, że po to, aby przekonać się, jaki jesteś.

- To nie powiedziałaś mu, że jestem draniem? Zachnęła się. - Nie powiedziałam mu, jakim podstępny łotrem się okazałeś, jeśli to miałeś na myśli.

- Ja? - wybuchnął i w złości złapał ją za ramiona. Ale wystarczyło jedno spojrzenie w jej szeroko otwarte, przestraszone oczy, aby nie potrząsnął nią, a tylko odepchnął od siebie.

- Porozmawiajmy o podstępach, ale twoich - powiedział zimno. - Pani Hammond, czyż nie tak? Córka Johna Richardsa? Utrzymywałaś, że masz osiemnaście lat. Bez środków do życia - wdowa - odtrącona przez ojca. Czy zapomniałem o jakimś twoim kłamstwie?

Skuliła się. - Lucas, mogę to wyjaśnić.

- Możesz? - Teraz już krzyczał. - A co by było, gdybym istotnie był jakimś biedakiem, pragnącym żony? Czy choć przez chwilę pomyślałaś o tym, gdy odpowiadałaś na moje ogłoszenie? Pomyślałaś?

- Nie odpowiadałam na ogłoszenie! - W odpowiedzi Sharisse też krzyknęła - To moja siostra!

Popatrzyli na siebie zaskoczeni. Potem Lucas powiedział. - Siadaj Sharisse i opowiedz wszystko od początku.

I opowiedziała mu, jeszcze raz wyjaśniając sprawę Joela i Stephanie. - Była tak załamana, że mam poślubić Joela, iż nie wiedziała, co robi. Nie możesz jej winić, Lucasie. Zamierzałam odesłać ci bilety razem z listem od Stephanie. Ale po opuszczeniu Nowego Jorku odkryłam, że zginęły moje klejnoty. - Nie tłumaczyła, jak to się stało, tylko szybko kontynuowała. - Nie miałam wyboru, musiałam skorzystać z biletów, bo byłam bez pieniędzy.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego, kiedy przyjechałaś? Do diabła, ubiłbym z tobą interes. Mogliśmy sobie nawzajem pomóc bez tych wszystkich kłamstw.

- Powiedziałabym, gdybyś nie był taki straszny. Bałam się. Miałam nadzieję, że po prostu poczujesz do mnie niechęć i odeślesz z powrotem na Wschód. - Roześmiał się, ale zignorowała to. - Jaki interes mógłbyś ze mną ubić? Dlaczego ci tam byłam potrzebna, Lucasie? Czy miało to coś wspólnego z Samuelem Newcombem?

- Twój ojciec to odkrył, prawda?

- Słyszał tylko pogłoski. Czy naprawdę zrujnowałeś Sama? Celowo?

- Przede wszystkim dlatego tam się znalazłem - przyznał bez zawstydzenia. - Sam był za dobrze zabezpieczony, aby go zabić, ale doprowadzenie go do upadku było równie dobre. Cóż, po jakimś czasie Fiona zaczęła komplikować mi sprawę, budząc zazdrość Newcomba. Nie chciałem, by z tego powodu stracił do mnie zaufanie, więc wymyśliłem, że posiadanie przeze mnie narzeczonej go uspokoi. I tak się stało.

Olśniło ją, gdy jeszcze mówił. - To on jest tym człowiekiem, który zapłacił za zabicie twojego ojca, prawda?

Lucas przytaknął. - Nie mógłbym tego udowodnić, ale tak.

Zdumiona potrząsnęła głową. - Slade dopadł jednego człowieka, ty zająłeś się drugim. Wy, Holtowie, nie liczycie na prawo, kiedy trzeba naprawiać krzywdy, prawda?

Odchrząknął. Mógł jej o wszystkim powiedzieć, ale nie widział w tym teraz żadnego sensu. Nadal nie wiedział, co ma z nią zrobić. Nie przypuszczał, że gdy ujrzy ją po raz pierwszy po tak długim czasie, poczuje ból, który będzie go zżerał. Była tak samo piękna, jak ją zapamiętał, a może nawet piękniejsza i, niech to diabli, tak bardzo jej pożądał. Nawet przekonanie, że jest pozbawiona serca, nie ułatwiało mu porzucenia jej.

Milczał nazbyt długo, wprawiając Sharisse w zakłopotanie. O czym myślał? - Zrozum, Lucas, wiem, że nie chcesz żony i jest mi przykro, że nie zajęłam się wcześniej tą sprawą. Ale się zajmę. Dostanę rozwód najszybciej, jak to jest możliwe.

- Nie możesz rozwieść się z człowiekiem, z którym nie masz ślubu - powiedział z roztargnieniem.

- Lucas! Nie jesteś chyba ciągle zły na mnie o to, że kłamałam, prawda? Nie masz do

tego prawa. - Znów traciła panowanie nad sobą. - Ty mi kłamałeś równie wiele. A co by było, gdybym naprawdę chciała męża?

- Twoje rozczarowanie zostałoby sownie wynagrodzone. Złożyłem w tutejszym banku okrągłą sumkę dla ciebie. Ale oczywiście nie można było znaleźć żadnej pani Hammond, która by te pieniądze przejęła, - Wzruszył ramionami. - Teraz, kiedy już wiem, że ich nie potrzebujesz, przeznaczyłem je na inne cele.

Z oczu Sharisse posypały się iskry. - Miałeś pieniądze przez cały czas, prawda? Mogłeś mnie odesłać, kiedy cię o to prosiłam! Ty... och!

- Raczej cieszę się, że cię nie odesłałem. - Uśmiechnął się.

- Dlaczego żyłeś w taki sposób, skoro miałeś pieniądze?

- Dzięki kopalni ojca byłem bogaty, ale w Arizonie odgrywałem rolę na użytek Sama, a szastanie pieniędzmi na prawo i lewo do tej roli nie pasowało.

- Mówiłeś przecież, że złoża nigdy nie odnaleziono.

- Mówiłem tylko, że Newcomb nie mógł go znaleźć. My z bratem wiedzieliśmy, gdzie się znajduje.

- A więc naprawdę jesteś bogaty?

- Jesteś rozczarowana?

Rozwścieczyły ją błyski w jego oczach. - Doprawdy jest mi to obojętne.

- Naprawdę?

- Tak. Bogaty czy nie, nadal jesteś podły. Zaśmiał się otwarcie. - A ja sądziłem, że ucieszy cię wiadomość, iż mogę ci kupować te wszystkie drobne zbytki, do których przywykłaś. Mogłabyś jednak zachować pewien umiar. Za dużo wydajesz.

Parsknęła na te słowa. - Nikt cię nie prosił o regulowanie moich rachunków, Lucas! Dlaczego to zrobiłeś?

- Nosisz moje nazwisko. To daje mi prawo postępowania jak chcę we wszelkich sprawach, które cię dotyczą.

Zerwała się na nogi. - Przecież powiedziałeś, że nie jesteś moim mężem!

- Publicznie nie zaprzeczyłem temu - jeszcze. Czyż nie tak?

- Ale miałeś zamiar, prawda? - wysapała. Nie odpowiedział i cała burza, która w niej szalała, ucichła. Powoli usiadła. - Och, Lucas, czemu chcesz mi to zrobić? Zniosę skandal związany z rozwodem, jeśli będę musiała, ale nie to, że właściwie nigdy nie byłam twoją żoną.

- Ty sama stworzyłaś tę sytuację, Sharisse.

- Powiedziałam ci, dlaczego! - krzyknęła.

- Z powodu twojej siostry - odparł - która jednak od dłuższego czasu jest już mężatką. Jak możesz wytłumaczyć, dlaczego wcześniej nie naprawiłaś sytuacji?

Sharisse uciekła spojrzeniem. Wyznanie prawdy równałoby się zmuszeniu go do czegoś, czego nie chciał. Nie robi tego. Nie może.

- Nie... nie myślałam, że pozostawienie wszystkiego tak jak jest może wyrządzić jakąś krzywdę, Lucas. Mój ojciec mógłby znaleźć mi następnego męża, a ja nie

chciałam drugi raz wychodzić za mąż. - Zaczęła dostrzegać, jak prawdziwe są te słowa.

- A co, gdybym to ja pewnego dnia chciał się ożenić?

- Przecież powiedziałaś, że nie jesteśmy małżeństwem.

- Nie wiedziałaś o tym.

- W końcu przecież coś bym z tym zrobiła. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że to takie pilne. Zresztą jaka to różnica dla ciebie, Lucas? Dlaczego nie możesz mi pozwolić wystąpić o rozwód? To by wszystko rozwiązało. Przysięgam, że już nigdy bym cię nie niepokoiła i nie musiałbyś mnie więcej widzieć.

Zmrużył oczy. Nigdy więcej jej nie zobaczyć?

- Sharisse, jeśli chcesz rozwodu, będziesz musiała najpierw jeszcze raz mnie poślubić.

- Ależ to śmieszne!

- Decyduj, tak albo nie - odparł krótko.

- Ale Lucas, nie ma sensu, żebyśmy przeszli przez to raz jeszcze, jeśli nie musimy.

- Mam już dość udawania. Albo postąpimy tak, jak chcę, albo też znajdę w sobie dość odwagi, by wyznać tym wszystkim zgromadzonym tu ludziom, że nie jestem twoim mężem.

- Nie rób tego!

- A więc?

- Och, niech już będzie, Lucasie, ale przysięgam, że zwariowałam.

- Może zwariowałam. - Uśmiechnął się czarująco, drażniąc ją jeszcze bardziej. - Przyjadę po ciebie rano, koło dziesiątej. Bądź gotowa. I nie martw się, nikt nie musi wiedzieć, że powtórnie wychodzisz za mnie za mąż jedynie po to, byś mogła się ze mną rozwieść. Tylko rozwód trzeba będzie ujawnić.

- Zachowujesz się bardzo nieracjonalnie - rzekła dzielnie - ale nigdy nie byłś rozsądnym człowiekiem, Lucasie.

- Po prostu wiązę wszystkie końce, ślicznotko. Nie możesz temu zaprzeczyć.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi, ale nie zapytała. Nagle poczuła się wyczerpana.

- Myślę, że już nie wrócę na przyjęcie - powiedział. - Możesz mnie jakoś wytłumaczyć. Nie lubię częściej paplaniny. My, ludzie morza, stronimy od tego, rozumiesz. - Zaczerwieniła się na tę wzmiankę, on zaś zapytał: - Czy musiałaś zrobić ze mnie kapitana statku?

- To pasowało do męża, którego nigdy nie było w pobliżu - powiedziała cierpko.

- Cóż, zawsze możemy powiedzieć, że zrezygnowałam z morskiej kariery.

Jego uśmiech rozsierdził ją. - Możesz sobie mówić, co chcesz - i jestem pewna, że to zrobisz. Zawsze tak postępujesz.

Obrażona, odwróciła się i odeszła, on zaś stał i z uśmiechem patrzył, jak się oddala.

41.

Sharisse włożyła na siebie spokojną, niebieską suknię z kaszmiru, z pasującą do niej

narzutką. Nic strojnego na tę śmieszłą okazję.

Lucas przybył o czasie, więc pospiesznie wypadła z domu, nie dając mu nawet możliwości, by wysiadł z powozu. Ubawiło go to.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że nie mogłaś się mnie doczekać - skomentował, wciągając ją do środka i sadzając obok siebie.

- Nie chciałam tylko, żebyś spotkał mojego ojca - powiedziała opryskliwie.

- A ja na to liczyłem. Mówiłaś, że bardzo jesteśmy do siebie podobni. Nie doniosłaś mu o naszym powtórny ślubie?

- Oczywiście, że nie. Sam mówiłeś, że nikt nie musi o tym wiedzieć - przypomniała mu.

- Rzeczywiście - westchnął,

- Zmieniłeś może zdanie? - zapytała z nadzieją.

- Ach, ślicznotko - rzekł łobuzersko - co ci za różnica, ile razy wyjdiesz za mnie za mąż, jeśli końcowy rezultat będzie po twojej myśli?

- Chciałeś powiedzieć, że po twojej!

Parsknął śmiechem, a Sharisse usiadła głęboko i milczała, zdecydowana go ignorować. Pozostała część drogi upłynęła im w ciszy, Sharisse była zagniewana, a Lucas pochłonięty obserwowaniem jej.

Zabrał ją za miasto, do małego kościółka. Wszystko omówił wcześniej, toteż czekał już na nich duchowny i dwójka parafian, mających zostać świadkami.

Sharisse zносиła całą ceremonię w grobowym milczeniu do momentu, w którym ksiądz zwrócił się do Lucasa używając imienia, jakiego nie spodziewała się usłyszeć. Zanim zdążyła głośno zaprotestować, Lucas szepnął do niej: - Nie przejmuj się. To pomyłka bez znaczenia.

- Ale...

- Jeśli nie chcesz kontynuować, jest jeszcze inna możliwość.

Sharisse zamknęła usta.

Lucas spodziewał się następnych obiekcji przy podpisywaniu dokumentu, ale Sharisse zaskoczyła go. Nie wiedział, że nie pamiętała, jak podpisywała swój pierwszy akt ślubu, toteż fakt, iż ksiądz nie wpisał jeszcze ich imion wcale jej nie zaalarmował. Nie dyskutowała też, kiedy nalegał, by podpisała się swoim panińskim nazwiskiem. Po prostu wykonała wszystko i wyszła z kościoła, by zaczekać na niego w powozie.

Kiedy dołączył do niej w powozie, rzucił jej na kolana wypełniony dokument, usiadł wygodnie i czekał. Nie musiał czekać długo.

Sharisse doczytała do imienia „Slade” i spojrzała na Lucasa. - Twierdziłeś, że powiedział złe imię przez pomyłkę. Ale ty również podpisałeś „Slade”! - Cisnęła mu dokument.

Popatrzył na nią, lecz nic nie powiedział.

- Jak mogłeś mi to zrobić, Lucas? Wydałeś mnie za swojego brata!

- Nie. To ja wziąłem z tobą ślub, tym razem legalny. Czy jeszcze tego nie pojmujesz? Przebiegła w myśli wszystkie swoje pytania i znalazła odpowiedź na niektóre z nich.

- Naprawdę jesteś Sladem, prawda? Tylko udawałeś Lucasa, by mnie nabrać. I co, do diabła, masz na myśli, mówiąc „tym razem”? - Uśmiechnął się, a ona krzyknęła: - Och, to z tobą wzięłam ślub poprzednio. Wróciłeś tamtego dnia i pozwoliłeś mi wierzyć, że jesteś Lucasem, abym mógł... Gdyby wtedy nie pojawił się kaznodzieja, wówczas ty byś... nic dziwnego, że Lucas był taki wściekły. Wydałeś mnie za niego bez jego wiedzy!

- Tylko część z tego jest prawdą, ślicznotko, tylko część. Chcesz usłyszeć wszystko, czy wolisz nadal się miotać?

- Co takiego możesz mi powiedzieć, co by cię usprawiedliwiło? - zapytała rozwścieczona. Jak śmie być taki arogancki? - Nie jestem chyba żoną was obu?

- Nie. Twój pierwszy ślub nie był ważny.

Nie była więc bigamistką, choć to niewielkie pocieszenie.

- Nie wiem, co osiągnąłeś tymi podstępami, Slade. Z tobą rozwiodę się z przyjemnością. Nic nie zyskałeś.

- Rozwiedziesz się ze mną, ślicznotko?

- Natychmiast - zapewniła go.

Sharisse odwróciła się tyłem. Sprawa była zamknięta. Powrócili do domu, podobnie jak odjeżdżali, w ciszy, zaskoczył ją więc, gdy powiedział: - Idź i zapakuj trochę swoich rzeczy, Sharisse. Wprowadzasz się do mnie.

- Nie bądź śmieszny, Slade. - Zaczęła wysiadać z powozu.

- Nie ożeniłem się z tobą tylko po to, żeby przejść przez to piekło. Przedtem nie miałem żadnych praw do ciebie, ale teraz już mam i zamierzam je zachować. Zrób, co ci powiedziałem.

Sharisse była przerażona. - Nie zostanę twoją żoną! Nie zostanę!

Wbiegła do domu, zatrząskując za sobą drzwi, ale w jednej chwili otworzył je szarpnięciem.

- Nie sądziłaś chyba, że tak łatwo ci się uda?

Stanęła przed nim rozjątrzona. - Wynoś się!

- Co tu się, do diabła, dzieje? - Marcus wkroczył do hallu i przypatrywał się wysokiemu, ciemnowłosemu nieznanemu.

Sharisse odwróciła się do ojca i zakomunikowała tak samo wściekłym głosem: - Jemu się wydaje, że może mi rozkazywać, co mam robić, bo go poślubiłam. Ale on mnie nabrał, tato. To nie jest Lucas. To Slade! Powiedz mu, że nie ujdzie mu to na sucho, bo ja nawet nie chcę go więcej oglądać.

I wbiegła po schodach, pozostawiając obu mężczyzn przyglądających się sobie przez całą długość hallu. Marcus był oszołomiony. To był więc jego zięć, ten niezwykle wyglądający młody człowiek, w którego stanowczym spojrzeniu błyszczała zimna determinacja?

- Miałem nadzieję, że spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach, panie Hammond, teraz jednak muszę pana ostrzec, żeby pan się nie wtrącał. - Marcus zamierzał coś powiedzieć, ale jego zięć rzekł - Może być pańską córką, lecz prawa męża są bezsprzeczne. Pan to wie. Nie odjadę stąd bez niej.

- A więc naprawdę jesteś jej mężem?

- Słyszał pan, że sama to przyznała.

- Była jednak poślubiona twojemu bratu. Nie jesteś Lucasem Holtem.

- Panie Hammond, to długa historia. Przyzwoitość nakazuje, aby Sharisse pierwsza ją usłyszała. Teraz mogę jedynie powiedzieć panu, że ją kocham i wierzę, że ona też mnie kocha.

Marcus uśmiechnął się. Nie mógł się powstrzymać. - Och, nie miałem wątpliwości, że jest zakochana, chociaż nigdy się do tego nie przyznała. Wiedziałem, że była zakochana, kiedy wróciła z Arizony. Ale ona kocha Lucasa. Ciebie wcale nie lubi, wierz mi.

- Mogła na panu wyrzucić takie wrażenie, ale zapewniam, że jej uczucia ulegną zmianie jeszcze przed końcem dnia. A teraz idę po moją żonę - z pana zgodą, albo bez niej. Będzie nam obu łatwiej, jeśli pan jej udzieli. Rozpoczynanie naszej znajomości od konfliktu żadnemu z nas nie wyjdzie na dobre. Nic jednak nie powstrzyma mnie przed zabraniem jej stąd, ani jej dąsy, ani przeszkody z pańskiej strony. Rozumie pan?

- Mój Boże, Sharisse miała rację - huknął Marcus. - Nie jesteś łatwym przeciwnikiem. Czy mam po prostu uwierzyć ci na słowo, że Sharisse nie będzie nieszczęśliwa jako twoja żona?

- Właśnie tak.

Marcus potrząsnął głową. Jaka trudna sytuacja. Jednak Sharisse nie mogła zaprzeczyć, że ten człowiek jest jej mężem. Jaki wybór miał więc Marcus?

- Idź więc - westchnął Marcus. - Jej pokój jest za drugimi drzwiami po lewej stronie. Ale lepiej, żebym nie żałował tej decyzji, Holt. Pamiętaj o tym. Traktuj ją dobrze, słyszysz?

Ciemne brwi uniosły się w górę. - Czy to jest groźba, panie Hammond?

- Nie. Tak, na Boga, to jest groźba.

- Zgoda. - Młodszy mężczyzna zaśmiał się i ruszył po schodach na górę.

42.

Oczywiście Sharisse zaryglowała drzwi do swojego pokoju, ale ustąpiły pod naporem jego ramion.

Stała na środku pokoju, nie dając się zastraszyć. - Co zrobiłeś mojemu tacie? - rzuciła oskarżenie. Dlaczego nie powstrzymał cię przed wtargnięciem tutaj, gdzie nie chcę cię widzieć?

- Jest wystarczająco bystry, by zrozumieć, że należysz do mnie. Mogłabyś wreszcie i ty przyjąć to do wiadomości.

- Dwoma długimi susami dopadł jej i złapał za ramiona.
- A teraz, czy wyjdiesz stąd z godnością, czy też mam cię wynieść?
- Nie zrobisz tego! - Zarzucił ją sobie przez ramię.
- Postaw mnie, Slade! Nie zgadzam się na to! - To go nie powstrzymało. - Może zmusisz mnie, żebym z tobą mieszkała, ale nigdy nie dam się dotknąć. Kocham Lucasa! Słyszysz? - Nie przerwał marszu. - Nienawidzę cię!
Załadował ją do swojego powozu, gdzie wcisnęła się w najdalszy kąt.

- A moje rzeczy? - zażądała.
- Poślemy po nie.
- Wiesz chyba, jaki jesteś podły.
- Tak sędzę. - Miał czelność uśmiechnąć się do niej.
- Za parę minut dojedziemy do mojego hotelu, proponuję więc, żebyś się uspokoiła i przemyślała, jak zamierzasz tam wkroczyć. Nie mam nic przeciwko wniesieniu cię do środka.

Weszła do hotelu, czując na łokciu jego zaciśnięte palce. Udało im się uniknąć sceny, kiedy przechodzili przez luksusowe pomieszczenia hotelowe w drodze do windy. Pokój Slade'a znajdował się na czwartym piętrze. Wyrywając mu się i siadając, kątem oka zauważyła bogate wyposażenie wnętrza. Zamierzała pozostać przyklejona do krzesła. On jednak stanął przed nią na szeroko rozstawionych nogach i ze splecionym rękami.

Przypatrywała mu się z niechęcią. - Niech ci się nie wydaje, Siadzie Holt, że potrafisz mnie zastraszyć, bo to ci się nie uda.

Rozejrzał się po pokoju. - Te pomieszczenia będą wystarczająco wygodne, dopóki dom nie zostanie wykończony. Sędzę, że zajmie to jeszcze tydzień.

- Nie wyobrażasz sobie za wiele?

Uśmiechnął się. - Czy nadal są jakieś wątpliwości dotyczące naszego ślubu? Twój przyjaciel Robert pojął szybko, gdy mu powiedziałem, że nie jest dłużej potrzebny. Ale ciebie stale trzeba przekonywać, prawda?

- To dlatego Robert... och! Co naprawdę robisz w Nowym Jorku, Slade? Nie pasujesz tutaj. Jesteś rewolwerowcem, produktem Dzikiego Zachodu. Nie możesz planować zamieszkania tutaj.

- Chyba udowodniłem, że potrafię się dopasować niemal wszędzie.

- Ale naprawdę wcale nie masz zamiaru tu osiąść, czyż nie tak?

- Czemu nie? Zawsze chciałem zobaczyć jak najwięcej świata, ale dość się już napodróżowałem. Obawiam się, że nie było to aż tak ekscytujące, jak sądziłem, może dlatego, że nie umiałem pozbyć się myśli o tobie. Pewnego dnia będziemy musieli razem zwiedzić Europę.

- Europę? Pojechałeś więc do Europy z Lucasem?

- Można tak powiedzieć. - Uśmiechnął się. - Nawiasem mówiąc, Lucas spotkał we Francji twojego znajomego, odrażającego małego pawia, który robi zakłady

dotyczące naiwnych panienek.

- Antoine? - szepnęła.

- Lucas miał wiele do zarzucenia sportowi, uprawianemu przez tego pana. Wytarł ziemię buzią Gautiera, teraz nie jest już tak śliczna.

W jej oczach zabłyśło zdumienie i niewątpliwa przyjemność. - Lucas zrobił to dla mnie?

- Ja zrobiłem - miękko odpowiedział Slade.

- Ty? Ale powiedziałaś...

- Kiedy wreszcie ujrzysz prawdę, Sharisse? Nie rozumiesz? Jest tylko jeden z nas.

Twarz jej zszarzała. - To...to niemożliwe - powiedziała trzęsącym się głosem.

Ukląkł obok niej tak, że mieli oczy na tym samym poziomie i rzekł najłagodniej, jak potrafił: - Nie boisz się mnie. Przedtem bałaś się, a teraz nie. Nie zastanowiło cię, dlaczego?

Przebiegła wzrokiem po jego twarzy. To była prawda. Po prostu, jakby to określić, nie był już niebezpieczny. Gdyby nie jej złość, zauważyłaby to wcześniej.

- A więc musisz być Lucasem - podsumowała.

Westchnął i podniósł się. Rysy mu stwardniały. Momentalnie znikła cała łagodność. Zmiana nastąpiła gwałtownie i niepokojąco, nie pozostawiając jej cienia wątpliwości. To był Slade.

- Sharisse, Lucas nie żyje. - Głos miał zaprawiony goryczą. - Feral Sloan zabił Lucasa tego samego dnia, w którym zabił mojego ojca. Nie wiedziałem o tym aż do chwili, kiedy zastrzeliłem Sloana. Przez blisko dziesięć lat myślałem, że Lucasowi udało się uciec, że żyje sobie gdzieś i że pewnego dnia go odnajdę. Usunąłem jego śmierć z pamięci, bo widzisz, byłem jej świadkiem tuż zanim straciłem przytomność. Kryjąc swój ból, Slade odwrócił się od niej. - Lucas nie pojechał dalej, kiedy spadłem z konia na dno rozpadliny. Głupi dzieciak zatrzymał się, aby spróbować mi pomóc. Pewnie postąpiłbym tak samo. Po prostu, będąc bliźniakami, byliśmy sobie niezwykle bliscy, stanowiliśmy niemal jedność. I ta nasza bliskość dała Sloanowi szansę dopadnięcia nas i posłania Luke'owi kuli w plecy.

Podejrzewam, że to z powodu ogromnej ilości krwi, sączącej się z rany na głowie, Sloan doszedł do wniosku, że nie żyję. Założył, że zabranie jednego ciała oraz mojego konia będzie wystarczającym dowodem na to, iż nie istnieją już żywi Holtowie, roszczący pretensje do żyły złota. Wziął ciało Luke'a. - Nastąpiła długa przerwa. - Miałem dziewiętnaście lat, gdy znalazłem grób brata obok grobu ojca w Tucson.

Sharisse wpatrywała się w jego plecy, czując ból wzbierający w piersi.

- Zabiłeś Sloana. Dlaczego nie zabiłeś również Newcomba? Ja bym zabiła!

Odwrócił się do niej zdumiony wściekłością w jej głosie. - Mówiłem ci już. Był za dobrze strzeżony. Do końca życia byłbym ściganym człowiekiem, a wiedziałem już, co to oznacza. Tylko w jeden sposób Newcomb mógł dostać to, na co zasłużył.

Zabrałem mu rzecz dla niego najcenniejszą - bogactwo. Jego podstępnie zdobyte łupy.

- Ale tak długo zwlekałeś.

- Zajął to dużo czasu, Sharisse. Trzeba było wszystko zaplanować. A poza tym, nigdy by się ten plan nie powiódł, gdybym go realizował jako ja. Widziałaś, jak ludzie w Newcomb mnie traktowali. Sama przecież też się mnie bałaś.

- Zachowywałaś się brutalnie, Slade.

Uśmiechnął się do niej. - Skarbie, w porównaniu z tym, jak postępowałem jeszcze osiem lat temu, byłem po prostu święty. Nie mogłem być inny po spędzeniu połowy życia w lęku i nienawiści. Nie było we mnie ani krzty uprzejmości. Jak mogłem zdobyć zaufanie Newcomba, który znał mnie jako zabójcę? Musiałem całkowicie się zmienić, stworzyć odmienną postać.

- W tym celu udałem się na wschód. To nie było łatwe. Z natury jestem skryty, musiałem jednak nauczyć się pewnej otwartości i ogłady. Pomogło mi spotkanie z francuskim hazardzistą. Henri Andrevie miał to wszystko, czego mi brakowało, był lekkoduchem z łobuzerskim wdziękiem i niezwykłym poczuciem humoru, był po prostu typem człowieka, w którym się zakochałaś.

Sharisse spłonęła się na widok jego porozumiewawczego uśmiechu.

- Dlaczego, zamiast zadawać sobie tyle kłopotu ze zmianą własnej tożsamości, nie wynajęłaś kogoś, kto zająłby się Samuelem Newcombem? Miałaś pieniądze. Czy tak nie byłoby prościej?

- Tak, ale nie dałoby tej satysfakcji. Nie wierzę, żeby ktoś mógł dobrze zrobić za mnie tę robotę. To było coś, co musiałem zrobić sam. Dopiero po pięciu latach przygotowań poczułem, że jestem już gotów.

Kiedy jednak zupełnie odmieniony powróciłem do Newcomb, okazało się, że to nie wystarcza. Wszyscy nadal mnie pamiętali. A próby przekonania Samuela Newcomba, że się zmieniłem, na nic by się nie zdały. Toteż stałem się swoim własnym bratem bliźniakiem, udawałem Lucasa, aby oszukać Newcomba. - Usiadł z dala od niej, nieco mniej spięty. - Nikt nie podejrzewał, że naprawdę istnieje tylko jeden z nas. Ważne było, żebym od czasu do czasu pokazał się w mieście w roli Slade'a bo byliśmy tak bardzo różni.

- Nikt nie wiedział? Zupełnie nikt?

- Tylko Billy.

- Oczywiście. - Kiwnęła głową ze zrozumieniem. - Kiedy przybyłam na rancho, specjalnie opowiadał mi historie o tym, jak razem z tobą i Lucasem tropił konie.

Roześmiał się, ona zaś dodała: - Jestem zdumiona, że nigdy się nie przejęczył i nie nazwał cię przez pomyłkę Siadem.

- Aby uniknąć takich błędów upierałem się, żeby zawsze traktował mnie i Lucasa jak dwie różne osoby, nawet wówczas, gdy byliśmy sami.

- A więc cała ta historia o tobie, a raczej o Lucasie mieszkającym w St. Louis z

ciotką, to była bujda?

- Och, mieliśmy ciotkę, ale paskudną. Ja i Luke nienawidziliśmy jej, podobnie jak ojciec. Nigdy nawet do głowy mi nie przyszło, że mógłbym do niej wrócić.

- Mogłeś mi to wszystko powiedzieć wcześniej - rzekła, próbując sobie uporządkować otrzymane informacje.

- Nie mogłem. W twoich opowieściach było za dużo fantazji, bym mógł ci ufać.

- Ale pozwoliłeś mi wyjechać z Newcomb z przekonaniem, że jestem mężatką, podczas gdy przez cały ten czas mój mąż w ogóle nie istniał. Jak mogłeś być tak nonszalancki?

- Nie było potrzeby, by ci o tym mówić. Miałaś wystąpić o unieważnienie związku. Przypominasz sobie?

- Po co było ci potrzebne, bym spotkała cię wcielonego w Slade'a? - zapytała. - Wiesz, że mnie przerażał.

- Boję się, że to był czysty egoizm z mojej strony. Bardzo cię pragnąłem, ty zaś zdawałaś się trudna do zdobycia. Potrafiłem myśleć tylko o tobie. Przyszło mi do głowy, że jako Slade sprawię, iż popędzisz do Lucasa po ratunek. Zadziałało.

- Pewnie, że zadziałało - mruknęła. - Po Siadzie Lucas nie był już taki straszny. Kto by Slade'owi w tym dorównał?

- Takie było założenie - przyznał. - Nie mogłem pojąć twej obawy przed Lucasem. Po pierwsze byłaś wdową, a po drugie, twoja reakcja na jego pocałunki przeczyła twym protestom. Odrzucałaś go, jednak wiedziałem, że go pożadasz.

Zaczerwieniła się i umknęła spojrzeniem w bok. Czy musi być taki bezceremonialny? - Dopiero później zorientowałem się, że twoje reakcje byłyby tak samo skrajne wobec każdego mężczyzny, zagrażającemu twojej niewinności. Naprawdę trzeba było mi powiedzieć, że jesteś dziewicą.

- A więc zwyczajnie przestałaś być Siadem, a stałaś się Lucasem tamtej nocy w górach? No jasne, Billy bardzo ci pomógł, sprawiając, bym myślała, że jest was dwóch. - Nagle wszystko powróciło w jej pamięci. - Nic dziwnego, że Slade tak szybko dał mi spokój, kiedy dojechaliśmy na miejsce. Zaplanowałaś wtedy, że prześpisz się ze mną później, jako Lucas!

- To prawda. Nie mogę zaprzeczyć, że ułatwiłem sprawę Lucasowi. Pragnęłaś nas obu. Wybrałaś jego, ale odrażającemu Slade'owi, którego się bałaś, także pozwoliłabyś kochać się ze sobą wiedziałaś o tym.

Och, jak bardzo by chciała móc zaprzeczyć tym słowom. Ale nie mogła. I on wiedział, że nie mogła. Doprowadzało ją to do pasji.

- Czysty egoizm to za mało, by dobrze opisać twoje postępowanie - powiedziała zawzięcie.

- Teraz już nie możesz obudzić we mnie poczucia winy, że kochałem się z tobą! Mogłem pójść do domu Rosy w miasteczku i wybrać sobie jakąś dziewczynę, ale chciałem tylko ciebie. Do diabła, pragnąłem cię jeszcze przed twoim przyjazdem,

gdy patrzyłem na tę przeklętą fotografię. Czy przyszło ci do głowy, jak kretyńsko zadowolony byłem, gdy pojawiłaś się zamiast swojej siostry?

Jego słowa sprawiły jej nedorzeczną przyjemność. I mówiąc szczerze, ani przez chwilę nie żałowała, że mu się oddała. Ale wówczas to nie był on, tylko Lucas. Kochała się tylko z Lucasem, a on nie był Lucasem.

- Och, wszystko mi się zaczyna już mieszać w głowie.

Zamilkł, pozwalając jej zebrać myśli. - Dlaczego pojawiłeś się na ranczo drugi raz? Byłam wystarczająco przygnębiona podejrzewając, że masz nade mną taką samą władzę, jak Lucas. Musiałeś to udowodnić i jeszcze bardziej mnie dręczyć?

Zacisnął usta. - Chciałem znaleźć zaprzeczenie. Nie podobało mi się, że pragniesz nas obu. Myślałem, że po spędzeniu nocy z Lucasem zapomnisz o mnie, ale nie zapomniałaś, prawda?

Ostre brzmienie jego głosu spowodowało, że szeroko otworzyła oczy. - Nie możesz być zazdrosny sam o siebie, Slade.

- Nie wiedziałaś, Sharisse, że jesteśmy jednym i tym samym mężczyzną. W twojej wyobraźni funkcjonowaliśmy jako dwaj zupełnie odmienni ludzie.

- W mojej wyobraźni byłeś jakby przedłużeniem Lucasa, jego niebezpieczną, nieprzewidywalną stroną... - Przerwała, widząc ten irytujący uśmiech, pojawiający się na jego twarzy. - Co w tym takiego zabawnego, słucham?

- Właśnie przyznałaś, że mnie kochasz, skarbie.

- Zdecydowanie nie! - powiedziała z oburzeniem. - Zakochałam się w Lucasie, nie w tobie. - Jego chłodne spojrzenie zdenerwowało ją. - Och, wiesz co chcę powiedzieć!

- A dlaczego uważasz, że nie jestem tym, w którym się zakochałaś?

- Nie zachowujesz się jak on. Nie jesteś nawet w drobnym ułamku tak miły.

- Sharisse, jest tylko jeden człowiek - ja. Teraz mogę być sobą. Koniec z udawaniem, koniec z pilnowaniem się na każdym kroku.

- Ale jako Slade zawsze mnie przerażałaś.

- To było celowe, skarbie. Nie sądzisz chyba, że chciałem, byś należała do nas obu? Przypomniała sobie dwa spotkania, kiedy omal mu nie uległa; po raz pierwszy na ranczo, a potem jeszcze raz w górach. Nie omal - po prostu mu uległa. Pamiętała swoje zmieszanie, gdy w obu przypadkach odepchnął ją od siebie. Przypomniała sobie jego triumfujące spojrzenie, gdy błagała go, by zostawił ją w spokoju. Wtedy myślała, że sprawia mu przyjemność upokarzanie jej, teraz jednak doszła do wniosku, że cieszył się z jej wyboru - że nie chciała ich obu.

- Ale dlaczego jeszcze raz zawitałeś na ranczo? - spytała. - Wtedy osiągnąłeś już przecież swój cel. Lucas i ja...

- Wtedy nie zrobiłem tego celowo, Sharisse. Szczerze mówiąc, tamtego dnia wracałem wcześniej do domu, gdyż po naszym pożegnaniu nie mogłem się doczekać końca dnia, by znów być z tobą. Wtedy spotkałem tych Apaczów, a wiedziałem, że nie mogę się z nimi pokazać jako Lucas. Zaczęłybyś się zastanawiać, dlaczego tak

łatwo się z nimi porozumiewam.

- Nie musiałeś jednak znowu mnie napastować.

- Nie, ale po przyjeździe na rancho przypomniałem sobie, o co walczyliśmy, a może raczej o co walczyliście z Lucasem, i impulsywnie zapragnąłem rozstrzygnąć sprawę raz na zawsze. I dokonałaś wyboru. Ale z pewnością przypominasz sobie tę chwilę z satysfakcją, prawda?

Nie mogła spojrzeć prosto w patrzące na nią porozumiewawczo oczy, pamiętała bowiem dobrze uczucie mściwości, które ją ogarnęło, gdy tylko przekonała się, że da jej spokój. - Co by się stało, gdybym nie zaczęła płakać? Kochałbyś się ze mną?

Potrząsnął głową. - Znalazłbym inny sposób, by cię sprowokować do walki ze mną. Naprawdę z mojej strony nigdy nie groziło ci uwiedzenie, ślicznotko. - Szkoda, że o tym nie wiedziałam - powiedziała cierpko.

- Wiesz, że zawsze pozwalałem ci odejść. Nie było to łatwe - stwierdził. - Zawsze, gdy byłem koło ciebie, coś mnie ponosiło, bez względu na to, czyją rolę właśnie grałem. Bo grałem dwie role, Sharisse. Nie jestem taki, jak Slade, którego spotkałaś w Arizonie, nie jestem też Lucasem.

Zmarszczyła brwi. Był kombinacją ich obu, a jednocześnie nie był żadnym z nich. No tak, czyż nie zamarzyła kiedyś, żeby mogli być jednym mężczyzną? Kim jeszcze by się nie okazał, wiedziała jedno. To był człowiek, w którym się zakochała, pomimo twardego postanowienia, że już nigdy nie straci głowy dla mężczyzny.

Ale co on czuł? Ona byłaby w stanie przyzwyczać się do jego nowej osobowości. Ale co czuł do niej?

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę, po czym zadała pytanie: - Dlaczego pojechałeś wtedy za mną na przystanek dyliżansów?

- Widziałem jak odjeżdżasz i domyśliłem się, że będziesz próbowała opuścić miasto.

- Ale dlaczego pojawiłeś się tam jako Slade?

- Skoro byłaś wystarczająco wzburzona, by odejść od Lucasa. doszedłem do wniosku, że urządzisz scenę w miasteczku, jeśli pokaże się tam Lucas.

- Ale mogłeś mnie dogonić zanim dotarłam do Newcomb. Dlaczego pozwoliłeś mi dojechać do dyliżansu?

- Czułem, że już dość krzywdy ci wyrządziłem, Sharisse. Jeśli zdecydowałaś się odejść, nie zamierzałem cię zatrzymywać. To by nie było uczciwe. Ale musiałem się z tobą pożegnać, jeszcze coś ci powiedzieć. Mogłem to zrobić, nie płosząc cię, jako Slade. Nie mogłem dać ci wyjechać nie robiąc nic.

- Dlaczego? - zapytała.

- Na miłość boską, kobieto, jeszcze do ciebie nie dotarło, że cię kocham? Z jakiego powodu byłbym tam? I dlaczego stoję tu teraz i odpowiadam na te wszystkie głupie pytania, chociaż naprawdę chciałbym cię porwać w objęcia i pokazać, jak bardzo cię kocham?

- No i - rzekła spokojnie - co cię powstrzymuje? Slade spojrzał zaskoczony, a potem

wybuchnął śmiechem.

- Doprawdy zdumiewasz mnie, pani Holt. Czy to wystarczy, by cię przekonać?

Z uśmiechem padła mu w objęcia.

- Kocham cię, ślicznotko - wymruczał. - Pragnę cię. Potrzebuję. Pozwól mi to sobie okazać.

43.

Powóz mknął żwawo po Fifth Avenue, jednak nie dość szybko dla Sharisse. Była porządnie rozsierdzona, a wszystko przez tatę. Slade tymczasem przyglądał jej się z sąsiedniego siedzenia. Siedział rozparty nonszalancko i wyglądał tak, jakby fakt, że przerwano im w momencie, gdy chwycił ją na ręce i niósł do łóżka, nie wywarł na nim specjalnego wrażenia.

To było więcej, niż dziewczyna mogła znieść. Przez rok czekała by ten mężczyzna znów pojawił się w jej życiu, przez cały rok marzyła o nim, tęskniła za nim, a w chwili, gdy odkryła, że kocha ją tak samo, jak ona jego ojciec zniszczył wszystko, posyłając dwóch osiłków, nalegających, żeby wrócili do Hammond House.

Sharisse spojrzała na Slade'a. - Jak możesz tak po prostu siedzieć? Nie jesteś choć odrobinę wściekły?

Slade uśmiechnął się na tę manifestację złości. - Oczekiwałem ich, chociaż nie przewidziałem, kiedy się pojawią. Wiedziałem, że twój ojciec coś zrobi. Za łatwo zgodził się, żebym cię zabrał. Jestem pewien, że martwił się o ciebie.

- Ale...

- Kiedy tylko twój ojciec przekona się, że nic ci nie grozi, znajdziemy sposób, żeby zostać sami.

- Obiecujesz?

Roześmiał się, zachwycony jej szczerością. - Chodź tutaj. - Przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach. - Nie mogę się teraz z tobą kochać - szepnął - ale mogę chociaż cię przytulić. Czy nie będą cię krępowały pieszczoty w otwartym powozie?

- Zobaczmy. - Uśmiechnęła się, oplatając rękami jego szyję, on zaś zawładnął jej ustami w palącym pocałunku.

Slade przestał ją całować kiedy jeszcze był w stanie to zrobić i głęboko odetchnął. Posadził ją z powrotem na siedzeniu z dala od siebie. - To nie był najlepszy pomysł, Sharisse.

Uśmiechnęła się, widząc jego niewygodę. Już nie siedział tak spokojnie. A jego oczy błyszczały jasnym światłem specjalnie dla niej. Westchnęła, w myśli popędzając konie.

Starła się wymyśleć coś, co mogłoby odciągnąć jej uwagę, cokolwiek, aby uciszyć tłukące się serce. - Nie wiem czy chcę, żebyś mieszkał w Nowym Jorku, Slade. Jest tu tyle pięknych kobiet...

Pokręcił głową. - Kiedy wreszcie przyjmiesz do wiadomości, że żadna kobieta nie dorówna twej urodzie?

Splonęła rumieńcem. - Jak myślisz, czy osiedlimy się tutaj?

- Mam teraz słabość do Zachodu. Myślałem o założeniu nowej hodowli koni, tym razem na poważnie. Co sądzisz o spędzaniu połowy roku tutaj, a drugiej na Zachodzie? Oczywiście nie musiałabyś już sama wszystkiego gotować i sprzątać.

- Wydaje mi się, że mogłabym to polubić - jeśli tylko ustąpisz trochę i kupisz mi powóz.

- Chyba zniosę jakoś jeden powozik. A nawiasem mówiąc, jak się miewa Charley? Zaśmiała się. - Jeśli o to ci chodzi, nie jest już wcale o mnie zazdrosny. Ma teraz swoją własną małą rodzinę.

- Może on nie jest zazdrosny, ale ja byłem zazdrosny jak diabli, gdy patrzyłem, jak mości się na twoich kolanach, pieszczony i głaskany. Nie zdajesz sobie sprawy, ile razy marzyłem o zamianie ról z tym kotem.

Gdy dotarli wreszcie do Hammond House, dwóch dryblasów, jadących w przedniej części powozu, wyskoczyło szybko, by zaprowadzić ich do środka domu. Jednak kiedy tylko znaleźli się w hallu, pięść Slade'a wylądowała na szczęce jednego z eskortujących, potem trafiła w brzuch drugiego. Następne szybkie ciosy posłały obu mężczyzn na marmurową posadzkę.

- Co u diabła...?

Sharisse odwróciła się do ojca, który patrzył na Slade'a. Slade niedbale poprawił ubranie i powiedział: - To wszystko po to, aby pan zobaczył, że nie przyjechałem tutaj, bo pan tak postanowił.

Sharisse nerwowo zachichotała. - Szkoda, że nie zrobiłeś tego jeszcze w hotelu.

Wsunęła się w objęcia Slade'a i przytuliła go mocno. Wpatrzyła się w jego oczy i poczuła falę pożądania, która kazała jej się odsunąć, zanim zapomni, gdzie się znajduje.

- Trochę zbyt despotycznie zachowałeś się, tato, przerywając nasz miesiąc miodowy, ale doceniam twoją troskę o mnie. Możesz się sam przekonać, że czuję się teraz świetnie. - A do Slade'a szepnęła: - Będę na ciebie czekała w swoim pokoju. Tym razem nie będziesz musiał wyważać drzwi.

Wbiegła na schody, pozostawiając obu mężczyzn obserwujących się nawzajem. Slade'a zaskoczyło, że nie widzi na twarzy starszego pana oznak niezadowolenia. A byłby jeszcze bardziej zdumiony, gdyby wiedział, jak bardzo zachwycony był Marcus. Wreszcie miał zięcia zdolnego do przejęcia po nim interesów, potrafiącego dać sobie radę z Sharisse. Jeśli nawet nie Slade, to jeden z jego przyszłych udanych synów będzie zarządzał imperium Marcusa. Nie miał wątpliwości, że będą synowie, wielu synów. A Marcus był na tyle uparty, by żyć wystarczająco długo i osobiście przygotować swojego wnuka.

- Czy nadal ma pan zastrzeżenia, panie Hammond? Marcus parsknął śmiechem. - Żadnych, drogi chłopcze, żadnych. A ponieważ twoja żona czeka na ciebie na górze, proponuję odłożyć naszą rozmowę na później. Zgadzasz się ze mną?

Slade rozluźnił się, a jego zielonożółte oczy zabłyśły. - Jasne, że się zgadzam.

* * *

Sharisse leżała na plecach na łóżku, oczy pociemniały jej z namiętności. Usta miała obolałe od gorących pocałunków Slade'a, był to jednak przyjemny ból, którego była nadal spragniona. Stojąc nad nią i przypatrując jej się z góry Slade zaczął się rozbierać, ona zaś poczuła znajomy ucisk w piersiach, gdy te zielone oczy wędrowały po jej ciele. To nie był pełen wdzięku drań, Lucas. Niezwykła powaga Slade'a napełniła ją przejmującym podnieceniem, graniczącym z obawą.

Zaczęła zdejmować suknię, lecz Slade przerwał jej, dołączając do niej na łóżku, chwytając jej ręce i mówiąc głęboko przekonującym głosem: - Pozwól mi, Shari. Marzyłem o tym tak często, prawie zawsze.

Poddała się jego rękom, poruszając się tylko zgodnie z jego wskazówkami, aż była zupełnie naga. Nie umiała trzymać przy sobie rąk, chciała go dotykać, czuć jego męską siłę. Tak długo czekała.

- Miałaś dziecko.

Oszołomiona, powiodła oczami za jego wzrokiem, utkwionym w jej nagich piersiach. Widać było na nich wymowne ślady. Spuściła oczy i opadła z westchnieniem do tyłu. A więc przyszedł już czas? Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko mu powiedzieć.

- Tak - rzekła zrównoważonym głosem.

- Czy zamierzałaś kiedyś mi o tym powiedzieć? - zapytał lodowatym tonem. - A może przypadkiem umknęło twej uwadze, że nic nie wiedziałem?

Spojrzała mu w oczy i powiedziała spokojnie - Slade, wyraźnie dawałeś do zrozumienia, że nie chcesz żony. Jak mogłam wiązać cię małżeństwem, którego nie pragnąłeś? Gdybyś dowiedział się o dziewczynkach, czułbyś się zobowiązany do pozostania moim mężem, a ja, jak wiesz, mam swoją dumę. - Podniosła głos, czując jednocześnie, jak opada ją całe zmęczenie, związane z tajemnicą. Potrzebowała dłuższej chwili, by spostrzec, że wpatruje się w nią z pełnym niedowierzaniem.

- Dziewczynki? - powtórzył. - Więcej niż jedna?

- Bliźniaczki - stwierdziła. - I dziękuję, że mnie ostrzegłeś przed taką możliwością. Przydałoby się.

- Bliźniaczki? Córki? - zapytał ogłupiały, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie, by go pocałować.

- Opowiem ci wszystko o twoich córkach, ale nie teraz!

- W porządku, ślicznotko. - Uśmiechnął się do niej. - Ale przypomnij mi później, żebym ci powiedział, jaka jesteś wspaniała.

Nim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją mocno i bardzo szybko wszelkie jej myśli wyparło drżenie i rozpalony ogień. Będzie dobrze, pomyślała, zaczynając płonąć. Nie, będzie jeszcze lepiej. Będzie cudownie, cudownie. I będzie trwało wiecznie. Będą zawsze razem, trawieni miłością, tak jak teraz trawiła ją namiętność.

Otoczyła go mocno ramionami, z całych sił trzymając swoją miłość, on zaś odpowiedział jej z pasją równą jej pasji, wiodąc ją z jednego szczytu na drugi, aż w końcu zapłonęli razem wspaniałym, wiecznym, rozżarzoną do białości płomieniem.